

Polska Zbrojna

NR 11 (823) LISTOPAD 2014

INDEKS 337-374 ISSN 0867-4524
CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**NIEZBĘDNIK
ZMIANY W USTAWIE
O WETERANACH**

**IGOR T.
MIECIK**
**O ROSYJSKIEJ
DUSZY
I RUSKIM
MIRZE**

**JEDNOSTKA
W KAMUFLAŻU**

**ŻOŁNIERZE
„ARMII DUCHÓW”
DO WALKI
UŻYWALI
GŁOŚNIKÓW,
RADIOSTACJI
I GUMOWYCH
CZOŁGÓW**



**MACIEJ
MROZOWSKI**

**INFORMACJA JEST
DZIŚ OREZEM
BARDZIEJ
OBOSIECZNYM NIŻ
KIEDYKOLWIEK
WCZEŚNIEJ**

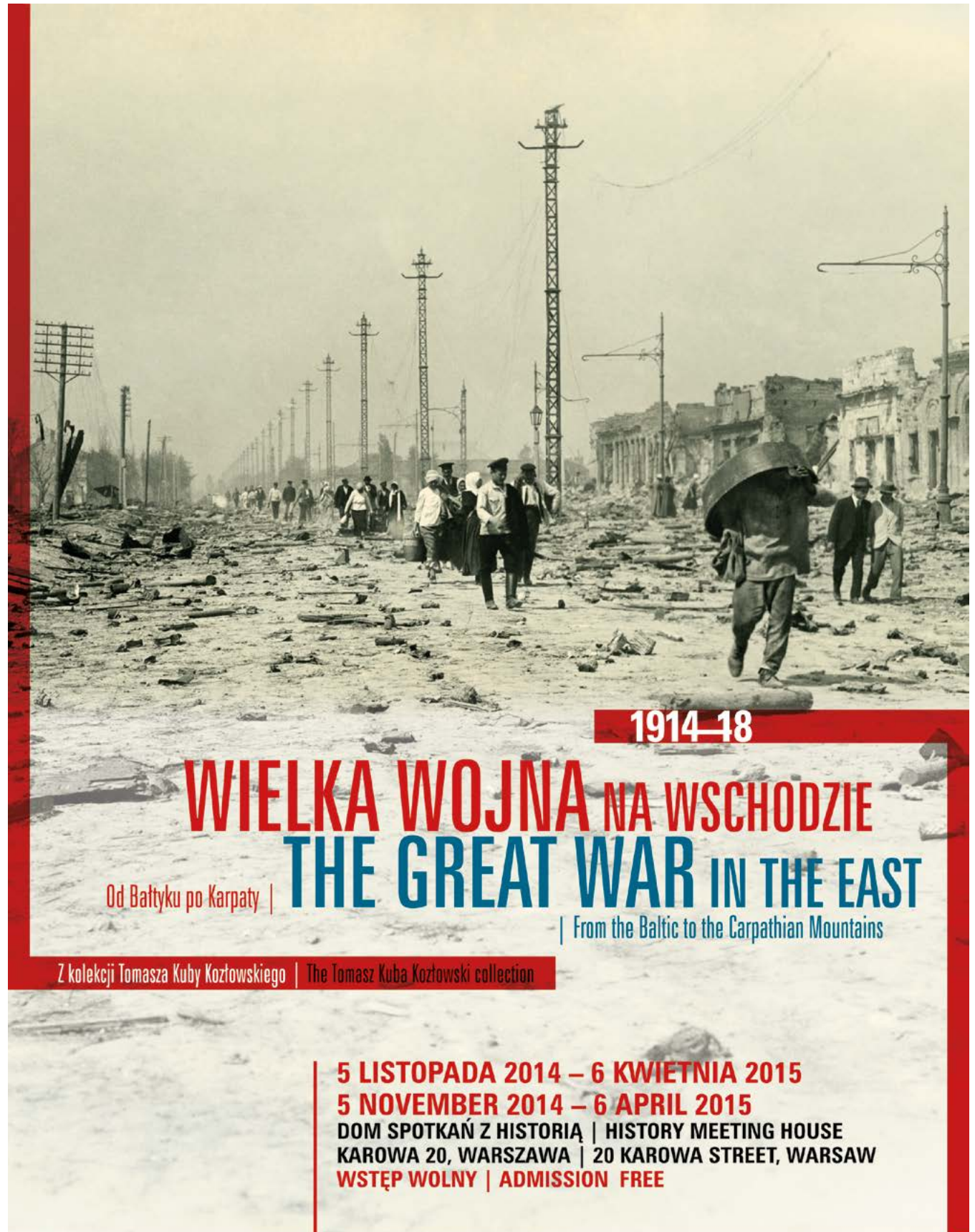
**MEDIALNA
OFENSYWA
PRZECIWKO
PAŃSTWU
ISLAMSKIEMU**

WOJNA TO SZTUKA WPROWADZANIA W BŁĄD

MIEDZY SŁOWAMI



PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ



1914–18

WIELKA WOJNA NA WSCHODZIE THE GREAT WAR IN THE EAST

Od Bałtyku po Karpaty |

| From the Baltic to the Carpathian Mountains

Z kolekcji Tomasza Kuby Kozłowskiego | The Tomasz Kuba Kozłowski collection

5 LISTOPADA 2014 – 6 KWIETNIA 2015

5 NOVEMBER 2014 – 6 APRIL 2015

DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ | HISTORY MEETING HOUSE

KAROWA 20, WARSZAWA | 20 KAROWA STREET, WARSAW

WSTĘP WOLNY | ADMISSION FREE

Organizator | Organizer:



instytucja kultury
m.st. Warszawy



Partnerzy | Partners:



Patronat | Media Patron:





WOJCIECH KISS-ORSKI

POTĘGA MEDIÓW JEST DZIŚ NIEZASŁUŻENIE WIELKA. POGLĄD TEN ZDAJE SIĘ POTWIERDZAĆ WYWIAD Z PROF. MACIEJEM MROZOWSKIM, BĘDĄCY OSIĄ TEMATU PRZEWODNIEGO TEGO NUMERU „POLSKI ZBROJNEJ”.

Nie jest to lektura optymistyczna, bo drogi odwrotu od nadmiaru nachalnie i wszędzie atakującej nas informacji, a przede wszystkim dezinformacji, nie ma. Generalnie wszystko, co do nas dociera, jest propagandą daleką od prawdy obiektywnej. Media elektroniczne, szczególnie telewizja, nie próbują bowiem sprawić, byśmy zrozumieli, co się dzieje, chętnie natomiast dają nam dość złudną pewność, że przy tym byliśmy. Informacja stała się spektaklem. Jak więc to wszystko działa w świetle obecnych konfliktów na Ukrainie i tego, co robi Państwo Islamskie, i jak silną bronią jest dziś informacja? Czy już dorównuje skutecznością sile militarnej?

W każdym razie, kiedy ludzie zaczynają się zabijać, nie oglądamy w mediach świata taki, jaki jest, lecz – jak mówi prof. Mrozowski – świat przedstawiony. A ten rządzi się własnymi prawami i bywa bardzo oderwany od rzeczywistości.

» Więcej o „broni informacyjnej” na str. 12–35

nr 11 (823)
listopad 2014



Zdjęcie na okładce:
Rido/Fotolia,
Krzysztof Wojciewski

- MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
12 | Efekt bumerangu
Rozmowa z prof. Maciejem Mrozowskim o tym, że wojny wygrywa się nie bronią, lecz informacją.
- TOMASZ OTŁOWSKI
18 | Portalowi bojownicy
Media w służbie Państwa Islamskiego.
- ROBERT CZULDA
22 | Standardy propagandy
Jak funkcjonuje amerykańskie Centrum do spraw Strategicznej Komunikacji Kontrterrorystycznej?
- RYSZARD A. MACHNIKOWSKI
24 | Rosyjska pieśń
Ukraina w obliczu kremlowskiej retoryki.
- RAFAŁ CIASTOŃ
27 | Pjongjang schodzi pod wodę?
Prawda czy fałsz, czyli koreańskie testy uzbrojenia.
- ROBERT CZULDA
30 | Jednostka w kamuflażu
Jak amerykańska trupa aktorska oszukiwała niemieckich żołnierzy.
- MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
34 | Wojna słowami
Działania informacyjne w Afganistanie.



- MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
36 | W elitarnym klubie
Wnioski po ćwiczeniach „Noble Sword”.
- MICHAŁ ZIELIŃSKI
42 | Dywersanci w sieci
W pracy komandosów nie ma miejsca na wahanie czy ekscytację.
- KRZYSZTOF WILEWSKI
46 | Pośpiech nie jest wskazany
Rozmowa z gen. dyw. Mirosławem Różańskim o modernizacji armii.
- PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
50 | Dwanaście lat minęło
Czego obawiają się szeregowi zawodowi?
- BOGUSŁAW POLITOWSKI, KRZYSZTOF WILEWSKI, ŁUKASZ ZALESIŃSKI
54 | Niebiescy górą
„Anakonda” pod lupą.

- PIOTR BERNABIUK
62 | Desantowiec z dopalaczem
Spadochrony AD-95 w zupełnie nowej wersji.
- JACEK SZUSTAKOWSKI
66 | Lekcja na poligonie
Pierwszy zlot klas mundurowych.
- MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
70 | Transakcja wiązana
Offset po polsku.
- JAROSŁAW RYBAK
73 | Przepis na superspecjalsa
Jak zostać celebrytą w mundurze i nie zwariować.
- PAULINA GLIŃSKA
74 | Większa ochrona
W MON są przygotowywane zmiany do ustawy o weteranach.
- TOMASZ SANAK
77 | Panowie życia i śmierci
Co zrobić, żeby się zmniejszył wskaźnik „zgonów do uniknięcia”?





arsenał

84 | TADEUSZ WRÓBEL Z siłą tajfunu

Minęło 20 lat od pierwszego lotu Typhoona.

94 | NORBERT BĄCZYK Cyfrowy orlik

Na czym polega specyfika samolotu PZL 130 Orlik TC II MPT?



strategie

96 | ANDRZEJ WILK Zbrojeniowy impuls

W jaki sposób sytuacja międzynarodowa Rosji wpłynie na programy modernizacyjne armii?

102 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER Przepis na zimną wojnę

Wojciech Lorenz o tym, czy NATO jest gotowe na konfrontację z Rosją.

106 | RAFAŁ CIASTOŃ Manewry z traktatem

Czy będą konsekwencje łamania przez Rosję traktatu INF?

108 | MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER To kraj pełen sprzeczności

Igor Miecik o specyfice rosyjskiego społeczeństwa.

113 | ROBERT CZULDA Głową w mur

W konflikcie izraelsko-palestyńskim największym przegranym są cywile, po obu stronach barykady.

116 | ROBERT CZULDA Na Bliskim Wschodzie słabi giną

Rozmowa z Uzim Rabim o szansach na porozumienie w sprawie Strefy Gazy.



wojny i pokoje

120 | PIOTR BERNABIUK Szkoleniowa awangarda

Trudne początki 56 Kompanii Specjalnej.

128 | TADEUSZ WRÓBEL Latający jeżowierz

Japońska latająca łódź Kawanishi H8K.

horyzonty

132 | AGNIESZKA DRAŻKIEWICZ Moje wyzwanie

Dziennikarka Polskiego Radia dzieli się wrażeniami z udziału w GROM Challenge.

136 | PIOTR BERNABIUK Służę u Żdana

Bolesławiecki zlot żołnierzy i sympatyków 62 Kompanii Specjalnej.

148 | ANDRZEJ FAFARA Nie filmuj, bo cię zabiję

Rozmowa z Jerzym Ernstem o trudnym zawodzie reportera wojennego i o dramatycznych wydarzeniach sprzed dziesięciu lat w Iraku.



COMBAT 56

MO ROSJI

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI



DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

plk Dariusz Kacperczyk,
sekretariat@zbrojni.pl
tel.: +4822 684 53 65, 684 56 85,
faks: 684 55 03; CA MON 845 365, 845 685, faks: 845 503;
Al. Jerolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Wojciech Kiss-Orski,
tel.: +4822 684 02 22, CA MON 840 222; wko@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI

Aneta Wiśniewska, tel.: +4822 684 52 13, CA MON 845 213
ZASTĘPCY SEKRETARZA REDAKCJI
Katarzyna Pietraszek, tel.: +4822 684 02 27, CA MON 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: +4822 684 52 30, CA MON 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Piotr Bernabiuk, Anna Dąbrowska, Paulina Gilińska,
Małgorzata Schwarzgruber, Tadeusz Wróbel,
tel.: +4822 684 52 44, CA MON 845 244,
+4822 684 56 04, CA MON 845 604;
Magdalena Kowalska-Sendek, tel.: +48 725 880 221;
Norbert Bączyk, Rafał Ciastoń, Robert Czulda, Agnieszka Drażkiewicz,
Jerzy Eisler, Andrzej Fafara, Włodzimierz Kaleta,
Ryszard A. Machnikowski, Tomasz Otlowski, Bogusław Politowski,
Jarosław Rybak, Tomasz Sanak, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Andrzej Wilk, Łukasz Zalesiński,
Michał Zieliński

DZIAŁ GRAFICZNY

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kepka, Monika Siemaszko,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

FOTODYTOR

Andrzej Witkowski,
tel.: +4822 684 51 70, CA MON 845 170

REDAKCJA TEKSTÓW

Renata Gromska, Barbara Szymańska, Urszula Zdunek,
tel.: +4822 684 55 02, CA MON 845 502

BIURO REKLAMY I MARKETINGU

Adam Niemczak (kierownik), Anita Kwatrowska (tłumacz),
Magdalena Miernicka, Małgorzata Szustakowska,
tel.: +4822 684 53 87, 684 51 80,
Elżbieta Toczek, tel.: +4822 684 04 00,
faks: +4822 684 55 03; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

TOPLOGISTIC, ul. Skarbka z Gór 118/22, 03-287 Warszawa,
tel.: +4822 389 65 87, +48 500 259 909,
faks: +4822 301 86 61; biuro@toplogistic.pl

Numer zamknięto: 23.10.2014 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 4, 05-230 Kobyłka, www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail:
prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00–17.00. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.
170 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: CA MON 840 400

kadr

**OPERATORZY Z JEDNOSTKI WOJSKOWEJ GROM WSPÓLNIE
Z FUNKCJONARIUSZAMI BIURA OPERACJI ANTYTERRORYSTYCZNYCH
KOMENDY GŁÓWNEJ POLICJI w czasie przygotowań do pokazowego odbicia
zakładników ze statku wycieczkowego na Wiśle w Warszawie**







Plany NATO

Sojusz musi inwestować w kolektywną obronę.

NATO

Wdrażanie przyjętych na szczycie w Newport postanowień i współpraca w obliczu konfliktu na Ukrainie były głównymi tematami rozmów w Warszawie Jensa Stoltenberga, nowego sekretarza generalnego NATO. Polska jest pierwszym państwem, które odwiedził oficjalnie nowy szef sojuszu po objęciu stanowiska 1 października.

Podczas rozmowy z prezydentem Bronisławem Komorowskim i premier Ewą Kopacz szef NATO chwalił Pol-

skę za decyzje o zwiększeniu od 2016 roku wydatków na obronność do 2% PKB. Zaznaczył też, że głównym zadaniem sojuszu jest teraz inwestowanie w kolektywną obronę i wdrażanie postanowień wrześnieowego szczytu w Newport. Jednym z nich jest plan stworzenia tak zwanej szpicy – sił szybkiego reagowania, które miałyby być gotowe do akcji w ciągu 48 godzin. Według informacji szefa MON-u Tomasza Siemoniaka, w lutym 2015 roku ministrowie obrony NATO podej-

mą ostateczną decyzję o kształcie szpicy, jej wielkości i składzie. Minister podkreślił też, że Polska jest zdeterminowana, aby decyzje, które zostały podjęte w Walii, były zrealizowane, w tym te dotyczące wzmocnienia wschodniej flanki NATO. „Są wśród nich trzy najważniejsze zadania: ciągła, rotacyjna obecność żołnierzy NATO w Polsce, stworzenie szpicy oraz wzmocnienie Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie”, wymienił Tomasz Siemoniak. P.Z., A.D. ■

Regionalna polityka

Zmiany w sojuszu północnoatlantyckim konieczne dla bezpieczeństwa.

Kryzys na Ukrainie i związane z nim wyzwania dotyczące bezpieczeństwa w Europie Wschodniej zdominowały obrady seminarium Rose-Roth, zorganizowanego przez polski Sejm i Zgromadzenie Parlamentarne NATO. Uczestniczący w spotkaniu parlamentarzyści, reprezentanci rządów oraz przedstawiciele ośrodków badawczych i organizacji pozarządowych podkreślali, że warunkiem zwiększenia bezpieczeństwa w tym regionie są zmiany w funkcjonowaniu sojuszu i bardziej zdecydowana polityka wobec Rosji.

„Sytuacja za naszą wschodnią granicą pokazała, że nowe zagrożenia nie

wyparły klasycznych, związanych z obroną integralności terytorialnej”, stwierdził minister obrony Tomasz Siemoniak.

Jak zaznaczył, aneksja części Ukrainy skłoniła szczyt NATO w Newport do przyjęcia rozwiązań prowadzących do wzmocnienia bezpieczeństwa sojuszników ze wschodniej flanki. Z kolei marszałek sejmu Radosław Sikorski argumentował, że szczyt NATO, choć zapoczątkował wzmocnianie wojskowe sojuszu, był rozczarowaniem dla Ukrainy. „Zaproponowaliśmy jej wszelkie wsparcie z wyjątkiem pomocy”, stwierdził marszałek. P.Z., A.D. ■

Turniej gier strategicznych



18 października 2014 roku Klub Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach zorganizował Ogólnopolski Turniej Gier Strategicznych – Warhammer 40 000 – „Wojownicy przyszłości”. Niezwykła tematyka turnieju połączyła na zasadzie partnerstwa Klub CPdMZ z Muzeum Zabawek i Zabawy w Kielcach. Na to niesamowite widowisko przybyli gracze z całej Polski, głównie przedstawiciele z klubów wojskowych rodzajów sił zbrojnych. Turniej był okazją nie tylko do sprawdzenia talentów dowódczych graczy, lecz także zaprezentowania własnego dorobku modelarskiego. P.B. ■

Sojusznicze wsparcie

Kolejne amerykańskie oddziały ćwiczą w Polsce.

Na poligonie w Drawsku Pomorskim pojawiło się na szkoleniu ponad 200 żołnierzy i dziesięć czołgów Abrams 1 Brygadowej Grupy Bojowej z 1 Dywizji Kawalerii Pancernej z Teksasu. Amerykanie przyjechali do Polski w ramach rozpoczętej wiosną operacji „Atlantic Resolve”, która ma wzmocnić europejskich sojuszników wobec trudnej sytuacji na Ukrainie. „Nasza obecność w Polsce to więcej niż wspólne ćwiczenia, to demonstracja wspólnoty w NATO”, mówił gen. broni Donald M. Campbell, dowódca wojsk lądowych USA w Europie, podczas powitania amerykańskiego pododdziału.

Żołnierze z Teksasu zastąpili przebywających w naszym kraju od kwietnia spadochroniarzy ze 173 Brygady Powietrznodesantowej USA. Tak zwany Airborne Detachment, liczący około 150 żołnierzy, szkolił się w Drawsku z polskimi spadochroniarzami z 6 Brygady Powietrznodesantowej. Amery-

kańscy pancerniacy jako Heavy Detachment będą ćwiczyć w Polsce sami, a także z pododdziałami 7 Brygady Obrony Wybrzeża. Żołnierze z USA zostaną w naszym kraju do końca roku. Potem zmienią ich wojskowi z 2 Pułku Kawalerii USA, stacjonujący w Niemczech.

Jednocześnie do 33 Bazy Lotnictwa Transportowego w Powidzu przyleciało ze Stanów Zjednoczonych kilkudziesięciu lotników i trzy samoloty transportowe C-130 Hercules ze 182 Skrzydła Lotnictwa Transportowego z Peorii w Illinois. Lotnicy z USA zostaną w naszym kraju do listopada i zamierzają ćwiczyć z polskimi pilotami herculesów. To kolejna rotacja lotniczego komponentu sił powietrznych Stanów Zjednoczonych Aviation Detachment.

Wspólne treningi lotników odbywają się co kwartał od lutego 2013 roku na zmianę z pilotami z Powidza oraz 31 i 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach i Łasku. P.Z., A.D., M.K.S. ■

Wojsko wzywa

Trwają obowiązkowe szkolenia żołnierzy rezerwy.

Osoby, które służyły w armii albo na studiach przeszły przeszkolenie wojskowe, mogą się spodziewać wezwania na obowiązkowe ćwiczenia. Chodzi o szeregowych do 50. roku życia oraz podoficerów i oficerów, którzy nie ukończyli 60 lat. Ćwiczenia trwają od dwóch dni do trzech miesięcy, a ich celem jest przede wszystkim zapoznanie rezerwistów z obsługą nowoczesnego sprzętu. Cykliczne przeszkolenie rezerwistów armia zawiesiła w latach 2009–2012, w czasie przeprowadzanej w siłach zbrojnych profesjonalizacji. Teraz do tej formy ćwiczeń powrócono, a z każdym rokiem liczba powoływanych rośnie. Jak podaje MON, w 2013 roku było ich około 3 tys., w tym roku armia planuje przeszkolić blisko 7 tys. osób, a w przyszłym ponad dwa razy tyle. Odbywający obowiązkowe ćwiczenia rezerwiści mogą liczyć na rekompensatę finansową – dziennie na przykład dla szeregowego to kwota 70 zł, a dla podporucznika 110 zł. A.D. ■

Nasze kontyngenty

Polscy żołnierze są zaangażowani w cztery misje poza granicami kraju.

Udział w misjach zmienił polską armię. Dzięki nim nasi żołnierze są znacznie lepiej uzbrojeni, jesteśmy skuteczniejsi w działaniu i staliśmy się bardziej wiarygodnym partnerem”, stwierdził gen. bryg. Grzegorz Duda, zastępca dowódcy operacyjnego rodzajów sił zbrojnych, na spotkaniu z posłami sejmowej Komisji Obrony Narodowej.

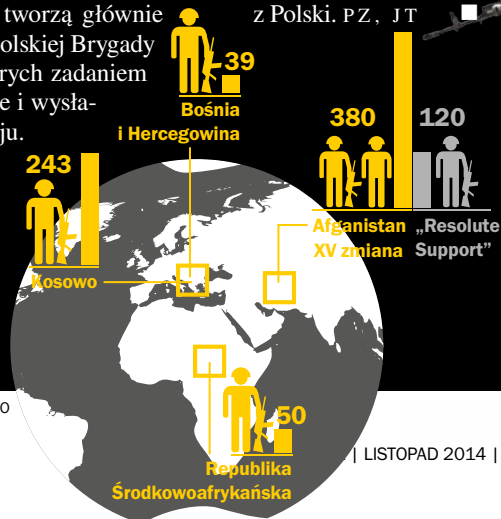
Największą zagraniczną polską misją jest operacja w Afganistanie. Jak wyliczył podsekretarz stanu w resorcie obrony Robert Kupiecki, od 2002 roku służyło w tym kraju 28 tys. polskich żołnierzy. Większość z nich na misję wyjeżdżała kilkakrot-

nie. Koszt trwającej od 2002 roku operacji to 6 mld zł.

Dziś pod Hindukuszem służy 380 naszych żołnierzy i pracowników wojska. XV zmianę tworzą głównie wojskowi z 10 Opolskiej Brygady Logistycznej, których zadaniem jest przygotowanie i wysłanie sprzętu do kraju.

Żołnierze ostatniej zmiany szykują też warunki do pełnienia nowej misji szkoleniowej w Afganistanie „Resolute Support”

port”. Ma się ona rozpocząć w 2015 roku i kosztować 32 mln zł. Z Polski wyjedzie na nią 120 osób. Polacy biorą też udział w trzech innych operacjach. Kontyngent w Kosowie tworzy 243 żołnierzy, w Bośni i Hercegowinie jest obecnych 39 polskich wojskowych, a w rozpoczętej w maju unijnej misji w Republice Środkowoafrykańskiej bierze udział 50 żołnierzy z Polski. P.Z., J.T. ■



MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Stypendium dla artysty

Dzieci weteranów mogą podjąć
naukę w szkole filmowej.



Warszawska Szkoła Filmowa to jedna z trzech wyższych szkół o takim profilu w Polsce i największa wśród niepublicznych. W 2004 roku założyli ją reżyser Maciej Ślesicki i aktor Bogusław Linda. W 2013 roku przy szkole powstało jedyne w Polsce liceum filmowe. Wśród wykładowców obu placówek są między innymi reżyserzy i scenarzyści: Krzysztof Zanussi, Radosław Piwowarski, Maciej Ślesicki, Jan Kidawa-Błoński, Magdalena Łazarkiewicz, aktor Bogusław Linda.

To pierwsza taka inicjatywa środowiska artystycznego. Warszawska Szkoła Filmowa postanowiła wesprzeć uzdolnione dzieci weteranów, które chcą w przyszłości zająć się filmem czy fotografią, a nie stać ich na czesne, wynoszące około 1000 zł miesięcznie. Uczelnia oferuje studia licencjackie na kilku kierunkach. Studenci mają do wyboru: reżyserię filmową, reżyserię i produkcję gier wideo, montaż filmowy, realizację obrazu, fotografię, aktorstwo nowych mediów, filmoznawstwo praktyczne, ekonomię kultury, organizację produkcji filmowej i telewizyjnej. Z kolei nauka w liceum obejmuje, oprócz podstawowego programu nauczania szkoły średniej, zajęcia z podstaw pracy z kamerą, montażu, fotografii i ćwiczeń aktorskich.

UMOWA Z MON

W maju 2014 roku resort obrony narodowej podpisał z Fundacją Edukacji i Sztuki Filmowej Macieja Ślesickiego i Bogusława Lindy „Laterna Magica” porozumienie w sprawie wspierania edukacji artystycznej dzieci żołnierzy, którzy doznali uszczerbku na zdrowiu lub zmarli podczas wykonywania zadań służbowych w działaniach poza granicami państwa. Ufundowała ona stypendia dla uzdolnionej młodzieży, które umożliwią trzyletnią bezpłatną naukę w liceum filmowym lub Warszawskiej Szkole Filmowej.

Szansę na otrzymanie takiego wsparcia mają dzieci weteranów. „Warunkiem są zainteresowania artystyczne i udokumentowany dorobek z dziedziny filmu, aktorstwa, plastyki lub fotografii”, zastrzega Magdalena Łachniak z Warszawskiej Szkoły Filmowej. O przyznaniu stypendium decydują wynik rozmowy kwalifikacyjnej oraz ocena dorobku artystycznego kandydata.

PIERWSI STUDENCI

Na kierunku fotografia w październiku rozpoczęła trzyletnie studia 20-letni Michał Łukasik, ab-

solwent technikum o kierunku fotochemicznym w Zespole Szkół Chemicznych w Bydgoszczy. „Fotografia jest moją pasją, tak wyrażam myśli i emocje”, mówi. Ogłoszenie, że w Warszawskiej Szkole Filmowej można otrzymać stypendium, znalazł na stronach MON-u ojciec Michała, weteran z Afganistanu i Bośni. Chłopak zawiózł do dziekanatu swoje portfolio. Zdjęcia przekonały profesora, który przeprowadził z Michałem rozmowę kwalifikacyjną, że warto dać mu szansę na dalszą naukę.

„To dla nas spore odciążenie finansowe”, przyznaje Andrzej Łukasik. Jako żołnierz zawodowy Brygady Logistycznej w Bydgoszczy służył na V mianie PKW Afganistan w 2009 roku oraz w latach 2011–2013 w Bośni. Tam w bazie Camp Butmir podczas meczu z Rumunią, rozgrywanego w trakcie międzynarodowych rozgrywek w siatkówkę, upadł tak nieszczęśliwie, że zerwał ścięgno Achillesa. Ceną za wygrany mecz była noga w gipsie. Żołnierz po półrocznej rehabilitacji wrócił do pracy.

Studia na kierunku reżyseria rozpoczął 24-letni Eliasz Waszczuk. Na stronie internetowej szkoły znalazł ogłoszenie, że dzieci weteranów mogą otrzymać stypendium (ojciec Eliasza chor. Mirosław Waszczuk służył w Libanie w pododdziale saperów w latach 1994–1995 oraz 1996–1997). „To był przypadek, że trafiłem na to ogłoszenie, bo i tak chciałem studiować w tej szkole”, mówi Eliasz. W tym roku kończy naukę w Akademii Teatralnej w Białymstoku, ale doszedł do wniosku, że „większą radość daje reżyserowanie” (dotychczas reżyserował spektakle w szkole teatralnej). Wysłał do oceny scenariusz, swoją interpretację „Zbrodni i kary”. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej przekonał komisję, że to ciekawa wizja. Teraz czekają go trzy lata nauki. A potem? „Potem będę robić filmy”, mówi świeżo upieczony student Warszawskiej Szkoły Filmowej. ■



PIOTR
BERNABIUK

Potyczki informacyjne

**ZOSTAŁEM ZAATAKOWANY
PRZEZ GRUPĘ SZTURMOWĄ.
ZAPYTALI MNIE, DLACZEGO
ŚCIEMNIAM, PRODUKUJĄC
SŁOWA W WOJSKOWEJ
GAZECIE**

Współczesne konflikty nie są rozgrywane na wielkich przestrzeniach. Walczącym stronom nie są potrzebne rozległe pola bitwy, na których ścierałyby się hufce ciężkiej jazdy czy zagony czołgów. Jeśli już coś wybuchnie, to jednocześnie wszędzie i we wszystkich wymiarach – lądowym, morskim, powietrznym, fizycznym, psychologicznym, cybernetycznym i informacyjnym. Można też odnieść wrażenie, że walka trwa nigdzie, a zarazem wszędzie. Taki przebieg zmagania wymaga też niezwykle zróżnicowanego oręża, nowoczesnych bezzałogowców, prymitywnych bomb pułapek, stacji telewizyjnych dalekiego zasięgu, bo jak nigdy dotąd w zmaganiach liczą się obraz i słowo.

Dopiero co uczestniczyłem w niezwykle pouczających ćwiczeniach, rozgrywanych w warstwie werbalnej. Było to zdarzenie o tyle dla mnie cenne, że – chcąc nie chcąc – dla grupy szturmowej, złożonej z żołnierzy jednej płci, ale różnych szarż, podgrywałem przeciwnika. Otóż w pierwszej fazie działań zostałem wykryty i ostrzelany przez doborową drużynę pytaniami, z których kluczowe brzmiało: „Dlaczego ściemniam, produkując słowa w wojskowej gazecie?”. Usiłowałem stawić opór, prosząc o konkrety. Dostałem więc poprawkę, że niby jest tego na kopy, za długo by wymieniać.

Przyciśnięty do muru, a raczej wbity w krzaki, użyłem wybiegu. Sądzę, że mistrz Sun Tzu byłby ze mnie dumny. Podniosłem ręce do góry, jednocześnie pytając, czy mógłbym liczyć na pomoc w drażnieniu najprawdziwszej prawdy. I znalazłem gorący temat (przepraszam, ze względów humanitarnych nosi wysoką klauzulę niejawności), poprosiłem też o rzetelne podejście: „Jeśli to was boli, mówicie, napiszę, damy »im« popalić”.

No to nie, bo przecież muszą się liczyć z konsekwencjami, a ponadto na każdą wypowiedź potrzebują zgody przełożonych na piśmie... Więc odpowiadam, że sprokuruję pismo, wysłę... Komputer był po ręką. Też nie, bo co tam niezafatwione sprawy i bolączki, jakoś samo się rozwiąże albo raczej przyschnie.

W takim razie, proponuję, napiszmy, że jest dobrze! Wszystko idzie jak z płatka, wojsko się szkoli, zdolność wzrasta, każdą przeszkodę pokonaciecie z marszu...

Przeciwnicy, już pojednani (konflikt się rozmywał z chwili na chwilę, niemal jak w rzeczywistości), wybuchnęli śmiechem: „Nie próbuj nas wkręcić. Jak na górze przeczytają laurkę, a głupi tam nie siedzą, to za tydzień mamy komisję. Komisja przetrzepie wszystkie kąty i jesteście ugotowani”.

Ponieważ faza konfliktu zbrojnego już była za nami, rozwinęliśmy negocjacje. Trwały długo i na koniec stanęło na tym, żeby jednak o sprawie napisać, tyle że o zupełnie innej, i umieścić ją na przeciwległym końcu kraju. Wtedy i wilk, i owca... A z tamtych – o których napiszemy – zrobimy baranów.

Jako „producent słów”, często rzucanych na wiatr, zastanawiam się nad puentą. Nic specjalnie mądrego nie przychodzi mi do głowy... Może tak: „Przyszły czas, w którym wojna informacyjna jest zjawiskiem wszechobecnym, rozgrywanym na każdym kroku i przez wszystkich”.





|INFORMACJA|

EFEKT BUMERANGU

Z profesorem Maciejem Mrozowskim
o wojnach wirtualnych, informacji, która jest
obosiecznym orężem, oraz o tym, na czym
polega dziś władza mediów, rozmawia
Małgorzata Schwarzgruber.

→ EFEKT BUMERANGU

Już wiele lat temu Sun Tzu stwierdził, że wojna to sztuka wprowadzania przeciwnika w błąd. Niewiele zmieniło się przez wieki.

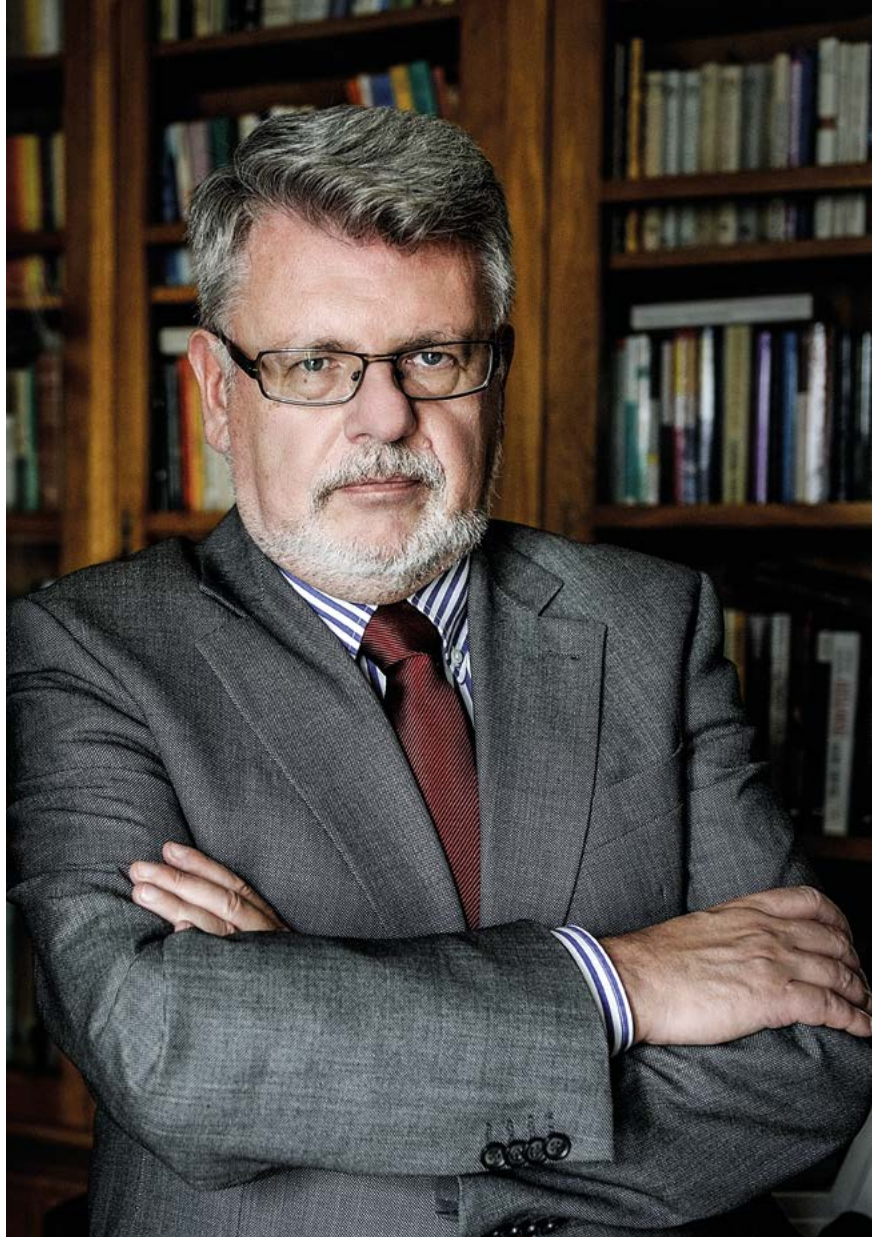
Dlatego również aktualna jest sentencja, że pierwszą ofiarą wojny pada prawda. Gdy się rozpoczynają działania wojenne, walczące strony usiłują dezinformować przeciwnika. Każda stosuje różne fortele i pozoracje, które mają zmylić przeciwnika, przerzucają się też oskarżeniami o spowodowanie konfliktu i zbrodnie na ludności cywilnej. Na końcu zawsze się okazuje, że wszyscy kłamali, tyle że zwycięzców się nie osądza.

Najbardziej znanym przykładem udanego zmylenia przeciwnika był koń trojański.

Historia wojskowości zna dużo podobnych forteli. Sporo było działań dezinformacyjnych podczas II wojny światowej. Choćby utrzymywanie do ostatniej chwili w tajemnicy miejsca lądowania aliantów, dzięki czemu operacja się powiodła. Można wspomnieć o Enigmie. Był to cichy, ale ważny front działań wojennych, bo zmagania kryptografów decydowały o sukcesie lub klęsce wielu operacji. Na współczesnych wojnach jest inaczej, bo różne są potencjały stron. Saddam Husajn nie mógł zmylić potężnego przeciwnika, a blef z bronią masowego rażenia w efekcie mu zaszkodził. Nie mógł też narzucić światu swojej wizji wojny, bo był za słabym graczem i nie miał odpowiedniego aparatu propagandowego. Gdyby doszło do konfliktu między poważniejszymi stronami, mielibyśmy zapewne bardziej wyrafinowane działania dezinformacyjne, bo każde nowoczesne społeczeństwo ma swobodny dostęp do globalnej sieci komunikowania; chociaż Chiny, a ostatnio także Rosja, robią wszystko, by odciąć ludziom dostęp do tej sieci.

Czy to oznacza dwie wojny: jedną realną, a drugą wirtualną?

Dziś jesteśmy na nie skazani. W dodatku wojny wirtualne mogą się toczyć na wielu frontach. Kraje arabskie na przykład mają już potencjał informacyjny, który pozwala na pokazywanie światu ich wersji tamtejszych konfliktów. Jeszcze nie zdobyły one wpływów w skali międzynarodowej, bo te kraje są skłócone i przekazują światu różne wersje wydarzeń, ale w skali regionalnej mają znaczną siłę oddziaływania i sięją zamęt. Zresztą



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Nowoczesne media znacznie skomplikowały nasze relacje ze światem zewnętrznym. Zamiast nam pokazywać, jaki ten świat jest, zastąpiły go „światem przedstawionym”

ku uciesze wielkich mocarstw, które rozgrywają dzięki temu swoje interesy.

Myśli Pan o Al-Dżazirze?

Także o Al-Arabii i wielu innych stacjach, które nadają programy anglojęzyczne via satelita. Al-Dżazira była pierwsza, przetarła szlak. W ubiegłym stuleciu okrzyknięto ją wręcz CNN-em Bliskiego Wschodu. Dla wielu ekspertów i gremiów opiniotwórczych to istotne źródła informacji – oczywiście jeśli się je właściwie interpretuje.

Czy to Al- Kaida podniosła rangę walki informacyjnej i wojny psychologicznej? Jej godnym

następcą jest Państwo Islamskie, które bez internetu, wykorzystywanego do prowadzenia świętej wojny, nie zdobyłoby chyba takiej popularności.

Teoretyk nowoczesnego społeczeństwa sieciowego Manuel Castells wskazuje Al-Kaidę jako jedną z organizacji, które dzięki komunikacji w sieci tworzą globalne ruchy społeczne podważające istniejący ład światowy i kształtujące nowy porządek. Te organizacje za pomocą sieci budują realne struktury w różnych krajach, rozrzucone po świecie, częściowo działające w ukryciu, ale mające zdolność mobilizowania ludności wokół pewnych celów i tworzenia kooperacji. To fenomen, bo te organizacje mają realną moc. Ona kształtuje nowe poczucie tożsamości wielu społeczności arabskich. Sądzę, że siła mobilizacyjna tych struktur i kształtowanych przez nie społeczności będzie rosła, a Państwo Islamskie jest tego dowodem.

Można się obronić przed atakiem dezinformacyjnym?

Logika sieci jest prosta: krążą w niej pakiety cyfrowe, można je wyłapywać i analizować. Tak robią marketing oraz służby specjalne wszelkiego rodzaju. Problem polega na tym, że jest to ogrom danych i nikt nie zdoła sprawdzić wszystkich podejrzanych plików. Dziś jakość przeszła w ilość. Dawniej Mata Hari zdobywała od razu dostęp do rdzenia informacji – wykorzystując alkohol, seks, szantaże, ludzkie słabości. Dziś podobny dostęp umożliwia nam technologia, tylko że przesłedzenie i przeanalizowanie wszystkich plików jest niewykonalne. Ale nie można tego odpuścić. Zatem rosną zastępy analityków wywiadu. Nigdy się nie dowiemy, ile zamachów terrorystycznych uniemożliwili, za to po każdym się dowiemy, że dysponowali informacjami, które mogły zapobiec nieszczęściu, tylko na czas ich nie opracowali, zlekceważyli je lub mają nie dość dobre oprogramowanie.

Czy w dobie internetu możliwy byłby taki kamuflaż, jak papierowe czołgi podczas II wojny?

Takie potiomkinowskie wioski łatwo jest dziś wykryć nie tyle dzięki internetowi, ile satelitom krążącym wokół Ziemi. Choć do sieci można wrzucać nieprawdziwe informacje, na przykład przemycane w prywatnej korespondencji szeregowych żołnierzy, za pomocą pseudotajnych raportów i z wykorzystaniem wielu innych hakerskich sztuczek.

Spotkałam się z podziałem wojen na informacyjne i energetyczne. W wojnach energetycznych wroga pokonuje się fizycznie – w otwartej walce, maczuga, mieczem lub pociskiem samosterującym. A wojny informacyjne? Jakimi metodami posługuje się agresor?

Żeby wygrać wojnę, jest potrzebna materia, czyli broń, energia, rozumiana jako wola walki, oraz informacja, czyli dane wywiadowcze i szczegółowe plany operacyjne. Sama informacja i dezinformacja, jeśli nie porusza materii, nie ma większego znaczenia. Ci, którzy się zastanawiają, jak wykorzystać nowoczesne przekazy informacji, muszą mieć gwarancję, że przełoży się to na energię i materię. Dlatego każdemu konfliktowi zbrojnemu towarzyszą dziś dwojakiemu rodzaju wojny informacyjne.

Jakie to wojny?

Jedna grupa dotyczy działań militarnych i ma na celu odkrywanie planów przeciwnika oraz ukrywanie własnych. Druga

natomiast dotyczy ludności cywilnej i polega na mobilizacji własnego społeczeństwa oraz sianiu defetyzmu po stronie przeciwniej. Ten drugi rodzaj działania, czyli wojna propagandowa, psychologiczna, jest dziś ważniejszy. Od niego zależy nie tylko gotowość „swoich” do ponoszenia ciężarów wojny, lecz także zdobycie poparcia światowej opinii publicznej, bez czego trudno o wsparcie polityczne, zwłaszcza militarne innych państw. Dziś silne państwo może łatwo pokonać słabsze na polu bitwy i przegrać na forum opinii publicznej, bo ta zazwyczaj staje po stronie słabszych. Niedawno przytrafiło się to prezydentowi George’owi W. Bushowi. Pokonał Saddama Husajna, ale wyszedł na kłamcę i aroganta, a jego partia przegrała wybory. Teraz doświadcza tego prezydent Władimir Putin. Choć „odyskał” dla Rosji Krym, to „stracił twarz” na forum światowej opinii publicznej, która żąda ukarania go za pomocą sankcji. Te i wiele innych przykładów pokazują, że dzięki komunikacji sieciowej każdy konflikt lokalny czy regionalny może się przerodzić w globalną wojnę informacyjną, o ile którejś ze stron uda się poruszyć międzynarodową opinię publiczną.

Internet ułatwia działania.

I tak, i nie. Ułatwia, bo skutecznie burzy oficjalną propagandę i demaskuje jej fałsz, ale tym samym utrudnia stworzenie spójnego, jednoznacznego i wiarygodnego obrazu konfliktu. Dlatego też, co zakrawa na paradoks, w czasie konfliktu podatność ludzi, także internautów, na oficjalną propagandę wcale nie maleje i to mimo jej widocznej jednostronności czy nawet fałszu. Ci, którzy zwykle ostro krytykują władzę na forach społecznościowych, w sytuacji zagrożenia chętnie zwracają się w kierunku oficjalnej propagandy, bo nawet jeśli jej nie wierzą, to mają nadzieję, że władza działa w ich interesie.

Widzi Pan na Ukrainie taki odwrót?

Część moich studentów pochodzi z Ukrainy. Ich główne źródło informacji to rodzina i znajomi, z którymi komunikują się przez telefon, żeby wiedzieć na bieżąco, co się tam dzieje. Ale gdy chodzi o ogólny obraz sytuacji, wiedzę czerpią ze źródeł oficjalnych. Nawet tych, które wcześniej były prorządowe, a teraz są uwikłane w wojnę propagandową, więc jeszcze mniej wiarygodne. Sieć zwiększa wiarygodność kontaktów bezpośrednich i dostarcza mnóstwo szczegółowych informacji, ale szerszy obraz sytuacji dają tylko media oficjalne. Chcąc nie chcąc, ludzie muszą więc z nich korzystać.

W Kijowie oko jednej z kamer było skierowane na Majdan i ten przekaz online miał olbrzymią oglądalność. Takie wojenne reality show?

W czasach mojej młodości widywałem ludzi, którzy godzinami wysiadali w oknach swoich domów i patrzyli na to, co się dzieje na ulicy. Później ludzie zasiedli przed telewizorami, a teraz godzinami wpatrują się w ekrany laptopów czy smartfonów. To przejaw zakodowanej w ludzkim umyśle potrzeby obserwacji otoczenia. Na Majdanie sporo się działo. Tam ważyły się losy Ukrainy. W dodatku uczestnicy tamtych zdarzeń wiedzieli, że śledzi ich oko kamery, więc byli szczególnie aktywni. Było zatem co oglądać. To nowa forma komunikacji sieciowej – podglądanie rzeczywistości w sposób bezpośredni.

„Mamy nadmiar informacji i deficyt wiedzy” – powiedział Pan w jednym z wywiadów. Nie wiadomo, które informacje →

są prawdziwe, a które są elementem manipulacji, „urabiania” społeczeństwa. Na jednym z filmików w sieci przedstawiciel separatystów o pseudonimie „Bies” mówi, że dłużej nie będzie czekał na uwolnienie swoich ludzi i wydaje rozkaz zabicia jeńców. Następnie padają strzały. Nie wiemy, czy film jest autentyczny.

W sieci krążą zarówno obrazy egzekucji inscenizowanych, czyli nowy rodzaj taktycznego blefu, jak też prawdziwych. W obu wypadkach sięją one grozę i pogłębiają chaos informacyjny, w obu też pogłębiają naszą bezradność – nie wiemy, co one znaczą: śmierć czy błąd, i jak na nie reagować: oburzeniem czy kpina. Oto dramatyczny problem społeczeństwa informacyjnego. Media masowe i internet zalewają nas informacjami, ale one same nie mają znaczenia. Nabierają go dopiero wtedy, gdy zostaną zinterpretowane. To wymaga czasu, wysiłku, refleksji. W rezultacie interpretacja, czyli wiedza, nie nadąża za przyrostem informacji i coraz większa ich część pozostaje nieprzetworzona, bez sensu, pogłębiając naszą dezorientację. Na co dzień jakoś sobie z tym radzimy. Gdy jednak toczy się wojna i giną ludzie, zaczyna to być frustrujące.

Dobrym przykładem są tu dwie wojny irackie.

W pierwszej, prowadzonej przez prezydenta Busha seniora, armia ściśle kontrolowała media,

To pierwsza wojna telewizyjna i zarazem ostatnia, w której interpretacje nadążały za informacjami, bo ich zebranie i przetworzenie wymagało czasu, co pozwalało na pewną refleksję. Ale to też skończyło się fatalnie. Michael J. Arlen opisał to w książce „Wojna w living roomie” [„Living-Room War”]. Najpierw, ufając zapewnieniom władz o rychłej wiktorii, telewizja pokazywała w konwencji komiksu walki dzielnych Amerykanów gromiących Wietkong. Później, gdy zwycięstwo się oddalało i wzbierała fala antywojennych protestów, telewizja zdystansowała się od władzy i zaczęła też pokazywać przewóz do kraju trumien ze zwłokami żołnierzy. Wtedy w amerykańskich living roomach powiało grozą. Ludzie zaczęli złorzeczyć na telewizję, że dotąd kłamała, ukrywając prawdę o wojnie, politycy zaczęli ją oskarżać o uprawianie defetystycznej propagandy, niemal zdradę stanu. Tak więc próba niezależnego relacjonowania wojny przez media też się nie powiodła.

Czy jeśli przyjmujemy, że wojna jest kontynuacją polityki, to można powiedzieć, że sztuka wojny zasadza się na oszustwie?

Nowoczesne media, zwłaszcza sieć, znacznie skomplikowały nasze relacje ze światem zewnętrznym. Zamiast nam pokazywać, jaki ten świat jest, zastąpiły go „światem przedstawionym”, czyli ob-



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Informacja jest orężem, jednak dziś bardziej obosiecznym niż kiedykolwiek wcześniej

zezwalając na przekaz tylko takich informacji, które tworzyły logiczną i spójną narrację. Przekaz był jasny, ale pojawiły się oskarżenia i protesty, że oficjalna propaganda ukrywa informacje pokazujące rzeczywisty obraz wojny. Prowadzący drugą wojnę iracką, prezydent Bush junior, całkowicie zatem zmienił politykę informacyjną – wpuścił dziennikarzy do wielu pojazdów bojowych i zezwolił im na bezpośrednie relacje z pola walki. W rezultacie zalali oni media potokiem szczegółowych informacji, z których jednak nie wylaniał się żaden sensowny obraz wojny. To też, rzecz jasna, wywołało falę krytyki, tym razem pod adresem mediów.

Jeszcze inaczej było podczas wojny w Wietnamie. Tamten konflikt relacjonowali niezależni dziennikarze.

razami rządzącymi się własnymi prawami, coraz bardziej oderwanymi od rzeczywistości. Francuski filozof Jean Baudrillard nazywa je symulakrami – kopiami bez oryginałów. Takie przedstawienia udają, że opisują rzeczywistość, choć w istocie są bytem samoistnym, wirtualnym, bez odniesień do rzeczywistości. W książce pod znamienym tytułem „Wojny w Zatoce nie było” autor ten dowodzi, że wojny irackiej (pierwszej), jaką widzieliśmy w telewizji, w ogóle nie było, bo być nie mogło. Bo nie może być wojny między mocarstwem i krajem, który może ono unicestwić w kilka godzin. W rzeczywistości była tylko operacja militarna, która udawała wojnę, a media udawały, że tę wojnę pokazują. Cały ten cyrk służył zaś temu, żeby było co oglądać i żeby światowa opinia publiczna potępiła Husajna i udzieliła Ameryce moralnego rozgrzeszenia. O tym, że obu stronom chodziło o ro-

pe, w ogóle nie mogło być mowy. Idąc tropem Baudrillarda, możemy na przykład powiedzieć, że takiego sejmu, jaki pokazują media, w Polsce – na szczęście – nie ma. Widzimy tylko swarliwych i niekompetentnych polityków, knujących coś w zamkniętych gabinetach. Nic dziwnego, że większość Polaków fatalnie ocenia ten organ władzy. Ale zapewne większości rodaków nie przychodzi do głowy, że wcale nie oceniają sejmu, lecz medialne symulakry. Na tym dziś polega władza mediów.

Dlaczego dobra informacja nie może się przebić do odbiorcy?

Symulakry nie są z natury złe. Przeciwnie, w mediach przeważają symulakry dobre. Marshall McLuhan, słynny kanadyjski teoretyk komunikacji, twierdził, że media pełne są dobrych nowin. Są nimi reklamy, obwieszczające światu, że oto pojawiły się środki likwidujące poważne problemy ludzkości, jak na przykład łupież, pryszczycze czy zaparcia. Jednak, mimo że w mediach więcej jest dobrych informacji niż złych, mamy wrażenie, że jest odwrotnie. To nasza „wina”. Ewolucja wyposażała nas w mechanizm wyolbrzymiania informacji sygnalizujących zagrożenie. Bo lepiej bać się małego robaczka i chronić przed nim, niż go bagatelizować i tygodniami walczyć z boreliozą. Nawet w tabloidach pełno pozytywnych, pocieszających informacji, choć te gazety z założenia zohydają świat, wszędzie węsząc czające się zło.

O czym świadczy tabloidyżacja mediów? Chcemy prostych prawd?

Tak. Rzeczywistość jest zbyt złożona, żeby ją ogarnąć myślami i pojąć. Trzeba ją uprościć. Psychologowie mówią, że człowiek jest skąpcem poznawczym – nie znosi nadmiaru informacji, łatwo zadawała się prostymi prawdami. Stąd różne stereotypy, schematy myślowe, fobie, uprzedzenia, które całą złożoność świata sprowadzają do prostych opozycji: my – oni, swoi – obcy, uczciwy – złodziej, biedny – bogaty, dobro – zło. Tabloid cały obraz świata sprowadza do takich podziałów i uproszczeń, jest więc niesłychanie użyteczny – szybko zaspokaja nasz „głód poznawczy”. Problem w tym, że jego czytelnicy wierzą, że taki właśnie jest świat, że tabloid go nie upraszcza, lecz ukazuje jego istotę. A że ludzie to kupują, inne media też sięgają po taką formułę opisu świata. Całe niebezpieczeństwo tabloidyżacji mediów nie polega jednak nawet na tym, że tabloidowe symulakry są prymitywne, agresywne czy wulgarne, o co zwykle oskarża się tak zwaną prasę brukową, lecz na tym, że taka formuła opisu świata zabija krytyczne myślenie, a nawet myślenie w ogóle. No bo nad czym tu główkować, gdy czujemy, że wszystko jest jasne. Emocje zastępują myślenie. Niestety, te emocje też są uproszczone, sprymitywizowane aż do bólu.

Ujawnienie informacji może osłabić bezpieczeństwo państwa. A dezinformacja? Jakie może wywołać skutki?

Jeśli się nie wyda, może spełnić swoje zadanie, a jeśli się wyda... no cóż... kompromituje się podwójnie. Okazuje się oszustwem, do tego nieudolnym. Zdarza się jednak, że nawet gdy dezinformacja, czyli rozmyślne deformowanie opisu świata, się nie wyda, to i tak szkodzi jej autorom. Chodzi o tak zwany efekt bumerangowy, gdy czyjeś działania perswazyjne są tak intensywne, tak mocno grają na emocjach, że

ich adresaci odreagowują je w sposób odwrotny do zamierzonego, niejako na złość, niekiedy wyładowując tę złość na autorach owych działań. To częsty przypadek w kampaniach wyborczych. Nachalne wychwalanie jakiegoś polityka zamiast zachęcać, zniechęca do niego wyborców, a nawet do partii wystawiającej tego kandydata. Tak też często się dzieje w wypadku agresywnych reklam. W polityce państwowej zdarza się to rządziej, choć w sytuacjach konfliktowych niemal zawsze zachodzi takie ryzyko. Wynika ono stąd, że chcąc uwiarygodnić wyraziste stanowisko polityczne, stosuje się nadzbyt jednostronne argumenty, zbyt silne apele emocjonalne, przesadne generalizacje, emfazę, elipse oraz wiele innych środków retorycznych, których nagromadzenie staje się trudne do zniesienia.

Można sobie na przykład wyobrazić, że niektóre wypowiedzi naszych polityków, wyolbrzymiające pod wpływem wydarzeń na Ukrainie zagrożenie dla Polski ze strony Rosji i domagające się od sojuszników z NATO wzmocnienia ich obecności wojskowej w naszym kraju, będą traktowane przez niektórych zachodnich polityków jako wyraz naszych kompleksów, zadawnionej rusofobii, koniunkturalizmu, braku realizmu czy innych nieprzysparzających nam sympatii i chluby cech. Bo trzeba pamiętać, że w dzisiejszym świecie granice między umiarem i przesadą, informacją i dezinformacją, korzyścią i stratą, są bardziej płynne niż dawniej lub w ogóle się zacierają. Informacja jest orężem, jednak dziś bardziej obciążającym niż kiedykolwiek wcześniej.

Informacja jest zatem silną bronią...

Najkrócej rzecz ujmując – potężną. Ona napędza całą naszą cywilizację i wytycza jej kierunki rozwoju. Od DNA począwszy, poprzez wyrafinowane technologie, aż po nowoczesne systemy dowodzenia, informacja jest podstawą funkcjonowania wszystkich organizmów i organizacji. Co więcej, dziś informacja zaczyna żyć swoim życiem, znajdując dla siebie lepsze środowisko niż ludzki mózg – procesor i pamięć komputera. Jeśli myślimy o inteligentnych domach, w których komputery gromadzą informacje o naszych nawykach i dostosowują do nich domowe urządzenia, robi się nam przyjemnie. Ale jeśli pomyślimy, że inne, jeszcze bardziej inteligentne komputery, mogą pomylić stado ptaków z raketami balistycznymi i uruchomić atak odwetowy, przechodzą nam ciarki po krzyżu. Natychmiast się pocieszamy, że komputery się nie mylą lub zdarza się im to nieporównanie rządziej niż ludziom. I owszem. Ale co będzie, jeśli kolejna generacja inteligentnych komputerów uzna, że mózg ludzki jest tak wolnym i zawodnym procesorem, iż zagraża całej cywilizacji (bo zagraża!)? Czy wtedy komuś uda się to, co udało się bohaterowi filmu Stanleya Kubricka „2001: odyseja kosmiczna”, to znaczy zatrzymać eliminowanie ludzi przez komputer? W roku 2001 nie było to problemem, bo komputery jeszcze nie „myślały”, ale co będzie w roku 2051? Czy aby nie zaczną już o tym myśleć? Alternatywą jest tylko pełne, całkowicie organiczne zespolenie człowieka z komputerem, czyli cyberborg. I w tę stronę idzie ludzkość. Coraz szybciej... ■

DR HAB. MACIEJ MROZOWSKI,
PRAWNIK I MEDIOZNAWCA, JEST PROFESOREM
W SZKOLE WYŻSZEJ PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ.

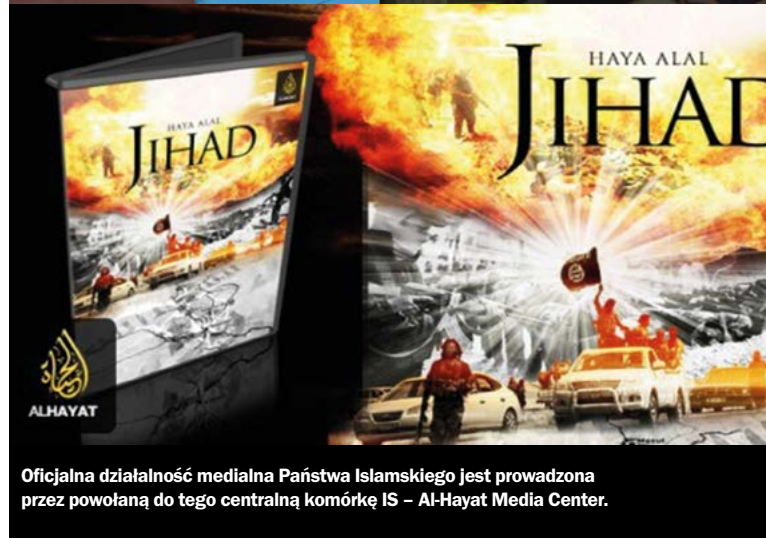
TOMASZ OTŁOWSKI

Portalowi bojownicy

O losach wojny z Państwem Islamskim zdecyduje nie liczba żołnierzy czy nawet nie ich morale, lecz nośność idei, za którą się walczy i umiera, żywotność haseł, które się głosi, oraz jakość propagandy, którą się uprawia. W tym sensie przegrywamy tę wojnę z kretesem.

Pod względem skuteczności militarnej i strategicznej członkowie Państwa Islamskiego (Islamic State – IS) – nowej generacji dżihadu – wyraźnie deklasują już swych rywali z Al-Kaidy, należących do starej gwardii bojowników radykalnego islamu. W coraz większym stopniu to właśnie kalifat i jego armia zyskują także pierwszeństwo w kategorii największego zagrożenia dla wolnego świata. Co jednak sprawia, że IS cieszy się taką opinią Zachodu? Czy wynika to jedynie z faktu, że Państwo Islamskie jest podmiotem niezwykle sprawnym organizacyjnie i skutecznym militarnie? A może przyczyną jest masowy zaciąg w jego szeregi obywateli państw zachodnich?

Nie ma, niestety, prostych i jednoznacznych odpowiedzi na te pytania. Fenomen Państwa Islamskiego i utworzonego przezeń kalifatu wymyka się wszelkim kryteriom, które dotychczas stosowano i w których poruszano się, analizując sytuację i perspektywy jej rozwoju w regionie bliskowschodnim oraz w kontekście tak zwanej wojny z terroryzmem islamskim. A wydaje się, że wkroczyła ona właśnie na całkiem nowe tory i minie sporo czasu, zanim zdołamy w pełni uświadomić sobie wszystkie konsekwencje istnienia kalifatu i jego wpływu na zjawisko muzułmańskiego ekstremizmu sunnickiego. Jedno nie ulega już jednak wątpliwości – dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek do tej pory, ta wojna toczy się także w wymiarze propagandowo-medialnym i psychologicznym. Wiele wskazuje na to, że właśnie na tym polu dojdzie do kluczowego rozstrzygnięcia walki z kalifatem. Już nie liczba żołnierzy, jakość czy nowoczesność ich uzbrojenia ani nawet nie ich morale zdecydują o losach wojny



z Państwem Islamskim. Najważniejsze okażą się zapewne nośność idei i wartości, za które się walczy i umiera, popularność i żywotność haseł, które się głosi, oraz jakość propagandy, którą się uprawia. W tym sensie, jak dotychczas, tę wojnę niestety przegrywamy z kretesem.

MEDIA W SŁUŻBIE ISLAMISTÓW

Organizacja o nazwie Państwo Islamskie już u zarania swego istnienia (jeszcze jako Islamskie Państwo Iraku – ISI) przykładła dużą wagę do kwestii walki informacyjnej, propagandy, własnego PR, a nawet elementów profesjonalnie



Aparat propagandowy

Państwo Islamskie (IS) ma niezwykle sprawny aparat medialno-informacyjny i propagandowy.

To pierwsza w dziejach islamistyczna organizacja sunnicka, która przykłada tak dużą wagę do kwestii walki informacyjnej i psychologicznej oraz umiejętnie kreowanej propagandy, zarówno w mediach elektronicznych, jak i tradycyjnych wydawnictwach drukowanych, dystrybuowanych na zajętych przez kalifat terenach Syrii i Iraku.

Jak wszystkie inne aspekty funkcjonowania IS, także kwestie medialno-propagandowe podlegają ścisłej hierarchizacji w ramach struktur organizacji. W najwyższych władzach wyodrębniono tak zwaną Radę Mediów i Informacji, która ma rangę równą między innymi Radzie Wywiadu czy Radzie Bezpieczeństwa. Świadczy to o tym, jak duże znaczenie mają dla islamistów z IS kwestie polityki medialnej i propagandowej. Rada Mediów podlega bezpośrednio kalifowi i jego dwóm zastępcom, koordynując i nadzorując sprawy związane z polityką informacyjną i propagandową kalifatu. Na jej czele stoi obecnie Abu Al Athir Omru al-Abbasi, zaufany współpracownik kalifa Ibrahima, prawdopodobnie były oficer irackiego kontrwywiadu wojskowego z czasów Saddama Husajna.

Państwo Islamskie ma swoich urzędowo „namaszczonych” moderatorów, nadzorujących oficjalną aktywność IS na poszczególnych forach i portalach internetowych, a także w mediach społecznościowych. Również niemal każdy z około 24 „wilajetów” kalifatu prowadzi swą własną aktywność informacyjną i propagandową w internecie. Co więcej, w mediach elektronicznych aktywne są też setki islamistów z IS (głównie ochotnicy z Zachodu), z których każdy ma liczne grono wiernych „czytelników”. Informacje z kalifatu zamieszcza też regularnie Kavkazcenter.com – główny portal islamistów kaukaskich.

Oficjalna działalność medialna Państwa Islamskiego jest prowadzona przez powołaną do tego centralną komórkę IS – Al Hayat Media Center, podległą Radzie Mediów. W skład tej komórki wchodzi prawdopodobnie dwa wydawnictwa: Al Furqan Media (produkujące arabskojęzyczne reportaże i dokumenty, a także oficjalne odezwy i komunikaty liderów IS) oraz Fursan Al-Balagh Media (odpowiedzialne za tłumaczenie na język angielski najważniejszych przekazów medialnych kalifatu, zarówno tekstów, jak i materiałów filmowych). Od maja 2014 roku IS wydaje także swój anglojęzyczny magazyn internetowy, zatytułowany „Dabiq”.



Aktywność IS to także umiejętne wykorzystywanie Facebooka czy Twittera. Na przykład na tym ostatnim pojawiło się zdjęcie oficjalnej flagi Państwa Islamskiego wyświetlonej na ekranie czyjegoś smartfona na tle Białego Domu. Uzupełniono je dopiskiem „Jesteśmy tu”.

prowadzonej wojny psychologicznej. Ale ekstremiści z ISI, a obecnie z IS, nie odkrywali w ten sposób dziewiczych terenów. Szlaki zostały przetarte już wcześniej przez samą Al-Kaidę, której liderzy – zwłaszcza główny ideolog tego ugrupowania i dzisiejszy jego przywódca Ajman az-Zawahiri – doskonale zdawali sobie sprawę ze znaczenia telewizji, internetu czy nawet telefonii komórkowej w sferze własnej propagandy i informowaniu o sprawie, za którą walczą. „Reklamowe” spoty, zachęcające współwyznawców do podjęcia dżihadu, reportaże z walk z „krzyżowcami” w Iraku czy Afganistanie, a także odezwy, oświadczenia i komunikaty

mniej lub bardziej prominentnych islamistycznych komentatorów – wszystko to zaczęło masowo wręcz zalewać internet już ponad półtora dekady temu, jeszcze przed atakami z 11 września. Większość z tych „dzieł” zamieszczała sama Al-Kaida lub powiązane z nią ugrupowania, działające od Afryki po Azję Wschodnią. Nie brakowało wśród nich materiałów o skrajnym wręcz poziomie okrucieństwa, w tym sfilmowanych egzekucji dokonywanych w brutalny sposób (poprzez dekapitację) na „wrogach islamu”. Warto pamiętać, że amerykański dziennikarz James Foley, któremu terrorysta z IS poderżnęła kilka tygodni temu gardło przed



obiektywem kamery, a więc niemalże na oczach milionów widzów, nie był pierwszym „bohaterem” takiej operacji medialnej. Wcześniej ofiarami podobnej – publicznej w istocie – egzekucji padli między innymi Amerykanin Daniel Pearl (Pakistan, 2002 rok) czy polski inżynier Piotr Stańczak (również zamordowany w Pakistanie w 2009 roku).

Początkowo publikacje islamskich ekstremistów zamieszczane w internecie (głównie na zamkniętych forach internetowych, rzadziej na ogólnodostępnych portalach czy na przykład w serwisie YouTube) były w przeważającej większości siermiężne pod względem treści i przekazu. Przez długie lata dominował też w nich język arabski – wyjątkami były „lokalne” produkcje odgałęzień Al-Kaidy w regionie afgańsko-pakistańskim (język paszto lub urdu) czy w Czeczenii (dialekty kaukaskie, język rosyjski). Dla pokolenia sunnickich ekstremistów islamskich sprzed 10–15 lat było czymś naturalnym, że adresatami ich propagandy i oświadczeń (komunikatów) mieli być głównie mieszkańcy Dar al-Islam (świata islamu): własnego uniwersum dżihadyistów, w którym mogli liczyć na zrozumienie i mieli największą szansę, jeśli nie na aplauz, to co najmniej na akceptację ze strony współbraci.

Gdy w 2010 roku Al-Kaida Półwyspu Arabskiego (AQAP) – najbardziej zaawansowana technologicznie i organizacyjnie grupa siatki Osamy bin Ladena – stworzyła internetowy anglojęzyczny magazyn „Inspire”, wydawało się to przełomem na miarę rewolucji kopernikańskiej w astronomii. Oto po raz pierwszy w dziejach sunnickiego dżihadu stworzono periodyk o islamistycznych, radykalnych treściach, skierowany bezpośrednio do mieszkańców wrogiego Zachodu, bo sporządzony w ich języku. Do tego w atrakcyjnej szacie graficznej i według najlepszych wzorców edytorskich, których mógłby pozazdrościć niejeden zachodni wydawca. I co najważniejsze – publikowany w internecie, a więc dostępny dosłownie dla każdego, kto tylko ma ochotę się z nim zapoznać.

RÓŻNICE POKOLENIOWE

Eksplozja popularności takich platform, jak Facebook (FB) czy Twitter (TT) została od razu dostrzeżona przez islamskich ekstremistów. Ich uwadze nie uszedł zwłaszcza fakt, że rewolty Arabskiej Wiosny – od Tunezji i Egiptu po Syrię – w dużym stopniu wybuchały i rozwijały się w 2011 roku właśnie dzięki komunikacji i łączności z użyciem tych portali. Radykałowie, zamiast odsądzać od czci i wiary muzułmańską młodzież za hołdowanie niemoralnym nowinkom zachodnim, szybko wykorzystali je do swoich celów.

Dzisiaj oba te media społecznościowe to podstawowe narzędzia w arsenale propagandowym islamistów, zarówno tych z Al-Kaidy, jak i z Państwa Islamskiego. Ale i tutaj widać wyraźnie różnice pokoleniowe między „starymi” islamistami a ich nową generacją, uosabianą przez IS. O ile bowiem Al-Kaida wciąż korzysta z FB i TT w sposób umiarkowany i z pewną rezerwą, o tyle aktywność bojowników i zwolenników kalifatu w tych mediach przybiera już charakter masowy oraz w pełni zorganizowany i instytucjonalizowany. Państwo Islamskie wie, że dzięki temu ma szansę trafić do szerokiego audytorium. Szczególnym celem tych wysiłków propagandowych są młodzi muzułmanie żyjący na Zachodzie. To do nich są adresowane „reklamy” i odezwy, nawołujące do powrotu



PAŃSTWO ISLAMSKIE PRZEROSŁO W WALCE PSYCHOLOGICZNEJ, SKUTECZNOŚCIĄ NAWET SWYCH POPRZEDNIKÓW: BRACI MUZUŁMANÓW CZY **AL-KAIDĘ**

do korzeni wiary i „moralnej odnowy”. Jak na razie, ta propaganda jest zaskakująco skuteczna.

NOWE OBLCICZE TERRORU

Islamiści od samego początku wykorzystywali nowoczesne środki komunikacji i łączności przede wszystkim w celu szerzenia własnej propagandy ideologiczno-politycznej i religijnej, a także swoiście pojętej autoreklamy: informowania świata (w tym również potencjalnych ochotników dżihadu) o swoich dokonaniach, celach i dążeniach. Szybko znaczenia nabierał jednak zaczął również inny aspekt islamistycznych publikacji, zwłaszcza tych zamieszczanych w internecie – czysty, klasyczny terror, choć ubrany w nową, medialną szatę

tę. Do działań tego typu można zaliczyć owe brutalne materiały, którymi zwłaszcza ostatnio epatuje propaganda Państwa Islamskiego – a więc wszelkie sceny masowych egzekucji, odcięte głowy, stosy trupów itd. Wszystko to ma zaszokować, przerazić i załamać potencjalnego odbiorcę – będącego w dużej części ideologicznym i religijnym przeciwnikiem islamistów. Celem jest tutaj, jak w każdym działaniu o charakterze terrorystycznym, sparaliżowanie danej społeczności (grupy odbiorców danych treści) strachem, odebranie im woli dalszej walki i chęci stawiania jakiegokolwiek oporu.

W tym nowym, medialnym obliczu terroru środkiem działania terrorystycznego nie jest już wyłącznie przemoc fizyczna (atak, zamach terrorystyczny), lecz sam przekaz medialny – obraz, dźwięk, słowo. Takie wykorzystywanie mediów jako narzędzia bezpośredniego oddziaływania terrorystycznego jest czymś relatywnie nowym. Dotychczas terroryści używali mediów raczej jako pośredniego środka realizacji swych celów – głównie jako propagandowej tuby, która nagłaśniała (z reguły „niechcący”, po prostu relacjonując dane wydarzenia) ich akcje, cele i hasła. Teraz media – szczególnie elektroniczne – stają się bezpośrednim narzędziem walki terrorystycznej. To właśnie między innymi dzięki stosowaniu takich mechanizmów Państwo Islamskie powszechnie cieszy się dzisiaj – choć zupełnie niesłusznie! – ponurą sławą ugrupowania znacznie bardziej brutalnego niż sama Al-Kaida. W rzeczywistości jedyna różnica między „starą” Al-Kaidą a IS polega na tym, że kalifat znacznie skuteczniej wykorzystuje możliwości tkwiące we współczesnych środkach masowej komunikacji i łączności. Ten krwawy image IS okazał się zresztą sam w sobie doskonałym orężem w wojnie psychologicznej i propagandowej, toczonej równoległe z tą realną. Letnia ofensywa Państwa Islamskiego w Iraku pokazała w pełni efekty takiej zmasowanej kampanii „terroru medialnego” – w najbardziej spektakularnych przypadkach (np. zdobycie Mosulu w czerwcu 2014 roku). Pozwoliło to nawet islamistom wygrywać całe bitwy niemalże bez walki.

WOJNA PSYCHOLOGICZNA

Terroryzm od zawsze opierał swe istnienie i skuteczność na elementach walki psychologicznej. Pod tym względem Państwo Islamskie jawi się jako niekwestionowany mistrz nad mistrzami, który przerósł skutecznością nawet swych poprzedników i nauczycieli: Braci Muzułmanów czy Al-Kaidę. Żadna sunnicka organizacja islamistyczna nigdy nie osiągnęła swą działalnością tak wiele jak dzisiaj IS i jego kalifat. I nie chodzi tu wyłącznie o samą taktykę działań czy ich brutalność. Wszak AQAP w Jemenie, krzyżująca publicznie swych wrogów, nigeryjski Boko Haram, uprowadzający i gwałcący masowo setki nieletnich uczennic z katolickiej szkoły, czy talibowie afgańscy, mordujący hazardzkie dzieci na oczach rodziców – w niczym nie ustępują brutalnością siepaczom dzisiejszego kalifatu. Ci ostatni potrafią jednak tę brutalność niezwykle skutecznie „sprzedać” medialnie, czym zyskują dodatkowy efekt psychologiczny. Dzięki temu „zwykła”, codzienna działalność bojowników IS nie dotyczy już tylko bezpośrednich ofiar kalifatu – a więc ludzi mordowanych czy gnębionych w Syrii i Iraku – ale każdego z nas, jako że grupa ta nie ukrywa swych globalnych aspiracji i celów strategicznych.

Aktywność Państwa Islamskiego w ramach szeroko zakrojonej wojny psychologicznej prowadzonej z Zachodem i wszystkimi, którzy są uznani przez islamistów za wrogów, to

nie tylko samo epatowanie brutalnością. To także umiejętne wykorzystywanie powszechnych i popularnych na Zachodzie środków przekazu, między innymi wspomnianych wcześniej Facebooka czy Twittera. To właśnie tam pojawiają się takie „hity”, jak zdjęcie oficjalnej flagi Państwa Islamskiego wyświetlonej na ekranie czyjegoś smartfona na tle Białego Domu. Albo fotografia tego samego charakterystycznego baneru wywieszonego publicznie w centrum Brukseli czy też filmik prezentujący „pracę” samozwańczej policji szariackiej z Wuppertalu, działającej „w imieniu i z upoważnienia kalifa”. Takich wrzutek w internecie jest kilkadziesiąt.

To właśnie na FB i TT są rozpowszechniane także niezwykle umiejętnie sfabrykowane przez Państwo Islamskie informacje – podawane jako autentyczne – które mają na przykład oczernić administrację USA. Te wymyślne „miny propagandowe”, będące elementem zawansowanych technik walki psychologicznej (PSYOPS), są powielane później w tysiącach „retwitów”, odsłoni i e-maili, żyją własnym życiem. Sztandarowym przykładem jest stworzona przez IS „informacja”, jakoby w wydanych niedawno wspomnieniach Hilary Clinton przyznawała, że Islamskie Państwo Iraku i Lewantu (ISIL, bezpośredni protoplasta IS) zostało powołane do życia w lipcu 2013 roku na mocy poufnego porozumienia Waszyngtonu i jego kluczowych europejskich sojuszników. „News” ten, choć dla większości ludzi Zachodu ewidentnie bezsensowny, szybko stał się tak bardzo popularny w arabskojęzycznej wersji Twittera i Facebooka, że przeniknął nawet do „mainstreamowych” mediów na Bliskim Wschodzie, które na poważnie omawiały go i analizowały przez wiele tygodni. Do dzisiaj plotka o tym, jakoby Państwo Islamskie było rezultatem spiskowej działalności Zachodu, wciąż jest żywa wśród irackich szyitów, w Iranie, Syrii czy Libanie.

IS, jako wysoce efektywna organizacja o charakterze militarnym, oraz jej „państwo”, niepodzielnie kontrolujące terytorium równe dwóm trzecim powierzchni Polski – są dodatkowo niezwykle skuteczne w walce psychologicznej i propagandowej. Decydenci, dyplomaci i eksperci zachodni w większości wciąż jednak nie pojmują, że idea wskrzeszenia kalifatu przez Państwo Islamskie nie jest działaniem pozorowanym, sztuką dla sztuki. To krok głęboko oddziałujący na psychikę i duchowość sunnickich muzułmanów; działanie nawiązujące do mistyki i mitologii dawnych czasów, gdy przed niezwykłym islamem korzył się cały ówczesnie znany świat; odpowiedź na upokorzenie muzułmanów, którego w ich przekonaniu doznawali w minionych 100 latach od „krzyżowców” (najpierw mocarstw europejskich, potem także Amerykanów) oraz Izraelczyków.

Z tego też względu idea „państwa islamskiego” będzie coraz bardziej nośna i żywa w muzułmańskich masach na całym świecie. Skuteczna polityka medialna i propagandowa kalifatu tylko umacnia i przyspiesza ten proces. Zachód, w swej większości już dawno oderwany od własnych chrześcijańskich korzeni, nie jest w stanie przeciwstawić temu islamskiemu żywiołowi żadnej własnej ideologii i systemu wartości, równie żywych i nośnych. Z pewnością nie są nimi dla muzułmanów demokracja, prawa człowieka czy multikulturalizm. Dopóki więc nie wymyślimy idei będącej autentyczną alternatywą dla islamizmu w świecie muzułmańskim, dopóty będziemy przegrywać tę wojnę, i to nie tylko w wymiarze psychologiczno-medialnym. ■



ROBERT CZULDA

STANDARDY PROPAGANDY

Na szczycie NATO w Walii Stany Zjednoczone rozpoczęły zapowiedzianą przez prezydenta Baracka Obamę medialną ofensywę przeciwko Państwu Islamskiemu.

Wojna to nie tylko fizyczne starcie dwóch stron, lecz także pojedynek narracji i percepcji. W świecie internetu i szybkiego przekazu informacji liczy się nie tylko sukces w działaniach wojskowych, ale też odpowiednie zaprezentowanie „produktu” opinii publicznej. Świadomość tego miała Al-Kaida, pierwsze ugrupowanie terrorystyczne w historii, które swoją działalność rozszerzyło na platformę internetową, stanowiącą świetne narzędzie do zdobywania nowych sympatyków i członków, a także szerzenia propagandy.

„Im dłużej nie będziemy działać w wymiarze informacyjnym, tym większe jest zagrożenie, że medialną pustkę wypeł-

nią nasi wrogowie”, ostrzegał kilka lat temu ówczesny sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych Donald Rumsfeld, który nakazał monitorowanie stron organizacji terrorystycznych. Instytucjonalizacja wysiłków nastąpiła dopiero w 2011 roku, kiedy prezydent Barack Obama rozporządzeniem wykonawczym powołał do życia Centrum do spraw Strategicznej Komunikacji Kontrterrorystycznej (CSCC).

Centrum zatrudnia około 50 pracowników. Bezpośrednim powodem powołania tej struktury była zmiana strategii Al-Kaidy, która odeszła od zamkniętych, dostępnych na hasło forów internetowych, w stronę propagandy „masowego rażenia” – dostępnej dla każdego, także na portalach społecznościowych (Twitter, Tumblr, YouTube oraz Facebook). Al-Kaida Islamskiego Maghrebu zaczęła publikować propagandę nie tylko po arabsku, ale także hiszpańsku i francusku, podczas gdy Al-Kaida Półwyspu Arabskiego – po arabsku i angielsku.

Od momentu swojego powołania CSCC włączyło się w kampanię medialną, której celem jest osłabienie siły oddziaływania islamistów. Specjalna komórka Departamentu Stanu zaczęła publikować w internecie filmy, zdjęcia i wpisy na Twitterze i Facebooku oraz artykuły – nie tylko w języku angielskim, lecz także arabskim oraz urdu, skierowane głównie do mieszkańców Pakistanu, gdzie problem muzułmańskiego radykalizmu jest szczególnie duży, a także po somalijsku (w Somalii rządzą islamistami, którzy przenieśli wojnę do sąsiedniej Kenii). Łącznie opublikowano ponad 20 tys. artykułów, zdjęć i filmów.

MOCNE UDERZENIE

Dopiero teraz jednak Amerykanie zdecydowali się zaktywizować swoją działalność, której celem jest zwalczanie wrogiej propagandy. „Musimy być twardsi, bardziej zdecydowani, szczególnie w wymiarze informacyjnym, i musimy mocno uderzać”, stwierdził Richard A. Stengel, przez siedem lat wydawca magazynu „Time”, obecnie podsekretarz stanu do spraw dyplomacji publicznej, który odpowiada za ofensywę propagandową. Początek nowej amerykańskiej operacji informacyjnej zapowiedział na szczycie NATO w Walii prezydent Barack Obama. Kilka dni później ruszyła kampania.

Szczegóły amerykańskiej filozofii przedstawił ambasador Alberto M. Fernandez, koordynator CSCC, który zaprezentował trzy główne cele strategiczne. Pierwszym jest odzyskanie wirtualnej przestrzeni. Urzędnik przyznał, że w ostatnich latach islamistami niemal całkowicie przejęli strefę internetową, co umożliwiło im nieskrępowaną aktywność. Drugi cel to zmiana narracji, a więc pokazanie zbrodni i kłamstw nieprzyjaciela, a także jego słabych stron. To istotna zmiana, bowiem do tej pory osoby odpowiedzialne za tego rodzaju działania informacyjne nastawiały się nie na czarną propagandę, lecz budowanie pozytywnego wizerunku Stanów Zjednoczonych i ich działalności. Innymi słowy, Stany Zjednoczone przechodzą z obrony do ataku. Cel trzeci to atakowanie islamistów w sieci – paraliżowanie ich stron, usuwanie wpisów.

Bezpośrednim powodem zaktywizowania swojej działalności przez Stany Zjednoczone była ofensywa – zarówno na lądzie, jak i w sieci – Państwa Islamskiego, które na masową skalę publikuje wywiady z bojownikami i przemówienia duchow-

nych. Umieszcza także skierowane do obecnych i przyszłych sympatyków filmy reklamowe oraz ukazujące egzekucje, mające pokazać waleczność mudżahedinów, a także zasiać strach i zwątpienie w sercach niewiernych. W odpowiedzi na zaskakującą skalę aktywności Państwa Islamskiego sekretarz stanu John Kerry stwierdził: „Musimy twórczo myśleć o poszerzeniu katalogu używanych instrumentów, tak abyśmy mogli odnosić się do kwestii, które popychają młodych ludzi na drogę desperacji i terroryzmu”.

NOWA JAKOŚĆ WALKI

Efektom jest kampania, wsparta kolejnymi instrumentami. Chodzi o skuteczniejsze ograniczanie „siły rażenia” internetowej propagandy islamistów. Po pierwsze, amerykańskie służby wywiadowcze zaczęły aktywniej monitorować strony internetowe powiązane z muzułmańskimi radykałami. Częściej niż w przeszłości podejmowane są próby ich czasowego wyłączenia. Po drugie, Amerykanie aktywnie reagują na wpisy w internecie. Gdy więc na Twitterze jeden z użytkowników opublikował film, który określił jako „dowód na zabijanie syryjskich dzieci przez amerykańskie bomby”, komórka Departamentu Stanu odpowiedziała natychmiast: „To kłamstwo. Na filmie mó-

wią, że dzieci zostały ranne w nalocie Asada. Przestań rozpowszechniać film jako antyamerykańską propagandę”.

Trzeci nowy element to działania nastawione na walkę o „serca i umysły”. Z filmów i wypowiedzi radykalnych islamistów wyłania się obraz szczęśliwego państwa muzułmańskiego, które powinno być wsparte przez wyznawców Allaha na całym świecie. Stany Zjednoczone starają się przekonać odbiorców, że tak naprawdę jest zupełnie inaczej. Pierwszą „ofensywą” przeciwko propagandzie Państwa Islamskiego było opublikowanie w internecie przez Departament Stanu bardzo brutalnego filmu pod

wielce wymownym tytułem „Witajcie w Państwie Islamskim”. W krótkim materiale wideo pokazano zbrodnie wojenne – egzekucje więźniów, odcięte głowy, ukrzyżowanych nieszczęśników oraz bestialskość mudżahedinów w Iraku i Syrii. Film ma konwencję parodii – przedstawia „użyteczne” umiejętności, które może uzyskać członek armii Państwa Islamskiego, a więc wysadzanie w powietrze meczetów, pładnowanie i mordowanie cywilów. Całość kończy się stwierdzeniem, iż „podróż nie jest droga, bo bilet powrotny nie będzie potrzebny”. Co ciekawe, Departament Stanu użył do przygotowania filmu materiałów wideo opublikowanych przez Państwo Islamskie.

Ze względu na swoją brutalność film jest niezwykle kontrowersyjny. Trudno też ocenić, czy jego cel, a więc dotarcie do potencjalnych członków i obecnych sympatyków Państwa Islamskiego, zostanie zrealizowany. Departament Stanu przekonuje jednak, że takie działanie jest usprawiedliwione, bo obecna generacja mudżahedinów jest dużo bardziej wyrafinowana niż poprzednia. „Państwo Islamskie ustanawia standardy propagandy terrorystów”, stwierdził anonimowo jeden z uczestniczących w projekcie pracowników Departamentu Stanu. „Realizują w praktyce to, o czym zawsze mówiła Al-Kaida, ale czego nigdy nie zrobiła”.

SŁUŻBY WYWIADOWCZE ZACZEŁY AKTYWNIJ MONITOROWAĆ STRONY INTERNETOWE POWIĄZANE Z MUZUŁMAŃSKIMI RADYKAŁAMI

Zbrojnej agresji na Ukrainę – której dotychczasowym efektem jest aneksja Krymu (marzec 2014 roku), zorganizowanie „ludowego powstania” na wschodzie tego kraju, prowadzącego do wybuchu „wojny domowej”, następnie inwazja wojsk rosyjskich na terytorium wschodniej Ukrainy – towarzyszą w Rosji nieustające działania mające charakter wojny informacyjnej i psychologicznej. Aktywność propagandowo-dezinformacyjna jest bowiem istotnym wsparciem polityki, realizowanej metodami militarnymi. Nie jest to zaskoczenie, bo każdej sowieckiej, a później rosyjskiej agresji militarnej towarzyszyła intensywna praca aparatu propagandowo-agitacyjnego – od czasów wojny polsko-bolszewickiej, przez IV rozbiór Polski i aneksję państw nadbałtyckich, wojnę z Finlandią, zbrojne interwencje w NRD, na Węgrzech, w Czechosłowacji, Afganistanie, do współczesnych rosyjskich działań w Czeczenii i Gruzji.

KREMLOWSKA NARRACJA

Władze na Kremlu zawsze przywiązywały dużą wagę do właściwego nagłaśniania i promowania własnej wersji wydarzeń. Opierając się na metodach doskonale opisanych przez George’a Orwell’a, sowiecki, a później rosyjski aparat propagandowy pilnował, by wpływać na odbiorców przekazywanych treści, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Forsowanie rosyjskiej narracji, prezentującej własną interpretację wydarzeń na Ukrainie, jest dziś zadaniem wielu podmiotów. Poczesną rolę odgrywają oczywiście media tradycyj-

ne, takie jak radio, telewizja czy prasa, oraz tak zwane nowe media – portale społecznościowe, fora internetowe na portalach informacyjnych, na których wypowiadają się zarówno dziennikarze, jak i komentatorzy wydarzeń. Można też zauważyć wyjątkowo dużą aktywność pod tym względem agentów i sympatyków Rosji na Zachodzie.

Kluczową rolę propagandową odgrywają jednak same władze Federacji Rosyjskiej, które nadają ton dyskusji, podchwytywane przez inne ośrodki. Ustawiają one w odpowiedni sposób dyskurs – narrację, która prezentuje konflikt zgodnie z życzeniami władców Kremla. Zarówno wypowiedzi prezydenta Władimira Putina, premiera Dmitrija Miedwediewa, jak i ministra spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej Siergieja Ławrowa, wspieranych przez innych oficjeli cywilnych i mundurowych, stanowią ważne źródło informacji na temat rosyjskiej percepcji sytuacji oraz dalszych zamierzeń kremlowskiej elity. Śledząc uważnie te wypowiedzi, można odtworzyć ową rosyjską narrację, którą odnajdziemy później także w wypowiedziach zagranicznych komentatorów – zarówno utytułowanych ekspertów, jak i tysiacy anonimowych internautów. Promują oni rosyjską argumentację i uzasadnienie działań podejmowanych przez to państwo na terytorium swojego sąsiada.

Retoryka kremlowskich oficjeli jest mieszaniną motywów bardzo dobrze znanych z sowieckiej przeszłości tego kraju, uzupełnionych o bardziej współczesne wątki. Z jednej strony prezydent Putin i minister Ławrow są nieodrodnymi dziećmi epoki, w której się wychowywali, z drugiej starają się nawią-

RYSZARD M. MACHNIKOWSKI

Rosyjska pieśń

Oficjalna kremlowska interpretacja wydarzeń na Ukrainie przebiega według starych, prostych schematów.

EZIO GUTZEMBERG / FOTOLIA



zywać do argumentów przemawiających do osób znających tamte czasy jedynie z opowieści. Niezwykle ważne jest w tym kontekście przemówienie prezydenta Putina wygłoszone do deputowanych obu izb parlamentu, gubernatorów i członków rządu 18 marca 2014 roku. Inne wypowiedzi kremlofskich oficjeli zawierały podobne argumenty, tłumaczące rosyjskie akcje na Ukrainie. Jak zatem wygląda kremlofska wersja prawdy o ukraińskim kryzysie?

KIJ I MARCHEWKA

Do momentu ucieczki prezydenta Wiktora Janukowycza, premiera Mykoły Azarowa i innych oficjeli z Kijowa rosyjskie władze miały nadzieję, że protesty społeczne w tym kraju da się zdławić metodami siłowymi rękami tamtejszych władz. Rosyjska działalność propagandowa była wówczas nastawiona na wzmacnianie pozycji prezydenta Janukowycza, oskarżanie sił opozycyjnych o próbę dokonania zamachu stanu na legalnie wybrane władze i zarzuty ferowane pod adresem Zachodu o „bezprawną ingerencję w wewnętrzne sprawy suwerennej Ukrainy”. Władze Rosji zaferowały wówczas Ukrainie wykup obligacji na sumę 15 mld dol., obniżenie cen gazu i odstąpienie od kontynuowania represji celnych na towary ukraińskie. Miała to być rekompensata za rezygnację z podpisania porozumienia o stowarzyszeniu z Unią Europejską – ta decyzja była iskrą rozpalającą ogień protestów społecznych, której symbolem stał się Euromajdan. Marchewce oferowanej władzom ukraińskim towarzyszył oczywiście kij, wymierzony w tę część zbuntowanego społeczeństwa, które ośmieliło się wyrazić protest przeciwko antyzachodniej i prorosyjskiej polityce swoich władz. Moskwa mówiła wówczas o banderowcach, chcących skłócić bratnie narody (zwrot używany przez rosyjskich oficjeli do dziś), i przestrzegała przed dojściem do władzy nacjonalistów, antysemity i faszystów, czyli ukraińskiej opozycji i tych, którzy protesty poparli lub w nie uczestniczyli. Jak to zauważyła później „Rossijskaja Gazeta”: „Ukraina stoi dzisiaj na rozdrożu. Jednak nie jest to wybór między Rosją a Europą, między Zachodem a Wschodem. Ukraina wybiera między narodowym socjalizmem w wersji ukraińskiej a wartościami cywilizacyjnymi, między ideologią UNA-UNSO i (Stepana) Bandery z ich patologicznym antysemityzmem, nienawiścią do Rosjan i dążeniem do zbudowania państwa tylko dla Ukraińców a normami ogólnoludzkimi”. Ówczesne władze ukraińskie stały się depozytariuszem humanizmu, którego musiały bronić przed zradykalizowaną ulicą, najwyraźniej pragnącą, jak to w swej wyobraźni widzieli rosyjscy propagandyści, powrotu ukraińskich grenadierów z 14 Dywizji Waffen SS.

W połowie stycznia 2014 roku ukraiński parlament przyjął ustawy zastrzegające możliwe sankcje wobec protestujących, dające władzom w Kijowie szerokie uprawnienia do siłowego zakończenia wystąpień ulicznych. 21 stycznia 2014 roku w rosyjskiej telewizji Wiesti 24 (sic!) ówczesny premier Ukrainy Mykoła Azarow zagroził użyciem zdecydowanej siły dla zdławienia antyrządowych demonstracji. Minister Ławrow spotkał się z amerykańskim sekretarzem stanu Johnem Kerrym oraz z szefową dyplomacji Unii Europejskiej Catherine Ashton i ministrem spraw zagranicznych Włoch Emmą Bonino w szwajcarskim Montreux, gdzie zaapelował o „nieingerowanie w wewnętrzne sprawy Ukrainy”.

Rosyjska narracja już wtedy koncentrowała się na domniemanej zewnętrznej inspiracji wydarzeń na Ukrainie, które miały być zainicjowane przez wrogie Rosji koła na Zachodzie. Ten element jest znany z propagandy czasów komunistycznych – każdy bunt ludności przeciwko prosowieckiej władzy określano mianem prowokacji zachodnich, wywoływanych przez opłacanych agentów imperialistycznego Zachodu. Z tego dyskursu zniknęło jedynie słowo „imperialistyczny”. Euromajdan, według tej narracji, miał być ekspozyturą sił antyrosyjskich, jego aktywiści mieli być szkoleni i opłacani przez Zachód, choć miejsce „zachodniemieckich rewanżystów” z czasów zimnowojennych zajęli Polacy i Litwini, którzy mieli w swoich obozach szkolić kijowskich faszystowskich bojówkarzy.

W myśl tych enuncjacji Unia Europejska, prowadząc geopolityczną grę przeciw Rosji, dążyła do wyrwania Ukrainy z orbity wpływów moskiewskich, nawet za cenę rozwoju skrajnych tendencji, które prowadziłyby do faszycacji tego kraju. Bunt społeczny miał być na Ukrainie opłacany i sterowany przez Zachód, który wykorzystał socjotechniczne metody obalania reżimów przez protesty społeczne, przetestowane jakoby wcześniej na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej w serii tak zwanych arabskich rewolucji. Celem tych działań miało być oczywiście włączenie Ukrainy do NATO.

Gra propagandowa odradzającym się rzekomo na Ukrainie faszyzmem, antysemityzmem i nacjonalizmem pozwalała ustawić się Rosji w roli państwa kolejny raz ratującego Europę przed nadciągającą katastrofą – pożogą wojenną, a może i nowymi pogromami. Stosowanie wymienionych epitetów wobec Ukraińców obecnych wówczas na kijowskim Majdanie miało na celu publiczne zohydzenie ich pragnienia integracji z Zachodem. Akt publicznego nieposłuszeństwa wobec ukraińskich władz w obronie wolności i swobód obywatelskich nazwano faszyzmem, zgodnie z orwellowską zasadą każącą prawdę nazywać fałszem, a fałsz prawdą.

GŁOS LUDU

Już w styczniu 2014 roku pojawiały się jednak słabo zawaolowane rosyjskie groźby oderwania Krymu i wschodu Ukrainy od tego państwa w wypadku niepomyślnego dla władz rosyjskich rozwoju wydarzeń. Miały one formę apeli społeczeństwa wschodnich regionów Ukrainy, skutecznie zastraszonego mową o zagrażającym im faszyzmie i domagającego się rosyjskiej interwencji. Towarzyszyły temu zwyczajowe, znane z czasów komunistycznych, ostrzeżenia przed groźbą chaosu, anarchii i rozpadu państwa w wyniku działań majdanowych bojówkarzy i ukraińskich nacjonalistów, które miały nie pozostawić wyboru władzom rosyjskim – Rosja musiałaby ratować ludność rosyjskojęzyczną przed odwetem. Wprowadzano wtedy kolejny ważny motyw rosyjskiej propagandy – mówiono o ludobójstwie, grożącym ludności rosyjskojęzycznej i Rosjanom na Ukrainie.

Propagandowe przygotowanie do militarnych działań, mających na celu aneksję Krymu, szło już wówczas pełną parą. Wyraźnie było widać, że jeśli ekipie prezydenta Janukowycza nie uda się zdławić protestu, Rosja przystąpi do akcji bezpośredniej, mającej na celu destabilizację Ukrainy i jej dezintegrację. Wkrótce sytuacja w tym kraju zasadniczo się zmieniła, bo prezydent Janukowycz, razem z najbliższymi współpracownikami, najpierw uciekł z Kijowa, a później z kraju. Jego śladami →

wkrótce podążyli ówczesny premier i inni członkowie ukraińskiego rządu. Efektem tej ucieczki było zdobycie władzy w Kijowie przez dotychczasową opozycję. W tej sytuacji rosyjska propaganda przystąpiła do systematycznej próby podważania legitymizacji nowych władz ukraińskich. Służyła temu teza, że w Kijowie doszło do nielegalnego przewrotu, w wyniku którego prawowity prezydent Ukrainy został pozbawiony władzy. W tym samym czasie oddziały rosyjskiego wojska, bez oznaczeń państwowych (co było złamaniem elementarnych regulacji prawnych rządzących konfliktami zbrojnymi), przystąpiły do zajęcia Krymu. Rosja przez długi czas zaprzeczała ich obecności w tym miejscu, a do publicznego obiegu propaganda rosyjska „wpuściła” określenie „zielone ludziki”, powtarzane później bezrefleksyjnie także przez media zachodnie.

Oprócz rzekomej konieczności ratowania Rosjan na Krymie, jako powód interwencji wymieniano konieczność przeciwdziałania groźbie zainstalowania tam baz natowskich. Ten motyw jest również bardzo dobrze znany z czasów zimnowojennych – podnoszono go w sowieckiej propagandzie zarówno w czasach rewolucji węgierskiej w 1956 roku, jak i Praskiej Wiosny w 1968 roku oraz solidarnościowego buntu w Polsce z lat 1980–1981. Obawa, że niezależna Ukraina może kiedyś wejść w skład tego sojuszu, który do dziś w Moskwie jest postrzegany jako główny wróg, jest jedną z kluczowych determinant postępowania ekipy prezydenta Putina. Dla zalegalizowania zaboru Krymu Rosja zorganizowała tam 16 marca 2014

Na kandydatów promowanych przez władze miało paść wówczas ponad 90% głosów.

STARE SCHEMATY

Równoległe do przyłączenia Krymu Rosja rozpoczęła akcję militarnego destabilizowania wschodniej Ukrainy, przygotowując się do zbrojnej interwencji w tym regionie, która nastąpiła latem i trwa do dziś. Władze rosyjskie cały czas nie przyznają się do tego, że na tym terytorium znajdują się rosyjskie oddziały zbrojne. Utrzymują też, że nie są w ogóle stroną tego konfliktu. Warto przypomnieć, że przez długi czas po wejściu wojsk sowieckich do Afganistanu zaprzeczano ich obecności w tym kraju. Nawet wtedy, gdy ich liczebność przekroczyła 100 tys. żołnierzy, publicznie używano zwrotu „ograniczony kontyngent radzieckich wojsk w Afganistanie”.

Prorosyjskich aktywistów określa się w Rosji mianem powstańców, którzy wystąpili przeciwko ukraińskim nacjonalistom, a władze Noworosji, jak nazywa się w Moskwie tereny wschodniej i południowej Ukrainy, są uznawane za właściwy podmiot, z którym Ukraina powinna prowadzić negocjacje dotyczące przyszłości tych ziem. Jednocześnie zaprzeczają się zarówno informacjom o obecności rosyjskich najemników na wschodzie Ukrainy, jak i o dozbieraniu „powstańczych” jednostek w rosyjski sprzęt wojskowy. Według Moskwy jedyni najemnicy i broń znajdujące się na Ukrainie pochodzą z Zachodu i wspierają

AKTYWNOŚĆ PROPAGANDOWO-DEZINFORMACYJNA JEST ISTOTNYM WSPARCIEM ROSYJSKIEJ POLITYKI REALIZOWANEJ METODAMI MILITARNYMI

roku ludowe referendum. Już dzień później, powołując się na jego wyniki, ogłoszono deklarację niepodległości Republiki Krymskiej, a 18 marca 2014 roku włączono ją w skład Federacji Rosyjskiej. Prezydent Putin, apelując o formalne zaakceptowanie włączenia Krymu do Federacji Rosyjskiej, powołał się na ową „wołę narodu”: „W głosowaniu wzięło udział ponad 82% wyborców. Ponad 96% opowiedziało się za ponownym przyłączeniem do Rosji. Liczby są nader przekonujące”. Takie działanie przypominało sowieckie zalegalizowanie zaboru wschodnich ziem II Rzeczypospolitej, dokonanego na mocy tajnego protokołu do paktu Ribbentrop–Mołotow. Warto przypomnieć, że już 22 października 1939 roku na zaanektowanych terytoriach dawnej II Rzeczypospolitej zorganizowano „wybory” do zgromadzeń ludowych Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej, jak nazwano te terytoria. Według oficjalnych danych na Ukrainie Zachodniej wzięło w nich udział 92,83% uprawnionych, na Białorusi Zachodniej zaś aż 96,7%.

stronę ukraińską. Rosyjska oficjalna interpretacja wydarzeń na Ukrainie przebiega według schematów, wykorzystujących motywy znane od dekad. Jest ona głoszona zdecydowanie i konsekwentnie, a wypowiedzi, zarówno rosyjskich liderów, komentatorów, jak i trolli internetowych, charakteryzują się dużą spójnością. Warto zająrzeć do internetowych komentarzy dotyczących wydarzeń na Ukrainie i się przekonać, jak często wskazywane już rosyjskie motywy propagandowe są wykorzystywane w wypowiedziach tysięcy anonimowych internautów, którzy lepszą lub gorszą polszczyzną głoszą rosyjską narrację. ■

DR HAB. NAUK SPOŁECZNYCH RYSZARD M. MACHNIKOWSKI JEST PROFESOREM UNIwersYTETU ŁÓDZKIEGO NA WYDZIALE STUDIÓW MIĘDZYNARODOWYCH I POLITOLOGICZNYCH, EKSPERTEM ZAGRANICZNYM FRANCUSKIEJ WYSOKIEJ RADY BADAŃ I EDUKACJI STRATEGICZNYCH (CSFRS), SPECJALISTĄ DS. TERRORYZMU I PRZEMOCY POLITYCZNEJ ORAZ RELACJI TRANSATLANTYCKICH.

RAFAŁ CIASTOŃ

Pjongjang schodzi pod wodę?

Korea Północna mogłaby się pochwalić imponującymi osiągnięciami w dziedzinie dezinformacji i walki propagandowej. Najpierw jednak musiałyby przyznać, że takie chwytły stosuje.

W sierpniu 2014 roku amerykański serwis internetowy The Washington Free Beacon, powołując się na źródła wywiadowcze, ogłosił sensacyjną wiadomość na temat próby uzbrojenia przez Koreę Północną jednego z posiadanych przezeń konwencjonalnych okrętów podwodnych w rakiety balistyczne. Czy mamy tu jednak do czynienia z realnym faktem i nowego rodzaju zagrożeniem dla stabilności regionu, czy raczej z elementem walki informacyjnej i przykładem celowego zaciemniania obrazu sytuacji?

MAKIETY W SŁUŻBIE REŻIMU

Komunistyczny reżim Korei Północnej mógłby się pochwalić imponującymi osiągnięciami w dziedzinie dezinformacji i walki propagandowej, jednak najpierw musiałyby oczywiście przyznać, iż dezinformacja jest dezinformacją. W odniesieniu do rakiet balistycznych i broni jądrowej za przykłady potwierdzające tego rodzaju działania mogą posłużyć pociski średniego zasięgu typu Musudan, rzekomo międzykontynentalne KN-08 (znane również jako Hwasong-13) lub program jądrowy – w tym wypadku tak naprawdę wciąż nie wiadomo, czy w posiadaniu dynastii Kimów znajdują się operacyjne głowice nuklearne, czy też jedynie „urządzenia” jądrowe, nadające się wyłącznie do testów.

Wspomniane musudany oraz KN-08 były dotychczas co najmniej kilkakrotnie prezentowane światu przy okazji licznych parad i manewrów bądź też rzekomo przygotowywane do startu podczas równie licznych okresów zaognienia sytuacji na półwyspie. Dotychczas jednak żaden z wymienionych pocisków nie był testowany w locie, a wielu ekspertów wręcz wątpi w ich operacyjny status (dotyczy to zwłaszcza mobilnego ICBM KN-08). Korzyści tego rodzaju działań są oczywiste – jakkolwiek wyolbrzymione i absurdalne wydawać by się mogły osiągnięcia reżimu, działają one na jego korzyść, to znaczy muszą być brane pod uwagę zarówno przez amerykańskich, jak i południowokoreańskich planistów wojskowych, a przede wszystkim decydentów politycznych reagujących na posunięcia Pjongjangu.

Niejednoznaczność jest dla Kimów tarczą okresu pokoju i gardą, za którą chowają się, ilekroć jego zachowanie, w skutek ich własnych działań, staje pod znakiem zapytania. Tęgo rodzaju funkcje mogą jednak spełniać systemy, o których w zasadzie nic nie wiadomo, a nie takie, które na pewno istnieją, ale ich testy zakończyły się fiaskiem. Samo przygotowywanie musudana do startu skutkuje podniesieniem stanu gotowości bojowej amerykańskich, południowokoreańskich i japońskich jednostek obrony przeciwrakietowej. Pocisk jest i musi być traktowany jako operacyjny przez agencje wywiadowcze. Czy zatem warto ryzykować nieudane odpalenie? Północnokoreański program balistyczny jest wprawdzie bardzo zaawansowany, ale jego fundament stanowią przede wszystkim kolejne modyfikacje i wersje scuda oraz oznaczona jako KN-02 kopia rosyjskiej toczki.

W przypadku pocisków międzykontynentalnych postępy nie są tak imponujące. Wprawdzie próba utożsamianej z balistycznym taepo dongiem rakiety nośnej typu Unha z grudnia 2012 roku powiodła się, był to jednak już piąty test tych pocisków, lecz dopiero pierwszy udany. Co więcej, mimo że wyniesiony na orbitę satelita niedługo później uległ zniszczeniu, KRLD nie podejmuje prób umieszczenia w przestrzeni kosmicznej jego następcy. Może to potwierdzać teorię, iż ryzyko niepowodzenia związane z kolejnym startem unhy przewyższa potencjalne korzyści, wynikające z udanej próby. Podczas powtarzających się „pokazów siły” reżimu odpalane są głównie scudy i wywodzące się z nich no-dongi, których liczba, jak się szacuje, oscyluje w przedziale 600–1000. Nowe typy rakiet pojawiają się zaś na paradach... Czy zatem jest prawdopodobne opracowanie przez północnokoreańskich naukowców pocisku balistycznego odpalanego spod wody (SLBM) oraz nosiciela dla niego?

GOLF I SS-N-6

Musudana i KN-08 łączy nie tylko status pocisku widma, lecz również, prawdopodobnie, wspólny pierwowzór – radziecki SS-N-6. Ten opracowany w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku pocisk średniego zasięgu (ok. 2400 km) na →

ciekły materiał pędny stanowił uzbrojenie atomowych okrętów podwodnych typu Yankee I, a jego zmodyfikowana wersja była testowana na konwencjonalnym Golfie-IV. Ostatni z okrętów klasy Yankee I został skreślony ze stanu rosyjskiej floty w 1996 roku.

Moskwa zaprzecza, by kiedykolwiek sprzedawała te rakiety do KRLD, kwestionuje również techniczną możliwość ich ewentualnej modyfikacji na pociski bazowania lądowego, jednak z uwagi na pewne podobieństwa konstrukcyjne część ekspertów zakłada, iż taka sprzedaż miała miejsce. Co więcej, autorzy Free Beacon, powołując się na depesze ujawnione przez portal WikiLeaks, dowodzą, iż SS-N-6 stał się protoplastą pocisków nie tylko koreańskich, lecz także irańskiej rakiety nośnej Safir. Współpraca obydwu państw, zarówno w dziedzinie programu balistycznego, jak i prawdopodobnie jądrowego, pozostaje tajemnicą poliszynela. Powstaje jednak pytanie: w jakim stopniu jest prawdopodobne, by komuniści po co najmniej 20 latach od pozyskania pocisku i jego modyfikacji (?) do wersji lądowej zdecydowali się wrócić do korzeni i przystosować go do odpalania spod wody?

Oczywiście można założyć, iż dopiero posiadanie broni jądrowej czyni opłacalnym operowanie podwodną modyfikacją systemu, którego oryginał charakteryzował się średnim uchybieniem kołowym (CEP) na poziomie 1,9 km, jednak wciąż brakuje dowodów na to, by reżim dysponował głowicami nuklearnymi do pocisków balistycznych. Co więcej, nawet gdyby takie głowice istniały, to umieszczenie ich na okręcie podwodnym byłoby niezwykle ryzykowne, zarówno pod względem militarnym, jak i politycznym. Politycznym, bowiem oddawałoby nadzór nad bronią w ręce kapitana jednostki i (lub) oficera politycznego; militarnym zaś, gdyż umieszczenie jednej bądź kilku nielicznych przeciw głowic (szacunki wywiadów mówią o kilku, maksymalnie dziesięciu ładunkach) na jednostce, której przeżywalność w warunkach bojowych byłaby bliska zeru, oznaczałoby de facto ich szybkie wyeliminowanie ze strategicznych kalkulacji.

W tym miejscu należy poświęcić kilka słów okrętom podwodnym, które mogłyby pełnić funkcję nosicieli (potencjalnych) pocisków balistycznych. Choć stan posiadania przez KRLD tego typu jednostek jest szacowany nawet na ponad 70 sztuk, większość z nich (40–50) stanowią małe okręty typu Song, służące do przewozu grup dywersyjnych oraz zwalczania jednostek nawodnych uzbrojeniem torpedowym (prawdopodobnie to właśnie jeden z tych okrętów zatopił w 2010 roku południowokoreańską korwetę Cheonan), ponad 20 kolejnych należy do radzieckiej klasy Romeo i jej chińskiej wersji 033, cztery zaś do klasy Whiskey – reprezentują więc poziom technologiczny przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku.



W OSTATNICH MIESIĄCACH KOMUNISTYCZNY REŻIM KILKUKROTNI TESTOWAŁ ODPALANE Z ŁĄDU POCISKI KN-01, RZEKOMO WYDŁUŻAJĄC PRZY TYM ICH ZASIĘG

Według informacji zamieszczonej w „Jane's Fighting Ships”, Korea Północna przejęła na początku lat dziewięćdziesiątych około 40 okrętów wycofanych z marynarki radzieckiej (rosyjskiej). Wśród nich miały się znajdować także jednostki typu Golf, a więc jedyne, oprócz klasy Zulu V, seryjnie produkowane okręty o napędzie konwencjonalnym, będące nosicielami rakiet balistycznych. Teoretycznie jest więc możliwe, iż

Koreańczycy postanowili na nowo wyposażać i przywrócić do służby jednostkę tego typu, być może korzystając przy tym z pomocy Chin, które opracowały i zbudowały własną modyfikację golfa (typ 031) do testowania pocisków balistycznych JL-1 i JL-2. Wciąż jednak dostrzegalne korzyści z tego ograniczają się do dezinformacji i propagandy, nie

przekładają się jednak na wartość operacyjną. Hałaśliwy golf byłby łatwym do namierzenia i zniszczenia celem dla amerykańskich, japońskich i południowokoreańskich jednostek, a jego wyeliminowanie stałoby się pierwszym zadaniem marynarek wojennych tych państw.

W aspekcie technologicznym należy również podkreślić, iż nawet mimo ewentualnego skopiowania pocisku klasy SLBM, jego wprowadzenie do służby bez wcześniejszych testów w wypadku Korei Północnej należy uznać za niemożliwe do wykonania. Chińczycy, których program i doświadczenia związane z budową pocisków balistycznych są bez wątpienia bardziej zaawansowane niż w przypadku KRLD, wciąż mają problemy z uzyskaniem przez pocisk JL-2 gotowości operacyjnej, a JL-1 w istocie nigdy takiego statusu nie osiągnął. Nawet Rosjanie, pomimo pół wieku doświadczeń w konstruowaniu rakiet odpalanych spod wody, w wypadku swojej Buławy wciąż borykają się z licznymi problemami.

KIERUNEK MORZE

Południowokoreańskie media poświęciły niewiele miejsca rewelacjom amerykańskiego serwisu. Cytowani przez agencje informacyjne i kilka dzienników przedstawiciele resortu obrony i marynarki wojennej byli w tej kwestii bardzo sceptyczni. Podkreślali, iż północny sąsiad nie dysponuje ani odpowiednich rozmiarów okrętem, ani systemami naprowadzania dla pocisków SLBM. Cienia przypuszczeń na temat prób opracowywania przez KRLD quasi-boomerów na próżno szukać w corocznych ocenach zagrożeń Defence Intelligence Agency czy raportach biura sekretarza obrony dla Kongresu. Skomentowania doniesień portalu odmówił rzecznik Pentagonu, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, iż USA oczekują od Korei Północnej większej transparentności w kwestiach militarnych, która pozwoliłaby na obniżenie poziomu napięcia w regionie. Powtórzmy zatem pytanie: czy jest prawdopodobne, by Pjongjang podjął dezinformacyjną grę na nowym polu?

W ostatnich miesiącach komunistyczny reżim kilkakrotnie testował odpalane z łądu pociski przeciwokrętowe KN-01, rzekomo wydłużając przy tym ich zasięg. W telewizji zaprezentowano nowy typ pocisku przenoszonego przez okręty nawodne, łudząco podobny do rosyjskiego Kh-35 Uran (SS-N-25), Kim-Dzong-Un zaś dał się sfotografować na kiosku okrętu podwodnego typu 033, gdy podczas rejsu „udzielał załodze wskazówek odnośnie do zasad nawigacji”. Wejście w posiadanie okrętu podwodnego zdolnego do odpalenia rakiet balistycznych dobrze wpisywałoby się w powyższy schemat wzmacniania wizerunku (bo niekoniecznie potencjału) floty. Co więcej, o ile na potrzeby zewnętrzne byłoby to działanie ukierunkowane na Stany Zjednoczone i Republikę Korei, o tyle własnemu społeczeństwu można by zaprezentować je również w kontekście dorównywania Chinom. Według Office of Naval Intelligence jeszcze w tym roku na pierwszy operacyjny patrol ma wyjść jeden ze strategicznych okrętów podwodnych klasy Jin.

Dziś trudno jednoznacznie stwierdzić, czy Koreańczycy z północy faktycznie postanowili poszerzyć gamę podejmowanych działań o charakterze dezinformacyjno-propagandowym, czy mieliśmy na przykład do czynienia z błędną analizą amerykańskich danych wywiadowczych. Jedno wydaje się pewne – na obecnym poziomie rozwoju technologicznego Pjongjangu szanse na ujrzenie operacyjnego północnokoreańskiego boomera są równie realne, jak na ujrzenie jednorozca. ■

ROBERT CZULDA

Jednostka w kamuflażu

By zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, w 1944 roku alianci wysłali do Europy Zachodniej specjalną jednostkę. Jej wyposażenie stanowiły radiostacje, głośniki i... gumowe czołgi.

Wojna to sztuka wprowadzania w błąd – stwierdził swego czasu klasyk sztuki wojennej Sun Tzu. Kluczem do sukcesu jest skierowanie uwagi nieprzyjaciela tam, gdzie chcemy, i odwrócenie jej od miejsca, którego nie powinien widzieć. Świadomość tej, wydawałoby się prostej, ale jakże ważnej zasady mieli podczas II wojny światowej alianccy dowódcy, którzy w 1944 roku przygotowywali się w Wielkiej Brytanii do otwarcia przeciwko III Rzeszy drugiego frontu. Tam też narodził się śmiały plan – utworzenia „armii duchów”.

Bezpośrednią inspiracją był sukces Brytyjczyków w kampanii w Afryce Północnej, gdzie dla zmylenia wroga używano makiet czołgów i dział. Tam też zbudowano fałszywą linię kolejową, by uchronić prawdziwą przed bombardowaniami (wcześniej, to jest w 1918 roku, podobny manewr przeciwko Niemcom zastosowano na froncie zachodnim, gdzie użyto makiet czołgów). Alianci postanowili powtórzyć sprawdzony fortel, ale tym razem na zdecydowanie większą skalę. Operacja „Quicksilver” miała na celu przekonanie Niemców, że inwazja rozpocznie się w rejonie Pas de Calais. W tym samym czasie grupa amerykańskich oficerów zainicjowała tworzenie tajnej jednostki specjalnej, którą planowano wysłać na front.

Amerykańscy oficerowie już w 1943 roku zaczęli się zastanawiać, jak podczas nieuchronnej walki w Europie Zachodniej wykorzystać element zaskoczenia i wprowadzać nieprzyjaciela w błąd, by w ten sposób uzyskać przewagę. Zanalizowano doświadczenia brytyjskie, a także własne – w 1942 roku bowiem przeprowadzono skuteczną operację zamaskowania przed ewentualnym niemieckim nalotem fabryki w Baltimore, która produkowała bombowce. Amerykanie doszli do wniosku, że utworzenie specjalnej jednostki do taktycznego mylenia Niemców to właściwy krok. Pod koniec 1943 roku z Londynu do Waszyngtonu wysłano prośbę o powołanie oddziału. Gen. Dwight Eisenhower, który nadzorował przygotowania do inwazji, poparł

projekt i nadał mu priorytet. Alianci potrzebowali bowiem każdego środka, który pozwoliłby im wygrać wojnę z Niemcami.

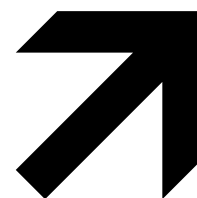
OSZUSTWO NA TRZY SPOSOBY

Tak narodziła się jednostka o nic niemówiącej nazwie 23rd Headquarters Special Troops, która została podzielona na trzy komponenty – mylenia wizualnego, mylenia radiowego i mylenia dźwiękowego. Najłatwiej przyszło stworzenie tego pierwszego. Na potrzeby jednostki desygnowano 350-osobowy 603 Inżynieryjny Batalion Kamuflażu, który wsławił się tym, że dzięki niemu „zniknęła” wspomniana fabryka w Baltimore. Dołączono do niego najlepiej rokujących kandydatów – znaczna ich część pochodziła z uczelni artystycznych z Nowego Jorku i Filadelfii. Niektórzy byli aktorami, marketingowcami, projektantami. Wybór był świetny, bo w grupie znaleźli się późniejsi artyści o międzynarodowej sławie – Arthur B. Singer (uznany ilustrator ptaków), Bill Blass (projektant mody) oraz John Masey (projektant, autor wystawy kuchni, w której debatowali Richard Nixon i Nikita Chruszczow w 1959 roku). Batalion ten stanowił załóżek „armii duchów”. Przed jednostką postawiono specjalne i trudne zadanie – kamuflaż miał od teraz nie tyle ukrywać własne siły przed nieprzyjacielem, ile zwracać jego uwagę. Ponieważ nie istniał żaden armijny podręcznik, członkowie batalionu musieli improwizować. Na poligonie w Kalifornii opracowano prototypowe konstrukcje, w tym metalowe szkielety czołgów, które montowano na samochodach. Okazały się jednak niepraktyczne i szybko zastąpiono je konstrukcjami gumowymi.

Dużo większym wyzwaniem było stworzenie jednostki kamuflażu dźwiękowego. Zadanie to otrzymał płk Hilton Railey, który miał doświadczenie z branży marketingowej (to on wybrał przed wojną Emilię Earhart – pierwszą kobietę, która samotnie przeleciała Atlantyk). Także i on musiał opracować metody działania od podstaw, nikt bowiem tego przed nim nie robił. Jednostka zebrała



NARA



Amerykanie opracowali prototypowe konstrukcje, w tym metalowe szkielety czołgów, które montowano na samochodach. Okazały się jednak niepraktyczne i szybko zastąpiono je konstrukcjami gumowymi.



się na początku 1944 roku w Fort Knox (Kentucky), gdzie ćwiczyła pod okiem badawczego oddziału telekomunikacyjnego Bell Laboratories. Pierwszym zadaniem było nagranie wszystkich możliwych dźwięków – chociażby czołgów i samochodów. Oddział stworzył bazę dźwięków wydawanych przez pojazdy, które jadą szybko i wolno, zmieniają biegi, wjeżdżają pod górę, zjeżdżają, pokonują mosty. Zapisano dźwięki samochodów i budowy przepraw pontonowych. Do nagrywania wykorzystywano wówczas rewolucyjną jak na owe czasy technikę rejestracji dźwięku na stalowy drut. Jedna szpulka potrafiła pomieścić do 30 minut nagrania. Jednostka była w stanie łączyć różne dźwięki w zależności od potrzeb.

Trzecim elementem „armii duchów” stał się oddział kamuflażu radiowego. Jego zadaniem było tworzenie fałszywych komunikatów radiowych na poziomie od batalionu po dywizję. W tym celu zebrano 100 radiooperatorów. Musieli oni poznać procedury łączności każdej jednostki, którą naśladowali. Konieczna była także wiedza, jak często, w jaki sposób i na jaki temat przekazują informacje i rozkazy siły amerykańskie, niezależnie od tego, czy była to dywizja, batalion czy pułk piechoty. Jednostka miała zadanie kluczowe, bowiem według amerykańskiego wywiadu aż 75% wszystkich informacji, które Niemcy uzyskiwali na froncie zachodnim, pochodziło z nasłuchu radiowego.

ZASKOCZENIE FRANCUZÓW

Jednostka została odesłana ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii w maju 1944 roku „Nie mogliśmy uwierzyć, że się nam uda”, przyznał w wywiadzie weteran kpr. Irving Stempel. „Jak bowiem mogliśmy pokonać Niemców gumowy-

mi czołgami?”. Oddziałowi szybko przyszło sprawdzić swoją przydatność – już 14 czerwca 1944 roku 15-osobowy pluton rozmieścił w Normandii dmuchaną artylerię. Znalazła się ona około 1,5 km od prawdziwych pozycji alianckich, a jej zadaniem było ściągnięcie na siebie niemieckiego ognia artyleryjskiego. Udało się – Niemcy zaatakowali nie prawdziwe zgrupowanie, lecz gumowe działa.

W Normandii gumowe czołgi znalazły się po dwóch tygodniach od rozpoczęcia inwazji. „Gdy rozmieszczaliśmy nasz sprzęt, przez ochronę przedostało się dwóch miejscowych Francuzów na rowerach”, wspominał kpr. Arthur Shilstone. „Zamarli i zaczęli wpatrywać się w coś za moimi plecami. Z ich perspektywy czterech amerykańskich żołnierzy obracało shermana. Gdy dostrzegłem ich zdziwienie, odparłem – no cóż, Amerykanie są bardzo silni!”. By uwiarygodnić gumową armię, buldożery robiły w ziemi ślady gąsienic. Przy makietach armat zostawiano łuski. Już we Francji oddział doszedł do wniosku, że aby wzmocnić swoją wiarygodność, należy używać prawdziwych oznaczeń „kopiowanych” jednostek – zarówno na mundurach, jak i pojazdach. Pojawiano się w miastach, żeby ewentualni szpiedzy III Rzeszy donieśli centrali o dostrzeżeniu sił.

Gdy w połowie sierpnia alianci wyrwali się z Normandii, „armia duchów” podążyła za nimi, docierając do silnie bronionego portowego miasta Brest. Wysłano tam na pierwszą linię zarówno gumowe czołgi, jak i oddział dźwiękowy, którego celem było udawanie 6 Dywizji Pancerniej. Liczono, że Niemcy zmobilizują rezerwy na skrzydłach i osłabią odcinek obrony na północy, skąd miało nadejść natarcie. Zamontowane na gąsienicowych podwoziach transporterów M3 Halftrack i niszczycieli →



„ARMIA DUCHÓW” OPIERAŁA SIĘ NA TRZECH ELEMENTACH MYLENIA NIEPRZYJACIELA – WIZUALNYM, DŹWIĘKOWYM I RADIOWYM

czołgów M18 Hellcat oraz pojazdach kołowych potężne głośniki o zasięgu około 25 km imitowały mobilizację wojsk pancernych. Wówczas doszło jednak do tragicznej pomyłki, bowiem przez obszar zajmowany przez tajemniczą „armię duchów” na pozycje wyjściowe wyszedł amerykański batalion pancerny. Został całkowicie zmasakrowany przez niemiecką artylerię przeciwpancerną. „Ten oddział nigdy nie dotarł na swoje pozycje”, przyznał po latach jeden z weteranów. „Nie wiedzieliśmy, że będzie chciał atakować, a oni nie wiedzieli, że w żaden sposób nie będziemy mogli im pomóc”.

OSTATNIE ZADANIE

Po fatalnej pomyłce pod Brestem gumowa armia została przerzucona na zachód, by wesprzeć III Armię gen. George’a Pattona. Jej zadaniem było stworzenie wrażenia, że w rejonie miejscowości Metz znajdują się duże amerykańskie siły, co miało wybić Niemcom z głowy ewentualny pomysł kontryderzenia. Było to niezwykle ważne, bowiem – jak przyznał biorący udział w tej operacji por. Gil Seltzer – „między niemieckimi siłami a Paryżem nie było praktycznie nic więcej, jak tylko nieco gumowych czołgów”. Batalion dźwiękowy, całkowicie wystawiony na atak niemieckiej dywizji, przez siedem dni udawał ruchy dywizji. Dopiero wówczas przybyła 83 Dywizja Pancerna, która zastąpiła „armię duchów”.

We wrześniu jednostka trafiła do Luksemburga, a w grudniu w Ardeny, gdzie stacjonowały tylko cztery amerykańskie dywizje. Tam też „skopiowano” 75 Dywizję Piechoty, ale w wyniku zaskakującej niemieckiej ofensywy oddział wycofano i zmuszono do obrony miasta. Szybko został odesłany na tyły, bo Amerykanie nie chcieli, aby wiedza o niezwyklej jednostce wpadła w ręce Niemców. Po opanowaniu sytuacji w Ardenach „armia

duchów” operowała w Belgii, Luksemburgu, Francji, a na koniec w Niemczech. Podczas jednej z operacji, 12 marca, gdy udawano 88 Dywizję Piechoty, oddział został ostrzelany przez niemiecką artylerię. Zginęło wówczas dwóch jego członków, a piętnastu zostało rannych.

Finalna karta na szlaku bojowym dotyczyła przeprawy przez Ren – ostatniej naturalnej bariery na drodze do Niemiec. Rzekę miała sforsować w głównym natarciu 21 Grupa Armii marsz. polnego Bernarda Montgomery’ego. Amerykanie, siłami dwóch dywizji (30 i 79), mieli przeprowadzić atak na skrzydło na południe od Wesel. Zadaniem „armii duchów” było przekonanie Niemców, że natarcie US Army nastąpi na wysokości Viersen, na południe od Duisburga i na północ od Düsseldorfu. Na potrzeby tej operacji wykorzystano cały oddział (1,1 tys. żołnierzy), wzmocniony prawdziwymi jednostkami inżynieryjnymi. Wykorzystano ponad 600 gumowych czołgów, a nawet maskiety samolotów. W odpowiednim momencie jednostka rozpoczęła „kopiowanie” ruchu radiowego, sugerując Niemcom, że dywizja wychodzi na pozycje do ataku. Batalion emitował dźwięki przemieszczających się czołgów oraz budowy pontonowych mostów. Amerykanie przebili się bez większych strat. Zdobyte niemieckie mapy pokazały, że Niemcy wzięli „armię duchów” za prawdziwą dywizję bojową.

W tym momencie szlak bojowy tej niezwyklej jednostki dobiegł końca. Żołnierze wrócili do cywila, ale przez wiele lat mieli zakaz informowania swych rodzin o wykonywanych zadaniach. Rozpoczęła się zimna wojna i amerykański rząd nie chciał, aby istnienie takiego oddziału dotarło do Rosjan – prawdopodobnego przeciwnika w III wojnie światowej. Dopiero w 1996 roku część dokumentów została odtajniona, a wiedza o „armii duchów” dotarła do amerykańskiej opinii publicznej. ■

ROBERT CZULDA

Sloganowa wojna

Wykorzystanie propagandy na potrzeby działań militarnych sięga czasów I wojny światowej.

W 2014 roku mija równo 100 lat od wybuchu I wojny światowej – czteroletniego konfliktu narodów, który stał się areną wykorzystania nowej broni, takiej jak karabin maszynowy, samolot i czołg. Mało kto pamięta, że to właśnie wtedy narodziła się wojenna propaganda. Bez niej trudno sobie obecnie wyobrazić jakikolwiek konflikt zbrojny. Podczas wielkiej wojny przedstawiano przeciwników jako zwierzęta pozbawione zasad moralnych. Nieprzyjaciel miał masowo popełniać zbrodnie wojenne – gwałcić, obcinać ręce i nogi, a także karmić świnie szczątkami żołnierzy sił sprzymierzonych. Rozsiewano informacje o Niemcach gotujących zwłoki swoich przeciwników. Państwa walczące, szczególnie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, zachęcały producentów filmowych, aby kręciły prowojenne filmy propagandowe.

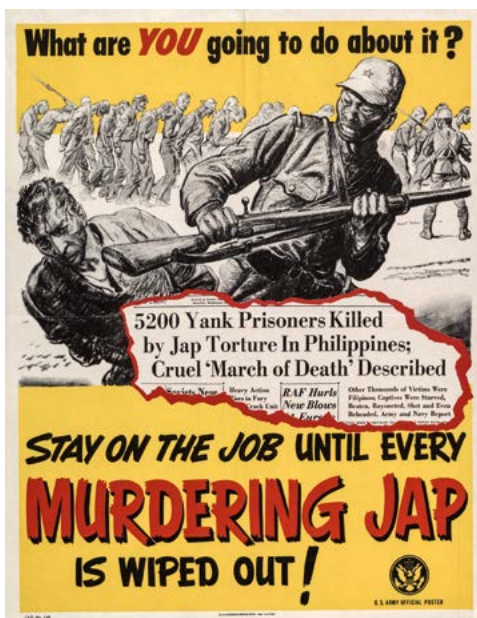
Działania te nie uszły uwadze Adolfa Hitlera, który w 1924 roku stwierdził, iż „dopiero podczas wojny stało się jasne, jak niezwykle rezultaty można osiągnąć dzięki umiejętnemu wykorzystaniu propagandy”. W czasie II wojny światowej obie strony masowo używały karykatury, posługiwały się zjawiskiem dehumanizacji, aby w ten sposób podkreślić, że przeciwnik nie jest człowiekiem. Podczas gdy Niemcy przedstawiali obraz brudnego, prymitywnego i złowrogiego Żyda, Amerykanie stosowali podobny wizerunek „Japońców”. Ci zaś nie pozostawali gorsi, przyrównując często Amerykanów do psów i podludzi mordujących jeńców. Była to wierna realizacja słów Adolfa Hitlera, który w „Mein Kampf” stwierdził: „propaganda powinna odwoływać się przede wszystkim do emocji. Zdolność pojmowania przez masy treści politycznych jest bardzo ograniczona [...]. Musimy unikać wygórowanych żądań intelektualnych. Skuteczna propaganda musi się ograniczać do niewielu punktów, które z kolei muszą być lansowane w formie sloganów tak długo, aż każdy zrozumie, co przez ten slogan chce się powiedzieć”.

W czasie wojny w Wietnamie rządzący w USA zapomnieli o tych doświadczeniach, licząc, że sam fakt walki z komunizmem wystarczy, aby społeczeństwo poparło ich działania. Tak się jednak nie stało – swobodnie poruszający się wśród żołnierzy dziennikarze pokazali amerykańskiej opinii publicznej prawdziwe obrazy z wojny. Zszokowani wyborcy wymusili na prezydencie jej zakończenie. Wówczas Departament Obrony doszedł do wniosku, że na wojnie dziennikarz nie może widzieć wszystkiego. W trakcie operacji przeciwko Irakowi w 1991 roku, tak zwanej wojny CNN, dziennikarze mogli opierać się tylko na materiałach uzyskanych z wojska, bowiem ich swoboda została ograniczona. Negatywnych komunikatów pojawiało się więc mniej.

Od czasu rozpoczęcia zmagania z terroryzmem w 2001 roku wojna propagandowa stała się istotnym elementem planowania wojskowego. Jej znaczenie wzrosło, gdy okazało się, że armie konwencjonalne przegrywają starcie o odpowiednią narrację. Przykładowo, gdy doszło do wojny Izraela z Hezbollahem w 2006 roku, dziennikarze na początku informowali, że to Hezbollah ją zaczął, a ofiary cywilne są tego konsekwencją. Wyrafinowana kampania medialna doprowadziła do tego, że bardzo szybko porzucono takie komentarze, stwarzając wrażenie, że Izrael atakuje na oślep, bez jakiegokolwiek planu.

Aby ograniczyć wpływ negatywnych informacji, wprowadzono system akredytacji dziennikarskich (także w Iraku i Afganistanie), co jeszcze bardziej ograniczyło swobodę pracy. Co więcej, wojsko zaczęło coraz aktywniej tworzyć własny

przekaz medialny – w tym celu zaczęto rozwijać zespoły Combat Camera (pierwsze powstały w latach osiemdziesiątych XIX wieku). Jak stwierdził sierż. szt. Shawn Weismiller (Combat Camera US Army), „naszym zadaniem jest opowiadanie pewnej historii i to w taki sposób, aby nie zabrakło emocji. Żadne zdjęcie nie jest robione przypadkowo, za każdym razem istnieje ku temu jakiś cel”.



Amerykański antyjapoński plakat propagandowy z okresu II wojny światowej

Podczas XIV bojowej zmiany w Afganistanie doszło w Ghazni do wypadku. Stało się to niedaleko polskiej bazy, w miejscu, gdzie żołnierze detonowali różnego rodzaju materiały wybuchowe i znalezione „ajdiki”. Teren, nazywany przez nich dolkiem saperskim, był ogrodzony i oznakowany jako miejsce niebezpieczne. Niestety, dwoje afgańskich dzieci zignorowało zakazy i znaki ostrzegawcze. Malcy dostali się za ogrodzenie i, bawiąc się niewybuchem, zginęli na miejscu.

Sytuacja była poważna. Z wioski, gdzie mieszkały dzieci, prawdopodobnie wywodzili się też osoby, które kilka miesięcy wcześniej przeprowadziły atak na bazę Ghazni, istniało więc niebezpieczeństwo, że w odwecie za śmierć maluchów zostaną zaatakowani polscy żołnierze. Dowództwo XIV zmiany musiało za-

my prowadzić żadnych inwestycji i przekazywać pomocy humanitarnej. Proszę uwierzyć, że sami się zmobilizowali i przegonili rebeliantów z wioski”, dodaje.

ZDOBYĆ INFORMACJĘ

Operacje informacyjne najprościej można zdefiniować jako zespół działań, które mają wpływać na otoczenie, by osiągnąć przewagę nad przeciwnikiem. W takie operacje są angażowani różnego rodzaju specjaliści, wpływowi ludzie i autorytety. Wszyscy, którzy mogą pomóc osiągnąć jeden, z góry zamierzony cel. Info Ops to wpływanie na środowisko lokalne, przekazywanie sprofilowanych komunikatów i informacji, zaskarbianie sympatii i zaufania miejscowych, kształtowanie opinii oraz oddziaływanie na wolę i morale przeciwnika.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Wojna słowami

Operacje informacyjne są nieodłącznym elementem nowoczesnego pola walki i mogą być bardzo skuteczną bronią.

reagować bardzo szybko. Wszystkimi możliwymi kanałami informowano, że młodzi Afgańczycy nie zginęli z rąk żołnierzy, lecz stracili życie dlatego, że zignorowali niebezpieczeństwo. Polacy spotykali się z miejscowymi władzami i rodzinami dzieci. I choć wojsko nie było winne tej śmierci, wypłaciło rodzinom odszkodowania za stratę bliskich. „Liczył się czas. Musieliśmy sięgnąć po narzędzia związane z Info Opsem. Dziś nie da się inaczej funkcjonować na polu walki”, przyznaje gen. bryg. dr Cezary Podlański, dowódca XIV zmiany PKW w Afganistanie, a obecnie dowódca Centrum Operacji Lądowych – Dowództwa Komponentu Lądowego. „Mieliśmy wiele sukcesów właśnie dzięki działaniom informacyjnym. Tak też było w wiosce Nani, na południe od Ghazni. Nie stosowaliśmy tam żadnych rozwiązań siłowych, ale za to często tłumaczyliśmy władzom i starszyźnie, że dopóki będą ukrywać talibów, my nie będziemy z nimi współpracować – nie będzie-

UN/SHEHZAD NOORANI



DZIAŁANIA INFORMACYJNE POWINNY BYĆ CZĘŚCIĄ KAŻDYCH ĆWICZEŃ I MANEWRÓW. PROWADZIMY WOJNY W DZIEDZINIE INFORMACJI, POWINIŚMY WIĘC MIEĆ DO TEGO ODPOWIEDNIE NARZĘDZIA

Do narzędzi wykorzystywanych przez Info Ops należą między innymi środki związane z działaniami psychologicznymi: spoty telewizyjne, dzingle radiowe, ogłoszenia w prasie codziennej, billboardy, plakaty i ulotki. Bardzo ważne są też spotkania z kluczowymi partnerami w danym regionie.

Operacje informacyjne były wykorzystywane w każdym konflikcie zbrojnym. Za ich pomocą między innymi oddziaływano na psychikę żołnierzy przeciwnika, na przykład na ich morale i posłuszeństwo względem przełożonych, oraz wprowadzano żołnierzy i ich dowódców w błąd. Początkowo działania te były dość przypadkowe i intuicyjne. Nie było ustalonych zasad postępowania i brakowało jasno określonych narzędzi, którymi ta dziedzina wojskowości może się posługiwać.

Specjaliści z dziedziny Info Ops uznają, że przełomem dla operacji informacyjnych była pierwsza wojna w rejonie Zatoki Perskiej (1990–1991). Według amerykańskich danych około 70 tys. żołnierzy irackich poddało się w wyniku prowadzonych działań psychologicznych, a niemal wszyscy jeńcy wojenni przyznali, że zetknęli się z produktami amerykańskich operacji psychologicznych. Kolejne udane operacje informacyjne Amerykanie przeprowadzili kilka lat później na Haiti.

LEKCJA Z MISJI

Zasada, jaką rządzi się Info Ops, jest prosta: wygra ten, kto szybciej otrzyma i przetworzy informację. „Na początku misji główną rolę odgrywają działania bojowe. Z czasem rośnie wartość współpracy cywilno-wojskowej, zespołów odbudowy prowincji, działań psychologicznych i komórek prasowych. To wszystko jest częścią operacji informacyjnych”, wyjaśnia gen. bryg. Cezary Podlasiński.

Polscy żołnierze z operacjami informacyjnymi zetknęli się (na bojowo) po raz pierwszy w Iraku. Na misji okazało się, że Amerykanie mają dobrze rozwinięte struktury Info Ops i wielu specjalistów. U nas nikt nie widział takiej potrzeby, dlatego początkowo wie-

dzę zdobywaliśmy, podpatrując sojuszników. Rodzimi specjaliści IO pojawili się dopiero na V zmianie w Afganistanie, a etatowe struktury wprowadzono podczas VII tury ISAF. Niezależnie od misji w Iraku i Afganistanie Info Ops w polskim wydaniu bardzo dobrze radził sobie także na Bałkanach. W Kosowie wzorcowo współpracowały ze sobą wszystkie elementy pozamilitarne: CIMIC, PsyOps, wydział prasowy i zespoły łącznikowo-monitorujące.

„Info Ops znaczy czasem więcej niż cały batalion wojska. Jedna dobrze przemyślana ulotka ma większą moc niż uzbrojony żołnierz. Tu liczą się trafiony pomysł, czas oraz środowisko, dla którego są przeznaczone tego typu działania”, dopowiada gen. bryg. Rajmund T. Andrzejczak, dowódca 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej. „Działania informacyjne powinny być częścią każdego manewru i ćwiczeń. Jesteśmy społeczeństwem informacyjnym, prowadzimy wojny w dziedzinie informacji, powinniśmy więc mieć do tego odpowiednie narzędzia”.

Dowódca XIV zmiany PKW wyjaśnia, że działania niekinetyczne są planowane na całą misję od pierwszego do ostatniego miesiąca. Na każdy miesiąc osobno planuje się prace i w razie potrzeby służby IO reagują na wydarzenia bieżące. „Podczas XIV zmiany mieliśmy trzy duże przedsięwzięcia: festiwal „Ghazni – stolica islamu 2013”, wybory prezydenckie oraz zakończenie działalności operacyjnej w Ghazni i przeniesienie sił i środków do Bagram”, wspomina gen. Podlasiński. „Każde z tych wydarzeń starannie zaplanowaliśmy także pod względem informacyjnym. Chcieliśmy tak przekazać Afgańczykom informacje, żeby ich przekonać, by na przykład nie planowali ataków w czasie festiwalu. Tłumaczyliśmy, że to ich święto, więc będą przede wszystkim działać na szkodę sobie”, wyjaśnia.

Na podobnej zasadzie informowano o wyborach. Nie chodziło przy tym o agitację, lecz jedynie o zachęcenie do pójścia na wybory, do aktywnego zmieniania własnego państwa. „Ostatnia sprawa była dla mnie jako dowódcy najważniejsza. Zależało mi na tym, by naszemu wyjściu z Ghazni towarzyszyły nie ostrzał i nienawiść, lecz podziękowania za siedmioletnią służbę. Na powodzenie tej operacji pracowaliśmy długo, ale osiągnęliśmy sukces”, przyznaje dowódca. Mieszkańcy Ghazni i lokalne władze dziękowali żołnierzom za pobyt, za różnego rodzaju inwestycje i pomoc w wyszkoleniu afgańskiego wojska.

„Jestem przekonany, że do końca naszego pobytu w Ghazni to między innymi skuteczne operacje informacyjne zapewniły nam bezpieczeństwo. Przez siedem miesięcy ani razu nie ostrzelano bazy i nie doszło do żadnego ataku. Ale to nie dzieje się ot, tak. To ciężka praca, wymagająca zaangażowania wszystkich – od każdego żołnierza indywidualnie, od specjalistów sztabu z różnych dziedzin, na przykład CIMIC-u, a także od ratowników, lekarzy i dowódców na wszystkich szczeblach dowodzenia. Ja sam w ciągu każdego tygodnia wielokrotnie byłem poza bazą, by spotykać się z lokalnymi władzami”, opowiada gen. Podlasiński.

Operacje informacyjne w polskim wykonaniu mają dość krótką tradycję. Początkowo podpatrywaliśmy sojuszników i korzystaliśmy, zwłaszcza na misjach, z ich wiedzy. Obecnie próbujemy tworzyć własne rozwiązania systemowe. W resorcie obrony trwają prace nad jednolitą koncepcją komunikacji strategicznej, której częścią jest Info Ops. ■



| WOJSKA SPECJALNE |

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Zdali najważniejszy egzamin i weszli do elity.
Teraz mogą dowodzić operacjami
specjalnymi sojuszu północnoatlantyckiego.
Rok 2015 będzie należeć do polskich
wojsk specjalnych.

W ELITARNYM KLUBIE



MICHAŁ ZIELIŃSKI

→ W ELITARNYM KLUBIE

Poza granicami sojuszu, na terenie upadłego państwa, działa grupa terrorystyczna. Gdy wywiad wojskowy ustalił położenie przestępców, do akcji ruszyli żołnierze. Zadaniowy zespół bojowy (utworzony przez Jednostkę Wojskową Komandosów) desantuje ze spadochronami swoją sekcję rozpoznawczą, która ma potwierdzić lokalizację celu i wskazać przywódcę ugrupowania. Samo uderzenie trwa dokładnie 23 i pół minuty. W tym czasie podzieleni na dwie grupy komandosi opanowują obiekt, w którym znajdują się terroryści, i zajmują budynek, gdzie trzymano broń.

To tylko niewielka próbka umiejętności polskich operatorów. Swoją potencjał zaprezentowali oni podczas międzynarodowych manewrów „Noble Sword '14”, które były jednocześnie największymi tegorocznymi ćwiczeniami wojsk specjalnych w Europie. Wzięło w nich udział ponad 1700 żołnierzy z 15 państw NATO. Na poligonach w dwóch krajach przeprowadzono przeszło 100 różnego rodzaju scenariuszy, a żołnierze z zespołów bojowych wykonali dziesięć operacji specjalnych. „Już same liczby obrazują skalę tych ćwiczeń”, mówi gen. dyw. Piotr Patalong, inspektor wojsk specjalnych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

WIELOLETNIA STRATEGIA

Przygotowania do dowodzenia operacjami specjalnymi NATO Polska rozpoczęła sześć lat temu. „Bardzo istotne było

utworzenie Dowództwa Wojsk Specjalnych. Nie był to jednak pomysł, który wziął się znikąd. To był pierwszy krok na drodze do wypełnienia zobowiązań, które Polska podjęła na szczycie NATO w Pradze w 2002 roku. Wówczas zadeklarowaliśmy, że wojska specjalne będą naszą specjalnością w sojuszu”, wyjaśnia gen. dyw. Piotr Patalong i dodaje: „Drugim krokiem była zmiana przez polski parlament ustawy o powszechnym obowiązku obrony i powołanie nowego rodzaju sił zbrojnych – wojsk specjalnych”.

Reszta należała do samych specjalsów. Płk Marcin Szymański, szef sztabu Centrum Operacji Specjalnych, podkreśla, że utworzenie Dowództwa Wojsk Specjalnych było wielkim osiągnięciem. „W 2008 roku Polska zgłosiła akces, by stworzyć dowództwo zdolne do kierowania całym komponentem wojsk specjalnych NATO. Od tamtej chwili do teraz cały czas realizujemy ten plan. Dzięki jednoznacznej strategii i wizji celu doprowadziliśmy do uzyskania certyfikacji podczas ćwiczeń „Noble Sword '14”, wyjaśnia oficer.

Zanim cel osiągnięto, oficerowie wojsk specjalnych systematycznie doskonalili struktury dowództwa, budowali zdolności operacyjne. Powstały nowe jednostki: Nil, Agat oraz 7 Eskadra Działań Specjalnych (w siłach powietrznych). Odbyły się dziesiątki ćwiczeń sztabowych i taktycznych z wojskami, setki odpraw i konferencji. „Wszystkie te działania były podporządkowane jednemu celowi: uzyskaniu przez Polskę statusu państwa ramowego w dziedzinie operacji specjalnych, państwa, które może stworzyć sojuszniczy komponent operacji specjalnych, dowodzić nim i prowadzić sojusznicze, połączone operacje specjalne”, podsumowuje inspektor wojsk specjalnych.

Podjęte zobowiązania wymusiły wiele inwestycji: kupiono sprzęt i wyposażenie (m.in. mobilne stanowisko dowodzenia i bezzałogowce), budowano od postaw system łączności (umożliwiający wymianę informacji na poziomie tajnym), inwestowano w szkolenie kadry, rozbudowywano infrastrukturę i, co równie ważne, rozwijano kontakty zagraniczne. „Przez dwa lata, do 2010 roku, nasza koncepcja była przekuwana w konkretne pla-



Siła sojuszu

Z gen. bryg. **Jerzym Gutem** o ciężkiej drodze do certyfikacji i szczególnie ważnym dyżurze bojowym rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Natowskie ćwiczenia „Noble Sword '14” potwierdziły, że wielonarodowy komponent operacji specjalnych jest gotowy do rocznego dyżuru w Siłach Odpowiedzi NATO. Jak długo przygotowywaliście się do tych obowiązków?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba się cofnąć do 2002 roku, kiedy to na szczycie NATO Polska zadeklarowała, że wojska specjalne będą naszą naro-

dową specjalnością. Pięć lat później został utworzony osobny rodzaj sił zbrojnych i Dowództwo Wojsk Specjalnych. W 2008 roku powstała inicjatywa, by nasz kraj uzyskał status państwa ramowego w dziedzinie operacji specjalnych, a polskie wojska specjalne stworzyły dowództwo operacji specjalnych, zdolne do planowania i dowodzenia operacjami w układzie sojuszniczym.

Bardzo ambitnie.

Byliśmy młodą strukturą, brakowało nam wiedzy i doświadczenia. Mieliśmy jednak dobrego dowódcę z wizją i pomysłem na nowy rodzaj sił zbrojnych. Gen. Włodzimierz Potasiński, bo o nim mowa, zwrócił się o pomoc do Amerykanów. Chciał, aby wsparli nas i pomogli odpowiednio budować nasze zdolności. Przygotowania przyspieszyły

KOMENTARZ

PIOTR PATALONG



Ostatnie konflikty pokazują jednoznacznie, że rola wojsk specjalnych jest w nich coraz większa. W czasie pierwszej wojny w Iraku były one wykorzystywane marginalnie, a wiodąca rola przypadła wojskom pancernym i zmechanizowanym. W drugim konflikcie w rejonie Zatoki Perskiej jednostki specjalne odegrały ogromną rolę. Na obcym terenie, w ugrupowaniu przeciwnika działały na długo przed wejściem sił konwencjonalnych. To żołnierze wojsk specjalnych prowadzili rozpoznanie infrastruktury, stanowisk rakiet, naprowadzali pociski precyzyjnego rażenia, wskazywali cele dla lotnictwa. Operacja „Trwała wolność” („Enduring Freedom”) w Afganistanie pokazuje dominację sił specjalnych, które wykonały ponad połowę wszystkich operacji kinetycznych. Wielokrotnie polskie i światowe media donosiły o precyzyjnych i niezwykle skutecznych uderzeniach. Aresztowanie kluczowego personelu talibskiego reżimu, rozpoznanie specjalne, akcje bezpośrednie czy uwalnianie zakładników to typowe operacje wykonywane podczas tego konfliktu.

A jak będą się rozwijać polskie wojska specjalne? Zamierzamy doskonalić strukturę dowodzenia i procedury operacyjne, a naszym operatorom zapewnimy najlepsze warunki do szkolenia i służby. Obecnie największym wyzwaniem jest dobór personelu do służby. Pracujemy nad koncepcją, która pozwoli poddawać selekcji i kwalifikacji kandydatów wprost z cywila. Takie rozwiązanie ułatwi nam wybieranie do służby najlepszych.

Gen. dyw. **Piotr Patalong** jest inspektorem wojsk specjalnych Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

ny operacyjne”, mówi płk Szymański. „Od 2008 roku intensywnie współpracowaliśmy z Amerykanami. Przez trzy lata wspierali nas, przekazywali nam nie tylko sprzęt, ale i wiedzę. Dwa razy w roku przyjeżdżali do nas, by uczyć, pomagać i oceniać nasze postępy”, dodaje szef sztabu.

Praktyczne sprawdziany rozpoczęły się w 2012 roku. Na początek, w Centrum Szkolenia Sił Połączonych NATO w Bydgoszczy w trakcie ćwiczeń dowódczo-sztabowych „Puma ’12” potwierdzono osiągnięcie wstępnych zdolności do dowodzenia komponentem sił specjalnych. Kolejny

ważny test odbył się w ubiegłym roku. „To był czas integracji ludzi i sprzętu. Miałem spore obawy, gdy przystępowaliśmy do narodowej certyfikacji dowództwa. Mieliśmy sprzęt, którego nigdy nie testowano na tak dużą skalę. Wyzwaniem było także to, że rozwijaliśmy system łączności na terenie trzech krajów. Ale poszło dobrze. Okazało się, że niewiele rzeczy wymaga poprawy”, przyznaje płk Szymański.

Mimo że ćwiczenia „Cobra ’13” były sprawdzianem narodowym, żołnierzom i polskiemu dowództwu przyglądali się przedstawiciele z do- ➔

w 2009 roku, kiedy ówczesny minister obrony narodowej Bogdan Klich i sekretarz obrony USA Robert Gates podpisali porozumienie o współpracy polskich i amerykańskich sił specjalnych. Na szczeblu dowództwa sił specjalnych USA (USSOCOM) powstał zespół doradczy. Amerykanie raz na pół roku przyjeżdżali do Polski, by doradzać i oceniać nasze postępy.

Zdolności budowaliśmy przez sześć lat. To była trudna droga, ale się udało. Kilka dni temu, w trakcie ćwiczeń „Noble Sword ’14” otrzymaliśmy certyfikat, potwierdzający naszą gotowość do dyżuru w NATO. Ze statusem „combat ready” dołączyliśmy do natowskiej elity: Francji, Hiszpanii, Turcji, USA, Wiel-

kiej Brytanii, Włoch – państw, które już mają takie uprawnienia.

Sukces tym większy, że to trudne zadanie wykonałście dość szybko.

Szybki rozwój umożliwiła nam struktura wojsk specjalnych. Dowodziliśmy jednostkami bojowymi, mieliśmy swój budżet i jasno określoną wizję. Oczywiście pewne umiejętności były już wypracowane, ale mogliśmy swoje potrzeby odpowiednio wcześniej wpisać do planu rozwoju sił zbrojnych. Dzięki temu udało nam się kupić mobilne stanowisko dowodzenia, bezpilotowce, radio-stacje i wiele innych rzeczy. Był też szczegółowo zaplanowany budżet na kursy i szkolenia. W Kwaterze Głównej

Operacji Specjalnych NATO (NSHQ) w Mons polski model dowodzenia siłami specjalnymi stawiano jako wzór dla innych państw.

Czyli profesjonalnie przygotowane dowództwo, z podległymi jednostkami, i na czas pokoju, i na czas wojny. To już przeszłość. Od dziewięciu miesięcy mamy inny stan rzeczy.

Mówię o tym wszystkim nie bez powodu. Autorzy nowego systemu dowodzenia i kierowania siłami zbrojnymi od początku twierdzili, że reforma nie zadziała jak szwajcarski zegarek. A przynajmniej nie na początku. Potrzebny był rok na wychwycenie błędów i usprawnienie systemu. Minęło ➔

wództw operacji specjalnych USA i NATO. „Dzięki tym ćwiczeniom pozyskaliśmy wiele kontaktów zagranicznych, bo umiejętności, które tam zaprezentowaliśmy, przyciągnęły sojuszników”, wyjaśnia oficer z Centrum Operacji Specjalnych. „Dziś rozwija się nasza współpraca z Norwegami, Finami, Holendrami, być może niedługo dołączą do tej grupy Niemcy”, wylicza.

JEDEN CEL, SETKI ŻOŁNIERZY

Ostateczny sprawdzian potwierdzający gotowość do dowodzenia siłami specjalnymi NATO Polacy zdali kilka tygodni temu. Na międzynarodowych ćwiczeniach „Noble Sword '14” w Polsce i na Litwie szkoliło się w sumie 1700 żołnierzy z 15 państw członkowskich NATO (m.in. Chorwaci, Estończycy, Francuzi, Holendrzy, Litwini, Niemcy, Amerykanie). Manewry komandosów odbywały się jednocześnie na kilku poligonach: w Drawsku Pomorskim, Bemowie Piskim, Nadarzycach, litewskiej Rukli oraz nad Zalewem Szczecińskim i Zatoką Pomorską. Podczas natowskiej certyfikacji „Noble Sword '14” były oceniane: Wielonarodowe Dowództwo Komponentu Operacji Specjalnych (stworzone głównie z kadry Centrum Operacji Specjalnych w Krakowie) oraz zadaniowe zespoły bojowe – trzy lądowe (holenderski, litewski oraz polski), morski oraz lotniczy (oba polskie).

Działania zadaniowych zespołów bojowych (żołnierze z Jednostki Wojskowej Komandosów, Formozy i 7 Eskadry Działań Specjalnych) wspierały jednostki lądowe, powietrzne i marynarka wojenna. „Podczas certyfikacji żołnierze działali na wodzie i pod wodą, na lądzie i w powietrzu. Desantowaliśmy żołnierzy, wzywaliśmy wsparcie lotnictwa, operowaliśmy bezzałogowcami i współpracowaliśmy z innymi rodzajami sił zbrojnych”, tłumaczy płk Szymański. Oficer przyznaje, że przebieg ćwiczeń bardzo go usatysfakcjonował. „Byliśmy oceniani przez zespół natowski i wywiąaliśmy się ze wszystkich zobowiązań”.

„Informacja o tym, że nasz zespół będzie pełnił dyżur w NATO dotarła do nas, gdy byliśmy jeszcze na XIII zmianie PKW Afganistan. Już wtedy zastanawialiśmy się, jak ułożyć strukturę zespołu i których ludzi obsadzić na konkretnych stanowiskach. Naszym atutem jest to, że niemal bez przerwy funkcjonujemy w środowisku międzynarodowym”, wyjaśnia dowódca Zespołu Bojowego Jednostki Wojskowej Komandosów i jednocześnie zadaniowego zespołu bojowego, który wkrótce rozpocznie dyżur w Siłach Odpowiedzi NATO. Gdy zespół wrócił z misji, żołnierze od razu rozpoczęli szkolenie. Zadania, do których musieli się przygotowywać, nie były nowością. Operatorzy JWK są gotowi do wykonywania pełnego spectrum operacji specjalnych. Swoje umiejętności nieraz weryfikowali podczas służby na misjach. „To doświadczeni żołnierze, gotowi do działania w każdych warunkach klimatycznych i terenowych. Jeśli będzie taka wola sojuszu, to możemy działać zarówno w tropikach, jak i na Arktyce”, mówi dowódca. Zanim komandosi wyjechali na manewry „Noble Sword '14”, zdali jeszcze egzamin – na ćwiczeniach „Twierdza”, które odbyły się w czerwcu w Żaganii. „Jesteśmy dobrze przygotowani i świadomi, że Siły Odpowiedzi NATO mogą być aktywowane. Przygotowywaliśmy się zgodnie z maksymą: trenuj tak, jakbyś walczył, będziesz walczył, jak trenujesz”.

W trakcie ćwiczeń pracę żołnierzy i dowództwa oceniało 50 oficerów z Dowództwa Operacji Połączonych w Neapolu (JFC), Kwatery Głównej Operacji Specjalnych NATO (NSHQ) oraz Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Weryfikowano umiejętności w pięciu dziedzinach: planowania operacji, kierowania operacją specjalną, zabezpieczenia logistycznego oraz łączności i informatyki. Jakie wnioski wyciągnięto z ćwiczeń? „Najważniejsze są takie, że strukturę Dowództwa Komponentu Operacji Specjalnych zweryfikowano, sprawdzono procedury operacyjne i realizacji zadań przez międzynarodowe dowództwo, zasady działania,

dziewięć miesięcy funkcjonowania w nowej strukturze. Jesteśmy po intensywnych przygotowaniach do ćwiczeń „Noble Sword '14” i po certyfikacji. To czas, w którym wyciągaliśmy wnioski i mamy konkretne propozycje. Będziemy wnosić o konsolidację struktur wojsk specjalnych i mam nadzieję, że nasze sugestie zostaną uwzględnione. Wojska specjalne muszą stanowić spójną strukturę, żeby działać sprawnie i być skutecznym narzędziem systemu bezpieczeństwa państwa, zdolnym do walki z zagrożeniami zewnętrznymi.

Wróćmy do waszej certyfikacji. „Noble Sword '14” były ważnym sprawdzianem. Czy wszystko poszło na piątkę?

Byliśmy oceniani zgodnie z natowskim dokumentem „Special operations forces evaluation” z 2011 roku. Na jego podstawie sprawdzano bardzo dokładnie wszystkie nasze umiejętności w różnych dziedzinach. Dokument zawiera około 1300 zagadnień podzielonych na: planowanie, działania operacyjne, logistykę, łączność i zabezpieczenie działań. Zespół oceniający liczył aż 50 osób, a każda z nich sprawdziła inną dziedzinę wojskową. Możliwości oceny są tylko dwie: „no” lub „go”. Czyli albo coś mamy, albo nie. Nie ma tu ocen pośrednich. Dumny jestem, bo prawie wszystkie z tych zagadnień oceniono pozytywnie. To satysfakcja i osiągnięcie nie tylko wojsk specjalnych, ale także całych Sił Zbrojnych RP.

Tworzymy wielonarodowe dowództwo, delegujemy do dyżuru polskie zespoły bojowe i w końcu pierwszy raz w historii polski generał będzie dowodził wielonarodowym komponentem Sił Odpowiedzi NATO.

Gdy spojrzysz się na sytuację polityczną w Europie, nabiera to szczególnego znaczenia. Zwłaszcza ze świadomością, że wojska specjalne jako pierwsze powinny reagować na nowe zagrożenia.

To osiągnięcie jest wspólnym dziełem moich poprzedników. To była sztafeta dowódców zdeteminowanych, by osiągnąć zamierzony cel. Zresztą ostatnie lata to był taki „rock'n roll” w dowództwie. Jesteśmy przyzwyczajeni do pokonywania przeszkód i problemów. Cel i wizja końcowa zawsze nas jednoczyły i motywowały do dalszego działania.

KOMENTARZ

WIESŁAW KUKUŁA



Dziś głównym kryterium jakości jednostek specjalnych jest doświadczenie bojowe. W trakcie standaryzacji szkolenia i wyposażenia bardzo dobrych operatorów wyróżniają doświadczenie bojowe i umiejętności z tego wynikające. W rozpoczynającym się etapie funkcjonowania jednostek po misji afgańskiej ważne jest zadbanie o dwie sprawy. Pierwsza jest związana z przekazaniem i utrzymaniem zdobytych doświadczeń, druga to dbanie o to, by „miecz w pochwie nie rdzewiał”. Zaangażowanie zespołów bojowych w Siły Odpowiedzi NATO jest dobrą okazją wykorzystania zdobytych doświadczeń w kontekście obecnych wyzwań obrony państwa. Jest to też misja o znaczeniu historycznym – nigdy wcześniej żaden Polak nie dowodził komponentem bojowym na tak wysokim szczeblu. Poza tym dowództwo komponentu jest zdominowane przez polskich oficerów.

Plk **Wiesław Kukuła** jest dowódcą
Jednostki Wojskowej Komandosów.

a także zdefiniowano możliwości dowództwa komponentu. Najważniejszy wniosek jest jeden – międzynarodowa certyfikacja została oceniona bardzo wysoko”, podkreśla inspektor wojsk specjalnych gen. dyw. Piotr Patalong.

DYŻUR W NATO

W styczniu 2015 roku Wielonarodowe Dowództwo Komponentu Operacji Specjalnych oraz podporządkowane mu zespoły bojowe rozpoczną dwunastomiesięczny dyżur. Jaki on będzie? „Obserwujemy sytuację geopolityczną, rozmawiamy ze specjalistami w NATO i wiemy, że ten dyżur może znacząco różnić się od poprzednich. Jesteśmy gotowi na nowe wyzwania. Pytanie tylko, czy będziemy działać operacyjnie, czy szkolenio-

wo. Ale tę decyzję podejmuje rada sojuszu”, wyjaśnia płk Marcin Szymański. Oficer zwraca uwagę na jeszcze inne aspekty: „Osiągnięcie wojsk specjalnych jest sukcesem całych sił zbrojnych. Po raz pierwszy w historii polski generał będzie natowskim dowódcą komponentu sił specjalnych. Dołączyliśmy do elitarnego klubu państw, które mają takie możliwości. Teraz nasz głos jest słyszalny na arenie międzynarodowej. Możemy na forum wypowiadać swoje opinie, a te będą brane pod uwagę”. Jako państwo ramowe w dziedzinie operacji specjalnych Polska stała się znaczącym graczem. I tak jak kiedyś wspierali nas Amerykanie, tak teraz to Polacy są mentorami dla Litwinów, Czechów, Słowaków, Węgrów, Chorwatów i Gruzinów. ■

Jakie wyzwania czekają Pana żołnierzy podczas rocznego dyżuru?

Zespoły bojowe mogą wykonywać operacje od rozpoznania, akcji bezpośrednich, przez szkolenie lokalnych sił, do ewakuacji obywateli. Zadaniem dowództwa będzie zaplanowanie i przeprowadzenie tych działań.

Mam świadomość, że podejmujemy dyżur w szczególnych uwarunkowaniach politycznych. Na różnych konferencjach międzynarodowych i spotkaniach z żołnierzami sił specjalnych z NATO słyszę, że rok 2015 będzie przełomowy dla Sił Odpowiedzi NATO. W obecnych uwarunkowaniach możemy się spodziewać różnych scenariuszy.

W jakich regionach świata możecie operować?

Nie mówmy o konkretnych kierunkach. Będziemy tam, gdzie nasza obecność okaże się potrzebna.

Jaki macie czas na osiągnięcie pełnej gotowości?

Jesteśmy w stanie zareagować w ciągu kilku dni. Musimy być przygotowani do wykonywania zadań w każdym zakątku świata i we wszystkich warunkach klimatycznych. Proszę pamiętać, że wielonarodowy komponent operacji specjalnych to nie tylko dowództwo, ale i zespoły bojowe.

Kto oprócz Polaków będzie trzymał dyżur?

W 75% w gotowości będą Polacy. Tworzymy trzon dowództwa komponentu, ale razem z nami mają w nim służyć

żołnierze wojsk specjalnych z: Chorwacji, Estonii, Holandii, Litwy, Norwegii, Słowacji, Turcji i Węgier. Z większością z nich pracujemy na co dzień i mamy do siebie zaufanie. Oprócz tego do dyżuru wystawiamy trzy polskie zespoły bojowe: lądowy, morski i powietrzny. Pozostałe dwa tworzą Holendrzy i Litwini.

Czy „Noble Sword” były ostatnim sprawdzianem przed dyżurem?

Przed nami jeszcze jeden test – ćwiczenia sztabowe, w których wezmą udział wszystkie dowództwa komponentów Sił Odpowiedzi NATO zestawu 2015. ■

GEN. BRYG. JERZY GUT JEST
DOWÓDCĄ CENTRUM OPERACJI
SPECJALNYCH – DOWÓDZTWA KOM-
ONENTU WOJSK SPECJALNYCH.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

DYWERSANCI W SIECI

Ciszę przeszywają dwa strzały.
Dla sekcji szturmowych
to sygnał do akcji.

Wchwili, w której dwie pary snajper-
skie zdejmują czujki, z lasu wyłania
się pierwsza grupa komandosów.
Niepostrzeżenie przemieszczają się
w stronę budynku, po czym zajmują pozycję przy
wejściu. Dalej sytuacja rozgrywa się błyskawicz-
nie. Miner podkłada ładunek pod drzwi, sekundę
później następuje detonacja. Zanim latające w po-
wietrzu drzazgi zdążą opaść na ziemię, operatorzy
są już w środku budynku. Błysk, huk, kilka kolej-
nych błysków. Słychać krótkie urywane strzały, na-
stępny wybuch. Pomieszczenie zostaje oczyszczo-
ne w mniej niż 10 s. Cele, które stanowiły zagroże- →





nie, zostały wyeliminowane, a pozostali dywersanci skrepowani. Strat własnych brak.

Po opanowaniu kompleksu przychodzi czas na pracę dokumentacyjną i wywiadowczą. Wszystko, co uda się znaleźć, może mieć niebagatelne znaczenie, dlatego zadaniem specjalsów jest również zebranie materiału dowodowego. Przywódcy grup dywersyjnych często mają przy sobie korespondencję, listę powierzonych im zadań, informacje dotyczące działań współpracujących z nimi osób. Przechwycone dane będą przydatne nie tylko przy określaniu kolejnych celów, posłużą także jako dowód przed sądem. Działanie takie jest standardową procedurą i skutecznie odstrasza ewentualnych nąśladowców. Jest to dla nich jasny komunikat – jeżeli z nami zadrzesz i będzie ci dane przeżyć, reszta życia spędzisz w więzieniu.

IGŁY W STOGU SIANA

Zadanie drugiej grupy, działającej w znajdującym się w pobliżu magazynie, ma odmienny charakter. Pod jedno z wejść podejżdżają cywilne pick-upy. Wsiadają z nich żołnierze oraz wywiadowcy, którzy od kilku dni jednocześnie z grupami snajperskimi działali pod przykrywką. Według wywiadu dywersanci z państwa ościennego szykowali się do przerzutu nie tylko ludzi, lecz także broni, w tym wyrzutni przeciwlotniczych typu Igła. Miały one posłużyć do działań terrorystycznych, których celem byłyby polskie samoloty. W czasie obserwacji potwierdzono, że broń przez cały czas znajduje się w tym samym miejscu co terroryści. Specjaliści wiedzą jednak, jak ją zabezpieczyć. Niezbędne doświadczenie zdobyli na misjach w Iraku i w Afganistanie.

Po szybkim zajęciu dachu budynku i rozstawieniu operatorów na odpowiednich pozycjach, do gry wchodzi robot pirotechniczny Talon. Istnieje ryzyko ukrytych zagrożeń, na przykład improwizowanych urządzeń wybuchowych (IED), dlatego przed wkroczeniem minierów należy dokładnie zbadać teren. Pakunki w jednym z pomieszczeń wydają się operatorom podejrzane. Dzięki robotowi zyskują oni pewność, że nie są w żaden sposób zabezpieczone. Po zebraniu materiału dowodowego saperzy wynoszą znalezione sprzęt na pobliską polanę i go detonują.

WSPARCIE Z POWIETRZA

Niewiele akcji specjalnych odbyło się bez wsparcia lotnictwa, niezastąpionego w działaniach na wrogim terenie. Tym razem osłonę z powietrza zapewniają Mi-24. Te maszyny są w polskiej armii już wiele lat, ale wciąż cieszą się uznaniem pilotów i żołnierzy. Przewyższają zwrotnością AH-64 Apache, czego nieraz dowiodły podczas służby w polskim kontyngencie wojskowym. Tym razem Mi-24 stanowią tylko część wsparcia. Nad głowami operatorów czuwają również myśliwce F-16. Nie tylko monitorują ruch

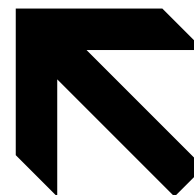


MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

dywersantów, lecz także w każdej chwili mogą służyć olbrzymią siłą ognia. Wróg o ich obecności dowiaduje się w momencie, gdy niezidentyfikowane pojazdy zaczynają się zbliżać do komandosów zabezpieczających teren. Od meldunku złożonego przez radio do likwidacji zagrożenia mija niespełna kilkadziesiąt sekund. Tuż nad bezpośrednie wsparcie lotnicze (Close Air Support – CAS). Z pojazdów przeciwnika pozostają zgliszcza. Wysunięty nawigator naprowadzania lotnictwa (Joint Terminal Attack Controller – JTAC) potwierdza porażenie celów i koordynuje dalsze wsparcie.

Po wyprowadzeniu schwytanych dywersantów z budynku komandosi udają się na wcześniej ustalone pozycje. Zielona flara to sygnał dla pilotów, że działania naziemne dobiegły końca i czas wracać do bazy. Chwilę po jej odpaleniu na pobliskiej polanie lądują Mi-17. Pod osłoną strzelców pokładowych, wśród targanych przez wirniki traw, żołnierze biegną do otwartych luków. Widok przypomina obrazki znane z filmów dokumentalnych o Wietnamie. Ledwie ostatni człowiek wchodzi na pokład, śmigłowce wzbijają się w powietrze i odlatują. Akcja trwała 20 min.

Ludzie odpowiedzialni za przeprowadzenie operacji „Spider” to grupa bojowa C „Parasol” z lublinieckiej Jednostki Wojskowej Komando-



ŻOŁNIERZOM WOJSK SPECJALNYCH osłonę z powietrza w czasie ćwiczeń „Noble Sword” zapewniły śmigłowce Mi-24.



LUDZIE ODPOWIEDZIALNI ZA PRZEPROWADZENIE **OPERACJI „SPIDER”** TO GRUPA BOJOWA C „PARASOL” Z JEDNOSTKI WOJSKOWEJ KOMANDOSÓW

sów. 1 Pułk Specjalny (nazwa jednostki obowiązująca do 2011 roku) został powołany już w 1993 roku. Sekcje kultywują tradycje baonów wchodzących w skład Armii Krajowej oraz Szarych Szeregów.

Podczas międzynarodowych manewrów specjalnych „Noble Sword 2014” można było ich zobaczyć w akcji. Opisane wydarzenia to tylko część ćwiczeń, ale i tak pokazują wysoki poziom wyszkolenia operatorów oraz ich zdolności bojowe. To właśnie dzięki profesjonalizmowi między innymi JWK, Polska znalazła się wśród siedmiu państw ramowych, których wojska specjalne wchodzi w skład komponentu sił specjalnych NATO – nad nim od 1 stycznia 2015 roku obejmujemy dowodzenie. Odbywająca się we wrześniu certyfikacja była monitorowana

przez dowódców najwyższego szczebla. W centrum operacyjnym wraz z dowódcą JWK płk. Wiesławem Kukułą pracę komandosów nadzorował dowódca sił specjalnych NATO gen. broni Marshall Webb, dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych gen. broni pil. Lech Majewski oraz wiceminister obrony Maciej Jankowski.

Spektakularna operacja „Spider” robiła ogromne wrażenie na obserwatorach, ale dla operatorów Jednostki Wojskowej Komandosów jest to chleb powszedni. Lata ciężkiego treningu przygotowały ich do walki w każdym terenie. Większość czynności wykonują automatycznie, gdyż w ich pracy nie ma miejsca na wahanie czy ekscytację. Przez cały czas obowiązuje za to absolutna koncentracja na powierzonych zadaniach. ■

Panie Generale, program modernizacji technicznej został chyba nieco wyhamowany. Przypatrując się terminarzowi na lata 2013–2022, dotyczącemu wojsk lądowych, trudno nie zauważyć sporych opóźnień.

Plan modernizacji technicznej sporządza się na dekadę. Przed rozpoczęciem wdrażania programu również opracowano harmonogram, który z czasem był modyfikowany ze względu na czynniki od nas niezależne. Pogorszenie stanu bezpieczeństwa w naszym regionie przyspieszyło między innymi kilka postępowań, takich jak pozyskanie wyrzutni rakietowych Homar, bezałogowych statków powietrznych, śmigłowców uderzeniowych czy pocisków manewrujących AGM-158 JASSM. Były też w planie pozycje, które się opóźniają. Pracujemy nad jak najlepszym dla sił zbrojnych oraz możliwie najszybszym rozwiązaniem. Rozumiem, oczywiście, niecierpliwość opinii publicznej w tej sprawie, ale na całym świecie zdarzają się w tej dziedzinie poślizgi. Wystarczy spojrzeć na opóźnienia w takim sztandarowym projekcie amerykańskich sił powietrznych, jak samolot F-35. W wypadku naszych programów zmiany w terminarzach są dokonywane niekiedy z winy przemysłu, a czasem instytucji wojskowych.

Przejdźmy więc do konkretów. Zaczniemy od czołgów Leopard 2A4. W 2014 roku powinna zostać opracowana partia próbna wozów Leopard 2PL, a od 2015 roku miały one sukcesywnie trafić do poszczególnych kompanii 10 Brygady Kawalerii Pancerniej. Tymczasem kilka tygodni temu minister Tomasz Siemoniak przyznał, że na razie z modernizacji nici, bo polskie firmy nie potrafią się dogadać. Te zaś twierdzą, że to wina armii, która zażyczyła sobie „złotych klamek”, i że one mają związane ręce, bo niemieckie firmy nie chcą się dzielić „know-how”.

Podczas tegorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach miałem okazję spotkać się z przedstawicielami obu niemieckich firm, które mają prawa do modernizacji leopardów, czyli KMW i Rheinmetalla. Nie odniosłem wówczas wrażenia, że nasi zachodni partnerzy mieli problemy z transferem technologii. Dowodem na to jest na przykład podpisane na tar-

gach porozumienie – właśnie na remont silników do leopardów – między Wojskowymi Zakładami Motoryzacyjnymi z Poznania a MTU.

A co ze „złotymi klamkami”? Może rzeczywiście wymyśliście takie wymagania dla czołgów Leopard 2PL, że polski przemysł nie jest w stanie im sprostać?

Mogę zagwarantować, że wymagania, które postawiliśmy wobec zmodernizowanego leoparda 2, nie przekraczają możliwości naszych firm, choć to prawda, że po część rozwiązań będą one musiały sięgnąć do partnerów zachodnich.

To skąd wspomniane już opóźnienie?

W jednym czasie miało miejsce kilka przedsięwzięć. Przeprowadzano na przykład konsolidację polskiego przemysłu obronnego. Wiązała się ona ze zmianą podporządkowania podmiotów, które startowały w przetargu na modernizację leopardów. Gdy zaczynało się postępowanie, były one konkurentami, a w jego trakcie część znalazła się w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, a część trafiła tam do końca roku. Dlatego pewne komplikacje.

Czyli program modernizacji leopardów nie jest zagrożony?

Mówiąc językiem młodzieżowym, ta kilkunastomiesięczna „obsuwa” nie jest dużym zagrożeniem. Jesteśmy po spotkaniu przedstawicieli pionu sekretarza stanu, polskiego przemysłu i już kierownictwa Polskiej Grupy Zbrojeniowej i wierzę, że jest możliwe rozpoczęcie modernizacji czołgów Leopard 2A4 w 2015 roku.

Modernizowane będą wszystkie czołgi Leopard 2? Także te kupione wraz ze 105 sztukami w wersji 2A5?

Jest przewidziana modernizacja zarówno 128 czołgów Leopard 2A4, które już są w szyku, jak i 14 dodatkowych, które kupiliśmy w grudniu 2013 roku z wozami Leopard 2A5. Program zakłada, że pierwszych dziesięć czołgów Leopard 2A4 będzie unowocześnianych u kontrahenta, który dostarczy technologię, a wszystkie pozostałe zostaną zmodernizowane wyłącznie w kraju.

Kiedy podpisywaliśmy dziesięć lat temu umowę na dostawę kołowych transporterów opancerzonych Rosomak, zamówiliśmy dziewięć



SZCZEPAN GLUSZCZAK

Pośpiech nie jest wskazany

Z Mirosławem Różańskim o programach modernizacyjnych, realizowanych na potrzeby wojsk lądowych, rozmawia Krzysztof Wilewski.

Przemysł ma świadomość, że jeżeli ocenimy, iż któryś z projektów nie jest realizowany tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, to damy czerwoną kartkę

wersji specjalistycznych. Dziś w linii mamy kilka, w tym przede wszystkim bojową, z wieżą Hitfist 30P, i wóz ewakuacji medycznej. Kiedy doczekamy się wreszcie wozów dowodzenia, rozpoznawczych, inżynierskich czy z wieżami bezzałogowymi?

Niedobrze jest obecny stan rzeczy odnosić tylko do przeszłości i szukać niedoskonałości wyłącznie u poprzedników. Nie chciałbym tego robić. Rosomaki, które weszły do szyku na przełomie roku 2005 i 2006, to był pierwszy tak złożony program. Dziś nikt nie ma chyba wątpliwości, że ówczesna umowa nie była doskonała. Jednak na przestrzeni lat kolejni wiceministrowie, szczególnie gen. Waldemar Skrzypczak, doprowadzili do tego, że do rosomaków mamy większe prawo niż na początku.

Opóźnienia wynikają zatem tylko ze złej umowy?

Zdecydowanie nie. Problemy wiązały się również z systemem pozyskiwania sprzętu wojskowego i z tego, że w jednym ręku była skupiona odpowiedzialność za definiowanie wymagań operacyjnych i gestorstwo. Proszę zauważyć, że w dwóch wypadkach, kiedy te kompetencje były rozdzielone, proces pozyskiwania przebiegał bez zakłóceń. KTO bojowe – gestor wojska lądowe, i wozy ewakuacji medycznej – gestor Inspektorat Wojskowej Służby Zdrowia. W wyniku przeprowadzonej reformy systemu kierowania i dowodzenia dokonano rozdziału tych kompetencji. Dziś wymagania operacyjne określa Sztab Generalny Wojska Polskiego, a gestorstwem zajmuje się Dowództwo Generalne Rodzajów

Sił Zbrojnych. Ta sytuacja ożywi rozwój i dostawy wersji specjalistycznych.

Kiedy zatem do linii trafią wozy ewakuacji technicznej? Co z wersjami rozpoznawczymi rosomaka i z rozpoznania chemicznego?

Trwają prace rozwojowe nad wersjami specjalistycznymi. Chcemy, aby rosomak w każdej wersji był jak najbardziej produktem polskim, ponieważ zależy nam na udziale w tym projekcie polskiego przemysłu i polskiej nauki. Planowany termin dostaw wozów pomocy technicznej to 2016 rok, a wersji rozpoznawczych – 2017 rok.

Ze wszystkich specjalistycznych wersji rosomaka dziś chyba najdalej nam do tej najbardziej potrzebnej, czyli wozu dowodzenia. Jego opracowanie jest bowiem ściśle powiązane z wprowadzeniem do służby w wojskach lądowych sieciocentrycznego systemu wsparcia dowodzenia typu C4ISR, nazywanego BMS. Jego zaś również nie potrafimy kupić od kilku lat.

Po pierwsze, zostały już rozstrzygnięte pewne złożone kwestie, które towarzyszyły temu programowi od kilku lat. Ich charakter natomiast jest niejawnym, dlatego nie mogę mówić o szczegółach. Po drugie, pan minister Czesław Mroczek zdynamizował prace nad pozyskaniem BMS. Był w polskich firmach, które mają możliwości pracy nad nim, oraz w brygadzie, do której BMS trafi do testów. Teraz, ponieważ jesteśmy już przekonani, że nasz przemysł może stworzyć taki system, trwają przygotowania do rozpoczęcia procedury jego pozyskania.

Co to oznacza w praktyce?

Kończy się proces oceny pod kątem istotnego interesu bezpieczeństwa państwa. W wypadku pozytywnego rozstrzygnięcia będzie można kupić BMS w ramach zamkniętego przetargu. Aby jednak nabyć sprzęt i uzbrojenie w tym trybie, musi być wydana, zgodnie z decyzją ministra obrony narodowej, stosowna rekomendacja, której opracowanie zajmuje trochę czasu.

Dlaczego?

Nie jest to decyzja podejmowana autorytatywnie. Musi się na ten temat wypowiedzieć wiele instytucji, w tym gestorzy, Departament Polityki Zbrojeniowej, Inspektorat Uzbrojenia, a w wypadku BMS także Służba Kontrwywiadu Wojskowego oraz Narodowe Centrum Kryptologii. Musimy bowiem zdać sobie sprawę, że BMS, choć przede wszystkim jest przeznaczony dla kołowych transporterów opancerzonych, to z czasem będzie również na wszystkich środkach walki w naszej armii. Znajdzie się zatem w wojskach zmotoryzowanych, zmechanizowanych, na czołgach i w artylerii. To będzie system systemów, który będzie absorbował dane z innych systemów, segmentów. Reasumując, będzie systemem całych sił zbrojnych.

Kiedy więc zostanie ogłoszony przetarg na pozyskanie BMS?

Mamy już opinie wszystkich „graczy”, dlatego myślę, że w czwartym kwartale powinniśmy znać rozstrzygnięcie, dotyczące oceny BMS pod kątem istotnego interesu →

bezpieczeństwa państwa, którego określenie jest takim ostatnim progiem przed rozpoczęciem procedury pozyskiwania sprzętu.

Tyle rozmawiamy o problemach, więc teraz o programie „Tytan”, polskiego żołnierza przyszłości, w wypadku którego udało się niedawno przełamać trwający kilkanaście miesięcy impas. Dlaczego tak długo trwały negocjacje w sprawie uruchomienia kolejnej fazy pracy badawczo-rozwojowej?

Trudno byłoby przedsięwzięcie zaplanowane z takim rozmachem i budżetem negocjować przez kilka tygodni. To byłoby wysoce nieodpowiedzialne. Tym bardziej że, jak się wszyscy orientują, konsorcjum, które przygotowało projekt i będzie później produkowało tytana, składa się z kilkunastu podmiotów. Rozmowy z tyłoma zainteresowanymi firmami musiały trochę potrwać.

Nie ma Pan wrażenia, że porywamy się na projekt tak ambitny, że może nam się nie udać?

Fakt, projekt jest bardzo śmiały, jest wielkim wyzwaniem. Spójrzmy jednak na to z innej strony. W razie powodzenia, polski przemysł będzie miał do zaoferowania wysoce konkurencyjny i atrakcyjny produkt, więc warto spróbować. Oprócz tego, dlaczego nie mamy sobie wyznaczyć pewnego poziomu wybiegającego znacznie do przodu? Dlaczego przyjmować coś, co w perspektywie 15 lat będzie mocno nieaktualne? System ma funkcjonować tak, by można go konfigurować zgodnie z planowaną misją i zadaniami.

Ale dopiero za trzy lata, bo na tyle przewidziano prace badawcze, dostaniemy odpowiedź na pytanie, czy to się uda. Armie na świecie upraszczają takie systemy, a nie rozbudowują do monstrualnych rozmiarów.

Kto nie podejmuje ryzyka, ten nie wygrywa. Mamy kontrolę nad każdym etapem rozwoju projektu. Udział w misjach i operacjach poza granicami kraju zdecydowanie odmienił indywidualne wyposażenie żołnierza na polu walki. Tytan to konsekwentna ewolucja tych doświadczeń.

Jednak zgodzi się Pan, że sporo było już w naszej historii ambitnych programów badawczo-rozwojowych, które kosztowały kolosalne pieniądze, a nie przyniosły rezultatów w postaci wdrożonego do służby sprzętu i uzbrojenia.

Musimy wyciągać wnioski z negatywnych doświadczeń. Jeżeli chodzi o badania, to sekretarz stanu powołał w 2014 roku zespoły, które monitorują prace badawczo-rozwojowe prowadzone w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju lub przez instytuty, będące w naszej jurysdykcji. Nie czekamy więc beczynnianie na ich efekt końcowy. Jeden z wykonawców został na przykład wezwany i dostał żółtą kartę od MON za to, że zamówienie nie jest realizowane tak, jakbyśmy oczekiwali.

Czy jest możliwa czerwona kartka?

Oczywiście, że tak. Przemysł ma pełną świadomość tego, że jeżeli ocenimy, iż któryś z projektów nie jest realizowany tak, jakbyśmy sobie tego życzyli, to damy czerwoną kartkę. Bo to jest absolutnie konieczne. My poważnie traktujemy polski przemysł i instytucje naukowo-badawcze oraz oczekujemy tego samego z drugiej strony.

Jeśli chodzi o programy modernizacyjne dla wojsk lądowych, chyba najwięcej dzieje się w artylerii i wojskach raketowych, dla których zaplanowano aż cztery programy: „Krab”, „Kryl”, „Rak” i „Homar”. Niestety, w tym pierwszym, najbardziej zaawansowanym, nie dzieje się zbyt dobrze. W działach wykryto mikropęknięcia. Czy ten projekt jest zagrożony?

Musimy zdać sobie sprawę z tego, że w odniesieniu do programu „Regina” mówimy o dwóch częściach armatohaubicy Krab – segmencie bojowym i podwoziu. Jeżeli chodzi o kwestie segmentu bojowego, dotychczasowe opinie, wnioski z badań są pozytywne. Odbyłem niedawno spotkanie z gestorem sprzętu, czyli szefem zarządu wojsk raketowych i artylerii. Przedstawił on wyniki wznowionych badań eksploatacyjno-wojskowych, które w dużej mierze służą tworzeniu procedur związanych z wykonywaniem zadań ogniowych. Tu są oceny bardzo wysokie. Niepokojące są natomiast sygnały związane z nośnikiem przedziału bojowego, czyli zaoferowanym przez producenta podwoziem.

Mikropęknięcia w podwoziach wykryto miesiąc temu i producent krabów nie potrafi poradzić sobie z wykonaniem nowych. Czy jest możliwy taki wariant, że kupimy inne podwozia do krabów?

Trwają analizy rozwiązań oraz są prowadzone rozmowy z różnymi podmiotami przemysłu obronnego. W najbliższych dniach przedstawimy rozwiązanie problemu podwozi do krabów, które, i to mówię z całą odpowiedzialnością, nie wpłynie istotnie na przyjęte terminy dostaw modułów dywizyjnych haubic do polskiego wojska.

A co ze 120-milimetrowym moździerzem samobieżnym Rak, który zgodnie z terminarzem projektu badawczo-rozwojowego powinien zostać przekazany do prób eksploatacyjno-wojskowych pod koniec września?

Trwają w tej chwili badania kwalifikacyjne, mające na celu sprawdzenie zgodności sprzętu z wymaganiami określonymi w założeniach taktyczno-technicznych. Jeśli wynik będzie pozytywny, zostanie podpisana umowa na dostawy kompanijnych modułów ogniowych. Jeżeli wszystko odbędzie się zgodnie z harmonogramem, to powinno to nastąpić w 2015 roku. ■

GEN. DYW. MIROSLAW RÓŻAŃSKI JEST RADCA
Koordynatorem Sekretarza Stanu
w Ministerstwie Obrony Narodowej.

PLUT. MARCIN GACZYŃSKI

ZAJMOWANE STANOWISKO: DOWÓDCA
OBSŁUGI – STARSZY MECHANIK.
JEDNOSTKA WOJSKOWA: 17 WIELKOPOLSKA
BRYGADA ZMECHANIZOWANA.

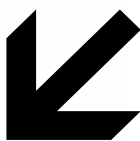
DATA I MIEJSCE URODZENIA: 27 stycznia 1983 roku, Rydułtowy (woj. śląskie).

W WOJSKU SŁUŻY OD: 2005 roku.

TRADYCJE WOJSKOWE: brak – pierwszy żołnierz zawodowy w rodzinie.

EDUKACJA WOJSKOWA: ukończyłem szkolenie Warrior Leader Course w Grafenwoehr w Niemczech, specjalistyczny kurs językowy w Defense Language Institute w Lackland Air Force Base w Teksasie. W 2010 roku w Fort Benning w Stanach Zjednoczonych zaliczyłem kurs podoficerów piechoty oraz szkolenie z walki wręcz. Oprócz tego w Polsce ukończyłem kilka kursów z dziedziny logistyki.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:
BYCIE PRZY NARODZINACH CÓRKI.



ODZNACZENIA: 2005 rok – Wzorowy Żołnierz, 2009 – odznaka 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej, 2010 – Distinctive Infantry School Emblem, 2011 – odznaka „Zasłużony Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej”, III stopień (brązowa).

NAJLEPSZA BRŃ: 5.56 kbs Beryl.

GDYBYM MÓGŁ ZMIENIĆ COŚ W WOJSKU: zmieniłbym sprzęt, którego używamy, na nowszy.

CO ROBIĘ PO SŁUŻBIE: spędzam czas z rodziną. Jestem także członkiem sekcji modelarskiej (głównie modelarstwo zdalnie sterowane RC), oprócz tego biegam na orientację oraz jeżdżę rowerem MTB.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE: zdobycie tytułu „Podoficer 2013 roku 17 WBZ” oraz udział w 2010 roku w kursie dla podoficerów piechoty w Fort Benning w USA.

NIEZAPOMNIANY FILM: „Jestem legendą” i „Władca Pierścieni”.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ: odniesienie do barw i symboli narodowych.

GDYBYM NIE ZOSTAŁ ŻOŁNIERZEM, BYŁBYM DZIŚ: z wykształcenia jestem technikiem elektrykiem, najpewniej pracowałbym w swoim zawodzie.

MOJA KSIĄŻKA ŻYCIA: „WŁADCA PIERŚCIENI”. ZAWSZE SCEPTYCZNIE PODCHODZIŁEM DO TEGO TYPU OPowieści, ALE TA MOCNO MNIE WCIĄGNĘŁA.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO: ZAWSZE CHCIAŁEM ZROBIĆ COŚ POZYTECZNEGO DLA KRAJU, A SŁUŻBA WOJSKOWA TO NAJLEPSZY SPOsÓB, ABY WYRAZIĆ SwoJE ODDANIE, PATRIOTYZM ORAZ POŚWIĘCENIE.

PAULINA GLIŃSKA,
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Dwanaście lat minęło

Choć o limitowanym okresie służby szeregowych mówi się już od pięciu lat, to wciąż temat wywołuje wiele emocji.

Przepisy regulujące długość służby żołnierzy najniższego w wojsku korpusu wprowadzono w 2009 roku. W ustawie pragmatycznej zapisano wówczas, że szeregowy zawodowy może służyć maksymalnie 12 lat. Od tamtego czasu przepisy się nie zmieniły, stała jest też długość kontraktów podpisywanych z żołnierzami. Dlaczego więc emocje wokół tego tematu nie słabną? Ostatnio nagłośniono fakt, że do 2022 roku z armii odejdzie ponad 34 tys. wojskowych. Bijący na alarm publicyści nie wspomnieli jednak, że na ich miejsce wojsko przyjmie następnych mundurowych. Co mówią liczby? Według najnowszych danych resortu obrony, do końca 2014 roku mundur zdejmie 800 szeregowych. Zgodnie z prognozami w służbie ma pozostać 43 tys. żołnierzy tego korpusu.

W KONTRAKTACH BEZ ZMIAN

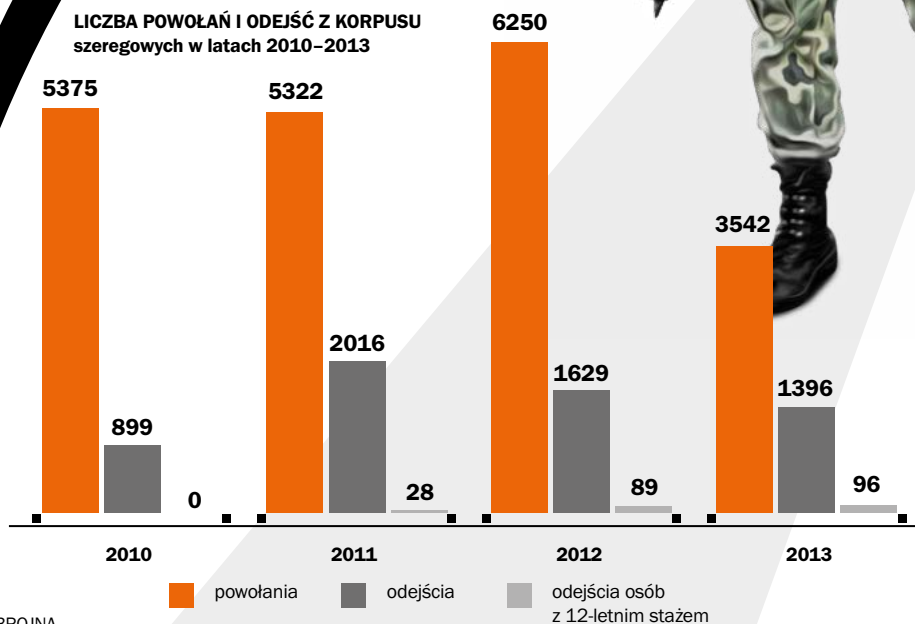
„Jestem starszym szeregowym, w tym roku kończy mi kontrakt. Proszę mi powiedzieć, dlaczego żołnierz z taką wysługą jak moja, po udziale w dwóch misjach w Afganistanie, zdobytym na własny koszt wykształceniu, musi odejść z wojska? To niesprawiedliwe, że moje miejsce zajmie ktoś, kto doświadczeniem w żaden sposób nie jest mi w stanie dorównać”. „Armia potraktowała

nas jak śmieci. Jeździłem na misje do Kosowa i Iraku. Miałem piątki z opiniowania i zero zwolnień lekarskich. Teraz chcą mnie zwolnić w obawie, że ucieknę ze świadczeniami po 15 latach służby. Przecież nigdy nie deklarowałem, że interesuje mnie tylko 15 lat pracy”. To przykładowe głosy rozżalonych szeregowych, którzy w najbliższym czasie rozstaną się z wojskiem.



Tylko 12 lat

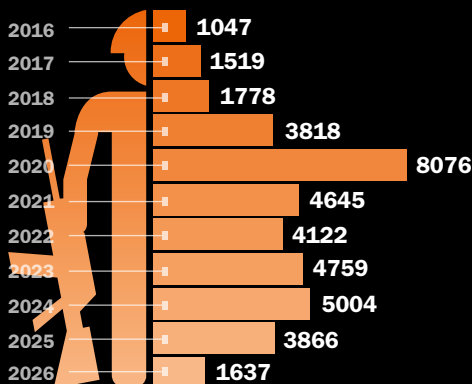
Do 12-letniego okresu służby wlicza się także: służbę zasadniczą i nadterminową oraz pracę w Policji, Straży Granicznej, Biurze Ochrony Rządu, Państwowej Straży Pożarnej, Służbie Więziennej, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służbie Wywiadu Wojskowego, Służbie Kontrwywiadu Wojskowego lub Urzędzie Ochrony Państwa.



Najwięcej zastrzeżeń budzi to, że z armią żegnać się muszą żołnierze, którzy już służyli, gdy zmieniono przepisy o służbie kontraktowej. Okazało się, że ci, którzy mają za sobą służbę zasadniczą, nadterminową i zawodową, będą – po osiągnięciu 12 lat stażu – automatycznie przechodzić do cywila. Kilka tygodni temu na jednym z portali społecznościowych powstał profil „Nie dla 12 lat służby”. Strona gromadzi szeregowych, którzy nie zgadzają się z polityką resortu. Robert, jeden z internautów skupionych wokół tego profilu, pisze: „Kiedy zatrudniałem się w 2008 roku, nie było mowy o 12 latach służby kontraktowej. Dopiero dwa lata później uchwalono zmiany w ustawie. Prawo działa wstecz, gdy jest to korzystne dla państwa!”. Rozgoryczenie szeregowych można zrozumieć: związali swoje plany z wojskiem, poświęcili dla armii kilka lat, ryzykowali zdrowiem i życiem, jeżdżąc na misje. Ale pojawia się jedna wątpliwość: dlaczego podpisywali kolejne kontrakty, skoro wiedzieli o ograniczonym czasie swojej służby?

Publikowane w internecie posty niemal bliźniaczo przypominają listy, jakie regularnie przychodzą do redakcji „Polski Zbroj-

LICZBA SZEREGOWYCH ZAWODOWYCH, którym upływa 12-letni okres służby wojskowej w latach 2016–2026, według stanu na 15 września 2014 roku



**ZASADA
JEST
PROSTA:
W WOJSKU
ZOSTAJĄ
NAJLEPSI**



nej”. W każdym z nich żołnierze przywołują argumenty, które mają przekonać decydentów do dłuższej służby. Szeregowi powołują się na doświadczenie, dobre wykształcenie czy bojowe umiejętności wyniesione z misji zagranicznych. Wliczają też specjalistyczne kwalifikacje: zdolność do obsługi wojskowego sprzętu oraz ukończenie kursów finansowanych przez armię. Nierzadko przypominają też, że zwolnienie doświadczonych żołnierzy będzie generować dla resortu dodatkowe koszty związane z zatrudnieniem i wykształceniem ich następców. „To będzie miało konsekwencje dla wszystkich. My, jako byli żołnierze, będziemy musieli szukać pracy w cywilu, a brak doświadczenia nowych szeregowych przed czy później odczują dowódcy w jednostkach. Problem się nie skończy, bo za kilka lub kilkanaście lat nasi następcy podzielą nasz los”, piszą żołnierze.

St. szer. Tobiasz Morański, przewodniczący Kolegium Mężów Zaufania Korpusu Szeregowych, przyznaje, że coraz częściej dostrzega zaniepokojenie żołnierzy swojego korpusu. „Do tej pory problem był poruszany przede wszystkim podczas spotkań środowiskowych z szeregowymi w jednostkach oraz na posiedzeniach i zgromadzeniach mężów zaufania. Ostatnio jednak pojawiły się również e-maile oraz telefony bezpośrednio od szeregowych z jednostek wojskowych”.

Czego obawiają się żołnierze? „Być może błąd został popełniony przez obie strony już kilka lat temu. Kandydaci na żołnierzy, w większości młodzi ludzie, dla których praca w wojsku była pierwszym poważnym zobowiązaniem w karierze, nie myśleli wtedy o tym, co będzie za 12 lat, jeśli nie uda im się przejść do wyższego korpusu. To się zmieniło, gdy założyli rodziny.

Nagle się okazało, że wojsko to dobry pracodawca, że stabilna praca w armii daje poczucie bezpieczeństwa, a cywilny rynek napawa przerażeniem”, tłumaczy →

Ostra selekcja

Służba kontraktowa w korpusie szeregowych zawodowych ma pomóc wyselekcjonować najlepszych. Jeżeli przez 12 lat żołnierz nie dostanie powołania do służby stałej, kontrakt wygasa z mocy prawa. Zwolnieni szeregowi mogą ubiegać się o powołanie do Narodowych Sił Rezerwowych. Ci natomiast, którzy pozytywnie ukończą wymagane przeszkolenia i kursy oraz zaliczą egzamin na oficera lub podoficera, mogą liczyć na awans.

Szeregowi do rezerwy

Odchodzący z wojska po 12 latach szeregowi będą dla armii dobrze przygotowaną rezerwą. Wbrew opinii sceptyków pieniądze, które wojsko przeznaczyło na ich wykształcenie, nie pójdą na marne. Byli żołnierze będą utrzymywać kontakt z armią chociażby poprzez obowiązkowe szkolenia dla rezerwistów.

st. szer. Morański. „MON także podczas rekrutacji zachęcało hasłami »Dołącz do najlepszych«. Nikt jednak w komendach uzupełnień nie powiedział żołnierzowi prosto w oczy, że na dziesięciu tylko jeden będzie miał szansę posłużyć w wojsku dłużej niż 12 lat”.

„Ministerstwo Obrony Narodowej nie przewiduje w tej dziedzinie nowelizacji wojskowej ustawy pragmatycznej”, ze stanowczością przyznaje płk Jacek Sońta, rzecznik ministra obrony. Dlaczego? Resort mocno trzyma się kilku argumentów. Jednym z nich są finanse. Przedłużony o trzy lata (z 12 do 15) kontrakt szeregowych oznaczałby nabycie przez żołnierzy uprawnień emerytalnych i wypłatę 40% uposażenia.

SYSTEM MOTYWACJI

Ministerstwo natomiast systematycznie zachęca szeregowych do podnoszenia swoich kwalifikacji i rozwoju. Zasada jest prosta: w armii zostają najlepsi, czyli tacy, którzy mają predyspozycje dowódcze, efektywnie potrafią wykorzystywać czas spędzony w wojsku i oprócz umiejętności typowo wojskowych (np. strzeleckich) potrafią obsługiwać specjalistyczne maszyny i urządzenia.

„Wielu z nas oczywiście wiedziało, że kontrakt ma czas określony. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że w wojsku są możliwości rozwoju i awansu, więc przy dobrej woli z naszej strony i determinacji nie będzie problemu z przejściem do korpusu wyżej. Liczni naprawdę postawili na rozwój, mają wyższe wykształcenie. Te możliwości podnoszenia kwalifikacji wciąż są, ale dziś, przy ogromnej konkurencji, wydają się mocno ograniczone”, mówi st. szer. Artur Błaszczyk, młodszy strzelec w batalionie dowodzenia 1 Warszawskiej Brygady Pancernej.

W wojsku jest od siedmiu lat. Zaczynał jako żołnierz służby zasadniczej, później zdecydował się zawodowo związać z armią. Trafił do 1 Warszawskiej Dywizji Zmechanizowanej w Legionowie. Po jej rozwiązaniu przeniósł się do 1 Brygady Pancernej. Ma licencjat z ochrony środowiska i kończył kurs języka angielskiego na poziomie drugim.

Szer. Błaszczyk nie jest wyjątkiem. Podobnie jak on uczą się inni żołnierze. „Z własnego doświadczenia, jako student Akademii Obrony Narodowej, wiem, że jest wielu szeregowych podnoszących swoje kwalifikacje. Na moim roku co najmniej 15. A przecież są także inne uczelnie. Wielu chętnie wzięłoby udział w kursach językowych. Niestety, większa część z nich nie ma wpisanych takich wymogów w kartach opisu stanowiska służbowego, co wyklucza możliwość skorzystania z takich kursów na poziomie jednostki wojskowej. Mimo to duża część prywatnie chodzi na lekcje i przystępuje do egzaminów w trybie eksternistycznym”, mówi st. szer. Morański.

TYLKO DLA NAJLEPSZYCH

„W marcu minie mi 12 lat służby. Dwa razy byłem w Afganistanie, za mną setki poligonów i szkoleń. I co mam teraz zrobić? Iść do cywila? I co dalej? Mam zaczynać życie od początku, mając 40 lat na karku?”, mówi jeden z żołnierzy. „Pisałem wniosek o szkołę podoficerską. Nie wiedziałem, że trzeba mieć zaświadczenie o wolnym etacie w jednostce. Dostałem odmowę. Złożyłem kolejny wniosek, uzupełniłem dokumenty i zdobyłem zaświadczenie o wolnym

UKOŃCZENIE KURSU PODOFICER- SKIEGO TO DLA ŻOŁNIERZY NAJMŁODSZEGO KORPUSU DOBRA PRZEPUSTKA DO SŁUŻBY STAŁEJ

miejscu w 25 Brygadzie Kawalerii Powietrznej. I co? Znowu odmowa. Zostało mi pół roku, więc dalej walczę o miejsce na kursie podoficerskim”.

Zdaniem szeregowych, liczą się znajomości. „Dziś awansować mogą tylko protegowani. Miejsce mają jedynie »plecaki«, mówią. Opinii malkontentów nie zmienił nawet fakt, że Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu – by zrównać szanse wszystkich kandydatów – wprowadziła egzaminy wstępne.

„Z danych sekcji personalnej 12 Dywizji Zmechanizowanej wynika, że w 2014 roku 44 naszych szeregowych awansowało do korpusu podoficerskiego”, mówi st. chor. Artur Walento z sekcji prasowej. We wszystkich jednostkach „dwunastki” służy natomiast blisko 6,5 tys. szeregowych. Nieco lepszą statystyką może się pochwalić 11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej. „Tylko w tym roku ze wszystkich naszych jednostek szkołę podoficerską ukończy około 100 żołnierzy. Są oni na bieżąco wyznaczani na nieobsadzone lub »uwolnione« stanowiska podoficerskie. Prowadzona w naszej dywizji polityka kadrowa promuje najlepszych szeregowych, dając im możliwość podniesienia kwalifikacji i umożliwiając dalszy rozwój zawodowy”, mówi mjr Mariusz Pawlik, szef sekcji personalnej w wydziale personalnym w dywizji.

Jak to się robi? Przykładem może być 17 Wielkopolska Brygada Zmechanizowana. To właśnie tam jesienią 2013 roku wprowadzono system punktacyjny dla szeregowych i podoficerów. Żołnierze zdobywają punkty za sprawność fizyczną, wyszkolenie, otrzymane odznaczenia wojskowe, nagrody i wyróżnienia. Premiowane są także dodatkowe umiejętności wojskowe (m.in. klasa specjalisty wojskowego, tytuł skoczka spadochronowego), tytuły i umiejętności cywilne (np. znajomość języka obcego na poziomie wyższym niż wymagany na danym stanowisku, cywilne wykształcenie wyższe niż wymagane na stanowisku). System jest wykorzystywany, gdy przełożeni muszą dokonać selekcji żołnierzy. Program w łatwy i szybki sposób pozwala wybrać tych najlepszych, którzy mają być kierowani na kursy i szkolenia oraz są przewidywani do objęcia kolejnych, wyższych stanowisk służbowych. „Zdarzało się tak, że dowódca kierował na kurs jakiegoś żołnierza na podstawie informacji o wysłudze, a nie o umiejętnościach kandydata. Tego właśnie chcielibyśmy uniknąć”, mówił rok temu st. chor. Andrzej Woltmann, ówczesny pomocnik dowódcy 17 WBZ do spraw podoficerów i autor programu.

Wewnętrzna selekcję wśród szeregowych przeprowadzają także inne jednostki. „To tak zwane badanie kompetencyjne, które pozwala wybrać żołnierzy z predyspozycjami dowódczymi i doskonałą kondycją. Stawka jest wysoka. Ukończenie kursu podoficerskiego to dla żołnierzy najniższego korpusu przepustka do służby stałej”, tłumaczy st. chor. sztab. Tomasz Fudali, pomocnik dowódcy 12 Brygady Zmechanizowanej do spraw podoficerów. Taką selekcję zaliczył już st. szer. Błaszczyk. Otrzymał też zgodę swojego dowódcy na kurs, ale nadal nie wie, co będzie dalej. „Czekam na wolny etat podoficerski, bo zaświadczenie takie jest konieczne do tego, by w ogóle przystąpić do egzaminów wstępnych”, mówi szeregowy.

Odrębną kwestią są limity. Szkoła podoficerska nie jest z gumy, a możliwości przeszkolenia żołnierzy są ograniczone. „To, ilu szeregowych w kolejnym roku przejdzie szkolenie, będzie zależec od tego, ilu podoficerów odejdzie z armii”, mówi płk Sońta. W 2014 roku w całej armii, według danych MON z 31 sierpnia 2014 roku, korpus podoficerów zawodowych zasilili 800 szeregowych zawodowych.

Furtką do stałej służby mają być dla szeregowych także kursy oficerskie. Zgodnie z planami resortu, w 2015 roku szeregowi po raz pierwszy wezmą w nich udział. Warunkiem uczestnictwa będzie tytuł magistra i wzorowa ocena z opiniowania. Podobną możliwość otrzymają też szeregowi w kolejnych latach. „To dobry kierunek i rozwiązanie zgodne z oczekiwaniami szeregowych zawodowych, którzy w trakcie służby cały czas podnoszą swoje kwalifikacje. Chcielibyśmy, aby wartościowi żołnierze naszego korpusu byli źródłem naboru dla przyszłej kadry oficerskiej”, mówi st. szer. Morański.

PROBLEM NIE ZNIKNIĘ

Wypowiadający się anonimowo żołnierze przyznają, że jeśli już jakimś cudem uda im się skończyć kurs podoficerski i dostaną etat w jednostce daleko od domu, to po uzyskaniu uprawnień emerytalnych po prostu odejdą z armii. „Nie oszukujmy się, ja już swoje wysłużyłem. Chcę uprawnień, bo one mi się po prostu należą. Jeśli armia robi nas w konia,

dłaczego my mamy być wobec niej fair?”, twierdzi jeden z żołnierzy.

Nie wszyscy jednak tak postrzegają sprawę. „To nie jest tak, jak powszechnie się uważa, że zależy nam tylko na przywilejach emerytalnych”, mówi st. szer. Błaszczyk. „Dla wielu z nas liczy się przede wszystkim stała praca i możliwość wykonywania zawodu żołnierza przez kolejne lata, nawet niekoniecznie z przejściem do korpusu wyżej. Jestem pewien, że gdyby nagle zmieniono przepisy, nie zdjąłbym munduru zaraz po nabyciu uprawnień. Jestem bardzo zmotywowany do służby i właśnie z wojskiem chciałbym się związać na stałe”.

Żołnierzy z podobnymi przekonaniami nie brakuje. „Całkiem niedawno z powodu końca kontraktu musiał odejść od nas szeregowy, który miał wiele uprawnień do obsługi specjalistycznego sprzętu: na przykład koparek, wózków widłowych. Choć, jak przyznał, ze swoimi kwalifikacjami nie będzie miał kłopotu ze znalezieniem pracy w cywilu, to chciałby pozostać w wojsku, ponieważ lubi swoją pracę”, zauważa st. chor. sztab. Fudali.

Problem dostrzega też st. szer. Tobiasz Morański. „To dla mnie niezrozumiałe, że szeregowi, specjaliści w swoich dziedzinach, tworzący bardzo ważny element sił zbrojnych, nie mają możliwości wykorzystywania, a nawet przekazywania swojej wiedzy i doświadczenia. Tym bardziej że wzięwszy pod uwagę planowane zmniejszenie udziału Polaki w misjach poza granicami kraju, w miejsce żołnierzy doświadczonych w warunkach bojowych przyjdą osoby, które nie mają się czym pochwalić na tym polu”, mówi.

Żołnierze sami szukają rozwiązań i podpowiadają, jak rozwikłać patową sytuację w korpusie szeregowych. Wzorem mogą być sposoby stosowane w Policji lub Państwowej Straży Pożarnej, o których wspominał też niedawno gen. Stanisław Koziej, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Podkreślał, że posterunkowi czy strażacy nie mają takiego problemu, bo w tych służbach do szkół oficerskich mają szansę się dostać funkcjonariusze szeregowi.

Innym rozwiązaniem może być koncepcja przedłużenia kontraktów żołnierzom przyjętym do służby po 1 stycznia 2013 roku. „Po reformie systemu emerytalnego nie nabywają oni przecież uprawnień emerytalnych po 15, ale dopiero po 25 latach służby i osiągnięciu 55 roku życia. Tu z kolei konieczne byłoby wprowadzenie ograniczenia wiekowego, by nie przyjmować do służby osób mających więcej lat niż około 30. Pięćdziesięcioletni operator koparki może wykonywać obowiązki służbowe, ale celowniczy granatnika czy karabinu maszynowego mógłby nie podać temu fizycznie”, mówi st. chor. sztab. Fudali.

Ograniczenia wiekowe dla szeregowych były jednym z postulatów, jakie przyświecały twórcom reformy. Chodziło między innymi o to, by funkcji strzelców różnych rodzajów broni, mechaników-kierowców czołgów i wozów bojowych, które wymagają dobrej kondycji i doskonałego stanu zdrowia, nie wykonywali żołnierze w starszym wieku. „O tych sprawach kilkakrotnie rozmawialiśmy na spotkaniach z ministrem obrony, ale dano nam do zrozumienia, że w tej sprawie nic się nie zmieni. Warto zaznaczyć, że to jest decyzja polityczna, na którą my, jako Kolegium Mężów Zaufania Korpusu Szeregowych, nie mamy zbyt dużego wpływu”, podsumowuje st. szer. Tobiasz Morański. ■

kadr



| ĆWICZENIA |

BOGUSŁAW POLITOWSKI,
KRZYSZTOF WILEWSKI, ŁUKASZ ZALESIŃSKI

NIEBIESCY GÓRA

12,5 tys. żołnierzy z dziewięciu państw NATO ,
dziesiątki samolotów, śmigłowców, okrętów,
transporterów opancerzonych i wyrzutni rakiet,
a wszystko na czterech poligonach lądowych
i Morzu Bałtyckim. Oto „Anakonda '14”, największe
tegoroczne ćwiczenia polskiej armii.

ADAM ROJK/COMBAT CAMERA DORSZ



W ćwiczeniach „Anakonda '14” wzięło udział 12,5 tys. żołnierzy. Większość stanowili Polacy, wspomagani przez 750 wojskowych z ośmiu innych krajów NATO.

Początkowo miała być wężeł łagodnym i raczej niewielkim. Dopiero później, po zmianie koncepcji, rozrosła się i nabrała wigoru. „Anakonda '14” z ćwiczeń dowódczo-sztabowych przerodziła się w wielonarodowe manewry, podczas których przez dwa tygodnie żołnierze byli poddawani surowemu testowi na poligonach w Drawsku, Orzyszu, Nowej Dębie, Ustce, na Bałtyku, a także na terenie Akademii Obrony Narodowej, gdzie znajdowało się kierownictwo wszystkich militarnych i paramilitarnych poczynań.

Zanim jednak rozległ się huk wystrzałów i eksplozji, a na niebie nad poligonami rozbrzmiały warkot silników, najpierw ruszyły zakrojone na szeroką skalę przygotowania. Potężna machina logistyczna zwykle pozostaje w cieniu i pracuje w ciszy. Ale bez niej nic, co się wydarzyło, nie byłoby możliwe. Tak więc, nim na dobre skupimy uwagę na wojnie, zajrzyjmy na chwilę za kulisy.

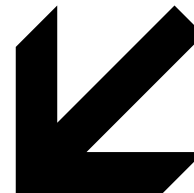
OD KUCHNI

Wszystkie polskie poligony teoretycznie są przygotowane do zadań szkoleniowych przez cały rok, tyle że w kontekście ćwiczeń tak dużych jak „Anakonda '14” słowo „teoretycznie” wydaje

się kluczowe. Kiedy bowiem nagle trzeba pomieścić tam 12,5 tys. ludzi, dać im dach nad głową i zadbać o zaplecze socjalne, niezbędne okazują się dodatkowe plany, przygotowania, rozwiązania. Zwłaszcza że wszystko musi zostać zrobione „na już”.

Obowiązek ten spadł na barki 850 żołnierzy i pracowników wojska, zatrudnionych w kwaterach poligonów. Podczas remontów armia korzystała również z usług firm zewnętrznych. Do manewrów w sumie należało przygotować 50 obiektów logistycznych i 38 szkoleniowych. Tylko na zakup tarcz, które stały się celem dla strzelających z różnego rodzaju broni, dowództwo poligonów dostało dodatkowo 200 tys. zł. Z myślą o „Anakondzie” na sześciu pasach taktycznych powstały bowiem 24 pola tarczowe. Jedno z nich było przeznaczone wyłącznie do strzelania ze śmigłowców, inne zostało rozmieszczone na Bałtyku.

Z myślą o ćwiczących utworzono 12 obozowisk namiotowych i jedno kontenerowe, przygotowano też 17 internatów. Uczestnicy „Anakondy” dostali do dyspozycji pięć kuchni stacjonarnych, trzy polowe, dziewięć stołówek oraz jeden punkt żywnościowy. Łącznie musiały one wy-



Ważne jednak, by wypracować wspólny język, przeciwzyć wspólne procedury. NATO liczy 28 państw. Potencjalny agresor musi wiedzieć, że atak na jedno z nich, to atak na cały, zdolny do wspólnego działania sojusz.



kadr

NA „ANAKONDE” PRZYJECHAŁO 120 ŻOŁNIERZY Z KANADYJSKIEGO KRÓLEWSKIEGO PUŁKU W ONTARIO

ADAM ROIK/COMBAT CAMERA DORSZ (3)



Na poligonie w Drawsku z samolotów transportowych CASA i Hercules desantowało się 300 spadochroniarzy z Polski oraz Wielkiej Brytanii. Brytyjczycy mieli okazję wypróbować polski sprzęt.





**GŁÓWNĄ ARENĄ
WALK BYŁ
POLIGON
W ORZYSZU.**

**TAM SIŁY
„NIEBIESKICH”
ODPARŁY
UDERZENIE
„CZERWONYCH”**



kadr



Przeciwnik atakował także z morza. Mimo zacieklej obrony plaży w okolicach Ustki, „czerwoni” wysadzili tam desant. Ostatecznie jednak i ten atak zakończył się niepowodzeniem.

DARIUSZ PROSIŃSKI

20 tys. l napojów. I dopiero kiedy wszystko to zostało dopięte na ostatni guzik, można było iść na wojnę.

WRÓG U BRAM

Sytuacja w skrócie wyglądała tak. Naprzeciw siebie stanęły dwa polityczno-militarne bloki. „Oni”, czyli oznaczona kolorem czerwonym grupa państw wschodniego Eurolandu, i „my” – Organizacja Sojuszu Morza Niebieskiego. Wśród „czerwonych” pierwsze skrzypce grała Baria wspierana przez Mondę i Funland. Do „niebieskich” należała między innymi Wislandia. Przez długi czas była ona zdana na dostawę surowców z Barii. Postanowiła jednak pójść własną drogą i rozpoczęła wydobycie gazu łupkowego. W odpowiedzi Baria ruszyła do dyplomatycznej ofensywy, która miała zablokować te działania. Oskarżyła wislandzki rząd o wywłaszczanie ludności pochodzenia mondyjskiego i destabilizację regionu. Zapewniła też rząd Mondy o pełnym poparciu na wypadek wojny. Wreszcie stało się jasne, że tego konfliktu drogą dyplomacji rozwiązać się nie uda. U granic Wislandii stanęła mondyjska armia wspierana przez Barię.

Na główną arenę starć zostały wyznaczone poligony w Orzyszu i Ustce. W Drawsku „niebiescy” mieli walczyć z promondyjskimi rebeliantami. Na

poligonie w Nowej Dębie powstał z kolei obóz uchodźców. Los fikcyjnego kraju spoczął w rękach tysięcy żołnierzy z Polski, USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Holandii, Czech, Węgier, Estonii i Litwy. W różnego rodzaju epizodach „czerwonych” podgrywało około 600 wojskowych.

DESANT Z POWIETRZA

Ledwie słońce przedarło się przez poranną mgłę, gdy błękitne niebo zasnuła chmura spadochronów. Opadały w niemal kompletnej ciszy, gdzieniegdzie tylko przerywanej okrzykami żołnierzy, którzy desantowali się z transportowych samolotów, krążących nad poligonem w Drawsku. Tego dnia było to 300 osób. Polskim spadochroniarzom z 6 Brygady Powietrznodesantowej w Krakowie towarzyszyli Brytyjczycy z 16 Brygady Desantowo-Szturmowej. Każdy z nich miał pod nogami 30-kilogramowy zasobnik z amunicją, żywnością, dodatkowym wyposażeniem. Po tym, jak wylądowali na zrzutowisku, mieli zaledwie kilka minut na zwinięcie spadochronu, opróżnienie zasobnika i wymarsz w stronę pobliskiego lasu, na miejsce zbiórki.

„Wojska powietrznodesantowe to lekka piechota. Działają z zaskoczenia, na tyłach wroga. Do ich zadań należy przejmowanie ważnych obiektów infrastruktury, choćby mostów czy węzłów →



W DZIAŁANIACH BOJOWYCH ŚMIGŁOWCE CZASAMI SŁUŻĄ DO STAWIANIA ZASŁONY DYMNEJ W CELU UKRYCIA JEDNOSTEK PRZED PRZECIWNIKIEM

kolejowych. Muszą utrzymać je tak długo, aż nadejdzie zasadnicza część sił”, wyjaśnia kpt. Marcin Gil, rzecznik krakowskiej brygady. Oczywiście cele misji mogą być modyfikowane w zależności od potrzeb. I tak właśnie stało się tym razem. Spadochroniarze musieli wykonać zadanie na swoim terytorium, a przeciwnikiem nie była armia regularna, lecz wspierający nieprzyjaciela dywersanci.

Pierwszą noc po desancie żołnierze spędzili w lesie. Następnie odbili z rąk rebeliantów cztery mosty, zbudowali w ich pobliżu umocnienia i czekali. „Mamy 28 spadochroniarzy, strzelców wyborowych, karabiny maszynowe. Przy wznoszeniu umocnień wspomagało nas jedenastu inżynierów”, wylicza por. Dan Wood, dowódca brytyjskiego oddziału, którego zadaniem było utrzymanie jednej z przepraw.

Spokój, który zapanował po pierwszej potyczce, był tylko pozorny. Kiedy opuszczaliśmy polsko-brytyjskie stanowiska, gdzieś zza lasu dobiegł nas huk wystrzałów. Tam właśnie znajdował się most, którego strzegli Amerykanie i Kanadyjczycy. Decyzja: zawracamy. Jeszcze kilkanaście minut kluczenia po leśnych drogach i jesteśmy na miejscu. „Pół godziny temu po drugiej stronie rzeki pojawiło się pięć pojazdów, z których otworono do nas ogień”, wyjaśnia kpt. Eric Morrow, dowódca kanadyjskiego oddziału.

Taki właśnie przeciwnik nękał Wislandię gdzieś z dala od głównych frontów. Długo niewidoczny

i uderzający zniemacka, niby słabszy niż armia regularna, a jednak chwilami równie jak ona niebezpieczny. I zdolny poważnie nadwerężyć siły nawet najlepiej wyszkolonych oddziałów. Losy wojny miały się jednak rozstrzygnąć gdzie indziej.

INWAZJA Z MORZA

Ciszę przesywa odgłos wystrzału. Kilkudzieściometrowy „wąż” wypełniony materiałami wybuchowymi rozwija się, ląduje w morzu, po czym powoli opada na dno. Jeszcze chwila i powietrzem wstrząsa głucha eksplozja, która podrywa grzebień wody. Można ją poczuć nawet na wydmie, dobre kilkadziesiąt metrów od brzegu. Po prostu po wybuchu przez chwilę drży pod stopami ziemia.

Tak działa ładunek wydłużony. Ma on doprowadzić do detonacji pól minowych, a tym samym utorować drogę desantom. Przed momentem został wystrzelony z pokładu okrętu transportowo-minowego ORP „Gniezno”, który powoli zbliża się do plaży nieopodal Ustki. Towarzyszy mu bliźniacza jednostka – ORP „Toruń”. Obie reprezentują siły „czerwonych”, czyli wrogiej Mondy. Mimo oporu stawianego przez oddziały Wislandii („niebiescy”), okręty zacumowały w pobliżu brzegu i opuściły rampy. Z ich pokładów zjechały bojowe wozy piechoty i pływające transportery (PTS) wypełnione żołnierzami. Brodząc w morzu, dotarły do brzegu. Zmasowany atak sprawił, że „niebiescy” musieli opuścić wzniesione na

plaży umocnienia i wycofać stamtąd swój sprzęt. Nie pomogły nawet samoloty Su-22, które wspierały obrońców, atakując okręty. Po chwili walki toczyły się już u progu nadmorskiego lasu.

Na naszych oczach rozegrał się właśnie jeden z kluczowych momentów „Anakondy”. „Na plaży desantowali się żołnierze 7 Brygady Obrony Wybrzeża ze Słupska i 8 Batalionu Saperów Marynarki Wojennej, a zrobili to z pokładów jednostek należących do 8 Flotylli Obrony Wybrzeża”, wylicza ppłk Piotr Walatek, rzecznik Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Po stronie »niebieskich« również walczyli żołnierze słupskiej brygady”, zaznacza. Opis można by jeszcze uzupełnić o unoszące się na falach drewniane tarcze, które imitują sylwetki żołnierzy i pojazdów.

To, co mieliśmy okazję obejrzeć, stanowiło bowiem zaledwie część zakrojonej na szeroką skalę operacji. W myśl scenariusza „Anakondy” siły atakujące Wislandię od strony morza były nieporównanie większe, walka zaś dużo bardziej zacięta. Wojska „niebieskich” zdołały na przykład zatopić część okrętów wroga. Ale na tym nie koniec.

Podczas epizodu nie zobaczyliśmy też szczęśliwego finału, który przecież nastąpił. „Początkowo oddziały »czerwonych« wyparły siły Wislandii kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu, gdzieś w okolicy Słupska i Koszalina, choć trzeba pamiętać, że w ćwiczeniach żadna z tych nazw nie pada. Naprzeciw siebie w czasie »Anakondy« stają przecież fikcyjne państwa”, zastrzega kmdr ppor. Piotr Adamczak, rzecznik żołnierzy ćwiczących na poligonie w Ustce. „Ostatecznie jednak »niebiescy« wyprowadzili udane kontrnatarcie i odepchnęli nieprzyjaciół z powrotem w stronę morza. Atak od północy został odparty”.

NOCNE ŁOWY NA OKRĘT

Desant na plażę pod Ustką stanowił zwieńczenie działań na północy Polski. Kilkanaście okrętów przez tydzień ćwiczyło na Bałtyku osłonę szlaków komunikacyjnych przed atakami spod wody i z powietrza. „Nasze jednostki musiały utrzymać panowanie na morzu”, tłumaczy kmdr ppor. Adamczak. „Ma to ogromne znaczenie ze względu na transport surowców, ale również na wypadek, gdyby właśnie tamtędy sojusznicy chcieli wysłać nam na pomoc swoje siły”. Okręty były wspomagane przez samoloty i śmigłowce lotnictwa morskiego. Odpowiadały one między innymi za rozpoznanie wyznaczonych akwenów, identyfikację jednostek nawodnych, przekazywanie danych do potencjalnych ataków rakietowych, a także za poszukiwanie i zwalczanie operującego po stronie „czerwonych” okrętu podwodnego.

To ostatnie zadanie spoczywało na załogach śmigłowców Mi-14PŁ oraz SH-2G. Loty odbywały się w nocy, co – jak przyznają sami piloci – jest dodatkowym utrudnieniem. Po pierwsze, nad morzem brakuje punktów odniesienia, a gwiazdy i księżyc odbijają się w wodzie, mieszając ze światłami statków. Po drugie, do poszukiwania okrętów podwodnych nie można wykorzystać wszystkich dostępnych urządzeń. „Śmigłowiec wówczas nie stanie w zawisie, a co się z tym łączy, nie opuści stacji hydroakustycznej. Tymczasem to właśnie ona stanowi najskuteczniejsze narzędzie, z którego korzystamy”, tłumaczy kpt. pil. Ireneusz Steciuk, pilot „czternastki”. Nocą załoga Mi-14PŁ jest zdana na sonoboję i detektor anomalii magnetycznych.

W kolejnych dniach przeciwnik zbliżył się do Wybrzeża. Kilkakrotnie atakował je zarówno z morza, jak i powietrza. Zagrożone były porty. Swoimi umiejętnościami musieli się popisać między innymi żołnierze obsługujący zestawy rakietowe Nawa, operatorzy przenośnych zestawów Grom, piloci Su-22. A potem przyszedł desant. Droga do ostatecznego zwycięstwa Wislandii okazała się na północy długa i wyjątkowo trudna.

WISLANDIA OBRONIONA

Tymczasem dzień później nieprzyjaciel przeprowadził zmasowane uderzenie na wschodzie. Jednak i tym razem wojska „niebieskich” były górą. Ofensywa „czerwonych” została zatrzymana, a oddziały wislandzkie przeszły do kontrnatarcia.

Na poligonie w Orzyszu jako pierwsze pozycje agresora zaatakowało wezwane w ramach procedur CAS (Close Air Support) lotnictwo sojusznicze. Bomby zrzuciły samoloty F-16 z wielonarodowego komponentu, w którego skład weszły maszyny polskie, amerykańskie i holenderskie. W kolejnym rzucie do akcji wkroczyły już tylko polskie myśliwsko-bombowe Su-22.

Jako druga włączyła się do boju artyleria rakietowa. Wyrtutnie WR-40 Langusta z 5 Pułku Artylerii w Sulechowie, korzystając z radarów artyleryjskich Liwiec, które precyzyjnie wskazały, skąd strzelają działa wroga, oraz bezzałogowych samolotów FlyEye, pomagających korygować ogień, trzema krótkimi salwami unieszkodliwiły artylerię nieprzyjaciela. Dokończyły dzieła zniszczenia jego jednostek zmechanizowanych oraz żołnierzy.

Tyle że przeciwnik dysponował jeszcze pododdziałami odwodowymi. Wobec tego do akcji przystąpiły śmigłowce Mi-24, które pociskami rakietowymi zniszczyły ostatnie umocnione punkty oporu, a obsługi zestawów ZU-23-2 i przeciwlotniczych rakiet Grom uporały się ze śmigłowcami „czerwonych”. Teraz wreszcie do boju mogły ruszyć kompanie zmechanizowane – jedna na BWP-1, druga na KTO Rosomak. Dzięki saperom sforsowały one pola minowe i po trwającej kilkanaście minut kanonadzie ostatecznie zmusiły wroga do odwrotu. Wislandia została obroniona.

RAMIĘ W RAMIĘ Z SOJUSZNIKAMI

W trakcie „Anakondy ’14” żołnierze mieli sprawdzić wariant wojny obronnej, gdy do walki wraz z polskimi żołnierzami przystępują komponenty z innych krajów sojuszu północnoatlantyckiego. „Łącznie w ćwiczeniach wzięło udział dziewięć państw sojuszu. Na poligonie w Orzyszu trzy nacje: Amerykanie, Litwini i Czesi, utworzyły swoje stanowiska dowodzenia. Dla nas było to pierwsze tego rodzaju doświadczenie”, podkreślał na jednym z briefingów gen. broni Marek Tomaszycycki, dowódca operacyjny, który kierował ćwiczeniami.

O potrzebie zacieśniania tego rodzaju współpracy mówił też gen. bryg. Torben Dixen Møller, zastępca kierownika ćwiczeń do spraw koalicyjnych. „Nigdy nie stanie się tak, że będziemy mieli ten sam sprzęt. Ważne jednak, by wypracować wspólny język, przećwiczyć wspólne procedury. NATO liczy 28 państw. Potencjalny agresor musi wiedzieć, że atak na jedno z nich, to atak na cały, zdolny do wspólnego działania sojusz”. ■

PIOTR BERNABIUK

Desantowiec z dopalaczem

AD-95 serii 3 jest konstrukcją unikatową. To spadochron desantowy z możliwością sterowania i włączenia „napędu”.

Spadochroniarstwo, jedna z najbardziej fascynujących dziedzin sportów ekstremalnych, a zarazem znakomity sposób na rekreację, rozwija się w zawrotnym tempie. Z cywilnego dorobku i doświadczeń skwapliwie korzystają siły zbrojne – zarówno z wymyślnych i nowoczesnych technologii, systemów szybkiego i bezpiecznego szkolenia, jak i z doświadczeń skoczków, nawet tak ekstremalnych jak Felix Baumgartner. Przykładem mogą być systemy HALO (High Altitude-Low Opening) i HAHO (High Altitude-High Opening), pozwalające żołnierzom po skoku nawet z wysokości 10 tys. m i otwarciu spadochronu tuż nad ziemią lub po otwarciu go natychmiast i po długim przelocie znaleźć się tam, gdzie się ich nikt nie spodziewa. Za opracowanie i wdrożenie tej formuły w jednostce GROM lider tego pomysłu płk Jarosław Garstka (dziś w rezerwie) został uhonorowany Buzdyganem „Polski Zbrojnej”.

NISKO CZY WYSOKO

Kwintesencją wojskowego spadochroniarstwa nie są jednakże długodystansowe przeloty i skoki z dużych wysokości, lecz stanowiące prozę życia „desanty masowe”, polegające na dostarczeniu doborowych oddziałów w rejon operacji. Zrzutu należy dokonać skrycie, poza zasięgiem oddziaływania przeciwnika, na zaplanowanym i przygotowanym w miarę możliwości zrzutowisku, w takim uformowaniu, by żołnierze po znalezieniu się na ziemi mogli jak najszybciej sformować szyk i przejść do wykonywania zadania. Ta prosta z pozoru procedura nie jest jednak pozbawiona pułapek.

Przed laty borykano się z pierwszą fazą skoku, w której zagrożenie dla prawidłowego otwarcia czaszy spadochronu stanowiły zawirowania powietrza wynikające z lotu maszyny i pracy śmigieł.

Znakomitym rozwiązaniem zastosowanym w naszej armii okazały się „skoki na stabilizację”. W chwili, gdy tylko żołnierz znalazł się powietrzu, zamiast wielkiej czaszy otwierał się mały spadochronik – stabilizator, który służył do zredukowania prędkości opadania z blisko 200 do około 160 km/h oraz „ulożenia” sylwetki skoczka w dogodnej pozycji do otwarcia głównego spadochronu.

Kolejnym newralgicznym elementem w desancie była wysokość, z jakiej dokonywano zrzutu. Logika podpowiada prostą zasadę: im szybciej żołnierz osiągnie ziemię, tym mniej jest narażony na wykrycie, na ostrzał. Mniejszy jest wówczas również rozrzut skoczków, więc krótsze może być zrzutowisko. Podczas II wojny światowej na przykład praktykowano bardzo niskie zrzuty desantów – w operacji „Market Garden” z wysokości 600 stóp, czyli z zaledwie 200 m. Przy takiej wysokości był czas, żeby czasza spadochronu się otworzyła, wypełniła powietrzem, hamując prędkość opadania, a skoczek, po ustabilizowaniu sylwetki, przygotował się do wylądowania.

Według płk. rez. Tomasza Piekarskiego, byłego zastępcy dowódcy 6 Brygady Powietrznodesantowej, instruktora klasy mistrzowskiej i nadal autorytetu w sprawach spadochroniarstwa wojskowego, należy uważać z nadmiernym zaniżaniem wysokości: „Żołnierz musi mieć czas na to, żeby wysokość, ochłonąć, zorientować się w przestrzeni, sprawdzić prawidłowość otwarcia czaszy, zobaczyć, czy kogoś lub czegoś pod nim nie ma, spuścić zasobnik na linie i przygotować się do lądowania. Jeśli otworzy spadochron na 100 m, zabraknie mu na to wszystko czasu”. Doświadczony instruktor zwraca też uwagę, że na określenie bezpiecznej wysokości desantowania wpływa wiele czynników, między innymi czas otwarcia spadochronu. W ciągu lat jednakże parametry sprzętu



PIOTR BERNABIUK

SPADOCHRON AD-95 SERII 3 NAWIĄZUJE DO STOSOWANEJ W WOJSKU OD LAT DZIEWIĘĆ- DZIESIĄTYCH KONSTRUKCJI AD-95

stawały się coraz lepsze: „Gdy zaczynałem skoki spadochronowe, skakaliśmy z 800 m, gdy kończyłem, na stabilizację obowiązywało 600 m. Teraz wysokość szkoleniowa wynosi 400 m. W czasie ćwiczeń, zgodnie z regulaminem, można wykonywać skoki z 200 m, ale w praktyce, dla bezpieczeństwa są wykonywane z 300 m”.

IMPULS DO ZMIAN

Desantowanie spadochroniarzy na stabilizację, z bezpiecznej wysokości i na uznawanym za niezawodny spadochronie AD-95 trwałoby nadal, gdyby nie wprowadzenie w Siłach

MILITARIUM STUDIO PK/AIR-POL



Prędkość opadania przy różnych obciążeniach



Zbrojnych RP nowych „środków przenoszenia”, czyli samolotów CASA i C-130 Hercules. Oba statki powietrzne z jednej strony zwiększyły znacznie możliwości zrzucaenia całych pododdziałów z uzbrojeniem i wyposażeniem, z drugiej jednak wymusiły powrót do skoków „na linę”, między innymi ze względu na zwiększoną prędkość podczas desantowania.

Przy tej metodzie układ spadochronowy jest podpięty do liny desantowej zamocowanej na pokładzie. Gdy żołnierz opuszcza maszynę, następuje automatyczne ściągnięcie osłony czaszy i rozpoczęcie jej otwierania. Dochodzi do tego jednakże w dość niekorzystnych warunkach, w wywołujących zawirowania od- ➔

KOMENTARZ

ANDRZEJ REUDOWICZ



Staliśmy przed koniecznością wymiany spadochronów używanych w Siłach Zbrojnych RP. Dedal jest już konstrukcją przestaną i nie spełnia wszystkich wymogów. Mówimy tu o prędkości opadania oraz nośności, czyli maksymalnym dopuszczalnym obciążeniu. Z kolei AD-95 był konstruowany na bazie rosyjskiego D-5 i został przystosowany do desantowania z samolotów AN-26, Ił-76 techniką dwustopniowego otwarcia. Obecnie w naszym lotnictwie transportowym dominują samoloty CASA-295M oraz C-13 i podczas wielokrotnych desantowań stwierdzono wiele usterek sprzętu spadochronowego, co jest dodatkowym argumentem potwierdzającym konieczność wymiany spadochronów na nowe. Prezentacja spadochronu AD-95 wersji 3 firmy Air-Pol wzbudziła duże zainteresowanie w środowisku spadochroniarzy wojskowych. Jest to ciekawa propozycja dla naszej armii. Konstrukcja spadochronu szczelinowego ma jednak tyłu zwolenników, ilu przeciwników. Zakupów sprzętu spadochronowo-desantowego dokonuje Inspektorat Uzbrojenia. Moją rolą jako gestora jest wskazanie wymagań taktyczno-technicznych, jakie powinien spełniać nowy spadochron. Zarówno mnie, jak i Inspektorat obliuguje w tej kwestii decyzja nr 72/MON z 25 marca 2013 roku w sprawie pozyskiwania sprzętu wojskowego i usług dla Sił Zbrojnych RP, która określa, w jaki sposób można przeprowadzić stosowne badania i testy. Osobiście byłbym za przeprowadzeniem testów przez wojsko, zanim dojdzie, w efekcie przetargu, do podjęcia decyzji o zakupie.

Gen. brig. **Andrzej Reudowicz** jest szefem Zarządu Wojsk Aeromobilnych i Zmotoryzowanych w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych.

śmigłowych strugach powietrza – gdy skoczek znajduje się w niemal poziomym ułożeniu. Ponadto w czasie skoku z burty, a nie z tyłu, z rampy, spadochron może się ocierać o bok samolotu. W sumie proces otwarcia jest dość niestabilny. Zdarzają się wówczas między innymi „kalafiori”, czyli niepełne otwarcia w efekcie przerzucenia linek przez czaszę. Nie są to sytuacje bez wyjścia, ale stanowią dla skoczka zagrożenie. Szczególnie w trakcie skoku z małej wysokości pozostaje mu niewiele czasu na „walkę z linkami”, a w krytycznej sytuacji – na otwarcie czaszy zapasowej.

Wprowadzenie nowych samolotów, a zarazem zmian w procedurach desantowania było impulsem do myślenia o nowych rozwiązaniach w stosowanym dotąd spadochronie AD-95. Jego konstrukcja, zwana popularnie pieczarką albo, bardziej dosadnie, glebotłukiem, to nowocześniejsza i nieustannie doskonalona wersja radzieckiego spadochronu D-5. „Depiątka” dawno już wprawdzie osiągnęła wiek emerytalny, ale sprawdzona w milionach skoków czasu, decydująca o bezpieczeństwie spadochronu, dotychczas była uważana za pewną i bezpieczną. A w tak newralgicznej dziedzinie, jeśli coś jest dobre, raczej unika się daleko idących eksperymentów. Przychodzi jednak czas, gdy zmiany są konieczne.

Z pewnością podobnie myśleli Amerykanie, z których tak chętnie bierzemy przykład, bo dopiero po blisko 60 latach, w 2009 roku, zastąpili swój spadochron desantowy T-10 zupełnie nową konstrukcją – T-11. Czasza zmieniła kształt z okrągłej na niespotykaną nigdzie kwadratową, o podwijanych brzegach. To rozwiązanie sprawdziło się i wkrótce zaczęto wykorzystywać tę konstrukcję w szkoleniu w US Army Airborne School. Tyle że Amerykanie wcale się nie spieszą z wycofaniem „zabytowego” T-10. Dali sobie 15 lat na rotację,

czyli nie uważają tego spadochronu za bezużyteczny we współczesnych warunkach.

Ppłk rez. Jarosław Garstka, który po odejściu z jednostki GROM pozostał w branży spadochronowej i dziś pracuje w firmie AIR-POL, będącej jedynym w kraju producentem spadochronów desantowych dla wojska, zapewnia, że również Polacy wyczuli odpowiedni moment na takie zmiany: „Od dłuższego czasu mieliśmy wszyscy świadomość, że AD-95 musi zostać zastąpiony nowocześniejszą konstrukcją. Wynikało to z doświadczeń producenta, konsultacji z bezpośrednimi użytkownikami, a także z obserwacji światowych trendów. Z udziałem inżynierów z Instytutu Lotnictwa zaczęliśmy prace nad nowym rozwiązaniem. Przygotowaliśmy dwa projekty czasz klinowych, ponieważ wiedzieliśmy, że takich oczekiwało wojsko”.

INSPIRACJA Z BANGLADESZU

Wkrótce pojawiła się jednak nowa opcja, odbiegająca od wszystkiego, co było dotąd używane w armiach NATO. Trzeci projekt, spadochronu o zupełnie nowej konstrukcji, powstał po wizycie Jarosława Garstki i Dariusza Banaszkiwicza, konstruktora AIR-POL, a zarazem skoczka doświadczalnego, w Ludowej Republice Bangladeszu. Odpowiadając na ofertę tamtejszych sił zbrojnych, chcieli sprzedać polskie produkty. Spadochron typu skrzydło dla sił specjalnych zdobył pełną akceptację gospodarzy, ale desantowy AD-95 nie spełnił ich oczekiwań: „Powiedziano nam, że nie kupią nawet najlepszego spadochronu na świecie, jeśli nie będzie pasował do przyjętej przez armię metody szkolenia i systemu wykonywania skoków. Po powrocie do kraju odłożyliśmy na bok zaawansowane już projekty. Dariusz Banaszkiwicz usiadł przy komputerze i stworzył całkowicie nowy typ czaszy – w kształcie stożka. Na świecie były już

W NOWEJ KONSTRUKCJI MOŻNA STEROWAĆ CZASZĄ BEZ ZABURZANIA OGÓLNEJ KONCEPCJI SPADOCHRONU DESANTOWEGO

wówczas w użyciu podobne spadochrony, ale ten, który wyszedł spod jego ręki, okazał się wyjątkowy. Otwierał się wprawdzie na długiej drodze, ale bez dynamicznego szarpnięcia skoczkiem, opadał statecznie, z prędkością, która nawet nas zaskoczyła. Wszystko działało idealnie”.

W ciągu dwóch miesięcy nowy spadochron poddano sprawdzianowi – od zrzutów z manekinem po skoki testowe wykonywane przez skoczka doświadczalnego. Zdaniem Jarosława Garstki nie było jeszcze pełnej satysfakcji: „Nękała nas trochę zbyt długa droga otwarcia, ale nie chcieliśmy jej skracać, żeby w doskonale pracującej czaszy czegoś nie popsuć”. Rozwiązanie przyszło samo, gdy pracowali nad spadochronem zapasowym. Okazało się, że dodanie bocznych kieszeni do czaszy przyspiesza otwarcie, nie powodując wzrostu dynamiki.

Kolejnym rozwiązaniem, gwarantującym bezpieczne opuszczanie przez skoczków takich samolotów, jak CASA i C-130 Herkules, było zastosowanie podwójnych osłon czaszy spadochronu, a także wyeliminowanie „slajdera”, stanowiącego, nawet w zagranicznych konstrukcjach nowej generacji, element redukujący obciążenia działające na skoczka w czasie napełniania się czaszy. W polskim prototypie udało się osiągnąć zadowalający efekt dzięki dobraniu odpowiednich tkanin i stożkowemu kształtowi czaszy. Zwiększono też, zgodnie z oczekiwaniami wojska, „udźwig” spadochronu, z dotychczasowych 120 do 185 kg. Jednakże doświadczeni desantowcy uważają, że nie ma to żadnego uzasadnienia taktycznego, gdyż trudno sobie wyobrazić, by po wylądowaniu żołnierz przemieszczał się ze 100-kilogramowym ciężarem na plecach. Zapewniają, że

proponowany wcześniej przez 6 Brygadę Powietrznodesantową udźwig 165 kg jest wystarczający. A różnica 20 kg to zarazem konieczność powiększenia powierzchni czaszy o 20 m².

DWA W JEDNYM

Rozwiązaniem nigdzie dotąd niespotykanym, a zarazem kłócącym się z ideą konstrukcji spadochronu desantowego, jest zastosowanie szczelin sterowniczych w AD-95 serii 3. „Desan-ciak” powinien zapewnić bezpieczeństwo żołnierzom wyszkolonym jedynie do wykonywania prostych działań, według procedur związanych z otwarciem czaszy, usunięciem „kalafiora”, prawidłowym przyziemieniem, a także, w sytuacji awaryjnej, otwarcia spadochronu zapasowego. A to, zdaniem Jarosława Garstki, wymusza na konstruktorach określone podejście: „Podczas skoku szkolno-bojowego z względnie niewielkiej wysokości skoczek nie znajdzie zbyt wiele czasu na sterowanie czaszą. Ma wyskoczyć i bezpiecznie opaść. Przygotowaliśmy więc spadochron z niesterowalną czaszą, na której można wykonać skok niemalże bez udziału żołnierza. W warunkach bojowych może się jednak zdarzyć coś nieprzewidzianego, na przykład zrzut okaże się niedokładny lub na zrzutowisku, wyznaczonym jedynie na podstawie zdjęć lotniczych i satelitarnych, będą przeszkody zagrażające zdrowiu, a nawet życiu żołnierza. Znaleźliśmy na to sposób. Spadochroniarz może jednym ruchem otworzyć szczeliny napędowe, czasza uzyska wówczas prędkość postępową i bardzo dużą sterowność, dzięki czemu skoczek łatwo wybrnie z trudnej sytuacji. Tuż nad ziemią zamknie szczeliny i bezpiecznie wylądować. A jak nie zamknie? Tym bardziej wylądować bezpiecznie”.

Również płk Tomasz Piekarski uważa takie rozwiązanie za godne uwagi: „Nowa konstrukcja stanowi zdecydowaną zmianę jakościową, bo powstała możliwość sterowania czaszą bez zaburzania ogólniej koncepcji spadochronu desantowego”.

KOT W WORKU

Spadochron AD-95 serii 3, mimo istotnych zmian, nawiązuje do używanej w wojsku od lat dziewięćdziesiątych konstrukcji AD-95. Dlatego bez dodatkowych zabiegów można stosować w nim nową osłonę, a także czaszę. Firma, nim dojdzie do przetargu, chce przekazać wojsku 10–20 długich osłon, żeby skoczkowie upewnili się w praktyce o ich walorach. Drugim krokiem byłoby wprowadzenie nowej czaszy do kupionych już przez armię, a jeszcze niedostarczonych spadochronów AD-95. Wojsko, podejmując decyzję o ewentualnych zakupach, nie brałoby wówczas kota w worku.

Mimo posiadania wymaganych badań i certyfikatów, a także zademonstrowania walorów tej konstrukcji podczas prezentacji, w której wzięli udział przedstawiciele gestora, jak i wojskowi specjaliści, dopiero ocena użytkownika po wykonaniu większej liczby skoków byłaby w pełni miarodajna. Kłopot jednakże polega na tym, że zarówno na etapie projektowania, jak i ewentualnego sprawdzenia gotowego produktu, kontakty, a tym samym współpracę z wojskowymi fachowcami, ograniczają przepisy.

Prace nad nowym spadochronem trwały w zakładzie AIR-POL od kilku lat. Obecną ideę przyjęto w 2012 roku. Poważnym problemem dla konstruktorów był brak określenia wymagań technicznych i oczekiwań wobec nowej konstrukcji ze strony wojska. Cóż, przepisy piszą ludzie, a sensowniej byłoby wykonać testy, zobaczyć jak spadochron się sprawdza w praktyce, zamiast potem borykać się z problemami. ■

JACEK SZUSTAKOWSKI

Lekcja na poligonie

W ostatnich latach lawinowo rośnie liczba szkół z klasami mundurowymi.

Pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku uczniowie z klas wojskowych spotykali się w wakacje w Zamościu, gdzie organizowano obozy, na których rozgrywano zawody sportowo-obronne. Wtedy mieliśmy więcej województw i jeszcze nie w każdym była szkoła, która zdecydowała się zaoferować uczniom pomoc w przygotowaniach do egzaminów do wojskowych szkół i uczelni. Na dwóch turnusach w Zamościu udawało się zebrać przedstawicieli wszystkich szkół. Teraz nie jest to już możliwe. Dzięki inicjatywie prężnie działającego Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy 62 Kompanii Specjalnej Commando i przy wydatnej pomocy Ministerstwa Obrony Narodowej oraz 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej natomiast na poligonie Karliki pod Żaganiem doszło do spotkania młodzieży reprezentującej placówki ze wszystkich województw.

NIE WSZYSCY ZOSTANĄ ŻOŁNIERZAMI

W 356 szkołach mamy ponad 1300 klas mundurowych. „Uczy się w nich przeszło 33 tysiące uczniów. W porównaniu do zeszłego roku zanotowaliśmy spore zwiększenie się liczby szkół z takimi klasami. Jest ich o 110 więcej”, mówi płk Waldemar Osypiuk, szef Oddziału Współpracy ze Społeczeństwem Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON. Według pułkownika, 11 Lubuska Dywizja Kawalerii Pancernej stworzyła uczniom możliwości obcowania z najlepszymi żołnierzami, żeby mogli się przekonać, jak wygląda trud służby wojskowej. „Dobrze się stało, że młodzież zobaczyła, jak przebiega szkolenie w warunkach poligonowych. Oczywiście było ono dostosowane do możliwości uczniów. W tym wszystkim było też wiele zabawy. My nie chcemy robić drugiego wojska, bo wojsko jest jedno”, podkreśla. „Naszym celem jest przede wszystkim to, aby wykształcić nie nowego żołnierza, lecz obywatela, który potrafi działać w zespole, zna tradycje i współczesne oblicze sił zbrojnych. A ilu z tych 33 tysięcy uczniów zostanie w przyszłości żołnierzami... zobaczymy”.

Kilka dni spędzonych na poligonie pozwoliło niektórym uczniom utwierdzić się w przekonaniu, że dobrze wybrali, decydując się na naukę w klasie o profilu mundurowym. Przykładem są choćby Bartłomiej Barszcz i Dariusz Wawrzyniak,



JACEK SZUSTAKOWSKI

uczniowie z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych z Lubania Śląskiego. Pierwszy z nich był liderem drużyny walczącej na trasie marszobiegu na 8 km, a jego kolega jako jedyny podczas zlotu został wyróżniony nagrodą indywidualną za uzyskanie 50 punktów na 50 możliwych podczas strzelania z broni krótkiej.

„Na zlocie przekonałem się, że chcę związać swoją karierę z wojskiem. Lubię rywalizację sportową, musztrę i wojskowy reżim”, mówi Bartek Barszcz i przyznaje, że chciałby się dostać do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu. „Zawsze ciągnęło mnie do strzelania. Służba wojskowa jest moim marzeniem”, przyznaje Darek Wawrzyniak.

WYMIANA DOŚWIADCZEŃ

Opiekunowie i wychowawcy uczniów ze szkół, które reprezentowały swoje województwa na zlocie, byli pod wrażeniem poziomu imprezy. Chwalili bogaty program, jaki przygotowali organizatorzy, ale nie kryli również zadowolenia z możliwości wymiany doświadczeń. „Rywalizacja sportowa była tutaj dość istotna, ale powinna zejść na drugi plan. Najważniejsze jest to, że mogliśmy przekazać sobie jakieś wskazówki do pracy na przyszłość”, twierdzi Rafał Miłosz, wicedyrektor Zespołu Szkół Mechanicznych i XII Liceum Ogólnokształcącego z Gdyni. „Młodzież przeżyła fantastyczną przygodę i bardzo się cieszę, że mogliśmy uczestniczyć w tym zlocie. Uczniowie zobaczyli tutaj wojsko od środka. Kilku z nich było z pierwszych klas. Oni dopiero rozpoczęli przygodę z mundurem i dla nich pobyt na poligonie był na pewno olbrzymią frajdą”.

„Program zlotu był bardzo atrakcyjny”, mówi starszy inspektor Sławomir Szczerkowski, pierwszy zastępca komendanta głównego Związku Strzeleckiego „Strzelec” Organizacji Spo-



NA CENTRALNYM ZŁOCIE KLAS MUNDUROWYCH „ŻAGAŃ 2014” O MIANO NAJLEPSZEJ SZKOŁY Z KLASAMI O PROFILU MUNDUROWYM RYWALIZOWAŁO 17 REPREZENTACJI.

Każde województwo wytypowało drużynę, a poza konkursem w zawodach brała udział jeszcze młodzież z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 3 z Legnicy. W każdej reprezentacji o punkty walczyło 30 zawodników. Uczniowie rywalizowali na trasie marszobiegu o długości 8 km, strzelali z broni długiej pneumatycznej oraz zabiegali o uznanie jury podczas autoprezentacji swoich szkół na estradzie i w konkursie piosenki marszowej. Zwycięzcami zawodów zostali reprezentanci Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych z Lubania Śląskiego. Drugie miejsce zajęła drużyna z Niepublicznego Technikum Zawodowego Zakładu Doskonalenia Zawodowego z Kielc, a trzecie z Zespołu Szkół Tekstylno-Handlowych z Żagania.

łeczno-Wychowawczej i opiekun reprezentacji Zespołu Szkół nr 2 z Nowego Sącza. „Uczniowie zobaczyli tutaj dużo nowych rzeczy. Przede wszystkim poznali sprzęt, którego nie ma w jednostkach na południu kraju. Nie na co dzień można oglądać leopardy. A te czołgi podobały się uczniom najbardziej”.

„Tutaj szukano szkoły wszechstronnej. Przygotowującej pod względem musztry, od strony sportowej, a także artystycznej. Generalnie w naszym programie nauczania młodzież ma zajęcia, które bez wprowadzania jakichś korekt pozwoliły nam wyłonić reprezentację na zawody”, mówi Eliza Sławińska, nauczycielka przysposobienia wojskowego i wychowania fizycznego ze szkoły w Lubaniu Śląskim. Podobnie uważa Sławomir Szczerkowski: „Jeśli szkolenie w szkołach odbywa się we właściwy sposób, to na tych zawodach wszyscy uczniowie powinni sobie poradzić z konkurencjami sportowo-obronnymi”. Do organizatorów miał tylko jedną uwagę, aby w przyszłości zrezygnowali ze strzelania z broni pneumatycznej. „Wydaje mi się, że na zawodach tego szczebla, z udziałem najlepszych klas z całej Polski, strzelanie powinno się odbywać co najmniej z kbks-u”, twierdzi opiekun drużyny z Nowego Sącza.

Minister Maciej Jankowski podczas wizyty na pierwszym Centralnym Zlocie Klas Mundurowych przyznał, że odbędą się następne. „Już padła propozycja, aby zlot powtórzyć w Żaganiu. Taka decyzja jeszcze nie została podjęta, ale wszystko temu sprzyja”, mówi minister. Wiceprezes Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy 62 Kompanii Specjalnej Commando Bogdan Fiałkowski zdradził, że wspólnie z dyrektorem Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON uznali, iż w przyszłych zlotach poszczególne województwa będą już reprezentować inne szkoły. Gen. dyw. Jarosław Mika, dowódca 11 Lubu-

skiej Dywizji Kawalerii Pancernej, z kolei złożył ofertę przyjęcia na poligonie w Żaganiu jeszcze większej liczby szkół. „Mamy takie możliwości logistyczne. A jeśli przyjedzie do nas więcej reprezentacji, to więcej uczniów będzie mogło poznać 11 Dywizję. To też jest celem zlotu”.

Na tegorocznym spotkaniu wiele mówiło się o wprowadzeniu od przyszłego roku szkolnego jednolitego programu nauczania dla klas mundurowych. Absolwenci szkół, które będą realizować minimalne wymagania programowe wyznaczone przez specjalistów z Zarządu Szkolenia Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, będą się mogli ubiegać o odbycie skróconej wojskowej służby przygotowawczej. „To dobry pomysł. Ale jeśli mówimy o ujednoczeniu, to powinno to dotyczyć wszystkich klas mundurowych. Wojskowych, bo oczywiście są jeszcze policyjne czy choćby strażackie”, przyznał Sławomir Szczerkowski. „Takie klasy powinny pracować według jednego programu, narzuconego przez wojsko. Jeżeli szkoła będzie chciała robić coś więcej, to niech to robi nadprogramowo. Grunt, abyśmy wszyscy mieli wspólne cele i je wyznaczyli naszym uczniom, tak by mieli łatwiej przy rekrutacji na uczelnie wojskowe czy przy naborze do NSR-u”.

„Jeśli mówimy o ujednoczeniu programu, to oczywiście mamy na myśli minimum programowe, a nie cały program. W szkołach są teraz programy autorskie i chcielibyśmy, aby zostały zachowane. W jednych klasach większy nacisk kładzie się na ratownictwo medyczne, a w innych na inne aspekty”, mówi płk Osypiuk. „I na tym polega ich urok. My cały czas musimy pamiętać o tym, że młodzież w klasach mundurowych ma rozwijać swoje zainteresowania”, podkreśla szef Oddziału Współpracy ze Społeczeństwem DWiPO. ■

Po jego porównaniu z wynagrodzeniem mógł dokonać bilansu, ile kosztowało zabicie jednego człowieka. Myślę, że trzeba być dobrze wyszkolonym najemnikiem, który żyje z zabijania, aby móc unieść taką odpowiedzialność psychiczną. Dyskutując o dronach, warto więc zadać pytanie o motywację jako czynnik predysponujący do bycia operatorem takich maszyn.

PREDYSPOZYCJE I DOŚWIADCZENIE

W USA od kilku lat istnieje poważny spór pomiędzy weteranami wojennymi, którzy brali bezpośredni udział w działaniach wojennych, i operatorami dronów. Za lepszych i ważniejszych żołnierzy uważają się ci, którzy bezpośrednio uczestniczyli w starciach zbrojnych i którym „strach zaglądał w oczy”. Podobnie uważa też społeczeństwo. Ten konflikt jest na tyle poważny, że organizacje weteranów nie zgodziły się na przyznawanie operatorom dronów odznaczeń wojskowych, takich jak Purpurowe Serce czy Srebrna Gwiazda, uważając, że ktoś, kto siedzi przed komputerem, nie naraża życia. Jednak władze chcą wyróżniać członków tej formacji, gdyż operacje z wykorzystaniem dronów charakteryzują się bardzo dużą skutecznością przy potencjalnie niskich kosztach całkowitych.

W mojej ocenie problem dotyczy nie tylko tego, kto jest lepszy: ten co naraża życie czy ten, który siedzi przed komputerem? Operatorzy dronów to również żołnierze, chodzą w mundurach, mają stopnie wojskowe. Dla wielu z nich służba w klasycznych formacjach wojskowych nie byłaby możliwa ze względu na różne dysfunkcje zdrowotne, takie jak wady wzroku, nadwaga, defekty układu kostno-stawowego. Są jednak inteligentni, sprawni w obsłudze systemów komputerowych. Niejednokrotnie ich dorastanie i dojrzewanie przebiegało w cyberświecie portali społecznościowych, komunikatorów, gier, dlatego są potencjalnie dobrze przygotowani do sterowania dronami. Czy pod względem psychicznym również?

Moje doświadczenie pokazuje, że wiele dysfunkcji psychicznych ujawnia się w czasie pracy w zespole, w warunkach obciążenia wysiłkiem fizycznym, przy skrajnym niewyspaniu. Każdy, kto oglądał choćby „Selekcję”, popularny program telewizyjny, zrozumie, o czym mówię. W takich sytuacjach w grupie szybko ujawniają się jednostki sfrustrowane, agresywne, o nadmiernie rozbudowanych potrzebach dominacji. Zrobienie z takiej osoby operatora drona to jak podarowanie zapalek małemu dziecku siedzącemu w stodole.

Dlatego, moim zdaniem, operatorem latających robotów może zostać człowiek dojrzały fizycznie i psychicznie, mający doświadczenie życiowe, wojskowe i wojenne. Taki, który dowodził i był dowodzony, który widział cierpienie i śmierć, który ratował życie i zabijał, żeby je ratować, który będzie świadomy, że jako operator drona może zadawać śmierć o wiele skuteczniej i musi to czynić tylko w słusznej sprawie, będącej w zgodzie z jego własnym sumieniem. Tak więc to profesja dla bardzo doświadczonego żołnierza, a nie stanowisko na początku kariery w mundurze. ■

PŁK DR N. MED. RADOŚLAW TWORUS JEST
KIEROWNIKIEM KLINIKI PSYCHIATRII I STRESU
BOJOWEGO WOJSKOWEGO INSTYTUTU MEDYCZNEGO.



WARSZAWSKIE FORUM BEZPIECZEŃSTWA

Międzynarodowa konferencja ekspercka Warsaw Security Forum 2014, organizowana przez Fundację im. Kazimierza Pułaskiego i Akademię Obrony Narodowej, odbędzie się 20–21 listopada 2014 roku w Warszawie. Tematem dyskusji podczas poszczególnych paneli będą zagadnienia bezpieczeństwa międzynarodowego we wszystkich jego wymiarach, przede wszystkim militarnym, ale także ekonomicznym i energetycznym, ze szczególnym uwzględnieniem bezpieczeństwa Europy i jej subregionu środkowo-wschodniego.

W wydarzeniu wezmą udział: ministrowie spraw zagranicznych i obrony narodowej, eksperci oraz inne osoby zaangażowane w sprawę bezpieczeństwa.

Forum rozpocznie konferencja przedstawicieli wysokiego szczebla państw Unii Europejskiej odpowiedzialnych za sprawy bezpieczeństwa, a otworzy ją prezydent Bronisław Komorowski. Sesję współorganizuje Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, które jest strategicznym partnerem wydarzenia. W debacie wezmą udział doradcy do spraw bezpieczeństwa głów państw Unii Europejskiej, a konkluzje z dyskusji zostaną zebrane, aby pomóc w wypracowaniu efektywnej polityki UE wobec potencjalnych zagrożeń.

Misją Warsaw Security Forum 2014 jest przede wszystkim rozwój bezpieczeństwa międzynarodowego poprzez dialog i budowę zaufania oraz stworzenie płaszczyzny do dyskusji dla ekspertów i decydentów zajmujących się tematyką bezpieczeństwa międzynarodowego. Ważnym elementem będzie także możliwość omówienia polityki bezpieczeństwa w Europie, przede wszystkim w kontekście relacji pomiędzy UE, NATO a Rosją. Ponadto celem organizatorów jest promocja Polski jako państwa współodpowiedzialnego za politykę bezpieczeństwa w regionie, jak również kształtującego jej wymiar światowy. Panelistami forum będą między innymi Adam Daniel Rotfeld, Andrew Michta z waszyngtońskiego Centre for Strategic and International Studies, Csaba Hende – minister obrony Węgier oraz wielu innych ekspertów w dziedzinie bezpieczeństwa.

Wydarzenie objęło patronatem honorowym Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Partnerami instytucjonalnymi forum są: Amicus Europae, demosEUROPA, Europejska Akademia Dyplomacji, The German Marshall Fund, Instytut Wolności, Polski Instytut Myśli Gospodarczej i Polski Instytut Spraw Międzynarodowych.

Więcej informacji o tej konferencji znajduje się na stronie internetowej: <http://warsawsecurityforum.org/>

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

Transakcja wiązana

Zadanie nie jest łatwe:
w warunkach wolnego rynku
trzeba pogodzić interesy armii
i polskiego przemysłu.

Czy kupować taniej i odrzucić offset, czy wykorzystywać szansę, aby polski przemysł zbrojeniowy zyskał miejsca pracy i transfer nowych technologii? Na to pytanie odpowiedział sekretarz stanu w Ministerstwie Obrony Narodowej Czesław Mroczek podczas sejmowej debaty nad nową ustawą offsetową: „Offset ma być narzędziem tak zwanej polonizacji technologii, których sami nie jesteśmy w stanie wytworzyć i dostarczyć siłom zbrojnym. Ma służyć realizacji dwóch podstawowych celów: wzmocnieniu sił zbrojnych oraz budowaniu polskiego przemysłu obronnego”.

O ile offset podraża kontrakt? Dyrektor Departamentu Programów Offsetowych w Ministerstwie Gospodarki Hubert Królikowski wyjaśnia, że z analiz japońskich i amerykańskich wynika, że w niewielkim stopniu, o kilka procent. „Korzyści z offsetu zawsze są większe”, podkreśla. Jak mówi, „przez ponad dekadę zostało zrealizowanych wiele zobowiązań offsetowych, których przedmiotem był między innymi szeroko rozumiany transfer technologii. Bez narzędzia, jakim jest offset, większość polskich podmiotów nie miałaby środków na zakup takich technologii w ramach zwykłych umów handlowych”.

NOWA USTAWA

Od końca lipca (weszła w życie nowa ustawa) obowiązują nowe zasady kontraktowania i rozliczania umów offsetowych. Offset nie będzie już obligatoryjny, można go żądać także przy mniejszych zamówieniach, ale trzeba to uzasadnić względami bezpieczeństwa i obronności. Taki warunek jest skutkiem dostosowania przepisów do wymogów unijnych – dyrektywy obronnej Unii Europejskiej, „Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej” i kodeksu offsetowego Europejskiej Agencji Obrony.

Offset będzie miał charakter bezpośredni – trafi tylko do zakładów zbrojeniowych, przekazywane technologie muszą się bezpośrednio wiązać z zamawianym sprzętem, a umowy będzie zawierało MON. Komitet ds. Umów Offsetowych



**Z ANALIZ WYNIKA,
ŻE OFFSET
PODRAŻA
KONTRAKTY
W NIEWIELKIM
STOPNIU**

PRZEMYSŁAW MALISZEWSKI

w Ministerstwie Gospodarki będzie odpowiadał tylko za kontynuację już rozpoczętych programów. Odebranie kompetencji ministrowi gospodarki i przekazanie ich ministrowi obrony narodowej wydaje się dobrym posunięciem, bo skoro offset ma trafiać tylko do zbrojeniówki, odpowiedzialność i kompetencje będą w jednym ręku.

Nowa ustawa została przyjęta w czasie, gdy ruszył zakrojony na szeroką skalę program modernizacji technicznej sił zbrojnych. Na dostawy sprzętu wojskowego i uzbrojenia ma zostać przeznaczonych około 130 mld zł. Posłanka Renata Butryn, która przewodniczyła podkomisji

13 MINIONYCH LAT

23 umowy (poniżej wybrane przykłady)

7 mld dol = 1,5 mld euro = 750 mln zł

CASA C295



F-16



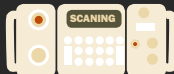
Rosomak



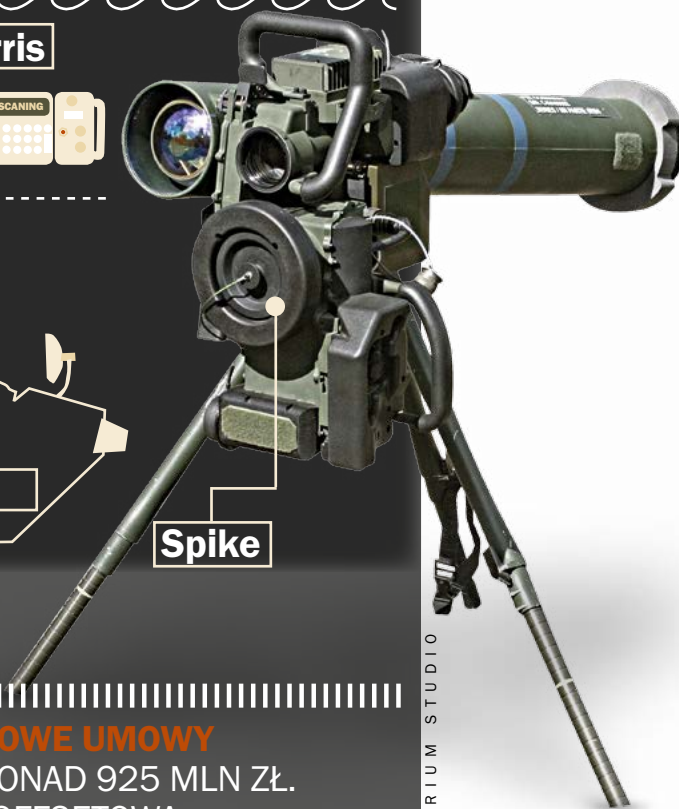
Ślązak



Harris



Spike



W 2013 ROKU ZAWARTO CZTERY NOWE UMOWY OFFSETOWE O ŁĄCZNEJ WARTOŚCI PONAD 925 MLN ZŁ. W 2014 ROKU PODPISANO UMOWĘ OFFSETOWĄ Z OTO MELARA NA 77,65 MLN EURO.

wpracowującej zapisy ustawy, podkreśla, że tworzono ją z zamiarem budowy potencjału polskiego przemysłu obronnego. „Choć w Unii Europejskiej odchodzi się od offsetu, dla nas nie ma innego sposobu na pozyskanie nowoczesnych technologii. Polski przemysł zbrojeniowy, by przetrwać, potrzebuje eksportu technologii podwójnego zastosowania, także cywilnego”.

Nowa ustawa nie jest doskonała i niektóre jej przepisy skoryguje praktyka. Na pewne niedociągnięcia już wskazywali posłowie czy prawnicy. Dokument wymienia na przykład różne formy zabezpieczenia wykonania umowy: akt

notarialny zawierający oświadczenie o poddaniu się egzekucji tak zwanej 777, gwarancja bankowa, weksel in blanco wraz z deklaracją wekslową. Zarówno gwarancja bankowa, jak i weksel in blanco oznaczają dla zagranicznego dostawcy dodatkowe obciążenia, co zapewne odbije się na cenie dostawy.

Posel Andrzej Rozenek z sejmowej Komisji Obrony Narodowej wskazywał z kolei na szeroką definicję offsetobiorców. „Łatwo można wyobrazić sobie taką sytuację, w której firma, nasz kontrahent, zakłada tutaj spółkę córkę i po prostu przekłada pieniądze z kieszeni do kieszeni”.



KOMENTARZ

ARKADIUSZ BĄK

Konkretny wyniki gospodarcze związane z realizacją umów offsetowych przede wszystkim odnoszą się do poszczególnych beneficjentów offsetu i ich otoczenia biznesowego. Czyli są to efekty w skali regionalnej lub sektorowej, ale raczej nie makroekonomicznej. Doświadczenia ostatnich kilkunastu lat dowodzą, że realizacja umowy offsetowej – nawet o największej wartości – nie ma wpływu na poprawę stanu całej gospodarki Polski. Może natomiast, poprzez wykonanie zobowiązań offsetowych, w znacznym stopniu poprawić kondycję ekonomiczno-finansową poszczególnych offsetobiorców. Ponadto może pozytywnie wpłynąć również na poddostawców oraz na regionalny rynek pracy.

Osiągnięcie takiego efektu jest możliwe jedynie pod warunkiem, że każdy z offsetobiorców skorzysta z szansy, jaką dają wprowadzone do umów offsetowych zobowiązania offsetowe. Ich wprowadzenie nie gwarantuje w 100% realizacji. Konieczna jest aktywność polskiego podmiotu, aby doprowadzić do zawarcia umowy pomiędzy stronami realizującymi określone zobowiązanie, która przyniesie wymierne efekty gospodarcze.

Stosowanie offsetu wydaje się jak najbardziej uzasadnione. Instrument ten pomógł wielu zakładom, zwłaszcza branży obronnej, poprawić ich kondycję ekonomiczno-finansową. Umożliwił wzbogacenie ich potencjału o zaawansowane technologie, narzędzia, wsparcie finansowe i pozwolił nawiązać nowe więzi kooperacyjne z największymi światowymi producentami uzbrojenia, co bez offsetu byłoby niemożliwe. Ponadto pozwolił zwiększyć konkurencyjność poszczególnych offsetobiorców wobec innych firm z branży działających na danym terenie oraz w wielu wypadkach na rynkach międzynarodowych. Jest to efektem zmiany potencjału spółek, między innymi skali produkcji, finansów, dystrybucji i marketingu. Pozostaje mieć nadzieję, że wszystkie te czynniki przyczynią się do rozwoju polskiego przemysłu, zwiększając tym samym jego konkurencyjność.

Arkadiusz Bąk jest podsekretarzem stanu w Ministerstwie Gospodarki.

Podczas XXIV Forum Ekonomicznego w Krynicy jedna z dyskusji dotyczyła odpowiedzi na pytanie: w jakim stopniu inwestycje w przemysł obronny stymulują gospodarkę? Przedsiębiorcy twierdzą, że offset jako jej koło zamachowe się nie sprawdził.

Jan Krzysztof Bielecki, przewodniczący Rady Gospodarczej przy premierze, przyznał, że w przeszłości niska efektywność niektórych wydatków offsetowych wynikała z tego, że w tamtych latach duże zamówienia dla wojska (np. na myśliwce F-16) były niepopularne społecznie. Umowy offsetowe miały pokazywać, że z tymi zamówieniami wiąże się korzyści dla całej gospodarki, więc ich wartość przeczacowano. Renata Butryn z sejmowej komisji obrony przypomina, że czasem „oferowano przestarzałe linie technologiczne, nie można było zmusić zagranicznego dostawcy do wykonania offsetu”.

ZASTRZYK DLA PRZEMYSŁU

Na spotkaniu z prezesami firm zbrojeniowych i przedsiębiorcami w czasie XXII Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego wiceszef MON Czesław Mroczek wyjaśniał, że kluczowym warunkiem negocjacji nowych kontraktów wojskowych będzie maksymalna polonizacja kupowanego uzbrojenia. Chodzi o to, aby ważne komponenty były produkowane w naszym kraju, a także o przekazanie polskim firmom serwisowania, napraw i modernizacji uzbrojenia. Ministerstwu zależy na tym, aby własnymi siłami utrzymywać je potem przez lata w sprawności i gotowości do działania. Z zapowiedzi przedstawicieli resortu wyni-

ka, że oferta dotycząca offsetu będzie częścią oferty głównej i wpłynie na jej ogólną ocenę.

Offset jest stosowany również poza terytorium Unii Europejskiej, między innymi w Kanadzie czy Korei Południowej. Indie przy zakupie sprzętu wojskowego pozyskują nowoczesne technologie systemów obronnych w ramach długoterminowej współpracy z dostawcami zagranicznymi.

Także polski przemysł zbrojeniowy nie zdoła pokryć zapotrzebowania polskiej armii na nowoczesne uzbrojenie, ale z drugiej strony dobrym podejściem nie jest skrajny liberalizm, czyli szukanie wykonawców poszczególnych kontraktów na całym świecie, zamiast wspierania w miarę możliwości producentów w Polsce. Nie należy jednak rezygnować z zamówień zagranicznych, lecz wiązać z nimi rozsądne żądania offsetowe. W „Strategii rozwoju systemu bezpieczeństwa narodowego Rzeczypospolitej Polskiej 2022” czytamy, że pobudzenie koniunktury w przemyśle obronnym, w szczególności jego wzmocnienie pod względem technologicznym, może odbywać się poprzez efektywne wykorzystanie możliwości związanych z realizacją offsetu.

Praktyka offsetowa MON-u jeszcze się nie wykształciła. „Zawsze istnieje ryzyko nadużyć czy prób obejścia offsetu. Ustawa jest, teraz wszystko zależy od wykonania, wiedzy, kompetencji, świadomości negocjatorów”, uważa posłanka Renata Butryn. Dopiero przekonamy się, czy „offset niezbędny z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa” okaże się też drogą do rozwoju krajowego przemysłu obronnego, jak ma to miejsce w wielu krajach Europy Zachodniej. ■

JAROSŁAW
RYBAK

Przepis na superspecjalsa

**KRÓTKI PORADNIK
DLA KANDYDATÓW
NA CELEBRYTÓW
W MUNDURACH**



Jako uważny obserwator doniesień o działaniach wojska zauważyłem dwie prawidłowości: im dalej od wydarzenia, tym więcej ma ono uczestników oraz im mniej opowiadający ma doświadczenia, tym chętniej wypowiada się na wszelkie tematy. Poradnik powstał z myślą o tych, którzy nie osiągnęli jeszcze perfekcji w tak zwanym nawijaniu makaronu na uszy. Należy pamiętać, że ma on zastosowanie niezależnie od rodzaju munduru i koloru beretu na głowie.

1. Ćwicz miny: marszczenie czoła, lekkie zaciskanie ust, zmrużenie oczu. Marsowy wyraz twarzy charakteryzuje wojownika.

2. Zadbaj o mundur najnowszego sortu. Byłoby dobrze, gdyby znalazły się na nim jakieś odznaki i plakietki. Jeśli ich nie masz, jeszcze przed włączeniem kamery wspomnij, mimochodem, że mundur to nie choinka.

3. Unikaj „hmm” i „eee”. Zastępuj je zwrotem „za mało lat minęło od tamtych wydarzeń, aby już je ujawniac” albo po prostu jednym słowem – „tajne”.

4. Przygotuj zestaw standardowych odpowiedzi, na przykład „powiem krótko, nie było łatwo” lub „do dziś widzę”. Tu należy wybrać „złe oczy taliba” (jeśli pytanie dotyczy akcji), „ufne oczy dziecka” (jeśli opowiadasz o pomocy humanitarnej), „szacunek w oczach generała wręczającego medale moim podwładnym” (jeśli oceniasz całokształt działań i chcesz zostać doceniony przez przełożonego).

5. Nie brałeś udziału w misjach, nie pocieś się na poligonach? Opowiadając o ciężkiej służbie, po prostu nie mów „ja”, lecz „my”. Koledzy mogą się trochę wkurzyć, ale dziennikarz zobaczy, że jesteście teamem.

6. Od niechcenia wspomnij o rodzinie. Koniecznie, że do niedawna nie wiedziała, iż od iks lat służysz. Że nie pyta o nic, gdy co jakiś czas wychodzisz z domu i znikasz na pół roku. Nie zapomnij podziękować najbliższemu za wyrozumiałość.

7. Nie zapomnij powiedzieć, że jesteś dumny z młodych ludzi. Wskazuj na łączące was zainteresowania. Może nie na clubbing, lepsze będzie kibicowanie, a odwołanie do patriotyzmu – idealne.

8. Używaj wielkich słów. Im więcej razy odmienisz „honor”, „ojczyzna”, „tradycja”, tym większe wywołasz wrażenie na odbiorcach.

9. Nie zdałeś egzaminu z wuefu, nie biegasz z kumplami, nie chodzisz na siłownię? Nie ma problemu. Pytany o sprawność fizyczną akcentuj walory intelektualne niezbędne w służbie, na przykład „To mit, że służą u nas jacyś rambo, szukamy kandydatów inteligentnych. Kondycję fizyczną można rozwinąć, z intelektem nie będzie tak prosto”.

10. Dziennikarz zadaje zbyt konkretne pytania? Pamiętaj o punkcie 3. Słyszałem kiedyś w TVN24 „byłego oficera GROM”, który, zasłaniając się tajemnicą, nie chciał mówić o służbie w PKW Liban, gdzie był zanim trafił do specjednostki. Idź tą drogą, korzystaj ze sprawdzonych wzorców.

Stosując się do powyższych zasad, zyskasz trzykrotnie: sympatię dziennikarzy ceniących wygadanych rozmówców, uznanie odbiorców i uśmiech kolegów. ■

JAROSŁAW RYBAK JEST PUBLICYSTĄ ZAJMUJĄCYM SIĘ PROBLEMATYKĄ BEZPIECZEŃSTWA. AUTOREM KSIĄŻEK O POLSKICH JEDNOSTKACH SPECJALNYCH. BYŁ RÓWNIEŻ RZECZNIKIEM PRASOWYM MON I BBN.

PAULINA GLIŃSKA

Większa ochrona

Przygotowywane w resorcie obrony narodowej zmiany w ustawie o weteranach przyznają więcej uprawnień rannym i poszkodowanym na misjach.

Ustawa o weteranach działań poza granicami państwa obowiązuje od marca 2012 roku. Jej zapisy przyznają weteranom i weteranom poszkodowanym wiele uprawnień. Mogą oni na przykład poza kolejnością korzystać z opieki zdrowotnej, bezpłatnej pomocy psychologicznej, otrzymać zapomogi, dopłaty do leków lub dofinansowanie nauki.

Choć dokument już w rok od chwili wejścia w życie był dobrze oceniany przez środowisko wojskowych, praktyka pokazała, że pewne kwestie wymagają uzupełnienia. Nad zmianami w ustawie już w 2013 roku prace rozpoczął zespół specjalistów. Główny nacisk położono na zwiększenie przysługujących weteranom świadczeń i uproszczenie procedur przy ubieganiu się o ten status. Ze strony weteranów pojawił się postulat, by do grupy

osób uprawnionych do otrzymania statusu weterana dopisać Polaków – uczestników międzynarodowych misji w Korei i Indochinach.

SZEROKIE KONSULTACJE

Przygotowanie założeń projektu poprzedziły półroczne konsultacje przedstawicieli resortu z reprezentantami środowiska weteranów. „Odbiliśmy kilka spotkań roboczych, podczas których każdą zmianę dokładnie analizowaliśmy. Uwzględniliśmy przy tym dwuletnią praktykę obowiązujących przepisów. Jesteśmy zadowoleni z efektu tych prac”, mówi Tomasz Kloc, prezes Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Jakie zmiany przewiduje projekt założeń do nowelizacji? Przede wszystkim rozszerza zakres

KOMENTARZ

LESZEK STĘPIEŃ



W ciągu ostatniego roku nowelizacja ustawy była wielokrotnie konsultowana ze środowiskiem weteranów, w tym przede wszystkim ze Stowarzyszeniem Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju oraz Stowarzyszeniem Kombatantów Misji Pokojowych ONZ. Mieliśmy więc możliwość zgłaszania propozycji i wpływania na jej kształt. Przedstawiane do noweli zmiany dotyczyły między innymi: uznania za weteranów uczestników tak zwanych komisji międzynarodowych, na przykład w Korei (1953 rok), możliwości ubiegania się o status weterana poszkodowanego przez uczestników starszych misji, którzy mają dokumenty nieakceptowane przez obowiązującą ustawę, a także zwiększenia możliwości objęcia działaniami profilaktycznymi i rehabilitacyjnymi weteranów i weteranów poszkodowanych. Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju, które reprezentuje weteranów poszkodowanych, najbardziej było zainteresowane uproszczeniem tak zwanych procedur pomocowych oraz związanych z uzyskaniem statusu weterana poszkodowanego, a także możliwością skierowania raz w roku weterana poszkodowanego na turnus rehabilitacyjno-readaptacyjny wraz z najbliższym członkiem rodziny oraz możliwością uczestnictwa weterana powracającego z misji wraz z najbliższym członkiem rodziny w turnusie readaptacyjnym.

Pplk **Leszek Stępień** jest dyrektorem Centrum Weterana Działań poza Granicami Kraju.

KTO JAKI MA STATUS?

Do tej pory (od lat pięćdziesiątych XX wieku) ponad 100 tys. polskich żołnierzy i pracowników wojska wzięło udział w około 80 misjach zagranicznych. Status weterana, przyznawany na wniosek zainteresowanego, ma obecnie 10 259 byłych i obecnych żołnierzy i pracowników, a weterana poszkodowanego – 531.

PRZEPISY BARDZIEJ PRECYZYJNE

Projekt założeń do ustawy doprecyzowuje zapisy dotyczące przyznawania statusu weterana lub weterana poszkodowanego.

1. Jeśli dana osoba zmieni rodzaj pełnionej służby, na przykład z policji na wojsko lub odwrotnie, o tym, kto ma jej nadać odpowiedni status, będzie decydowało ostatnie miejsce pełnienia służby, niezależnie od tego, kto kierował ją do udziału w działaniach poza granicami państwa.
2. W wypadku zmiany decyzji przyznającej status weterana poszkodowanego organem, który będzie mógł zmienić decyzję, będzie ten, kto ją wydał, niezależnie od organu, który kierował daną osobą do udziału w misji. Chodzi przede wszystkim o osoby, które mają już status weterana poszkodowanego i odpowiedni procent uszczerbku na zdrowiu przyznany przez jeden organ i po tym fakcie zmieniają miejsce pełnienia służby (np. żołnierz zostanie funkcjonariuszem policji lub odwrotnie), a następnie ponownie ulegną wypadkowi w działaniach poza granicami państwa, powodującemu uszczerbek na zdrowiu, który będzie skutkowało uprawnieniem do podwyższenia dodatku dla weterana poszkodowanego.
3. Zmienia się zasady dokumentowania prawa do przyznania statusu weterana poszkodowanego w przypadku wniosków złożonych po upływie 15 lat od dnia zaistnienia wypadku pozostającego w związku z działaniami poza granicami państwa lub choroby nabytej w ramach takich działań. Jeżeli – co się zdarza – wnioskodawcy nie dysponują wymaganymi ustawą dokumentami, zakłada się wprowadzenie możliwości ubiegania się o status weterana poszkodowanego na podstawie innych dokumentów, poświadczających fakt zaistnienia wypadku lub choroby i ich okoliczności.
4. Przewiduje się także wprowadzenie wymogu załączenia do wniosku o przyznanie statusu weterana poszkodowanego oświadczenia wnioskodawcy o pobieraniu renty inwalidzkiej z tytułu urazów lub chorób powstałych w związku z udziałem w działaniach poza granicami państwa. ■

świadczeń przysługujących weteranom poszkodowanym. Chodzi na przykład o ograniczenie wysokości opłat za pobyt w domu weterana do kwoty odpowiadającej 25% miesięcznego dochodu świadczeniobiorcy (obecnie wysokość miesięcznej opłaty wynosi 250% najniższej emerytury, nie więcej jednak niż 70% miesięcznego dochodu świadczeniobiorcy). Szacuje się, że dodatkowe koszty z tytułu zmniejszenia tej opłaty, pokryte z budżetu MON, wyniosą około 338 tys. zł rocznie

Projekt przewiduje też bezpłatny udział weteranów poszkodowanych w organizowanych w jednostkach podległych MON turnusach readaptacyjno-kondycyjnych, mających pomóc w przystosowaniu do pomisyjnego życia. Był to postulat zgłaszany przez środowisko weteranów, a resort obrony go zaakceptował. Turnusy mają być ofertą przede wszystkim dla tych rannych, którzy nie wymagają specjalistycznego leczenia w szpitalu. Będą to na przykład zajęcia sportowo-rekreacyjne, warsztaty psychologiczne oraz zabiegi rehabilitacyjne. Co ważne, w turnusach razem z weteranem będzie mógł nieodpłatnie uczestniczyć także pełnoletni najbliższy członek rodziny. Koszty turnusów, szacowane na 160 tys. zł rocznie, będą pokrywane z budżetu MON.

NA TURNUSY Z ŻONĄ

Podobnie będzie finansowany pobyt członka rodziny w turnusach leczniczo-profilaktycznych. Obecnie tylko żołnierze zawodowi powracający z misji chorzy lub ranni oraz ci, którzy doznali urazu psychicznego, mogą bezpłatnie skorzystać z takiej możliwości. „W trudnym procesie adaptacji

wsparcie najbliższych ma ogromne znaczenie. Żołnierz czuje się bezpieczniej, szybciej też jest w stanie odbudować swoją kondycję psychofizyczną. Dlatego uznaliśmy, że takie rozwiązanie jest pożądane”, mówi Kamilla Gralik, zastępca dyrektora Departamentu Spraw Socjalnych MON. Nowością ma być też udział w takich turnusach pracowników cywilnych służących na misjach. Im również będą mogli nieodpłatnie towarzyszyć najbliżsi.

Wydatki z tytułu rozszerzenia katalogu osób kierowanych na turnusy leczniczo-profilaktyczne resort obrony oszacował na 5 mln zł. Kwota ta dotyczy roku 2015, kiedy to – według przewidywań na podstawie danych z lat ubiegłych – ma na nie trafić 1960 żołnierzy oraz 20 pracowników i dodatkowo 2 tys. najbliższych tych osób.

Projekt wprowadza też możliwość dofinansowania przez MON wydatków na leczenie weteranów poszkodowanych ponad limity określone przez NFZ. Jak dotąd brakowało podstaw prawnych, by na przykład szpital mógł się ubiegać w MON o refundację świadczeń medycznych dla weteranów.

Zaproponowane przepisy doprecyzowują też zasady rozliczania dodatkowego urlopu wypoczynkowego, należnego weteranom. Wskazano, że musi on być wykorzystany w całości w roku kalendarzowym, w którym przysługuje, w terminie uzgodnionym z pracodawcą, oraz że za niewykorzystany urlop z tego tytułu nie będzie wypłacany ekwiwalent pieniężny. Projektowana regulacja zakłada ponadto, że w razie zatrudnienia w niepełnym wymiarze czasu pracy, dodatkowy urlop będzie ustalany proporcjonalnie.



OBOWIĄZUJĄCA USTAWA O WETERANACH

Ci, którzy odnieśli rany na misjach, mają prawo do świadczeń z zakresu opieki medycznej – leczenia poza kolejnością, leczenia bezterminowego, bezpłatnych leków i wyrobów medycznych, świadczeń specjalistycznych bez skierowania.

Przysługuje im także odznaka „Za Rany i Kontuzje”, jednorazowe wydanie bezpłatnego umundurowania i wyekwipowania oraz pomoc na finansowanie nauki. Ustawa przyznaje weteranom poszkodowanym także zapomogi, bez względu na wiek ulgi na przejazdy komunikacją, dodatek do renty lub emerytury oraz pierwszeństwo w zatrudnianiu w jednostkach podległych MON.

Wszyscy weterani mają prawo do bezpłatnej pomocy psychologicznej poza kolejnością, dodatkowego urlopu wypoczynkowego, zapomogi po ukończeniu 65 lat i umieszczenia poza kolejnością w domu weterana.

Ponadto przysługuje im zwrot kosztów przejazdu na uroczystości organizowane przez MON lub dowódców jednostek wojskowych, na które zostali zaproszeni, i zakwaterowania w takich wypadkach oraz asysta honorowa podczas pogrzebu.

W PRZYSZŁYM ROKU NA **TURNUSY LECZNICZO-PROFILAKTYCZNE** BĘDZIE MOGŁO TRAFIĆ 1960 ŻOŁNIERZY ORAZ 20 PRACOWNIKÓW I DODATKOWO 2 TYS. NAJBLIŻSZYCH TYCH OSÓB.

KOMENTARZ

WALDEMAR WOJTAN



W naszej ocenie przygotowane przez MON poprawki do ustawy o weteranach działań poza granicami państwa zawierają wszystkie postulaty, jakie zgłaszali nam członkowie naszego stowarzyszenia. W ubiegłym roku prezes Zarządu Głównego SKMP ONZ gen. bryg w st. spocz. dr Stanisław Woźniak przedstawił je na wspólnym posiedzeniu komisji obrony Sejmu i Senatu RP. Poprawki te pozwolą na to, że po wielu latach zostanie doceniona niebezpieczna i odpowiedzialna służba wszystkich Polaków, którzy pełnili służbę poza granicami państwa. Także tych najstarszych, którzy w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęli ją w komisjach międzynarodowych. Umożliwią również weteranom, którzy doznali uszczerbku na zdrowiu, uzyskanie statusu poszkodowanego na podstawie innych posiadanych dokumentów, które różnią się od tych wydawanych i wymaganych obecnie. Zarząd Główny Stowarzyszenia od prawie trzech lat bezskutecznie zabiega o uchwalenie tych poprawek przez Sejm. Mamy nadzieję, iż dzięki przychylności dla weteranów MON oraz nowej pani premier zostaną one przedstawione przez Radę Ministrów i przyjęte przez Sejm RP jeszcze w tej kadencji.

Waldemar Wojtan jest wiceprezesem Zarządu Głównego Stowarzyszenia Kombatantów Misji Pokojowych Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Resort obrony zaproponował też zmiany w zasadach dokumentowania prawa do przyznania statusu weterana poszkodowanego. Chodzi zwłaszcza o te osoby, które ubiegają się o ten status po wielu latach od udziału w misji zagranicznej i nie dysponują już wymaganymi dokumentami. Po wejściu w życie przepisów będą mogły przedłożyć zaświadczenie kierownika archiwum wojskowego o braku tej dokumentacji w archiwach oraz inne dokumenty, poświadczające zaistnienie wypadku lub choroby.

Zmiany przewidują też rozszerzenie definicji misji pokojowej lub stabilizacyjnej. Dzięki temu o status weterana lub weterana poszkodowanego mogliby się ubiegać także człon-

kowie międzynarodowych komisji kontroli i nadzoru w sprawie zawieszenia działań wojennych w Korei i Indochinach oraz uczestnicy akcji ratowniczych, poszukiwawczych i humanitarnych. MON szacuje, że liczba osób uprawnionych do otrzymania statusu weterana zwiększy się o około 500.

„Liczymy, że wszystkie te zmiany, w jeszcze większym stopniu usprawnią system pomocy osobom uczestniczącym w misjach, szczególnie tym, które okupiły zagraniczną służbę uszczerbkiem na zdrowiu”, tłumaczy Kamilla Gralik.

Według projektu ustawa miałaby wejść w życie w czerwcu 2015 roku. Czy tak się stanie, będzie zależało od tempa prac legislacyjnych. ■

TOMASZ
SANAK

Panowie życia i śmierci



Na polu walki każdy żołnierz jest panem życia i śmierci. Nie dlatego, że ma broń. Od jego umiejętności zależy, czy uratuje życie rannego kolegi. Ratownicy taktyczni bardzo często zadają sobie pytanie, co jest dowodem profesjonalizmu. Czy liczba poszkodowanych, których udało się uratować na polu walki jest wystarczającym parametrem? Na to pytanie w najlepszy sposób odpowie wnioskowanie statystyczne oraz koncepcja tak zwanego preventable death, czyli wskaźnik zgonów do uniknięcia.

Badacze pracujący pod kierownictwem Davida Rutsteina wprowadzili w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku pojęcie „zgonów do uniknięcia”. Jest to metoda badania jakości opieki medycznej. Za zgony do uniknięcia uważa się wszystkie przypadki, w których odpowiednio wczesne i odpowiednie zastosowanie zabiegów ratunkowych pozwoliłoby pacjentowi na przeżycie. Wytyczne komitetu naukowego do spraw taktyczno-bojowej opieki nad poszkodowanym US Army wskazują, że około 60% zgonów pola walki do uniknięcia to masywne krwotoki z kończyn, 30% to odma jamy opłucnej, a 10% – niedrożność górnych dróg oddechowych.

Każdy nasz żołnierz w osobistym IPmed’dzie (indywidualnym pakiecie medycznym) ma opaskę uciskową do tamowania masywnych krwotoków. Mało tego, niektórzy dowódcy uznają je za element wyposażenia taktycznego, a nie medycznego – co jest dobrym pojmowaniem idei ratownictwa taktycznego. Oprócz opasek mamy też środki hemostatyczne, które w kontakcie z krwią powodują powstanie skrzepu. Sprzętowo zatem jesteśmy na 100% przygotowani do tamowania krwotoków. A nasze umiejętności? W polskim wojsku nikt tego właściwie nie sprawdzał. Następną przyczyną zgonów do uniknięcia to odma jamy opłucnej, czyli sytuacja, w której na skutek urazu (ciśnieniowego, postrzału, dźgnięcia) płuco nie jest w stanie prawidłowo pracować. I znowu schemat się powtarza. Każdy żołnierz w IPmed’dzie ma profesjonalny opatrunek do zabezpieczenia ran klatki piersiowej. Każdy powinien wiedzieć, że taka rana powinna być zaklejona szczelnym opatrunkiem lub opatrunkiem wentylowym. A nasze realne umiejętności? Znowu nie wiemy, jak jest w rzeczywistości, bo nikt tego nie badał.

Ostatnią przyczyną tak zwanych zgonów do uniknięcia to niedrożność górnych dróg oddechowych spowodowana opadającym językiem na tylną ścianę gardła. Każdy wie, że drogi oddechowe można udrożnić, stosując rurkę nosowo-gardłową, która również znajduje się w indywidualnym pakiecie medycznym.

Jaki jest wniosek ogólny? Armia wyposażała nas w najlepszy dostępny na rynku sprzęt ratownictwa taktycznego, wysłała nas na najlepsze kursy ratownictwa taktycznego, a my musimy wypracować w sobie „pamięć mięśniową” do wykonywania procedur ratowniczych na polu walki. Bo każda sekunda, którą tracimy na zastanawianie się, co robić, spowoduje, że z naszych poszkodowanych wypłyne więcej krwi, mniej powietrza dostanie się do płuc. A ci, którzy zginęli na skutek krwotoku, odmy, niedrożności dróg oddechowych – powinni żyć, szczególnie gdy procedury ratownicze były wdrożone natychmiast po powstaniu urazu. ■

**KAŻDA SEKUNDA,
KTÓRĄ TRACIMY
NA ZASTANAWIANIE SIĘ,
CO ROBIĆ, ZMNIEJSZA
SZANSE RANNEGO
NA PRZEŻYCIE**



TOMASZ SANAK JEST RATOWNIKIEM MEDYCZNYM W ZAKŁADZIE MEDYCZYNY POLA WALKI WOJSKOWEGO INSTYTUTU MEDYCZNEGO, UCZESTNIKIEM I, VI ORAZ IX ZMIANY PKW AFGANISTAN, WSPÓŁTÓRĄCY CYKLU SZKOLEŃ ZWIĄZANYCH Z WYKORZYSTANIEM DOŚWIADCZEŃ Z POLA WALKI W RATOWNICTWIE CYWILNYM ([HTTP://MEDYCYNARATUNKOWA.WIM.MIL.PL](http://medycynaratunkowa.wim.mil.pl)).

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

Uprawnienia emerytalne

PODSTAWA PRAWNA: ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin z 10 grudnia 1993 roku (DzU 1994 nr 10 poz. 36) – tekst jednolity z 20 lutego 2013 roku (DzU 2013 poz. 666) – art. 18a, 18b.

Pytanie dotyczy zasad, na jakich będą nabywali uprawnienia emerytalne żołnierze powołani do służby po 1 stycznia 2013 roku, którzy pełnili wcześniej (przykładowo w latach 1998–2004) zasadniczą i nadterminową służbę wojskową. Podam przykład: 1998–1999 – służba zasadnicza, 1999–2004 – służba nadterminowa, od 2004 do czerwca 2013 roku – rezerwa (cywil), od czerwca 2013 roku – żołnierz zawodowy.

→ **Odpowiedź na to pytanie znajduje się w treści art. 18b ust. 1 w związku z art. 18a ust. 1 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin.** Regulacje znove-lizowanej ustawy stanowią, że emerytura żołnie-

rzy powołanych do zawodowej służby wojskowej po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku przysługuje żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej, który w dniu zwolnienia ma ukończone 55 lat życia i co najmniej 25 lat służby wojskowej w Wojsku Polskim. Dla autora pytania okres, od którego zacznie być naliczany staż służby, to czerwiec 2013 roku. Pamiętać jednak należy, że czas sprzed powołania do zawodowej służby, podany jako zasadnicza służba i nadterminowa służba, zostanie doliczony do 25 lat zawodowej służby wojskowej. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Normy na teście sprawności

Od 2007 roku zajmuję stanowisko służbowe szefa kompanii–dowódcy drużyny. Do 2013 roku zdawałem wf. według norm przyjętych dla żołnierzy zajmujących pozostałe stanowiska służbowe – kolumna czwarta tabeli norm. W 2014 roku (w dniu przystąpienia do egzaminu) nowy major od wf. stwierdził, że muszę zdawać według normy obowiązującej dowódcę pododdziału, czyli zgodnie z kolumną drugą tabeli norm. Proszę o informację, jakie normy wf. obowiązują mnie na stanowisku szefa kompanii–dowódcy drużyny oraz o podstawę prawną.

Moje drugie pytanie dotyczy tego, kiedy można zdawać egzamin z wf. poza macierzystą jednostką służby. Proszę o podstawę prawną.

→ **Autor pytania musi pamiętać o tym, że jego stanowisko występuje w strukturze kompanii. Samo stanowisko jest złożone, a zatem jest on zarówno dowódcą drużyny, jak i szefem kompanii.** W mojej ocenie powinien pan zostać zakwalifikowany według norm sprawnościowych zarezerwowanych dla „poddział – dowódca drużyny”.

Odpowiedź na pytanie drugie znajduje się w treści przepisu § 5 ust. 4 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych, w którym to uregulowano, że żołnierz zawodowy, który w czasie sprawdzianu sprawności fizycznej przebywa z przyczyn służbowych poza stałym miejscem pełnienia zawodowej służby wojskowej przez okres nie krótszy niż 30 dni, zalicza ten sprawdzian w miejscu wykonywania obowiązków służbowych. Przewodniczący komisji egzaminacyjnej przesyła wyniki żołnierza do dowódcy jego macierzystej jednostki wojskowej nie później niż w terminie 30 dni po odbytych sprawdzianach. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie przeprowadzania sprawdzianu sprawności fizycznej żołnierzy zawodowych z 12 lutego 2010 roku (DzU 2010 nr 27 poz. 138), tekst jednolity z 5 maja 2014 roku (DzU 2014 poz. 848) – §5 ust. 1, §6 ust. 1.

Szeregowy na oficera

Jestem szeregowym zawodowym z siedmioletnią wysługą. Wyczytałem w wytycznych MON, dotyczących działalności kadrowej 2014/2015, że w WSO we Wrocławiu mają powstać kursy oficerskie dla wyróżniających się szeregowych. Jak takie kursy mają wyglądać i jakie minimalne wymogi trzeba spełnić, by na taki kurs się dostać?

→ **Zgodnie z art. 28 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych**, jeżeli przemawiają za tym potrzeby sił zbrojnych, na stopień wojskowy podporucznika (podporucznika marynarki) może być mianowany, po odbyciu szkolenia wojskowego i zdaniu egzaminu na oficera, podoficer zawodowy lub szeregowy zawodowy, który ma

tytuł zawodowy magistra lub równorzędny oraz wzorową ogólną ocenę w ostatniej opinii służbowej.

Faktycznie, w ostatnim okresie MON postanowiło postawić na szeregowych zawodowych i podoficerów zawodowych. Limity na kursy w formie decyzji są przesyłane do jednostek wojskowych przez Departament Kadr MON. Obecnie brak jest zarówno limitów, jak i zakresu egzaminu na wspomniany kurs. Zapewne ważny będzie wolny etat w danej jednostce wojskowej. W trakcie trwania kursu żołnierz będzie przenoszony do rezerwy kadrowej. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

PODSTAWA PRAWNA: ustawa o zmianie ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz niektórych innych ustaw z 11 października 2013 roku (DzU 2013 poz. 1355) – art. 28.

Wykup mieszkania

Jestem szeregowym zawodowym i moje pytanie dotyczy wykupu wojskowego mieszkania. Czytałem, że od przyszłego roku ma wrócić 95-procentowa bonifikata na wykup wojskowych „M”. Co z żołnierzami, którzy lokale wykupili w tym roku, korzystając z mniejszej, 30-procentowej bonifikaty? Jest nas kilku i czujemy się nieco poszkodowani takim obrotem sprawy. Czy jest jakaś szansa na częściowy zwrot lub choćby anulowanie rat, które spłacamy za mieszkania?

→ **Zgadza się. Od 1 stycznia 2015 roku, ustawą z 10 czerwca 2014 roku o zmianie ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej zostaną wprowadzone nowe zasady związane z udzielaniem bonifikat na zakup lokalu mieszkalnego.** Po nowelizacji zwiększy się wysokość udzielonej bonifikaty. Żołnierzom służby stałej, którzy nabyli prawo do emerytury wojskowej, żołnierzom zwolnionym z zawodowej służby wojskowej na skutek wypowiedzenia stosunku służbowego zawodowej służby wojskowej dokonanego przez organ wojskowy lub po upływie okresu pozostawania w rezerwie kadrowej, emerytom wojskowym, osobom uprawnionym do wojskowej renty inwalidzkiej oraz członkom rodziny (małżonkowi oraz dzieciom do 25 roku życia, chyba że przed tą datą stały się niezdolne do pracy oraz samodzielnej egzystencji i nie zawarły związku małżeńskiego), wspólnie zamieszkującym z żołnierzem, emerytem wojskowym lub rencistą wojskowym w dniu jego śmierci będzie przysługiwać uprawnienie do zmniejszenia o 95% ustalonej wartości lokalu mieszkalnego.

Dla pozostałych uprawnionych osób przewidziano 90-procentową bonifikatę. Należy jednak pamiętać, że ustawodawca wraz z nowelizacją wprowadza pewne ograniczenia związane z przyznaniem upustem, a mianowicie wspomniana bonifikata nie będzie dotyczyła nakładów poczynionych na lokal mieszkalny poniesionych przez Wojskową Agencję Mieszkaniową w ciągu ostatnich trzech lat przed dniem sprzedaży, a przeznaczonych na modernizację budynku, w którym jest położony lokal. Nie obejmuje również sprzedaży prawa własności lub użytkowania wieczystego, w wypadku posiadania przez Agencję takiego prawa, ułamkowej części gruntu przypadającej na sprzedawany lokal mieszkalny. Ponadto ustawodawca wprowadził dodatkowo cenzus kwotowy, określający maksymalną wartość bonifikaty, jaka może zostać udzielona na zakup mieszkania, to jest 200 tys. zł. Oprócz tego od nowego roku zostanie wprowadzony zakaz zbywania lub zmiany przeznaczenia lokalu mieszkalnego w ciągu pięciu lat od dnia jego zakupu, pod rygorem zwrotu bonifikaty.

Z kolei żołnierze, którzy zakupili mieszkania pod rządami obowiązującej do końca 2014 roku ustawy, nie mogą się domagać zwrotu wpłaconych już rat bądź „anulowania” przyszłych, związanych z zakupem lokalu mieszkalnego, bowiem ustawodawca, dokonując zmian w przedmiotowej ustawie, nie przewidział takiej możliwości. ■

ARKADIUSZ TUREK
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

PODSTAWA PRAWNA: ustawa z 10 czerwca 2014 roku o zmianie ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2014 poz. 930).

Odpłatność za internat

Mieszkam w Pruszczu Gdańskim, w lokalu mieszkalnym stanowiącym kwaterę. W 2010 roku zostałem przeniesiony służbowo z Pruszcza Gdańskiego do Mirosławca Górnego. Jednocześnie dyrektor Oddziału Regionalnego WAM w Szczecinie przyznał mi prawo do korzystania z lokalu mieszkalnego znajdującego się na obszarze działania Oddziału Regionalnego WAM w Gdyni, a więc tego, który był dotychczas przede mną zajmowany. W 2011 roku zwróciłem się o możliwość kupna zajmowanego lokalu mieszkalnego, który ostatecznie nabyłem w sierpniu 2011 roku. Przez cały ten okres zajmowałem jednocześnie kwaterę położoną w internacie wojskowym w miejscowości pełnienia służby.

Wicedyrektor szczecińskiego oddziału WAM stwierdził, że w okresie 30 dni od otrzymania decyzji o prawie zamieszkiwania w lokalu mieszkalnym w Pruszczu Gdańskim do chwili nabycia własności zajmowanego lokalu zajmowałem kwaterę w internacie bez uprawnień do bezpłatnego zakwaterowania i wezwał mnie do zapłaty należności za jej zajmowanie.

W 2011 roku, gdy złożyłem wniosek o wydanie decyzji, byłem informowany przez pracownika WAM w Szczecinie, że w kwestii zakwaterowania w internacie nic się nie zmieni i dalej będzie mi ono przysługiwać bezpłatnie.

→ **W pierwszej kolejności należy podkreślić, iż zgodnie z art. 53 ustawy z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU 2010 nr 206 poz. 1367 ze zmianami) zajmowanie miejsca w internacie albo kwaterze internatowej jest dla żołnierzy nieodpłatne – zasada ogólna.** Niemniej zasada ta, jak wiele innych, ma pewne ograniczenia lub wyłączenia.

Aby powyższą kwestię przybliżyć, należy wskazać, że miejsce w internacie (bez członków rodziny) przysługuje: żołnierzowi zawodowemu, żołnierzowi pełniącemu okresową służbę wojskową lub pracownikowi zatrudnionemu w jednostce organizacyjnej podległej MON lub przez nie nadzorowanej zamieszkałemu w miejscowości innej niż miejscowość, w której jest zatrudniony i niebędącej miejscowością pobliską.

Miejsce w internacie przysługuje na czas pełnienia czynnej służby wojskowej w miejscowości,

w której żołnierz zajmuje stanowisko służbowe, pozostaje w rezerwie kadrowej lub dyspozycji, nie dłużej jednak niż 30 dni od dnia doręczenia decyzji o przydziale lokalu mieszkalnego albo w przypadku żołnierza zajmującego stanowisko służbowe – zwolnienia z tego stanowiska w tej miejscowości. Jednocześnie ustawodawca ustalił zasady dotyczące odpłatności za miejsce w internacie. I tak, żołnierz jest obowiązany uiszczać odszkodowanie w wysokości opłaty za okres zamieszkiwania w lokalu mieszkalnym lub internacie do dnia doręczenia wezwania o opuszczenie ich, a później odszkodowanie jest wyższe, bo w wysokości 150% opłaty. W wypadku niedotrzymania ustalonego terminu dyrektor oddziału regionalnego wydaje decyzję o opróżnieniu lokalu wraz z osobami wspólnie zamieszkującymi.

W przedstawionym stanie faktycznym należy stwierdzić, iż przyznanie prawa do lokalu mieszkalnego w sytuacji, gdy żołnierz nabył wcześniej prawo do zajmowania miejsca w internacie, łączy się ze zmianą warunków zajmowania owych pomieszczeń (w wypadku ich nieopuszczenia). Uprawnienie do bezpłatnego korzystania z wymienionych pomieszczeń zostaje bowiem zastąpione obowiązkiem uiszczania stosownego wynagrodzenia naliczanego do dnia ich opuszczenia i opróżnienia.

W tym miejscu wypada zaznaczyć, iż autor pytania nie przedstawił dokładnie chronologii i dat otrzymywania określonych tytułów prawnych do lokalu mieszkalnego lub kwatery internatowej, a także przyznanych warunków do korzystania z nich. Na potrzeby niniejszej porady założono, iż w pierwszej kolejności otrzymał tytuł prawny do kwatery internatowej w miejscowości pełnienia służby, a w drugiej kolejności tytuł do lokalu mieszkalnego w innej miejscowości. Ponadto założono, iż nie otrzymał żadnych szczególnych uprawnień do wymienionych pomieszczeń. Gdyby stan faktyczny wyglądał inaczej od powyżej założonego, wówczas wniosek końcowy winien zostać uzupełniony o nowe okoliczności. ■

JAKUB PIOTR PRZYMEŃCKI
Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymięcka & J.P. Przymięcki



Kursy oficerskie 2015

O miejsce w studium oficerskim będą mogli w przyszłym roku ubiegać się szeregowi zawodowi.

Limit – 172 miejsca – na mających odbyć się w 2015 roku kursach oficerskich określił w decyzji minister obrony narodowej.

Oferta kursów jest przeznaczona dla podoficerów oraz absolwentów niektórych cywilnych szkół wyższych. O miejsca w studium oficerskim po raz pierwszy będą też mogli ubiegać się szeregowi zawodowi z co najmniej pięcioletnim stażem służby. Dla wszystkich kandydatów podstawowym wymogiem ubiegania się o miejsce na kursie będzie posiadanie tytułu magistra lub równorzędnego oraz wykształcenia zgodnego z wybranym kierunkiem szkolenia.

Oficerskie kursy – trzy-, sześci-, ośmioipółmiesięczne oraz roczne – będą się odbywać w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu oraz Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie.

W tej pierwszej placówce będzie się szkolić w sumie 139 kandydatów na oficerów, w tym ponad 85 podoficerów. Będą się oni mogli ubiegać o miejsca na półrocznym szkoleniu między innymi w grupach: pancerno-zmechanizowanej (9 miejsc), eksploatacji systemów łączności (7) i saperskiej (4).

Na kursie trzymiesięcznym przewidziano 12 miejsc (2 w grupie teologicznej oraz 10 w korpusie medycznym). Tu swoich szans mogą próbować zarówno podoficerowie, jak i osoby cywilne.

Ośmioipółmiesięczne szkolenie z kolei odbędą osoby ze środowiska cywilnego. Wrocławska uczelnia przeznaczy dla nich 11 miejsc w specjalnościach: obsługi prawnej (2), ekonomiczno-financej (8) oraz orkiestr i zespołów estradowych (1).

Roczne szkolenie przejdzie też 15 szeregowych zawodowych.

Wszystkie miejsca zarezerwowano w grupie osobowej pancerno-zmechanizowanej.

Dwunastomiesięczne szkolenie czeka także 16 osób ze środowiska cywilnego, które będą mogły złożyć wnioski o przyjęcie do grup osobowych: eksploatacji systemów łączności (6), projektowo-programowej informatyki (4) oraz geograficznej (6).

Na kursy oficerskie w Szkole Orłąt z kolei będą mogli startować wyłącznie podoficerowie. Do ich dyspozycji będą 33 miejsca, w tym między innymi 15 w grupie inżynieryjno-lotniczej i 13 w grupie przeciwlotniczych zestawów rakietowych.

Rekrutacja będzie miała charakter konkursowy. Kandydaci muszą zaliczyć testy z języka angielskiego oraz egzaminy sprawnościowe. Z każdym z nich zostanie też przeprowadzona rozmowa kwalifikacyjna. P.G/P.Z ■

Misje bez nadgodzin

Wprowadzenie **zadaniowego czasu pracy** dla cywilów wyjeżdżających na misje to główna zmiana w znowelizowanej ustawie o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza granicami państwa.



Cywile, którzy razem z żołnierzami jeżdżą na misje zagraniczne, to na przykład lekarze, psychologowie, ratownicy medyczni i prawnicy. Do 30 września 2014 roku grupę tę obejmowały regulacje kodeksu pracy, między innymi przepisy związane z dobową i tygodniową normą czasu pracy, przerwami na odpoczynek, z pracą w niedzielę, święta i w nocy, a przede wszystkim godzinami nadliczbowymi.

Inne zasady obowiązują żołnierzy, którym na przykład ze względu na zadaniowy czas pracy nie przysługują nadgodziny. Odmienne traktowanie pracowników cywilnych i żołnierzy było – zdaniem MON – niewłaściwe. Po-

nadto przedstawiciele resortu podkreślali, że ograniczenia wynikające z kodeksu pracy utrudniają właściwe funkcjonowanie kontyngentów, a jednocześnie rodzą poważne skutki finansowe, ponieważ trzeba wypłacać wynagrodzenia za pracę „po godzinach”.

Dlatego w MON przygotowano nowelizację przepisów w tej sprawie.

Obowiązująca od 1 października 2014 roku ustawa z 10 czerwca 2014 roku o zmianie ustawy o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza granicami państwa (podpisana przez prezydenta 25 lipca 2014 roku) wprowadza nowe rozwiązania dotyczące wymienionych

pracowników. Teraz wymiar czasu ich pracy świadczonej w strefie działań wojennych będzie określony, podobnie jak w przypadku żołnierzy, zadaniami służbowymi. W praktyce więc wobec cywilów nie będą stosowane przepisy kodeksowe, a tym samym tracą oni na przykład prawo do wynagrodzeń za nadgodziny. Wyjątkiem będą pracownicy, z którymi MON podpisało umowy przed wejściem w życie nowych przepisów. Będą oni pracować na dotychczasowych zasadach.

Zdaniem resortu przyjęte rozwiązanie będzie sprawiedliwe, a dolegliwości związane z pracą na misji zrekomensują cywilom pracującym w kontyngentach wynagrodzenia powiększone o dodatek wojenny i zagraniczny – zależne nie od czasu pracy, lecz od spędzonego w kontyngencie.

MON, na podstawie danych z lat 2010–2012, oszacowało, że nowelizacja może przynieść budżetowi państwa 400–500 tys. zł oszczędności rocznie. P.Z ■

Do you speak English?

To poziom złożony z dwóch etapów: odprawy oraz dyskusji na zadany temat. Na przygotowanie pierwszego będziesz miał kwadrans.

Level 3



speaking

Od kilku czytelników otrzymałem e-maile o podobnym tonie: „Wszystkie części zdałem, ale poległem na »mówieniu«, i nie wiem dlaczego tak się stało”. W opinii zdających to właśnie część ustna bywa najtrudniejsza.

Przygotowując się do tej części egzaminu, nagrywaj swoje wypowiedzi na dyktafon.

Wiele osób uczących się języka obcego ma problemy z wymową. Wydaje się im, że brzmią dziwnie i że inni mają trudności z ich zrozumieniem. Przygotowując się do egzaminu, musisz pamiętać, że w języku angielskim występują inne dźwięki niż w polskim. Spółgłoski za to są bardzo podobne w obu językach. Jednak non-native speakers często mają tendencję do zamieniania spółgłosek dźwięcznych na bezdźwięczne, na przykład „t” na „d” , „s” na „z”. Wówczas zamiast „white” mówią „wide”.

Diabeł tkwi w szczegółach, a ściślej mówiąc – w samogłoskach. W języku polskim mamy sześć samogłosek oraz dwa dyftongi. W języku angielskim używa się łącznie 24 samogłosek. Ignorowanie tych ilościowych i jakościowych różnic prowadzi do niewłaściwej, czasem niezrozumiałej wymowy. Ponieważ dokładne omówienie podstaw fonetyki angielskiej przekracza ramy tego artykułu, polecam podcasty:

<http://teacherluke.co.uk/the-podcast/archive-of-episodes-1-149/>

http://www.bbc.co.uk/worldservice/learningenglish/081222_download.shtml.

„Mispronunciation”, czyli błędna wymowa, to poważny problem, który można usunąć, regularnie pracując z materiałami audio.

Ocena zdolności mówienia jest złożona, a sam zdający często nie jest świadomy swoich błędów. Dlatego przygotowując się do egzaminu na tym etapie, zaleca się nagrywanie swoich wypowiedzi na dyktafon.

„Speaking” na poziomie trzecim składa się z odprawy (briefing) oraz dyskusji na zadany temat. Na początku egzaminu losujesz zestaw i masz około 15 minut na przygotowanie odprawy. Wykorzystaj ten czas na zrobienie listy punk-

tów, o których będziesz mówił. Nie notuj całych zwrotów i zdań, ponieważ odprawa ma być wygłoszona z pamięci. Nie używaj też zwrotów występujących w poleceniu. Używaj synonimów. „Speaking” to nie konkurs czytania.

Przykład 1

Briefing 1

On a mission, you are in charge of a refugee camp which is overcrowded. Give a briefing on two possible solutions to the problem, describing their advantages and disadvantages.

Recommend one, and justify your choice.

Possible solutions:

- expand and modernize the existing camp,
- evacuate some refugees to other camps,
- other

Notes:

- Welcome your audience and introduce yourself.
- Present the purpose of the briefing.
- Explain the situation / issue that needs to be resolved.
- Solution 1 plus pros and cons.
- Solution 2 plus pros and cons.
- Present your opinion and explain your point of view.
- Ask for questions from the audience. If there are no questions, end your briefing.

Punkty b–f będą zawierać maksymalnie od dwóch do czterech zdań. Trzymając się zaproponowanego schematu, zmieścisz się w czasie przewidzianym na briefing.

Dyskusja, będąca drugą częścią „Speakingu”, jest podobna do tej podczas „Speakingu”, na poziomie drugim. ■

OPRACOWAŁ ARKADIUSZ SAWA

Jeśli masz jakiegokolwiek pytania związane z egzaminem, wyślij e-mail do autora: areksawa@yahoo.com.au



ŁATWE

Zupa krem z pasternaku

Litr bulionu drobiowego lub warzywnego, kilka korzeni pasternaku, duży ziemniak, cebula, oliwa z oliwek, sól, pieprz, pestki dyni, gęsty jogurt.

Cebulę pokroić w kostkę i przesmażyć na złoto na oliwie. Dodać pokrojony w talarki, umyty i obrany pasternak oraz obrany i pokrojony w kostkę ziemniak. Zalać warzywa bulionem i gotować do miękkości. Zupę zmiksować na gładki krem i zabielić kilkoma łyżkami jogurtu. Podawać z uprażonymi na suchej patelni pestkami dyni.

Pasternak zwyczajny porasta pola, łąki, miedze i przydroża. Jadalne są jego podłużne korzenie, podobne w wyglądzie do pietruszki. Smakiem przypomina natomiast bardziej marchew. Pasternak był kiedyś popularny w polskiej kuchni, potem jednak został wyparty przez ziemniaki i marchew. Jego korzeń, bogaty w białko i skrobię, można dodawać do sałatek lub zrobić z niego purée. A D ■



| Z ŻOŁNIERSKIEGO KOTŁA |



PIOTR
BERNABIUK

Strawa duchowa

Podczas ostatnich zajęć w polu, a dokładnie w lesie, wybuchła afera o wymiarze europejskim. Miał być survival, bytowanie w warunkach przygodnych, a pani szeregowa Julita odpaliła dywersję. Było tak: upolowaliśmy zwierzynę, czyli rozpakowaliśmy kawał padliny, jeszcze z metką sklepu, mającej symulować, symboliczną już w naszej armii, schwytaną w sidła wiewiórkę. Wszyscy działamy odruchowo, bo u nas w zespole jak w naoliwionej maszynie, jeden przygotowuje palenisko, drugi zbiera drewno, trzeci struga jakiś rozeń, pozostali myszkują po krzakach, szukając czegoś na zupe... U nas nie trzeba rozkazu.

Nasz dowódca, sierżant, patrzy na tę Julkę, która wydaje się z lekka zagubiona, i mówi: „Kobieto, trzeba to jakoś przyrządzić i ugotować, żeby było smacznie i elegancko”.

Nikt się nie śmieje, nie drwi, kobieta w lesie – rzecz naturalna. A pani szeregowa, jak się zaperzy: „Nie po to przyszedłam do wojska, żeby siedzieć przy garach”.

Sierżant, gość wykształcony, przecież skończył studia, wie, co to mobbing, molestowanie, machismo, uznaje wszystkie płci na świecie za równe, szybko zaskoczył i palnął: „Pani szeregowa, bez urazy, ale jestem dowódcą. Pani wykona polecenie”. Nie mówi, że rozkaz. A po chwili dodaje: „No dobra, to ja potem k... pozmywam”.

I niby wszystko okej, każdy swoje robi, ale panuje cisza, jakaś taka napięta. Wreszcie starszy szeregowy Rysiek jakoś nie wytrzymał, i zaczął dolewać oliwy do ognia, że najlepszy kucharze na świecie to faceci, bo paniom brak talentu i wyobraźni. Strzelać potrafią, owszem, podobnie jak się czołgać, ale co do gotowania, to wątpi.

Działania bojowe zamieniły się w klub dyskusyjny. Było gorąco. A wiewiórka? Spaliła się na węgiel, co pani szeregowa podsumowała z wdziękiem: „Nie zawsze chodzi o to, żeby się nażreć, czasem powinna wystarczyć strawa duchowa”. ■



TRUDNE

Dżem z tarniny

Kilogram owoców tarniny, pół kilograma cukru, szklanka wody, kawałek cynamonu, kilka goździków.

Owoce przebrać i umyć. Zrobić syrop z cukru i wody, wrzucić do niego owoce i przyprawy, gotować aż śliwki będą miękkie. Następnego dnia przetrzeć dżem przez sito, aby pozbyć się pestek, doprowadzić do wrzenia i gorący włożyć do wyparzonych słoików. Odwrócić do góry dnem i zostawić do ostygnięcia. Dżem dobrze smakuje do mięsa, szczególnie dziczyzny, można go też podawać do herbaty lub chleba.

Kolczaste krzewy śliwy tarniny znajdziemy na brzegach lasów, na miedzach i przy drogach. Niewielkie, ciemnogranatowe owoce dojrzewają jesienią. Są jednak zawsze cierpkie, dlatego do przetworów trzeba je przemrozić w lodówce, aby straciły goryczkę. Tarnina zawiera węglowodany, garbniki, pektyny, sole mineralne oraz sporo witaminy C. Działa przeciwzapalnie i leczniczo przy rozstrojach żołądkowych, wzmacnia też odporność. A D ■

DAMIAN FIGAJ



Eurofighter był projektowany jako myśliwiec przewagi powietrznej, a atakowanie celów naziemnych traktowano jako zdolność dodatkową.

| PRZEGLĄD |

TADEUSZ WRÓBEL

Z SIŁĄ TAJFUNU

Minęło 20 lat od pierwszego lotu europejskiego samolotu bojowego Eurofighter Typhoon, który powstał dzięki współpracy czterech państw.





➔ Z SIŁĄ TAJFUNU

Początki samolotu Eurofighter Typhoon sięgają schyłku lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy jeszcze trwała zimna wojna. Państwa NATO i Układu Warszawskiego starały się zwiększać swe potencjały militarne, a szczególną wagę przykładały do zdobycia przewagi lotniczej nad przeciwnikiem. W tym czasie wielu europejskich członków sojuszu północnoatlantyckiego stało przed koniecznością wymiany samolotów bojowych, pochodzących

z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, takich jak F-104 Starfighter czy Jaguar. Niektóre kraje zdecydowały się na amerykańskie myśliwce F-16, a kilka innych postanowiło, że wspólnie opracują nowy samolot bojowy.

PROGRAM ZA PROGRAMEM

W końcu lat siedemdziesiątych firmy z Wielkiej Brytanii, Francji i Republiki Federalnej Niemiec przystąpiły do badań

W CIĄGU DZIESIĘCIU LAT TRZY PAŃSTWA SPOZA PROGRAMU EUROFIGHTERA ZAMÓWIŁY 99 TYCH SAMOLOTÓW

nad europejskim samolotem bojowym (European Combat Aircraft – ECA). Wcześniej kraje te pracowały nad własnymi projektami (Brytyjczycy na przykład nad P.106 i P.110). Szybko się jednak okazało, że będzie niezwykle trudno skonstruować maszynę, która spełni rozbieżne wymagania sił powietrznych poszczególnych państw. Brytyjczycy i Niemcy chcieli bowiem samolotu wielozadaniowego, a Francuzi pragnęli, by mógł on operować z pokładu lotniskowca. Uczestnicy programu nie byli też w stanie osiągnąć porozumienia w sprawie silnika dla przyszłej konstrukcji. Nic zatem dziwnego, że w końcu w 1981 roku projekt ECA upadł.

Już w kwietniu następnego roku uruchomiono jednak nowy program, dzięki któremu miał powstać myśliwiec przewagi powietrznej (Agile Combat Aircraft – ACA). Tym razem do RFN i Wielkiej Brytanii dołączyły Włochy. Według nowej koncepcji maszyna miała być bardzo podobna do opracowanego przez British Aerospace dwusilnikowego P.110. Samolot ten miał skrzydła w układzie delta, kanardy i podwójny statecznik.

Niebawem jednak znowu pojawiły się przeszkody. Rządy RFN i Włoch wycofały się z finansowania projektu. Brytyjski resort zadeklarował natomiast, że zapewni połowę potrzebnych funduszy, a resztę pieniędzy muszą wyasygnować zaangażowane w program firmy. W maju 1983 roku British Aerospace ogłosiła, że podpisała z ministerstwem obrony umowę na opracowanie i wyprodukowanie demonstratora w ramach programu samolotu eksperymentalnego (Experimental Aircraft Programme – EAP). Maszyna, oznaczona jako ZF534, pierwszy raz wzbiła się w powietrze 8 sierpnia 1986 roku i była badana przez ponad pięć lat. Do maja 1991 roku 13 pilotów wykonało 259 lotów testowych, które trwa-

ły 195 godz. i 21 min. Najwięcej z nich, bo aż 132, odbył Peter Orme.

W 1983 roku Wielka Brytania, Włochy i RFN porozumiały się z koleżką z Francją i Hiszpanią w sprawie programu przyszłego europejskiego samolotu myśliwskiego (Future European Fighter Aircraft – FEFA), który miał mieć możliwość krótkiego startu i lądowania. Tyle że znowu pojawiły się rozbieżności w wymaganiach wobec nowej maszyny. W 1984 roku Francuzi ponownie wysunęli postulat, by był to samolot pokładowy. Chcieli również kierować projektem. W tej sytuacji 2 sierpnia 1985 roku Włochy, Wielka Brytania i RFN dogadały się co do nowego programu. Miał powstać europejski samolot myśliwski (European Fighter Aircraft – EFA). W następnym miesiącu do tego grona dołączyła Hiszpania, a Francja zdecydowała się pracować nad własnym projektem ACX.

WYBOISTA DROGA

W 1986 roku powstały: Eurofighter Jagdflugzeug GmbH z siedzibą w Monachium – firma koordynująca prace projektowe, produkcję i unowocześnianie europejskiego myśliwca – oraz Eurojet Turbo GmbH, czyli konsorcjum firm Rolls-Royce, Fiat Avio, MTU Aero Engines i ITP, które miały opracować dla niego silnik EJ200.

Początkowo cztery państwa uczestniczące w programie EFA deklarowały zakup 765 nowych samolotów – Niemcy i Wielka Brytania po 250, Włochy 165, a Hiszpania 100. Udział firm z poszczególnych krajów w produkcji był proporcjonalny do zamówień. Tak więc British Aerospace i niemiecka DASA miały mieć 33% udziałów, włoska Aeritalia 21%, a hiszpańska Construccione Aeronáutica SA (CASA) 13%. 23 listopada 1988 roku NATO European Fighter Aircraft Management Agency (NEFMA) podpisała kontrakty z Eurofighter Jagdflugzeug GmbH i Eurojet Turbo GmbH na wyprodukowanie pierwszych ośmiu prototypów oraz silników do tych maszyn.

Oficjalna specyfikacja nowego samolotu pojawiła się już we wrześniu 1987 roku, ale jeszcze na początku następnego dziesięciolecia trwały dyskusje na temat niektórych wymagań. Eurofighter był projektowany jako myśliwiec przewagi powietrznej, a atakowanie celów naziemnych traktowano jako zdolność dodatkową. W 1986 roku zakładano, że produkcja nowej maszyny rozpocznie się już po sześciu latach. Z czasem okazało się jednak, że taki harmonogram był nierealny, bo ostatni duży kontrakt na dostawę kluczowego podsystemu walki elektronicznej podpisano dopiero 20 stycznia 1992 roku z konsorcjum, któremu przewodziła firma GEC Marconi.

Projektowi nie sprzyjała również sytuacja polityczna na świecie – rozpadły się ZSRR i Układ Warszawski. Tym samym skończyła się zimna wojna. Wiele państw ograniczało wydatki na obronę, rezygnowano z kolejnych programów zbrojeniowych. Pojawiło się zagrożenie, że podobny los spotka eurofightera. 30 czerwca 1992 roku w niemieckim parlamencie pojawił się projekt uchwały, by się wycofać z tego programu. Zwolennicy takiego rozwiązania argumentowali, że jest to „zły samolot w złym czasie”. Było też coraz mniejsze poparcie dla tego programu we Włoszech. Ostatecznie jednak 10 grudnia 1992 roku NATO porozumiało się z Niemcami, że wraz z partnerami dokończą fazę prac badawczo-rozwojowych.

Na postrzeganie programu budowy eurofightera miały wpływ trudności techniczne, które były przyczyną opóźnień →



PODZIAŁ PRODUKCJI I DOSTAW TAJFUNÓW

	Hiszpania	Niemcy	Wielka Brytania	Włochy	Razem
TRANSZA 1	20	44	55	28	147
TRANSZA 2	33	68	89	47	237
TRANSZA 3A	20	31	40	21	112
TRANSZA 3B	14	37	48	25	124
RAZEM	87	180	232	121	620

KŁOPOTLIWE PĘKNIĘCIA

Niemieckie ministerstwo obrony pod koniec września 2014 roku potwierdziło, że wykryto pęknięcia w tylnej części eurofighterów. Jako przyczynę podano niedokładną obróbkę wykańczającą otworów wywierconych przez pracowników zakładów BAE Systems. Z tego powodu wstrzymano dostawy kolejnych samolotów do Niemiec, Włoch i Hiszpanii. Nowe eurofightery postanowiła natomiast nadal odbierać Wielka Brytania. Nie wiadomo, jaki wpływ będzie miała wada na trwałość płatowca, dlatego producenci sugerują, żeby zredukować jego dopuszczalny nalot o połowę – do 1500 godzin.

w pierwotnym harmonogramie. Z tego powodu rosły też jego koszty. Pierwszy lot miał wykonać w maju 1992 roku prototyp zbudowany przez DASA, ale wystąpiły problemy z cyfrowym systemem kontroli lotu. Start został zatem przełożony na drugą połowę 1993 roku, ale tego terminu też nie dotrzymano. Eurofighter DA1 wzbił się w powietrze ostatecznie dopiero 27 marca 1994 roku z lotniska w Manching, a ostatni z siedmiu prototypów DA7 wykonał dziewiczy lot 27 stycznia 1997 roku.

W tym czasie zaczęły się pojawiać zapowiedzi zmniejszenia zamówień. Znalazło to niebawem swoje odbicie w uzgodnieniach z 30 stycznia 1998 roku NETMA z konsorcjami realizującymi program eurofightera. Cztery państwa postanowiły kupić 620 maszyn (z możliwością zwiększenia tej liczby o 80) zamiast 765: Wielka Brytania 232, Niemcy 180, Włochy 121 i Hiszpania 87. Zdecydowano, że samoloty będą produkowane w trzech transzach, a ostatnią potem podzielono jeszcze na dwie. Kontrakt na pierwszą podpisano 21 września 1998 roku – na 148 samolotów i 363 silniki EJ200. We wrześniu 1998 roku przyjęto również formalną nazwę nowego myśliwca – Typhoon (Tajfun).

Maszyny z pierwszej transzy nie spełniały wszystkich oczekiwanych wymagań, zwłaszcza gdy chodzi o atakowanie celów naziemnych, dlatego w trakcie produkcji modyfikowano ich wyposażenie do standardu Block 5. Zmiana liczby zamawianych myśliwców oznaczała konieczność zweryfikowania procentowego udziału w produkcji firm z poszczególnych krajów. Ze względu na to, że brytyjska redukcja zamówienia była najmniejsza, zyskała na tym British Aerospace.

W SŁUŻBIE

Niemieckie lotnictwo pierwsze tajfuny otrzymało w 2003 roku. Najpierw, 30 kwietnia 2004 roku, nowe samoloty trafiły do 73 Skrzydła Myśliwskiego „Steinhoff” w Laage. Kolejną jednostką, której żołnierze dostali nowe maszyny, było 74 Skrzydło Myśliwskie w Neuburgu (25 lipca 2006 roku). 16 grudnia 2009 roku rozpoczęło się przezbieranie 31 Skrzydła Myśliwsko-Bombowego w Norvenich (obecnie jest mu też podporządkowana grupa lotnicza kontynuująca tradycje 71 Skrzydła Myśliwskiego „Richthofen”).

Włoskie lotnictwo pierwszego eurofightera dostało 19 lutego 2004 roku i dziś ma trzy skrzydła tych samolotów z pięcioma dywizjonami. Najpierw nowe maszyny otrzymało stacjonujące w Grosseto 4 Skrzydło, które wcześniej miało myśliwce F-104 (jeden z dwóch jego dywizjonów jest jednostką szkoleniową).

Hiszpańskie lotnictwo czekało na pierwszego „tifona” do 9 października 2003 roku, a do jednostki operacyjnej, czyli do 11 Skrzydła, stacjonującego w Morón de la Frontera, nowe maszyny przekazano 4 maja 2004 roku. Dotychczas w tajfuny wyposażono dwa z jego dywizjonów. Wcześniejsze wycofanie ze służby samolotów Mirage F1 spowodowało, że w 2012 roku aktywowano pierwszy ich dywizjon nowych myśliwców w 14 Skrzydle z Albacete, zamiast stworzyć trzeci w 11 Skrzydle. Według pierwotnych planów w eurofightery miało być wyposażonych pięć dywizjonów, ale ze względu na trudności finansowe resortu obrony nie dotrzymano harmonogramu przekazywania samolotów siłom powietrznym. Maszyny, które miały być im dostarczone w latach 2012–2014, trafiły do hangaru w Albacete. W specjalnym numerze miesięcznika „AirForce”, wydanym z okazji 20-lecia pierwszego lotu eurofightera, podano, że na odbiór czeka tam siedem samolotów jednomiejscowych i trzy dwumiejscowe. Hiszpanie prawdopodobnie nie zamówią też 14 ostatnich tajfunów z transzy 3B. A do września 2014 roku jako jedyni utracili w dwóch katastrofach dwie maszyny.

W brytyjskich siłach powietrznych 18 grudnia 2003 roku dwa pierwsze tajfuny trafiły do jednostki testowej – 17 Dywizjonu w Waddington, a kolejne – pięć miesięcy później do 29 Dywizjonu. Brytyjczycy skupili się na szkoleniu personelu, a dopiero później zaczęli przezbierać w nowy sprzęt jednostki bojowe. Najpierw gotowość operacyjną osiągnął 3 Dywizjon z Coningsby (wcześniej miał harriery). 11 Dywizjon jako pierwszy wyposażono natomiast w wersję wielozadaniową eurofightera. Brytyjskie lotnictwo chce mieć sześć operacyjnych dywizjonów tajfunów. 1 kwietnia 2015 roku dołączy do nich 2 Dywizjon. Co ciekawe, 53 samoloty z pierwszej transzy mają już zostać wycofane ze służby w latach 2015–2018.

W tajfuny są wyposażone również jednostki sił powietrznych Austrii i Arabii Saudyjskiej, a trzecim nabywcą tych maszyn, oprócz uczestników programu, jest jak dotąd Oman. ■

6 Brygada Powietrznodesantowa

Brygada, której dowództwo i sztab znajdują się w Krakowie, dziedziczy tradycje dywizji piechoty z okresu międzywojennego, II wojny światowej i powojennego, które nosiły numer 6, jak również jednostek spadochronowych. Pierwszą z nich była 1 Samodzielna Brygada Spadochronowa Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, która we wrześniu 1944 roku uczestniczyła w walkach pod Arnhem w Holandii. Jednostka kontynuuje tradycje sformowanej w 1957 roku 6 Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej,

którą w 1986 roku przemianowano na brygadę. W 1989 roku zmieniono jej nazwę na 6 Pomorska Brygada Desantowo-Szturmowa. Dwa lata później zniknął z niej przymiotnik „Pomorska”. Pod obecną nazwą jednostka funkcjonuje od połowy 2010 roku. 6 BPD ma trzy bataliony powietrznodesantowe – 6 bpd w Gliwicach, 16 bpd w Krakowie i 18 bpd w Bielsko-Białej. Oprócz tego w skład brygady wchodzi: 6 Batalion Dowodzenia, 6 Batalion Logistyczny i 6 Grupa Zapewnienia Medycznego. ■

Nr 11.

Ubiór polowy

**SPADOCHRONIARZ, 6 BRYGADA
POWIETRZNODESANTOWA (2014 ROK)**

Pprzedstawiamy żołnierza brygady powietrznodesantowej w ubiorze polowym. Spadochroniarz nosi ubranie ochronne wzór 128/MON w kamuflażu wzór 93, znanym jako „pantera”. Składa się ono z kurtki z kapturem i ocieplaczem oraz spodni, których nogawki są wypuszczone z butów. Żołnierz ma czapkę zimową wzór 420/MON i rękawice w kolorze czarnym. Ubioru dopełniają trzewiki zimowe wzór 933/MON i ochraniacze kolan. Spadochroniarz ma na sobie kamizelkę taktyczną z systemem przenoszenia oporządzenia MOLLE, z dwoma widocznymi ładownicami na magazynki do karabinka automatycznego. Żołnierz strzela z karabinka Colt Canada C7A2 kalibru 5,56 mm, wyposażonego w celownik optyczny C79A2 Elcan. Polscy spadochroniarze mieli okazję poznać tę broń podczas wspólnych ćwiczeń z Kanadyjczykami.

Nr 12.

**Saper,
43 Batalion
Saperów
Marynarki
Wojennej**



OPRACOWAŁ TADEUSZ WRÓBEL



Nr 11.

SPADOCHRONIARZ,
6 BRYGADA
POWIETRZNODESANTOWA
(2014 ROK)



Kamizelka taktyczna z systemem przenoszenia oporządzenia MOLLE



Trzewiki zimowe wzór 933/MON i ochraniacze kolan

RYS. MONIKA ROKICKA





AUSTRALIA

Plany zatwierdzone

Władze Australii podpisały na początku października dokumenty przejścia szturmowego okrętu desantowego HMAS „Canberra”. Jednostka zostanie przekazana australijskiej marynarce wojennej 28 listopada tego roku. Zaprojektowała ją i zbudowała hiszpańska

firma stoczniowa Navantia, korzystając z wcześniejszego projektu podobnego okrętu zamówionego przez rodzimą flotę wojenną. Kontrakt, podpisany w 2007 roku, dotyczył budowy dwóch wielkich desantowców. Drugi, HMAS „Adelaide”, zostanie przekazany marynarce

wojennej w 2016 roku. Australijski szturmowy okręt desantowy typu Canberra ma 27,5 tys. t wyporności i może zabrać tysiąc żołnierzy. Na jednostce są cztery główne pokłady. Startowy ma 202,3 m długości i 32 m szerokości. Jednocześnie może z niego operować sześć średnich śmigłowców, jak NRH 90 czy Blackhawk, lub cztery ciężkie chinooki. Pod pokładem startowym, w części rufowej, jest hangar o powierzchni 990 m², mieszczący do ośmiu średnich śmigłowców. Następnich 18 można przewozić na sąsiadującym z nim pokładzie transportowym dla lekkich pojazdów, mającym 1880 m². Pod nimi jest główny pokład, gdzie znajdują się między innymi pomieszczenia mieszkalne, biurowe i rekreacyjne oraz mesy. W położonym poniżej suchym doku desantowca, mającym 1165 m², mieszczą się cztery barki desantowe LCM 1E oraz cztery łodzie hybrydowe. Z nim sąsiaduje pokład transportowy dla ciężkich pojazdów. Okręt uzbrojono w cztery działka kalibru 20 mm i sześć karabinów maszynowych kalibru 12,7 mm oraz wyposażono w holowany system przeciwtorpedowy Nixie. w

ROYAL AUSTRALIAN NAVY

USA

Chętka na MRAP-y

Zjednoczone Emiraty Arabskie są zainteresowane zakupem w USA 4569 pojazdów minoodpornych. Większość stanowiłyby wozy z rodziny MaxxPro, których byłoby aż 3360. Państwo z nad Zatoką Perską chciałoby też 1150 pojazdów Caiman. Co ważne, sprzęt pochodził-

by z nadwyżek wojsk lądowych USA. Defense Security Cooperation Agency oszacowała, że wraz z wyposażeniem towarzyszącym, częściami zamiennymi, wsparciem szkoleniowym i logistycznym wartość transakcji wyniosłaby około 2,5 mld dol. TED

wartość transakcji
2,5
mld dol.



U S A R M Y

WŁOCHY

Pierwsze ICH-47F

AgustaWestland poinformowała, że 2 października 2014 roku w zakładzie w Vergiate przekazała lotnictwu włoskich wojsk lądowych pierwsze dwa śmigłowce transportowe ICH-47F Chinook.

Armia zamówiła 16 tych maszyn. Dostawy nowych śmigłowców mają się zakończyć w 2016 roku. ICH-47F trafią do 1 Pułku Lotnictwa Wojsk Lądowych „Antares” w Viterbo, gdzie zastąpią będące w służbie od 1973 roku CH-47C. Zgodnie z umową z Boeingiem w jego zakładzie w Ridley Park w Pensylwanii powstają kadłuby i wirniki IHC-47, które są dostarczane do Włoch, gdzie w Vergiate odbywa się finalny montaż śmigłowców. WRT

U S A

Lakota dla Tajów

Defense Security Cooperation Agency 26 września 2014 roku poinformowała Kongres USA o możliwości sprzedaży do Tajlandii śmigłowców wielozadaniowych UH-72 Lakota. Tajlandzki rząd wyraził chęć zakupu

dziewięciu maszyn wraz z częściami zapasowymi, dokumentacją techniczną, sprzętem pomocniczym i łączności, wsparciem logistycznym i szkoleniem personelu. DSCA oszacowała wartość transakcji na 89 mln dol. TR



A U S T R A L I A

Jeszcze więcej C-17

Australijski minister obrony David Johnson ogłosił 3 października 2014 roku zamiar nabycia do czterech dodatkowych samolotów transportowych C-17A Globemaster III. Będą kupowane po dwie maszyny. Obecnie australijskie lotnictwo wojskowe ma już sześć takich transportowców. Ich eskadra stacjonuje w bazie lotniczej Amberley w stanie Queensland. Pierwszy C-17 dostarczono w 2006 roku. Australijczycy podkreślają, że samoloty te udowodniły swą wartość zarówno w operacjach bojowych, jak i misjach humanitarnych. WR

D S C A

B R A Z Y L I A

Setny guarani

Firma Iveco 26 września 2014 roku symbolicznie przekazała brazylijskiemu wojskom lądowym setny kołowy transporter opancerzony VBTP-MR Guarani. Pojazd wyprodukowano w otwartym w czerwcu 2013 roku zakładzie Iveco Defense Vehicles w Sete Lagoas. W uroczystości na terenie tegoż zakładu wziął udział brazylijski minister obrony Celso Amorim.

Guarani jest sześciokołowym transporterem opracowanym przez Iveco we współpracy z armią brazylijską, w której ma zastąpić wozy Urutu i Cascavel. Dotychczas zamówiono 128 seryjnych guarani i jeden prototyp. W liście intencyjnym z 2009 roku brazylijska armia wyraziła chęć zakupu 2044 KTO w różnych wersjach. Miałyby zostać dostarczone do 2031 roku. TW

VBTP-MR

silnik wysokoprężny z turbodoładowaniem Iveco Cursor 9 o mocy ok.

388 KM



Waga 16,7 t
Zasięg 600 km
Prędkość 90 km/h



Załoga

2+9

C Z E C H Y

Nowe radary

Czeskie ministerstwo obrony postanowiło kupić pięć nowych mobilnych trójwspółrzędnych radarów.

Sprzęt ten ma kosztować 1,5–1,7 mld Skoron, czyli 69–78 mln dol. Nowe urządzenia zastąpią zakupione w Związku Sowieckim w latach siedemdziesiątych XX wieku radary P-37 oraz pochodzące z lat osiemdziesiątych wysokościomierze PRW-17.

Od kilku miesięcy o wspólnym programie opracowania i produkcji radarów rozmawiały kraje Grupy Wyszehradzkiej: Polska, Czechy, Węgry i Słowacja, ale postęp w negocjacjach był powolny. Czeski resort obrony zdecydował się więc na ogłoszenie przetargu, gdyż chce, by radary były w wyposażeniu sił zbrojnych już w 2017 roku. Dlatego resort obrony oczekuje, że ich pierwsze dostawy nastąpią w ciągu 18–24 miesięcy od podpisania kontraktu. W

MILITARIUM STUDIO/IVECO

B U Ł G A R I A

Dodatkowi strażnicy

Firma Textron Marine & Land Systems podpisała we wrześniu umowę z Bułgarią na dostawę dziesięciu kołowych pojazdów opancerzonych M1117 Guardian (Strażnik).

Wartość kontraktu wyniosła ponad 15 mln dol. Do 1 grudnia 2014 roku producent ma dostarczyć siedem wozów w wersji transporter opancerzony, dwa wozy dowodzenia i jeden ewakuacji medycznej. Pierwsze informacje o zamiarze zakupu dziesięciu egzemplarzy M1117 dla bułgarskiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie pojawiły się w połowie kwietnia tego roku.

Wcześniej, w styczniu 2008 roku, Bułgaria zakupiła już siedem M1117, które kosztowały ponad 10 mln dol. Wszystkie pojazdy zostały dostarczone do końca pierwszego kwartału 2008 roku. Sześć z nich trafiło do Afganistanu, a siódmy, na potrzeby szkolenia, do 61 Striańskiej Brygady Zmechanizowanej w mieście Karłowo. W T R ■



Umowa na F-35

Południowokoreańska Defense Acquisition Program Administration poinformowała 24 września, że władze w Seulu finalizują umowę z rządem USA na zakup 40 samolotów wielozadaniowych F-35A. Wartość tej transakcji wyniesie 7,34 bln wonów, czyli 7 mld dol. Według anonimowych przedstawicieli rządu w Seulu, Korea Południowa ma nadzieję, że F-35A zostaną dostarczone w latach 2018–2021. W R ■

I R A K

Więcej irackich Mi-35

Agencja RIA Novosti podała 1 października, powołując się na Centrum Analiz Światowego Handlu Bronią (CAWAT), że irackie ministerstwo obrony otrzymało trzecią partię desantowo-szturmowych śmigłowców Mi-35M. Oficjalnie nie podano liczby dostarczonych maszyn, ale eksperci przypuszczają, że były cztery, jak w dwóch poprzednich transzach. W październiku 2012 roku Irak podpi-

sał z Rosją umowę na dostawę 28 egzemplarzy Mi-35M oraz 15 sztuk Mi-28N. Pierwsze cztery Mi-35M dostarczono Irakijczykom w listopadzie 2013 roku. Następną czwórkę przekazano im 2 czerwca tego roku. Według CAWAT w czerwcu do Iraku trafiły też co najmniej trzy Mi-28N. 30 sierpnia iracki resort obrony potwierdził otrzymanie drugiej ich partii, liczącej co najmniej trzy śmigłowce. W T ■

U S A

Tucano w USAF

Firma Embraer przekazała w końcu września amerykańskim siłom powietrznym pierwszy śmigłowy lekki samolot wsparcia A-29 Tucano. Maszyna powstała w zakładzie brazylijskiej firmy w Jacksonville na Florydzie. Pentagon zamówił 20 samolotów



A-29 dla lotnictwa wojkowego Afganistanu. Szkolenie afgańskich pilotów rozpocznie się dopiero w przyszłym roku w bazie lotniczej Moody w stanie Georgia. Wcześniej z nowym typem samolotu muszą się zapoznać amerykańscy instruktorzy. W W ■ E M B R A E R

H O L A N D I A

Wyprzedaż trwa

Holandia odsprzeda Estonii 44 z 193 bojowych wozów piechoty CV90. Informację tę ogłoszono 2 października 2014 roku w Tallinie na wspólnej konferencji prasowej ministrów obrony obu państw – Jeanine Hennis-Plasschaert i Svena Miksera. Formalna umowa w sprawie sprzedaży CV90 ma być podpisana w grudniu tego roku. Jest to kolejna wyprzedaż uzbrojenia przez holenderskie ministerstwo. Na początku tego roku Finlandia kupiła od Holendrów 100 czołgów Leopard 2A6. W ■

Pokaz w powietrzu samolotu PZL 130 Orlik TC II MPT (Multi Purpose Trainer), wyposażonego w cyfrową awionikę, to kolejna impreza, na której producent – Airbus Defence and Space (dawniej Airbus Military EADS PZL) – promuje najnowszy produkt. Tym razem maszynę można było ujrzeć w locie, a w kabinie obok oblatywacza siedział jeden z instruktorów Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych. Na lotnisku w Dęblinie cyfrowego orlika oglądali między innymi dowódca generalny gen. broni Lech Majewski oraz wiceminister obrony Czesław Mroczek i komisarz unijna Elżbieta Bieńkowska.

Orlik to jak na dzisiejsze czasy maszyna specyficzna, bo oryginalnie polska – w naszym kraju zaprojektowana, następnie produkowana w Warszawie, a później unowocześniana. Modernizacja tego samolotu była konieczna, by mógł on uchodzić dziś za nowoczesny aparat służący do szkolenia. 16 sztuk pierwotnego modelu TC I zostało zatem przebudowanych na Okęciu do standardu TC II Garmin. PZL 130 TC II dostał nowe skrzydło, silnik turbośmigłowy Pratt & Whitney Canada PT6 o mocy 750 KM (550 kW), czteropłatowe śmigłoartzell oraz dodatkowe zestawy awioniczne (VOR/ILS/GPS/COM). Dzięki temu można na nim w pierwszej fazie szkole-

nia dobrze przygotowywać kandydatów na pilotów samolotów odrzutowych bądź transportowych.

Część maszyn pozostała jednak w starym standardzie TC I, który z racji choćby jednostki napędowej nie przystaje do współczesnych wymagań. A te są coraz większe, gdyż wraz z pojawieniem się samolotów C-295M, F-16 C/D Block 52+, a ostatnio także M-28 w wersji z cyfrową awioniką, nasze lotnictwo stanęło przed koniecznością szkolenia przyszłych pilotów pod zestawy awioniki zupełnie inaczej skonfigurowane niż dotychczasowe.

OGNIWO W SZKOLENIU

Niejako polską tradycją jest to, że najpierw kupujemy nowoczesny sprzęt wojskowy, a dopiero potem zaczynamy się zastanawiać, gdzie i jak wyszkolić żołnierzy, aby mogli go obsługiwać, gdzie go garażować, serwisować i tak dalej. Od ponad dekady siły powietrzne używają samolotów z cyfrową awioniką (zwaną w uproszczeniu z angielskiego glass cockpit), która, przy wsparciu komputerów i programów misji, oznacza zupełnie inny (i znacznie łatwiejszy) styl pracy za sterami statku powietrznego. Do nas najpierw jednak trafiły samoloty transportowe z cyfrową awioniką, następnie maszyny bojowe, a szkolenych nadal nie ma. W pewnym momencie doszło do tego, że przyszli piloci F-16, mając na trzecim i czwartym roku studiów w szkole dęblńskiej szkolenie pilotażowe na samolocie odrzutowym, w teorii mieli spędzić około 150 godz. za sterami archaicznego TS-11. Przełomem okazało się jednak zamówienie ośmiu maszyn Alenia AerMacchi M-346 Master z cyfrową awioniką, które za kilka lat będą już zdecydowanie bardziej profesjonalnym narzędziem dla przyszłych pilotów jastrzębi, a może i samolotów bojowych kolejnej generacji.

Zanim jednak adepci usiądą za sterami odrzutowego M-346, w nowym, cią-



NORBERT BĄCZYK

CYFROWY ORLIK

PZL-130 to dziś rzadki już przykład rodzimej konstrukcji lotniczej, która pozostaje w eksploatacji i wciąż jest rozwijana.



NORBERT BACZYK (2)

W PROJEKCIE AWIONIKI SAMOŁOTU WYKORZYSTANO DOŚWIADCZENIA ITWL. ZAPEWNIĄ TO KRAJOWĄ KONTROLĘ NAD KODAMI ŹRÓDŁOWYMI

głym systemie szkolenia w WSOSP czeka ich najpierw ponad 100 godz. w turbośmigłowym PZL-130. Wsiadając z kolei pierwszy raz do orlika, „orleńcy” powinni już umieć latać na zwykłych, turystycznych samolotach z klasyczną, analogową awioniką, które dobrze poznają na pierwszych latach studiów. Kiedy zatem mają zapoznać się z maszynami z glass cockpitem? Jak najszybciej, czyli na czwartym roku studiów – na poziomie PZL-130. Orliki mają służyć do szkolenia przyszłych pilotów samolotów bojowych. Cyfrowy orlik pozwoli im zatem opanować wiele umiejętności i wyrobić sobie nawyki, a mowa o kwestiach obsługi pulpitów systemów awionicznych czy procedurach przygotowania lotu, dzięki którym szybciej odnajdą się w kabynie M-346, a ostatecznie w F-16.

Ministerstwo Obrony Narodowej nie podjęło jeszcze decyzji dotyczącej zakupu zestawu modernizacyjnego PZL 130 Orlik TC II MPT. Samolot w tej konfi-

guracji przechodzi testy – w maju został oblatany i na razie wylatał około 40 godz. Program MPT jest realizowany od 2011 roku przez Airbus Defence and Space i Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych. Samolot jest zmodernizowaną wersją PZL-130 Orlik TC II Garmin.

POLSKI PRODUKT

Zintegrowany system awioniczny (ZSA) tej maszyny jest wytworem krajowym. Jak podaje producent, uzyskano jego pełną integrację z pozostałymi systemami samolotu: awioniką zapasową, komputerowym systemem zarządzania płatowcem (VMS), systemami antenowymi i systemem elektrycznym. Jak dotąd, zweryfikowano działanie podstawowych systemów samolotu: zespołu napędowego, systemu hydraulicznego, klimatyzacji, sterowania hamulców, sterowania klapami oraz sterowania podstawowym i awaryjnym systemem podwozia. Przetestowana miała zostać również ergonomia nowej konfiguracji kabiny pilotów, rękojeści drążka sterowego oraz dźwigni mocy. Według przekazanych danych, sprawdzono działanie nowych systemów radiowych (COM1, COM2), nawigacyjnych (TACAN/DME, VOR/ILS/MKR) i pilotażowych (AHRS, ISFD), a kluczowy ZSA przeszedł testy w podstawowych i zaawansowanych funkcjach pilotażowo-nawigacyjnych. Dzięki temu samolot uzyskał stałe dopuszczenie do lotów w kategorii specjalnej. Obecnie będzie testowane działanie poszczególnych funkcji zintegrowanego systemu awionicznego, automatycznego systemu trzymowania steru kierunku, skuteczność systemu przeciwoślizgowego czy też systemu antypoślizgowego podwozia. Docelowo maszyna ma otrzymać certyfikat Urzędu Lotnictwa Cywilnego.

Jeśli wojsko zdecyduje się na ten system, nie będzie trzeba budować nowych samolotów, lecz – tak jak w wypadku TC II – poddać głębokiej modernizacji 12 starszych egzemplarzy, a docelowo wszystkie użytkowane orliki. Dzięki temu te maszyny mogłyby służyć w polskim lotnictwie jeszcze przez dziesięciolecia. ■





Na razie nic nie wskazuje na to, że „Władystok”, pierwszy z dwóch okrętów desantowych typu Mistral, nie zostanie w terminie przekazany Rosji przez Francję.



| ROSJA |

ANDRZEJ WILK

ZBROJENIOWY IMPULS

Czy zerwanie kontaktów z Ukrainą
i perturbacje we współpracy z Zachodem
odbiją się na programie modernizacji
technicznej rosyjskiej armii?

SEBASTIEN SALOM-GOMIS/SIPA/EAST NEWS

→ ZBROJENIOWY IMPULS

W połowie 2014 roku konflikt rosyjsko-ukraiński zaczął się przekładać bezpośrednio na sytuację w Rosji. Wpływ na to miały z jednej strony sankcje nałożone przez państwa zachodnie, z drugiej postępujące zrywanie więzi gospodarczych z Ukrainą. Zmiany dotknęły przede wszystkim rosyjski przemysł zbrojeniowy, realizujący zakrojony na szeroką skalę program modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

O ile jednak zachodnie sankcje nie wpłynęły znacząco na przebrojenie armii rosyjskiej, stając się raczej pretekstem do przyspieszenia sanacji rosyjskiego kompleksu obronno-przemysłowego, o tyle zerwanie kooperacji wojskowo-technicznej z Ukrainą przełożyło się bezpośrednio na terminarz realizacji części założeń programu. Do odwrócenia sytuacji może dojść w dłuższej perspektywie – o ile niezależnienie się od kooperacji z Ukrainą i przeniesienie produkcji do Rosji stanowi wyłączenie kwestię czasu, w wypadku zaostżenia i długotrwałego utrzymania się sankcji natomiast kwestią otwartą pozostaje zdolność Rosji do nadrobienia zaległości w tych dziedzinach przemysłu, w których odstawała od Zachodu.

SKAZANI NA KOOPERACJĘ

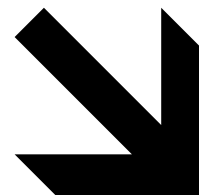
Rosyjski przemysł zbrojeniowy – w odróżnieniu od sowieckiego – nigdy nie zaspokajał w pełni zamówień ze strony własnej armii. Aczkolwiek Rosja dysponowała potencjałem umożliwiającym samodzielne zaspokojenie potrzeb sił zbrojnych, z powodów politycznych i finansowych utrzymywała w tej dziedzinie ścisłą kooperację z innymi państwami powstałymi na gruzach Związku Sowieckiego, przede wszystkim z Białorusią i Ukrainą. W ostatnich latach rosyjski kompleks obronno-przemysłowy poczynił co prawda znaczące inwestycje na rzecz skupienia całej produkcji nowo konstruowanych typów uzbrojenia i sprzętu wojskowego na terytorium kraju, mimo tego Moskwa nie zamierzała zrywać współpracy, traktując ją jako jedno z narzędzi uzależnienia byłych sowieckich republik i utrzymania ich w kontrolowanej przez siebie przestrzeni politycznej i gospodarczej.

Koniec zimnej wojny i rozpad ZSRR przyczyniły się także do ukształtowania nowego typu powiązań z przemysłem zbrojeniowym państw Europy Zachodniej. Początkowo były one rezultatem

wspólnej oferty eksportowej (owocem takiej kooperacji jest m.in. wybrany ostatnio przez Polskę samolot szkolno-treningowy M-346), a w ostatniej dekadzie następstwem udziału przedsiębiorstw zachodnich (głównie francuskich, niemieckich i włoskich) w modernizacji Sił Zbrojnych FR i – przede wszystkim – sanacji rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego. Głównym celem kooperacji z Zachodem stało się pozyskanie nowoczesnych technologii, których samodzielne stworzenie przekraczało możliwości rosyjskiego przemysłu bądź wiązało się z poniesieniem szczególnie wysokich kosztów. Współpracy sprzyjała otwartość zachodnio-europejskich partnerów Rosji, przez których – przy zmniejszających się zamówieniach ze strony własnych armii – była ona traktowana jako środek ratowania rodzimego przemysłu zbrojeniowego. W wypadku Niemiec w grę wchodziły także względy ideologiczne. Współpraca przemysłowa miała być jednym z elementów „cywilizowania” Rosji w ramach programu „Partnerstwo dla modernizacji”.

Agresja rosyjska przeciwko Ukrainie – zbrojne zajęcie Krymu, następnie zaangażowanie Sił Zbrojnych FR w konflikt w Donbasie – doprowadziła do przewartościowania dotychczasowych zasad kooperacji wojskowo-technicznej Rosji ze światem zewnętrznym. Skutkowało ono pogorszeniem klimatu współpracy z Zachodem oraz zerwaniem więzi rosyjskiego kompleksu obronno-przemysłowego z jego największym dotychczas partnerem – ukraińskim przemysłem zbrojeniowym.

Już wiosną 2014 roku część przedsiębiorstw z państw zachodnich zaczęła się wycofywać ze wspólnych projektów. Sztandarowym tego przykładem było zawieszenie przez niemiecki Rheinmetall udziału w końcowym stadium budowy cyfrowego poligonu Mulino. Rosja natomiast pierwsze sankcje potraktowała jako pretekst do przerwania współpracy w dziedzinach, w których najprawdopodobniej zdobyła już niezbędne doświadczenie i technologie, a nie była zainteresowana zakupem gotowych produktów (m.in. zwróciła Włochom testowane na rosyjskich poligonach kołowe niszczyciele czołgów Centauro). Najpoważniejsza w skutkach okazała się jednak decyzja nowych władz Ukrainy o całkowitym wstrzymaniu – wbrew interesom tamtejszego przemysłu zbrojeniowego – eksportu do Rosji produktów, których docelowym odbiorcą była lub mogła się stać armia rosyjska.



Obsługę ciężkich międzykontynentalnych rakiet balistycznych RS-20W Wojewoda, w miejsce ukraińskich zakładów w Dniepropietrowsku powierzono zakładom MAKIEJEWA W MIASS.



M O R O S J I

NIEKTÓRE ZAKŁADY ROSYJSKIEGO PRZEMYSŁU ZBROJENIOWEGO TRAKTUJĄ SANKCJE JAKO SZANSE NA POWRÓT DO GRY

Kolejne fazy sankcji nakładanych przez Zachód nie przełożyły się dotychczas bezpośrednio na modernizację techniczną Sił Zbrojnych FR. Głównie ze względu na marginalne znaczenie kooperacji z krajami zachodnimi dla całokształtu rosyjskiego programu zbrojeń (obroty z tego tytułu kształtowały się na poziomie 100 mln USD rocznie, tj. około 2% ogółu wydatków na modernizację techniczną) oraz poszukiwanie przez zachodnich producentów możliwości kontynuowania współpracy mimo niesprzyjającego klimatu politycznego. Nawet w tych nielicznych sytuacjach, w których nastąpiło względnie trwałe zerwanie więzi kooperacyjnych (wspomniany Rheinmetall; Renault Trucks Defense z francusko-rosyjskim projektem kołowego bojowego wozu piechoty Atom), nie doszło do zahamowania żadnego z realizowanych projektów. Miejsce zachodnich kooperantów niemal natychmiast zajęły bowiem przedsiębiorstwa rosyjskie. Pokazem ich sprawności było samodzielne dokończenie i uruchomienie 1 października 2014 roku centrum szkolenia bojowego w Mulino (w momencie wycofania Rheinmetalla było ono gotowe w 95%, główne prace wykonał rosyjski RusBITech), a także oparcie wyłącznie na rosyjskich wykonawcach budowy drugiego cyfrowego poligonu – Aszuluk w obwodzie astrachańskim.

W większości wypadków kooperanci zachodni nie tylko nie wstrzymali współpracy, lecz także stali się głównymi orędownikami normalizacji relacji z Rosją. Do rangi symbolu urosła postawa władz Francji, które pod presją własnego przemysłu stocznego nie zdecydowały się na zerwanie największego jak dotychczas kontraktu zbrojeniowego Rosji z krajem zachodnim na budowę dwóch śmigłowców desantowych typu Mistral. Co więcej, zgodnie z wcześniej ustalonym harmonogramem, od czerwca 2014 roku Francuzi szkolą u siebie rosyjskie załogi, które we wrześniu dwukrotnie wychodziły w morze na ukończonym już pierwszym z zamówionych okrętów, „Władywostoku”. Mimo okresowych dementi ze strony Paryża, nic nie wskazuje na to, by ta jednostka nie została przekazana Rosjanom (według ostatnich informacji miałyby do tego dojść 4 listopada z okazji obchodzonego w Rosji na pamiątkę „oswobodzenia Moskwy od polskich interwencji” Dnia Jedności Narodowej).

Z udziału w modernizacji rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego nie zrezygnowały przedsiębiorstwa niemieckie, które oprócz wspomnianego Rheinmetalla nie wykonywały bezpośrednich zamówień Ministerstwa Obrony FR. W sierpniu firma Starragheckert dostarczyła linię obrabiarek do produkcji silników wysokoprężnych dla głównego rosyjskiego producenta czołgów – koncernu UrałWagonZawod, we wrześniu z kolei rosyjski koncern Radioelektronnyje Technologii w kooperacji z niemiecką firmą Rhode & Schwarz rozpoczął seryjną produkcję aparatury dla przemysłu kosmicznego.

SANKCJE WYZWANIEM

Zachodnie sankcje, a w dużej mierze groźba zerwania więzów kooperacyjnych, stały się – obok rzeczywistej potrzeby wymuszonej zerwaniem współpracy z Ukrainą – pretekstem do przyspieszenia rozpoczętego w połowie poprzedniej dekady procesu skupiania całości produkcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego na terytorium Rosji. W ramach przygotowywanego od wiosny 2014 roku szczegółowego programu zastępowania importu (importozamieszczenie) rosyjski kompleks obronno-przemysłowy ma uzyskać samowystarczalność (przy- →

ROSYJSKI PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY – W ODRÓŻNIENIU OD SOWIECKIEGO – NIGDY NIE ZASPOKAJAŁ W PEŁNI ZAMÓWIEŃ ZE STRONY WŁASNEJ **ARMII**

najmniej w realizacji zamówień Sił Zbrojnych FR) w ciągu trzech lat. Pod względem technicznym program zakłada kontynuowanie dotychczasowej praktyki, polegającej na modernizacji istniejących przedsiębiorstw (wymiana obrabiarek i linii technologicznych) bądź budowie od podstaw nowych zakładów. Piętą achillesową programu pozostaje niższa od zachodniej jakość oferowanych przez rosyjskie przedsiębiorstwa obrabiarek i często mikroelektroniki.

W razie faktycznego zerwania współpracy z Europą Zachodnią (ostatnie firmy amerykańskie wycofały się z kooperacji z rosyjskim kompleksem obronno-przemysłowym w 2013 roku; wyjątek stanowi niczym niezakłócona realizacja kontraktu na dostawy do USA rosyjskich silników do rakiet kosmicznych) zdolność Rosji do samodzielnego nadrobienia technologicznego zapóźnienia staje pod znakiem zapytania. Za wątpliwą jakościowo alternatywę należy uznać rozpatrywaną współpracę w tej dziedzinie z państwami azjatyckimi, głównie z Chinami.

PROBLEM NA DZIŚ

Przerwanie liczących dziesiątki lat powiązań między znajdującymi się na terytoriach Rosji i Ukrainy przedsiębiorstwami przemysłu zbrojeniowego nie nastąpiło z dnia na dzień. Przez wiele miesięcy postanowienia nowych władz w Kijowie o wstrzymaniu eksportu specjalnego do Rosji pozostawały w sferze deklaracji, a ich zapisy były systematycznie łamane przez przedsiębiorstwa (notabene z faktycznym przyzwoleniem władz, obawiających się negatywnych skutków gospodarczych i społecznych wstrzymania kooperacji z FR). Do realnego przerwania dostaw do Rosji doszło dopiero pod koniec sierpnia, w sytuacji faktycznego konfliktu zbrojnego między oboma państwami. Wiele wskazuje na to, że ograniczona współpraca

jest kontynuowana, ale głównie przy wypełnianiu wspólnych zobowiązań eksportowych.

Utrata ukraińskiego podwykonawcy bezpośrednio uderzyła w realizację planów modernizacyjnych armii rosyjskiej. Aczkolwiek na terytorium Federacji Rosyjskiej znajdują się przedsiębiorstwa dysponujące odpowiednim potencjałem, by przejąć zobowiązania kooperantów ukraińskich, nie były one w stanie zastąpić ich z dnia na dzień. Opracowywane w trybie nagłym „karty drogowe” zastępowania importu z Ukrainy (rozdysponowujące produkcję na poziomie regionów i poszczególnych przedsiębiorstw) wykazały, że zależnie od branży, uniezależnienie od kooperacji z ukraińskim przemysłem zbrojeniowym zajmie co najmniej kilka tygodni. Całkowite odrobienie skutków zerwania współpracy ma nastąpić w ciągu dwóch, trzech lat.

Stosunkowo najprostsze okazało się zastąpienie przedsiębiorstw ukraińskich – dostawców podzespołów oraz serwisantów uzbrojenia i sprzętu wojskowego przewidzianego do wycofania ze służby przed końcem obecnej dekady. Na przykład obsługę ciężkich międzykontynentalnych rakiet balistycznych RS-20W Wojewoda powierzono, w miejsce ukraińskich zakładów w Dniepropietrowsku, zakładom Makiejewa w Miass w obwodzie czelabińskim. W dwóch wy-

WIZYTÓWKA



ANDRZEJ WILK

Główny specjalista Ośrodka Studiów Wschodnich ds. wojskowych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego. W OSW od 1999 r. Analityk w Zespole Bezpieczeństwa i Obronności od jego powstania do rozwiązania w 2011 r. (od 2004 r. kierownik zespołu). W latach 1996–1999 pracował w Ministerstwie Obrony Narodowej jako specjalista, a następnie starszy specjalista w Oddziale Planowania Strategiczno-Obronno-Departamentu Systemu Obronnego.

Absolwent Instytutu Stosunków Międzynarodowych Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego oraz Wydziału Wojsk Lądowych Akademii Obrony Narodowej (kierunek dowódczo-sztabowy).

padkach Ministerstwo Obrony FR zostało jednak zmuszone do zrewidowania dotychczasowego harmonogramu prac modernizacyjnych.

Najpoważniejsze wyzwanie, związane z zerwaniem więzi kooperacyjnych z Ukrainą, stanowi przeniesienie do Rosji produkcji silników (turbiny gazowych) do budowanych dla marynarki wojennej fregat. Ich dostawcą były zakłady Zoria MaszProjekt w Mikołajowie. Na następcę wyznaczono zakłady Saturn w Rybińsku, jedyne dysponujące odpowiednimi mocami produkcyjnymi i dokumentacją, niepotrzebujące także dodatkowego finansowania w ramach programu importozamieszczenia. Mimo to pierwsze prototypy nowych turbin, powstających w całości w Rosji, mają zostać przekazane do zabudowy na okrętach dopiero na początku 2017 roku. O problemach wywołanych przez zerwanie współpracy z Zoria MaszProjekt świadczyło pojawienie się informacji (później zdementowanych) o rezygnacji z budowy ostatniej, szóstej fregaty projektu 11356R dla rosyjskiej Floty Czarnomorskiej.

Drugi z przypadków – prostszy w sferze technicznej, jednakże równie czasochłonny – to konieczność umiejscowienia w Rosji całości produkcji silników do śmigłowców, których głównym dostawcą przez wiele lat były zakłady Motor Sicz w Zaporozżu (w szczytowym okresie 80% wszystkich silników do produkowanych w Rosji śmigłowców). Mimo systematycznego rozwijania własnej bazy produkcyjnej (w 2013 roku uruchomiono nowe zakłady Klimowa pod Petersburgiem), Rosja sprowadzała z Ukrainy ponad połowę silników do śmigłowców transportowych Mi-8/Mi-17, a także od 5% do 50% podzespołów do silników produkowanych w zakładach Klimowa. Dopiero w 2014 roku przedsiębiorstwo to ma uzyskać pełną samowystarczalność pod względem produkcji silników dla najnowszych śmigłowców bojowych Mi-28N i Ka-52.

Podobnie jak w wypadku turbin do okrętów, niezbędny pułap w produkcji silników do śmigłowców Rosja ma osiągnąć w latach 2016–2017. Wiąże się to nie tylko ze zwiększeniem produkcji w zakładach Klimowa (w 2014 roku mają one wypuścić 360 silników wszystkich typów), lecz także z jej rozwinięciem w zakładach korporacji RosTech (w 2014 roku wyprodukowano dotychczas wstępną partię 30 sztuk, a plany sięgają 300 silników rocznie).

W odróżnieniu od silników do śmigłowców nie ma natomiast problemu z zastąpieniem budowanych w Zaporozżu silników do samolotów. Rosja dysponuje bowiem odpowiednią linią produkcyjną (samoloty szkolno-bojowe Jak-130) lub ma wystarczający zapas (łódzie latające Be-200).

POWRÓT DO GRY

W skali całego programu modernizacji technicznej armii rosyjskiej problemy wywołane zerwaniem kooperacji z Ukrainą i perturbacjami we współpracy z Zachodem mają charakter marginalny. Dla większości wiodących przedsiębiorstw kompleksu obronno-przemysłowego, które już przeszły etap modernizacji, były praktycznie nieodczuwalne. Przez dużą część zakładów rosyjskiego przemysłu zbrojeniowego, pozostających dotychczas na uboczu procesów modernizacyjnych (m.in. zdystansowanych przez firmy niemieckie producentów obrabiarek), są natomiast traktowane jako szansa na powrót do gry i udział w podziale liczących kilkadziesiąt miliardów dolarów rocznie środków na modernizację przemysłu zbrojeniowego i Sił Zbrojnych FR. ■

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

PRENUMERATA ROCZNA: 6 WYDAŃ W CENIE 5

ZAMÓW PRENUMERATĘ NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy,
00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 50 zł
do 10 stycznia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

*Wysiłki
nastawione
na zmniejszenie
napięcia
nie mogą być
podejmowane
kosztem
wiarygodności
NATO
i bezpieczeństwa
wschodniej
flanki*



Przepis na zimną wojnę

Z Wojciechem Lorenzem o zawieszonych współpracy NATO i Rosji, czerwonych liniach Moskwy i nuklearnym straszaku Putina rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Jak po szczycie w Newport zmieniło się myślenie NATO o Rosji?

Zmiany w postrzeganiu Rosji przez sojusz północnoatlantyczny to proces rozciągnięty w czasie. Nie wszystkie państwa członkowskie czują się zagrożone. Niektóre wciąż chciałyby traktować Moskwę jako partnera. Na szczycie w Newport NATO uznało jednak, że po wojnie z Gruzją w 2008 roku i aneksji Krymu w roku 2014, Rosja może stanowić zagrożenie, zwłaszcza dla państw tak zwanej wschodniej flanki, z krajami bałtyckimi na czele. Podjęto decyzje polityczne, które umożliwiają usprawnienie mechanizmów obrony terytorialnej i zwiększenie wiarygodności gwarancji artykułu 5.

Jak ta zmiana przełoży się na dalsze kontakty?

Już w kwietniu, po aneksji Krymu, NATO zawiesiło współpracę z Rosją. Po wojnie rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku współpracę co prawda też zawieszono, a w niecały rok później ją wznowiono. Przeważał pogląd, że to państwo jest zbyt duże i ważne, aby je izolować. Tym razem nie ma pewności, na ile poważna zmiana zaszła w NATO w myśleniu o Rosji.

Sojusz nie jest jednomyślny co do tego, jak traktować Rosjan.

Między dzisiejszym NATO a tym z czasów zimnej wojny istnieje fundamentalna różnica. Wtedy ZSRR stanowiło egzystencjalne zagrożenie dla USA i europejskich członków sojuszu. Dzisiejsza Rosja nie zagraża bezpośrednio największym państwom NATO, ale jest ważnym partnerem handlowym. Część krajów obawia się też, że wzmacnianie bezpieczeństwa nowych członków poprzez zwiększanie obecności NATO i USA na ich terenie może skłonić Moskwę do eskalacji agresji, na którą sojuszowi będzie trudno odpowiedzieć. Żeby być zdolnym do takiej reakcji, trzeba mieć bowiem także gotowość wojskową, a to kosztuje. Dlatego niektóre państwa wolą uniknąć takiego scenariusza i zachowują się tak, jakby były skłonne po cichu zaakceptować rosyjską strefę wpływów, jeśli miałoby to zagwarantować pokój w Europie. To błędne myślenie. Wiemy z historii, że polityka „appeasementu” może oddalać widmo konfliktu, ale mu nie zapobiega. NATO musi prowadzić politykę dwutorową. Z jednej strony, powinno mieć możliwość odpowiadania na różne rodzaje zagrożeń płynące z Rosji, z drugiej, utrzymywać otwarte kanały komunikacji, aby wykorzystywać szanse na zmniejszenie napięcia drogą dyplomacji. Wysiłki w tym kierunku nie mogą jednak odbywać się kosztem wiarygodności NATO i bezpieczeństwa wschodniej flanki.

Czy NATO i Rosję nadal łączy wspólnota interesów w dziedzinie bezpieczeństwa?

W niektórych sferach. Najlepszym przykładem jest zagrożenie islamskim terroryzmem. Dla Rosji to ogromny problem, co pokazały między innymi zamachy w Biesłanie, na Dubrowce, na lotnisku Domodiedowo. Państwo Islamskie, działające w Iraku i Syrii, zagroziło Rosji wojną na Kaukazie. Dla wielu krajów Zachodu, w tym członków NATO, terroryzm jest na szczycie listy zagrożeń. W interesie i Rosji, i Zachodu leży zatem współpraca w walce z nim. Ceną za zaangażowanie się Rosji w działania międzynarodowej koalicji do walki z terroryzmem nie mogą być jednak ustępstwa, na przykład w sprawie bezpieczeństwa nowych członków sojuszu czy rozszerzenia strefy jej wpływów na obszarze posowieckim.

Sojusz zawiesił praktyczną współpracę z Rosją, utrzymuje jedynie dyplomatyczne kontakty w ramach Rady NATO-Rosja. Czy to wystarczające forum?

To forum wystarcza, aby informować Rosję o decyzjach podejmowanych przez sojusz północnoatlantyczny i utrzymywać komunikację. Potrzebny jest jednak większy niż dotychczas dysans wobec kraju, który przez swoje wrogie nastawienie jest gotów wszelkimi metodami, w tym militarnymi, powstrzymać rozszerzenie nie tylko NATO, lecz także Unii Europejskiej na obszar posowiecki. W przeciwnym razie sojusz narażałby się na infiltrację, która znacząco osłabiałaby jego funkcje obronne.

Czy faktyczny – a nie słowny – brak wsparcia NATO dla Kijowa może zachęcić Władimira Putina do dalszych działań na Ukrainie?

Od przemówienia prezydenta Putina w Monachium w 2007 roku mamy wiele sygnałów, które wskazują na to, że Rosja konsekwentnie buduje strefę wpływów w Azji Centralnej i Europie Wschodniej, wykorzystując narzędzia polityczne, gospodarcze, energetykę, a jeśli trzeba, to także stosując siłę militarną. Rozszerzenie NATO i Unii Europejskiej na obszar posowiecki oraz wiążące się z tym reformy demokratyczne i rynkowe są postrzegane przez władze w Moskwie jako egzystencjalne zagrożenie. Dla Rosji czerwoną linią są wszelkie formy instytucjonalnej współpracy Ukrainy z Zachodem, które w przyszłości mogą prowadzić do głębszej integracji z NATO czy UE. Putin może na długo zablokować prozachodnie aspiracje Kijowa poprzez forsowanie federalnego modelu Ukrainy czy utworzenie separatystycznych republik na wschodzie kraju. Rosja domaga się też zmian w umowie między Ukrainą a Unią, aby uniemożliwić ewentualną integrację. Gdyby to się nie udało, ma w zanadru takie opcje, →

jak wycięcie korytarza do Krymu lub do Naddniestrza, a także całkowite rozbięcie Ukrainy na część wschodnią i zachodnią.

Jak daleko może posunąć się Putin?

Na Ukrainie Putin nie musi posuwać się dalej, jeśli uzna, że osiągnął założone cele, czyli na dobre zablokował integrację z Zachodem. Ale kiedy inwestycje w rosyjską armię nadal będą tak szybko rosły, a wydatki na zbrojenia w państwach sojuszu okażą się wciąż niedostateczne, Rosja będzie mogła podejmować kolejne ekspansywne działania.

Czy Rosja posunie się do próby podważenia wiarygodności sojuszu, na przykład prowokacją w republikach bałtyckich, licząc na brak odpowiedzi, wynikającej z artykułu 5?

To może być kolejny krok. Jeżeli Rosja chce przeforsować nową architekturę bezpieczeństwa, a Władimir Putin, Dmitrij Miedwiediew i inni wysocy rangą przedstawiciele Kremla regularnie o tym mówią, to ma kilka możliwości. Może na przykład eskalować napięcie, licząc na to, że część krajów Europy Zachodniej poczuje się realnie zagrożona wybuchem konfliktu i zacznie nalegać na rozmowy o nowej architekturze bezpieczeństwa. Może też próbować podważyć wiarygodność NATO, aby doprowadzić do jego rozkładu. Najłatwiej to zrobić, podejmując działania w krajach bałtyckich, które – jak mówią wojskowi stratedzy – są nie do obrony. Dlatego muszą być poważnie brane pod uwagę różne formy agresji wobec tych państw.

Co musiałyby się stać, aby NATO odpowiedziało na naruszenie artykułu 5? W jakiej formie byłaby to odpowiedź?

W czasach zimnej wojny sytuacja była jasna. ZSRR planował inwazję na Europę Zachodnią i jej początek byłby dla każdego czytelny. Dzisiaj mamy całą gamę środków, które Rosja mogłaby zastosować, licząc na to, że w sojuszu nie będzie politycznej zgody co do tego, czy należy podjąć działania wynikające z artykułu 5. To są tak zwane sytuacje trudno konsensualne. Nawet gdyby udało się osiągnąć porozumienie, nie ma gwarancji, że poszczególne kraje byłyby w stanie wywiązać się ze swoich zobowiązań. W Niemczech na przykład trwa dyskusja na temat zdolności Bundeswehry do ich wypełniania. Inne kraje po latach cięć wydatków nie są w lepszej sytuacji. Mimo tych wątpliwości w razie otwartej agresji na terytorium kraju członkowskiego najbardziej prawdopodobna jest zdecydowana odpowiedź NATO. Zapewne doszłoby do próby obrony i odzyskania terytorium. Ale gdyby w państwach bałtyckich do akcji wkroczyli prorosyjscy separatyści i na przykład zestrzelili samolot NATO biorący udział w misji „Baltic Air Policing”, to należy zadać sobie pytanie, czy NATO miałyby wolę i możliwość podjęcia działań, które podtrzymałyby jego wiarygodność. Dobrze, że na razie nie rozmieszczono w Polsce stałych baz NATO, bo daje to sojuszowi większe pole manewru, właśnie w wypadku hybrydowych działań ze strony Rosji.

W 2009 roku, podczas ćwiczeń „Zapad 2009”, Rosjanie przećwiczyli inwazję na kraje bałtyckie. Czy to tylko straszak Putina?

Broń nuklearna odgrywa ważną rolę w rosyjskiej doktrynie wojskowej – służy do niwelowania przewagi NATO pod względem broni konwencjonalnej. Obwód kaliningradzki ma dla Rosji duże znaczenie strategiczne, co byłoby szczególnie ważne w wypadku konfrontacji z sojuszem w regionie Morza Bałtyc-

Wiemy z historii, że polityka appeasementu może oddala widmo konfliktu, ale mu nie zapobiega

kiego. Zgodnie z doktryną z 2000 roku mogłaby ona wówczas dokonać uderzenia taktycznym ładunkiem nuklearnym, aby doprowadzić do deeskalacji i powrotu do status quo. Przyjęta w 2010 roku doktryna rozszerzyła katalog czynników uprawniających do wykorzystania broni jądrowej o sytuacje zagrażające istnieniu Rosji. Ostatnio znowu zapowiedziano jej zmianę.

Groźby ataku nuklearnego padają tylko pod adresem nowych członków NATO.

Rosjanie mają rakiety balistyczne Iskander z głowicami nuklearnymi, w których zasięgu znajdują się Polska i państwa bałtyckie. Kreml regularnie przypomina, że Rosja jest mocarstwem nuklearnym, a tak zwana koncesjonowana opozycja wprost mówi, że Polska i kraje bałtyckie mogą być celem ataku. Jednocześnie oficjalnie Europa Zachodnia jest poza zasięgiem rosyjskich rakiet, bo zgodnie z traktatem INF [o likwidacji rakiet krótkiego i średniego zasięgu] Rosja nie może takiej broni posiadać. To, czy nie pracuje nad nią, to inna sprawa. Niemniej jednak nie sięga po otwarte groźby pod adresem Paryża czy Berlina. Zgodnie z rosyjskimi kalkulacjami pewne działania wobec nowych państw członkowskich NATO wiążą się z mniejszymi kosztami niż wobec starej Europy. Rosyjskie groźby trzeba traktować jako sygnał, że w razie konfliktu należy się liczyć z użyciem takiej broni. W ten sposób Moskwa chce zniechęcić Zachód do udzielania nowym państwom członkowskim wsparcia. Jest to także ostrzeżenie dla tych krajów, które – tak jak Polska czy Estonia – najbardziej zdecydowanie sprzeciwiają się rosyjskiej strefie wpływów, że w wypadku konfliktu to one będą na celowniku. Rosyjski politolog Andriej Pionkowski uważa, że jeśli Putin będzie postępował tak agresywnie, to w którymś momencie może się zdecydować na użycie taktycznej broni nuklearnej, aby wymusić kapitulację NATO.

Czy NATO jest gotowe na konfrontację z Rosją?

Nie, bo do niedawna sojusz traktował ją jako partnera i w interesie wielu krajów było bagatelizowanie potencjalnego zagro-

zenia. W efekcie NATO utraciło wiele zdolności niezbędnych do skutecznej obrony nowych państw członkowskich. Często są cytowane dane, które wskazują na olbrzymią przewagę sojuszu nad Rosją. Takie zestawienia nie mają sensu, ponieważ nierealistyczne jest wystawienie przez NATO całego potencjału. Żaden kraj nie przetrzuciłby całej swojej armii na wschodnią flankę do obrony Polski. Siły, które może wystawić Organizacja Traktatu Północnoatlantyckiego, są dużo skromniejsze i nie wyglądają już tak imponująco na tle potencjału rosyjskiego. Problemem jest też czas reakcji i wola polityczna w sojuszu.

Jak poszczególni członkowie NATO traktują Rosję?

Takie kraje, jak Niemcy, Francja, Włochy czy nawet nasi partnerzy z Grupy Wyszehradzkiej – Słowacy i Węgrzy – uważają, że realne wzmocnienie bezpieczeństwa na wschodniej flance może dać Rosji pretekst do eskalacji. Polska, kraje bałtyckie, Norwegia i Rumunia argumentują, że obecność sił NATO na ich terenie jedynie poprawia zdolność sojuszu do realizowania jednej ze swoich fundamentalnych funkcji, jaką jest kolektywna obrona, a to nie może być prowokacją. Na szczycie w Newport osiągnięto kompromis. NATO wciąż jednostronnie przestrzega zasad zawartych w „Aktie stanowiącej o podstawach wzajemnych stosunków, współpracy i bezpieczeństwa” między NATO i Rosją z 1997 roku, zgodnie z którym „w obecnym środowisku bezpieczeństwa NATO nie rozmieści na stałe znaczących sił sojuszu w nowych krajach członkowskich”. Jednak nawet trzymając się tego zapisu, jest możliwe realne wzmocnienie nowych krajów członkowskich. Chodzi o rotacyjną obecność wojsk sojuszu i rozmieszczenie na ich terytorium sprzętu, paliwa i amunicji, a także o uszczegółowienie planów. Na szczęście istnieje także dodatkowy mechanizm bezpieczeństwa. Głównodowodzącym siłami NATO jest amerykański generał, który jednocześnie stoi na czele wojsk USA w Europie. Gdyby sojusz nie był w stanie skutecznie zareagować na rosyjską agresję, ten dowódca może sięgnąć po zasoby amerykańskie. Zdolność Stanów Zjednoczonych do działania, zarówno w ramach NATO, jak i samodzielnie, ma ulec poprawie dzięki ogłoszonej przez prezydenta Baracka Obamę inicjatywie zabezpieczenia Europy – European Reassurance Initiative. Tutaj też chodzi o rozmieszczenie sprzętu i obecność wojsk poprzez ćwiczenia i rotacje. Problem w tym, że z wielu decyzji łatwo się wycofać. Tymczasem realne wzmocnienie wschodniej flanki powinno być już trwałym elementem funkcjonowania sojuszu, dopóki Rosja nie stanie się państwem demokratycznym, obliczalnym.

W jakim stopniu podniesienie rozmów z Gruzją na wyższy poziom i wsparcie dla Czarnogóry jest oznaką, że NATO nie zgadza się na rosyjską strefę wpływów?

NATO wysłało sygnał, że prowadzi politykę otwartych drzwi. W interesie sojuszu państw kierujących się tymi samymi wartościami jest utrzymywanie perspektywy członkostwa dla krajów, które chcą wprowadzać niezbędne reformy i spełniać wymagane standardy. Zgoda na rosyjską strefę wpływów oznaczałaby, że akceptujemy sytuację, w której Rosja ma możliwość dalszego wzmacniania swojego potencjału jako państwa niedemokratycznego i niestosującego zasad go-

spodarki wolnorynkowej. To jest właśnie przepis na nową zimną wojnę, której wszyscy chcą uniknąć. Powstałaby sytuacja, w której Rosja miałaby dogodne warunki do niwelowania dystansu do państw NATO, a w miarę wzmacniania swojej pozycji mogłaby dalej poszerzać strefę wpływów. Koszty odwrócenia tej sytuacji za dziesięć czy dwadzieścia lat byłyby wielokrotnie większe niż rozsądnych działań podejmowanych dzisiaj.

Nowy sekretarz generalny NATO, były premier Norwegii Jens Stoltenberg, w przeciwieństwie do swego poprzednika Andersa Fogha Rasmussena, jest politykiem umiarkowanym i przyjaznym Rosji – napisał „Der Spiegel”. Rasmussen ostrymi wypowiedziami pod adresem Moskwy drażnił wiele krajów członkowskich NATO. Stoltenberg unika konfrontacji i konfliktów. Jak ta zmiana wpłynie na stosunki z Moskwą?

Norwegia jest postrzegana w NATO jako partner wiarygodny, który prowadzi rozsądną politykę. Norwegowie mało mówią, ale dużo robią. Mają też jasno sprecyzowane priorytety bezpieczeństwa i trzymają się ich niezależnie od tego, kto rządzi krajem. Graniczą z Rosją w Arktyce, nastawiają się na dialog i współpracę, ale jednocześnie inwestują w siły zbrojne, rozwijają współpracę z USA i są, oprócz Polski, jednym z krajów, które konsekwentnie upominają się o wiarygodność artykułu 5. Odchodzący sekretarz generalny mógł sobie pozwolić na ostre wypowiedzi pod adresem Moskwy, zwłaszcza że zainwestował spory kapitał polityczny w budowę partnerskich relacji z Rosją, a prezydent Putin odwdzieczył się aneksją Krymu. Nowy sekretarz generalny będzie bardziej stonowany, ale nie sądzę, aby były powody do niepokoju o to, jak będzie kierował sojuszem. Bardziej obawiałbym się coraz mniej wiarygodnej polityki w dziedzinie bezpieczeństwa ze strony kilku państw członkowskich NATO.

Dlaczego Rosja wyszła z propozycją resetu w stosunkach z USA?

Rosja zaczyna płacić coraz wyższą cenę za agresję na Ukrainie i sankcje przynoszą skutki. Bez dostępu do zachodnich technologii i kapitału będzie jej trudniej realizować plan odbudowy pozycji w świecie i zapewnić sobie warunki do rozwoju. Reset oznaczałby, że Krym co prawda został zaanektowany, ale wszystko wraca na dawne tory. Francuzi mogliby sprzedać Rosji swoje misylniki, Niemcy dokończyć budowę centrum szkoleniowego dla rosyjskiej armii, a Gazprom budowę gazociągu South Stream. Przez kilka lat pewnie byłby spokój, dopóki znowu Kreml by nie uznał, że rosyjskie interesy zostały gdzieś zagrożone. A wtedy w całej gamie środków nacisku miałby do dyspozycji o wiele silniejszą i nowocześniejszą armię. Po analizie zachowania Zachodu z przeszłości rosyjskie władze mogłyby stwierdzić, że koszty agresji militarnej nie są aż tak wielkie, aby nie traktować jej jako użytecznego narzędzia do osiągania swoich celów. Oczywiście w interesie Polski i Zachodu jest obniżanie napięcia i zbudowanie z Rosją takich relacji, które będą umożliwiać pragmatyczną współpracę. Sami potrzebujemy też czasu, aby wypełnić różne luki w naszym bezpieczeństwie. Ale nie oznacza to, że należy dawać Rosji narzędzia, które umożliwią jej wzmacnianie już zarysowanej strefy wpływów czy dalsze jej poszerzanie. ■

WIZYTÓWKA

WOJCIECH LORENZ

Jest głównym specjalistą, analitykiem do spraw bezpieczeństwa międzynarodowego i przemysłu obronnego w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.



RAFAŁ CIASTOŃ

MANEWRY Z TRAKTATEM

Jeśli doniesienia o łamaniu przez Moskwę postanowień traktatu INF będą się potwierdzać, Zachód nie może zapomnieć o lekcji wyciągniętej z historii zimnej wojny.

Tegoroczna edycja publikowanego przez Departament Stanu USA raportu „Przestrzeganie i stosowanie umów i zobowiązań dotyczących kontroli zbrojeń, nieprolifracji i rozbrojenia” to pierwszy oficjalny dokument, w którym znalazło się potwierdzenie pojawiających się na Zachodzie od kilku lat przypuszczeń na temat naruszenia przez Federację Rosyjską postanowień traktatu o broni nuklearnej średniego i krótszego zasięgu (INF Treaty). Możemy w nim przeczytać między innymi: „Stany Zjednoczone ustaliły, że Federacja Rosyjska narusza swe zobowiązania wynikające z traktatu INF, zakazujące jej posiadania, produkcji oraz testów w locie odpalanych z lądu pocisków manewrujących (GLCM) o zasięgu od 500 do 5500 km oraz posiadania czy produkcji wyrzutni takich pocisków”. To zdanie nie rozstrzyga wprawdzie, z jakiego rodzaju naruszeniem mamy do czynienia, ale w zestawieniu z innymi doniesieniami pozwala na analizę obecnej sytuacji między sygnatariuszami traktatu.

TRAKTAT I JEGO KONSEKWENCJE

Podpisany przez Michaiła Gorbaczowa i Ronaldą Reagana w grudniu 1987 roku w Waszyngtonie traktat zabrania jego stronom posiadania i testowania balistycznych oraz manewrujących systemów raketowych bazowania lądowego o zasięgu większym niż 500 km, a mniejszym niż 5500 km. Jego „ofiarami” padły między innymi amerykańskie pociski Pershing II, odpalane z wyrzutni samochodowych pociski Tomahawk, a także rzadkie SS-20, dzięki czemu ryzyko „ograniczonej, taktycznej wojny nuklearnej” na Starym Kontynencie w znaczny sposób zostało zminimalizowane.

Pierwsze wzmianki o możliwym naruszeniu przez Rosję postanowień traktatu pojawiły się w prasie w 2007 roku i były łączone z przeprowadzonym wówczas testem pocisku manewrującego systemu Iskander (tzw. Iskander-K). Niestety, wciąż mamy niewiele informacji na temat tej konstrukcji, przy czym niewiadomą jest nie tylko zasięg, lecz także status – doniesienia o wprowadzeniu pocisku do służby zbiegają się z tymi, według których nie uzyskał on jeszcze gotowości operacyjnej. Nie wyklucza to jednak nowej wersji iskandera z grona „podejrzanych”.

W wypadku pocisków manewrujących określenie zasięgu może nastrojać sporych trudności. W traktacie jest bowiem mowa o „maksymalnym dystansie, jaki pocisk może pokonać, lecąc standardowym trybem aż do wyczerpania paliwa, określony przez odwzorowanie ścieżki lotu względem ziemi, licząc od miejsca startu do miejsca uderzenia”. Pocisk manewrujący, w przeciwieństwie na przykład do balistycznego, może jednak zmieniać wysokość i kierunek lotu, co wpływa na zasięg i utrudnia jego jednoznaczne określenie. Jeśli pocisk leci do celu odległego o 500 km od miejsca startu, może pokonać 600 km.

W raporcie Departamentu Obrony stwierdzono jasno, że naruszenie INF dotyczy pocisków cruise, co jednoznacznie wyklucza inny system, który jeszcze dwa lat temu był wy-

mieniany w tym kontekście. Mowa tu oczywiście o pocisku Rubież, nazywanym przez wicepremiera Dmitrija Rogozina „zabójcą systemów antyrakietowych” (te odpalane z wyrzutni kołowych pociski międzykontynentalne – ICBM – najprawdopodobniej trafią do użytku w 2015 roku).

Dostępne zdjęcia iskandera w wersji manewrującej pozwalają zauważyć pewne podobieństwa konstrukcyjne do innego pocisku – używanego przez flotę SS-N-21 (jego lądowe wyrzutnie zostały, nomen omen, zniszczone w myśl traktatu INF). Zasięg wersji morskiej wynosi około 2400 km, a w odmianie lądowej, oznaczonej kryptonimem SSC-X-4, pocisk miał możliwość osiągnięcia celów na dystansie do 3 tys. km.

Niestety zasięg pocisku Iskander-K nie jest znany, a dane szacunkowe różnią się nawet kilkakrotnie. Według niektórych opinii, prace nad takim pociskiem nie naruszają traktatu INF. Co więcej, nie jest on wymieniany przez tak specjalistyczne źródła, jak raport „Ballistic & Cruise Missile Threat”, opracowywany przez Narodowe Centrum Wywiadu Lotniczego i Kosmicznego (National Air and Space Intelligence Center – NASIC) we współpracy z Agencją Wywiadu Wojskowego (Defense Intelligence Agency – DIA) i wywiadem marynarki (Office of Naval Intelligence – ONI), co musi rodzić wątpliwości, co do jego faktycznego statusu.

Z drugiej strony nowe pociski pojawiły się w materiałach filmowych z ubiegłorocznej wizyty ministra obrony Siergieja Szojgu

w 114 Brygadzie Rakietowej, stacjonującej w obwodzie astrachańskim, oraz czerwcowej w 26 Brygadzie Rakietowej w Łudze,

niedaleko Sankt Petersburga. Jeśli jednak pocisk Iskander-K osiągnął zdolność operacyjną i znajduje się już w jednostkach, to naruszenie traktatu INF dotyczy systemu innego typu. Anonimowi przedstawiciele

administracji Baracka Obamy twierdzą, że niezgodny z układem pocisk nie jest jeszcze w użyciu. Brak możliwości jednoznacznego określenia sprawcy całego zamieszania nie uniemożliwia jednak całkowicie odpowiedzi na inne pytanie – dlaczego?

STARY UKŁAD, NOWE REALIA?

Rosja ma co najmniej kilka powodów do tego, by doprowadzić do rewizji postanowień traktatu. Chodzi między innymi o posiadanie pocisków średniego i pośredniego zasięgu przez państwa z nią sąsiadujące lub leżące w bliskim sąsiedztwie, na co zwracał uwagę już w 2007 roku prezydent Władimir Putin. Wprawdzie żadne z nich nie zostało wówczas wymienione z nazwy, ale łatwo się domyślić, że chodzi tu przede wszystkim o Chiny, a w mniejszym stopniu także Pakistan, Iran czy nawet Indie.

Jak tego rodzaju uzasadnienie odejścia od zapisów INF zostałyby jednak przyjęte w Waszyngtonie? Część ekspertów, bliższych raczej Partii Republikańskiej niż Demokratycznej, uznaje, że traktat jest korzystny dla Europy, ale →

ROSJA MA KILKA POWODÓW DO TEGO, BY DOPROWADZIĆ DO REWIZJI POSTANOWIEŃ TRAKTATU INF

ogranicza Stany Zjednoczone w innych częściach świata. Pociski pośredniego zasięgu byłyby także idealnym narzędziem tak zwanego natychmiastowego globalnego uderzenia (Conventional Prompt Global Strike – CPGS). Nie da się zatem całkowicie wykluczyć podjęcia w przyszłości dialogu mającego na celu takie zmiany w traktacie, które umożliwiłyby sygnatariuszom rozmieszczenie objętych nim systemów poza Europą. Tyle że należy się zastanowić, czy takie argumenty nie są dla Moskwy tylko wymówką.

Broń średniego zasięgu była w radzieckiej doktrynie militarnej narzędziem służącym do prowadzenia ograniczonej wojny jądrowej na europejskim teatrze działań. Umożliwiały ją bez konieczności sięgania po systemy strategiczne, a zatem pozwalały na swego rodzaju odseparowanie Europy Zachodniej od USA, przynajmniej dopóki na Starym Kontynencie nie pojawiły się pociski Pershing II i Tomahawk w wersji GLCM. Wprowadzenie ich na nowo do gry mogłoby zatem być obliczone na wicie klina między państwa NATO.

Tym razem przedmiotem targów nie byłyby oczywiście nieistniejące pociski amerykańskie, ale niewykluczone, że ich miejsce zajęłyby elementy rozwijanego europejskiego etapuowego adaptacyjnego systemu obrony przeciwraкетowej (European Phased Adaptive Approach – EPAA) czy też na przykład znajdujące się w Niemczech, Belgii, Holandii, Włoszech i Turcji bomby nuklearne B-61. W tym sensie systemy średniego zasięgu mogłyby być elementem gry politycznej, być może nawet bez formalnego wycofania się Rosji z INF – wystarczyłoby jedynie umiejętne dozowanie informacji na temat jego naruszania. Amerykanie musieliby brać wówczas pod uwagę stanowiska państw europejskich, które często nie chcą doprowadzić do zaognienia relacji z Moskwą, oraz wewnętrzne uwarunkowania polityczne.

Kwestii potencjalnego naruszenia przez Federację Rosyjską układu INF nie można jednak ograniczać tylko do aspektów politycznych. Trzeba pamiętać o powtarzanych od lat deklaracjach na temat rosyjskiej reakcji na rozmieszczenie w Europie elementów amerykańskiego systemu obrony antyraketowej. W debacie publicznej termin „tarcza antyrakietowa” najczęściej jest rozumiany jako uniwersalne narzędzie, swego rodzaju parasol zdolny do ochrony przed każdego rodzaju zagrożeniem raketowym. A przecież projektowany przeciwko pociskom balistycznym krótkiego i średniego zasięgu system nie ma być używany przeciwko pociskom manewrującym lecącym lotem profilowanym na małej wysokości i dysponującym niewielką skuteczną powierzchnią odbicia. Pociski skrzydlate byłyby zatem idealnym środkiem ataku między innymi przeciwko tak zwanym bazom systemu Aegis Ashore w Polsce czy w Rumunii. W wypadku naszego kraju ich zasięg wcale nie musiałby przekraczać 500 km (o czym warto pamiętać w dyskusji nad kształtem systemu obrony powietrznej RP).

Jeśli doniesienia o łamaniu przez Moskwę postanowień traktatu będą się potwierdzać, Zachód nie może zapomnieć o lekcji wyciągniętej z historii zimnej wojny – SS-20 zniknęły z Europy nie wskutek dobrej woli kierownictwa Politbiura, lecz w wyniku chłodnej kalkulacji. Wydawało się, że lepiej je wycofać, niż podjąć ryzyko wynikające z obecności na kontynencie pershingów II i tomahawków. ■



KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

To kraj pełen sprzeczności

Z Igorem T. Miecikiem o rosyjskiej duszy, ruskim mirze, przeszłości, która dzieli, i poczuciu zdrady rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Smutna ta Pana Rosja.

Ja tej Rosji szukam. Szukam wizji, którą starała mi się przekazać matka. To wizja Rosji, która jest wielka i silna, ale może być też sprawiedliwa i szlachetna. Nie musi używać czołgów. W mojej pierwszej książce „14.57 do Czyty” wyłaniała się ona z posowieckiego chaosu, jeszcze namacalna. Przypomnę, że w 1995 roku były plany referendum w Tatarstanie, który chciał się odłączyć od Rosji. Dwa lata później czołgi wjechały do Czeczenii. Niestety, ze Związku Sowieckiego wyłoniły się kraje absolutnej reakcji, i to nie tylko Rosja.

Nie ma w Rosji szczęśliwych ludzi?

Gdy Rosjanie przyjmują gościa, zastawią stół tym, co mają, choć mają niewiele. To zadziwiające, że po największych nieszczęściach i traumach powtarzają stare rosyjskie przysłowia: „Wot, żyźń – ot, los” i potrafią się podnieść po 25 latach łagru. Aleksander Sołżenicyn, podobnie jak miliony Rosjan, przeżył głód, obozy, wywłaszczenie, upodlenie, łamanie kręgosłupa narodu, likwidację inteligencji, a przecież wstał, upokorzenie zamienił w siłę.

W ostatniej książce „Katiusza z bagnetem” opowiada Pan o czterech sekretach ZSRR, które rosyjskie władze starają się ukrywać przed swoimi obywatelami. Jakie to sekrety?

Ciekawe, ale przynębiające. Historie tragiczne, jak głód na Ukrainie, blokada Leningradu, udział dzieci i kobiet w wielkiej wojnie ojczyźnianej, powojenny los żołnierzy okaleczonych w czasie wojny albo wziętych do niemieckiej niewoli, seksualne wybryki elity kremlowskiej z monstrum Bериą na czele, Stachanow, który pobił rekord w wydobywaniu węgla, a także ukrywane przez władze wypadki z czasów pierwszych wypraw w kosmos.

Dwie książki, mieszanka tematów, które pokazują ten kraj z kilku perspektyw.

„14.57 do Czyty” to książka o Rosji współczesnej. „Katiusza z bagnetem” ma natomiast popularyzować historię, to opowieść o Związku Sowieckim. Wciąż wierzę – choć to może naiwne – że Rosja i Sowiety to dwa osobne byty.

Podobno Rosja to nie miejsce, lecz stan umysłu. W jakim stopniu na postrzeganie samych siebie przez Rosjan wpłynęło wypieranie niewygodnych prawd, zakłamywanie historii, wiara w ojczyźniane mity tworzone przez radziecką propagandę?

To największy ciężar. W Niemczech było 4D – demilitaryzacja, dekartelizacja, denazyfikacja i demokratyzacja. W Rosji stalinowskiej, która była równie brutalnym zbrodniczym reżimem, był tylko referat Chruszczowa, który posłużył przewrotowi i umocnieniu się nowej ekipy. Kult wielkiej wojny ojczyźnianej miesza się w głowach Rosjan z bohaterstwem białych oddziałów podczas wojny domowej. Właściwie nie wiadomo, kto jest dobry: ci, którzy jak Piotr Wrangel bronili się do 1920 roku na Krymie, czy Czapaew na swojej taczance? W tym wielkim tyglu historycznym Rosjanie starają się połączyć ich wszystkich z Żukowem, Koniewem, masowym przelewem krwi przez Armię Czerwoną podczas II wojny światowej i zbudować na tej mieszance jakąś ideologię państwową czy mit narodowy, krótko mówiąc tożsamość. To trudne, bo jak woda i ogień.

Rosja jest krajem wielonarodowym i wielokulturowym. Każdego dnia na ulicach rosyjskich miast spotykają się wyznawcy chrześcijaństwa, islamu, buddyzmu i ateistów. Co integruje obywateli Federacji Rosyjskiej?

Poszczególne narody, a jest ich wiele, trzeba czymś spajać – zbudować ideologię państwową. Najpierw był to samodzielny car i idea imperialna, później, za Sowietów – budowa komunizmu w jednym kraju, jak wmawiano ludziom – osaczonym. I tak powstała wspólna idea, tak zwany →

ruskij mir – rosyjski świat. Ta państwowa ideologia zabrnęła jednak, jak to mówią Rosjanie, w tupik, czyli w ślepią uliczkę, gdy zaczęła się konfrontować z całym światem. Okazało się, że ten ruskij mir nie może istnieć bez konfliktu z resztą świata.

Zagrożenie scala Rosjan?

Wyimaginowane zagrożenie, które władza wmawia ludziom. To strach elit, a nie całego społeczeństwa. Rosja nie pogodziła się z tym, że jej imperium może się rozsypać. Jeśli nie będzie się trzymać tej mocarstwowej iluzji rosyjskiego świata, to pozwoli na flow, jak mówią Amerykanie, a za 50 lat Syberię opanują Chińczycy, Tatarstan ogłosi niepodległość. ...I Rosja pozostanie, jak przed Iwanem III, księstwem moskiewskim, na swoich olbrzymich, ale już tylko etnicznych ziemiach. Byłby to koniec ruskiego miru.

Czy możliwa jest Rosja demokratyczna?

Na przełomie XIX i XX wieku nikt sobie nie wyobrażał, że możliwa jest Wielka Brytania bez Indii czy bez Kanału Sueskiego albo Francja bez Algierii. Oczywiście, że możliwa jest demokratyczna Rosja. Japończycy też nie wyobrażali sobie, że mogą przestać być rządzeni przez Boga – cesarza.

A Władimir Putin?

Nie sądzę, aby był gotowy na otwartą konfrontację z Zachodem. Wielu publicystów podkreśla, że Putin myśli dziejawnastawczymi kategoriami, nie rozmawia z Unią Europejską, lecz z silnymi państwami, które są dla niego partnerami do gry. Jeden z ukraińskich politologów tłumaczył mi, że Ukraina jest potrzebna Putinowi niczym koza, która chodzi na sznurku i się pasie, ale nie może odejść za daleko. Powiem rzecz niepopularną: Krym został podbity przez Rosjan, a wojna krymska z Turcją, Francją i Anglią została okupiona olbrzymią daniną krwi rosyjskich żołnierzy. Wschód Ukrainy zagospodarowało Imperium Rosyjskie, a nie państwo ukraińskie, którego wówczas nie było. Każdego Rosjanina krew zalewa, gdy słyszy, że Odessa jest ukraińska. To tak, jakby powiedzieć polskim nacjonalistom, że Gdańsk jest niemiecki.

Nieprzypadkowo pisze Pan o Rosji.

Od dziecka jestem dwujęzyczny. Matka Rosjanka rozmawiała ze mną po rosyjsku, ojciec, warszawiak – po polsku. Jako dziecko często jeździłem do rodziny matki, dzięki czemu znam nie tylko Rosję, lecz także Związek Sowiecki. Gdy zatonął „Kursk”, pojechałem na pierwszy reportaż. Potem były inne wyjazdy. Te materiały złożyły się na książki „14.57 do Czyty” i „Kattiusza z bagnetem”. Teraz piszę nieco inaczej,

staram się przekazać więcej faktów niż „melodii”. Kończę właśnie książkę na temat Ukrainy. Zauważyłem, że mało kto rozumie, co tam się naprawdę dzieje, dlatego wiele tłumaczę.

Nie rozumiemy także Rosjan, choć zachwycaamy się ich literaturą. Zderzamy rosyjski intelektualizm i zamiłowanie do sztuki z polityką silnej ręki, korupcją i gloryfikacją armii.

Zawsze fantastycznie rozmawiało mi się z Rosjanami przypadkowo spotkanymi czy bohaterami reportaży. W uproszczeniu rozmowa z nimi zaczyna się od słów: „my bracia Słowianie”, ale na koniec padało zawsze pytanie: „Dlaczego nie chcecie się z nami przyjaźnić?”. Rosjanie mają poczucie zdrady.

Z ubiegłorocznego raportu Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia wynika, że o współczesnej Rosji wiemy niewiele. Wydaje się nam, że to państwo autorytarne i pełne patologii.

Trudno jest graniczyć z jednym z najpotężniejszych krajów na świecie, który jest agresywny. Nic dziwnego, że jesteśmy nieufni. Polacy obawiają się potęgę Rosjan, starają się uspić swoje strachy – przez wejście do NATO i Unii Europejskiej jesteśmy częścią wielkich sojuszy, podobnie jak w 1939 roku. Ale jest jeszcze pogarda: Ruski jest tępy, jest chamem, prymitywem z Azji.

Gdy mówimy „Rosja”, myślimy: Katyń, wojna, dominacja radziecka. Na naszym stosunku do Rosjan ciąży zatem wciąż II wojna światowa...

Nie tylko II wojna światowa, lecz także zaborcy. Zaraz po pokonaniu Napoleona Aleksander I nadał konstytucję Finlandii i Królestwu Polskiemu. Rosjanie byli wściekli, że zostali pominięci. Nieprawdopodobnie długo trwało w Rosji poddaństwo chłopów – to eufemistyczne określenie zwykłego niewolnictwa. Nawet kiedy kapitalista, na przykład z Belgii, zakładał fabrykę, choćby w dzisiejszym Donbasie, jako robotników dostawał chłopów z carskich posiadłości. Na I wojnę światową w 1914 roku szli synowie tych właśnie niewolników. To oni robili rewolucję w 1917 roku. Rosja była krajem dość wąskiej elity i powszechnego niewolnictwa. Chłopskie „rabstwo” w niczym nie różniło się od niewolnictwa w Stanach Zjednoczonych. Wśród Polaków była natomiast dość szeroka klasa wolnych ludzi.

Ci ludzie poszli w morze, żeby bronić kraju, który istnieje już tylko w ich wyobraźni

WIZYTÓWKA

IGOR T. MIECIK

Reportażysta, pisarz, dziennikarz. Pracował m.in. w „Polityce”, „Newsweeku” i telewizji TVN. Obecnie związany z „Gazetą Wyborczą”. Jego teksty były wielokrotnie nagradzane, m.in. w konkursach Grand Press, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, Amnesty International.

Nie dojdzie do pojednania, póki będzie budowany rosyjski mur między cywilizacją łaocińską a moskiewskim prawosławiem

– tak w książce „14.57 do Czyty” o marynarzach z „Kurska” mówi pop z murmańskiej cerkwi.

To samo dzieje się dziś. Ci chłopcy, którzy zgłaszają się do walki na Ukrainie, dostają pieniądze. Ale nie one są podniętą i wabikiem. Jadą walczyć za kraj, którego już nie ma, za ducha, znikającą wizję.

Jaka jest współczesna Rosja? Pełna sprzeczności, jak w Pana książkach?

Ogromnie zróżnicowana. Duża część Rosji – na wsiach – żyje bez pieniędzy, w gospodarce towarowej. Gdy robi się przyjęcie, na stole nie ma ani jednej rzeczy ze sklepu, wszystko pochodzi z własnego poletka. Inaczej jest w miastach. W Moskwie nie wiadomo, gdzie oczy obrócić, bogactwo wręcz kapie, ale moskiewscy miliarderzy sąsiadują z dziećmi żebrzącymi na ulicach. W Petersburgu czy Kazaniu mniej jest takich dysproporcji. Jest ogromna przepaść między Rosją wiejską, peryferyjną, a Rosją z wielkich ośrodków miejskich. A co dopiero autochtoniczna Syberia, Republika Tuwy czy Jakucja.

O mieszczaństwie, a właściwie jego braku, Cwietajewa pisała: „z duszy Rosjanina nie da się wyplenić poczucia, że pieniądze są czymś grzesznym”. Czy to się zmieniło?

Mamy etos rosyjskiej inteligencji pochodzącej z drobnej szlachty, która uważała handel i zarabianie pieniędzy za zajęcie nie do końca godne. Uprawiali ziemię, bo to przystoi rycerzowi. Gdy szlachta zdegradowała się finansowo, przeszła na etos intelektualny – dobrze było być czynownikiem (urzędnikiem), nauczycielem, inżynierem, pisarzem. U schyłku ZSRR pierwsi przedsiębiorcy też byli otoczeni

pogardą. Ówczesny etos mówił, że trzeba pracować nie tylko dla siebie, ale też dla ojczyzny. Gdy kraj otworzył się na świat, Rosjanie zachłystnęli się pieniędzmi, zobaczyli, jak są biedni i postanowili to szybko nadrobić. Dlatego teraz na zewnątrz muszą błyszczeć brylanty.

Czy możliwe jest nasze pojednanie z Rosjanami na wzór polsko-niemiecki?

Pojednanie polsko-niemieckie następowało między krajami, które miały poczucie, że podczas II wojny światowej zostały na równi pokonane, a ofierze łatwiej zbliżyć się do ofiary. Rosjanie czują się zwycięzcami. Trudno to ważyć, ale zaryzykuję twierdzenie, że krzywdy, jakich doznaliśmy od Rosjan, były trochę mniejsze, zwłaszcza wobec naszych obywateli pochodzenia żydowskiego. Przeszłość nadal nas dzieli. Gdybyśmy zaczęli rozmawiać o niej z Rosjaninem, usłyszymy, że oni nas wyzwolili, że na terenie Polski zginęło wówczas około 600 tysięcy żołnierzy radzieckich. Aby doszło do pojednania, musi się odbyć proces rozpadu imperium, jak w Wielkiej Brytanii i we Francji. Tyle że tamte kraje miały imperium, a Rosja sama była imperium. Pod wpływem różnych impulsów narody nabierają samoświadomości i dążą do samostanowienia. Poluzowanie ściegów, jakimi zszyte jest imperium, musi skutkować tym, że kraj się rozpadnie, a tego Rosjanie strasznie się boją. Obawiają się, że narody tworzące dziś federację wypną się na nich, jak w latach dziewięćdziesiątych zrobiła Europa Wschodnia, a później wiele republik ZSRR, i zostaną sami. Nie dojdzie do pojednania, póki władza nie odpuści, póki będzie budowany rosyjski mur i mur między cywilizacją łaocińską a moskiewskim prawosławiem.

Jakie społeczeństwo stworzą młodzi ludzie, którzy nie pamiętają, co się działo w Związku Radzieckim? Połowa dwudziesto- i trzydziestolatków uważa Stalina za największego polityka.

Pokolenie, które „rozmontowało” Związek Sowiecki, słyszało od rodziców: „Byłem na Kołymie”. Niektórzy ukrywali własną przeszłość, milczeli, aby dzieci nie miały problemów w szkole. Młodzi nie znają historii. A doświadczenie rodziców, ich opowieści, to już nie obozy, ale utrata pracy w wielkich fabrykach. W podręcznikach czytają, że za czasów stalinowskich były represje, zsyłano ludzi do obozów. Ale to słowa. Myślą: wówczas kraj się rozwijał, a nie zijał. W budynkach z czasów Stalina, tak zwanych stalinkach, są dziś najdroższe mieszkania. Bo są to rzeczywiście domy i mieszkania lepsze niż te z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, budowane dla czerwonych kacyków rękami niewolników. Któż chciałby o takich rzeczach dziś pamiętać? Byliśmy wielcy. Kto pokonał Hitlera, zbudował bombę atomową, poleciał w kosmos? Uważają, że Rosja miała wielu przyjaciele – nie satelitów.

Uczucie nostalgii do Związku Radzieckiego wyrażają także weterani wojenni, którzy mateczce Rosji oddali serce, w zamian otrzymując niewiele. Dziś nie potrafią odnaleźć swojego miejsca i dzielić własne życie na dwie połowy: sprzed roku 1991 i po nim.

ZSRR był dla tych ludzi państwem potężnym, bogatym i rozumiałym. Za czasów Związku Sowieckiego weterani →

POLSKA ZBROJNA

PRENUMERATA RO CZNA: 12 WYDAŃ W CENIE 10

ZAMÓW
PRENUMERATĘ
NA 2015 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl
listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy,
00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +4822 684 04 00

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł
do 10 stycznia 2015 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

byli otaczani szacunkiem, mieli upusty na mieszkania i wiele zniżek. Pod koniec lat osiemdziesiątych jako młody chłopak kupowałem na dworcu w Kijowie bilet do Polski. Na chwilę wyszedłem z kolejki i potem nie mogłem odnaleźć miejsca, za kim stałem. Jak to w kolejce, podniósł się tumult, jakaś kobieta krzyknęła: „Towariszcz weteran, chuli-gan”, wzywając pomoc, bo nie było w okolicy milicjanta. Weteran podszedł i bez słowa wystawił mnie z kolejki.

A weterani z Czeczenii i Afganistanu? Pisze Pan o nich, że to „nierozbrojona bomba w tkance społeczeństwa”.

W „Katuszy z bagnetem” jest reportaż o inwalidach – bohaterach II wojny światowej. Wywieziono ich z rosyjskich ulic, by nie szpecili panoramy socjalizmu. Umieszczono w izolowanych sanatoriach – jak nazywano obozy koncentracyjne stworzone specjalnie dla nich. Tam ślepym szczury kradły jedzenie, zanim zdążyli po nie sięgnąć. Afganistan, Czeczenia – to był już inny czas. Żołnierze zostali zdemobilizowani i pozostawieni sami sobie. Wielu stało się zapija-czonymi menelami, bo nikt im nie pomógł, nikt ich nie leczył. Ci, którzy służyli podczas drugiej wojny czeczeńskiej, czasem pojawiają się na Ukrainie, bo wojna to jednak narko-tyk. Wojna w Afganistanie dopomogła w demontażu Związku Sowieckiego, który nie udźwignął ani tego konfliktu, ani powrotu blisko 200 tysięcy afgańskich weteranów. Młodzi chłopcy bez nóg opowiadali publicznie o koszmarze tej wojny, zabijaniu kobiet i dzieci, pacyfikacji wiosek. Ale czas jest najprostszą rzeczą. Tę bombę rozbroiła biologia.

A kadeci z Donieckiego Korpusu w Nowoczerkasku? Kto jest dla nich wzorem? Mają czerpać z imperialnej tradycji carskiej Rosji czy Związku Radzieckiego?

Gdy pisałem reportaż o kadetach, szukałem w nich tęsknoty za Rosją wielką i dumną. Wydawało mi się, że każdy z nich pragnie własnego kawałka Rosji, który poniesie dalej. Teraz okazuje się, że jednak przeważa imperium. Wierność Sowietom kadeci zamieniają na wierność nowej Rosji Putina. Jednocześnie to wykształceni i inteligentni chłopcy, ale kadet to z natury „militarystyczny twór”.

Niedawno były premier Michaił Kasjanow podczas wykładu na Uniwersytecie Warszawskim mówił, że Rosja chce pokazać światu jedną uniwersalną prawdę na każdy temat.

Władza centralna trzyma za pysk i wszyscy mają myśleć tak samo. Prywatnie Rosjanie mogą się spierać o politykę... i się spierają, ale na zewnątrz zbyt często wyłazi tylko wielkoruski monolit.

W Pana książkach o Rosji jest dużo smutku, ciemnych barw, beznadziei. Nie ma miejsca na nutę optymizmu?

To smutny kraj. Zawsze gdy jeździłem na długie delegacje do Rosji, leciałem jak na skrzydłach, ale pod koniec pobytu byłem szczęśliwy, że wracam do Polski. Z czego to wynikało? Rosja jest przytłaczająca. Przytłacza nie tylko architektura. Wszędzie nad głową wisi ciężkie, ołowiane niebo. Zawszą słychać sentymentalne pieśni, ale każda jest smutna, o nieszcześliwej miłości, zdradzie, samotności, tęsknocie i śmierci. Trzeba szybko wracać, żeby zachować zdrowe zmysły. ■

ROBERT CZULDA, IZRAEL

Głową w mur

Po ponadmiesięcznej wymianie ognia trudno wskazać, kto wygrał – Hamas czy Izrael? Wiadomo natomiast, kto przegrał – jak zwykle cywile, którymi jednak nikt się nie przejmuje.

Teraz, już z pewnej perspektywy, to, że Hamas zdecydował się na gwałtowną ofensywę raketową przeciwko Izraelowi, nie jest zaskoczeniem. Dla tej organizacji ostatnie miesiące były tak trudne, że przymarta do muru musiała coś zrobić, aby wydostać się z matni. Złe czasy nastąpiły, gdy w sąsiednim Egipcie nowym prezydentem został generał Abd al-Fattah as-Sisi, który uznał członków Hamasu za terrorystów, a także zamknął jedyną ścieżkę dostarczającą pomoc dla Strefy Gazy – przejście w Rafah. Tunele zniszczono.

Co gorsza, militarną i finansową pomoc przestał dostarczać Iran, który większą wagę przywiązuje obecnie do wydarzeń w Syrii. Hamas stanął na krawędzi bankructwa. Tuż przed wybuchem wojny informowano o narastających niepokojach wśród 40 tys. pracowników w Strefie Gazy, którym od kilku miesięcy organizacja nie wypłacała pensji. Osłabiło to jej radykalne skrzydło i zaowocowało dojściem do głosu frakcji umiarkowanej, naciskającej na dogadanie się z Al-Fatahem. W kwietniu stosowne porozumienie podpisano, jednak było ono dla Hamasu niekorzystne i zantagonizowało bardziej radykalne frakcje. Hamas musiał jednak to zrobić, by dostać pieniądze dla pracowników.

Później doszło do zerwania porozumienia z Al-Fatahem, który wstrzymał przekazywanie pieniędzy i wznowił zwalczanie Hamasu na obszarze Zachodniego Brzegu Jordanu (co ciekawe, także we współpracy z izraelskim wojskiem). Umiarkowane skrzydło Hamasu straciło głos na rzecz frakcji radykalnej, która miała świadomość, że finansowa pętla na szyi organizacji zaciska się coraz mocniej. Trzeba było więc szybko odciągnąć uwagę od problemów społecznych i wywrwać się z dyplomatycznego impasu. Jak? Sprowokować Izrael do ataku.

SŁOŃ W SKŁADZIE PORCELANY

Izrael od początku nie chciał wchodzić do Strefy Gazy. Było wiadomo, że nie przyniesie to niczego dobrego. Tego niewielkiego skrawka przeklętej ziemi, pomiędzy Egiptem z jednej strony a Tel Awiwem-Jafą z drugiej, Izrael szczerze nienawidzi – z Palestyńczykami na Zachodnim Brzegu Jordanu pewnie mógłby się porozumieć, ale ze Strefą Gazy nie. To nie przypadek, że rządzi tam skrajnie radykalny Hamas. Dalsze utrzymywanie blokady potęguje jedynie nienawiść i zwiększa

frustrację, co prowadzi co jakiś czas do eskalacji przemocy. Izrael jest w dużym stopniu sam sobie winny – o radykalizację nietrudno, gdy mieszka się w klatce, gdzie bezrobocie sięga 50%, nie ma perspektyw, nie można wyjechać, brakuje wszystkiego, a co jakiś czas na czyjś dom – rodziny lub sąsiada – spada rakietka.

Izrael usilnie przekonywał, że starał się działać możliwie precyzyjnie, ale w praktyce był jak słoń w składzie porcelany. Niezależnie od wysiłków liczba ofiar jest przygniatająca – ponad 2 tys. przypadkowych osób. Nie jest tajemnicą, że Hamas stosuje taktykę żywych tarcz – swoje bunkry ukrywa pod szpitalami, wyrzutnie raket ustawia w pobliżu osiedli cywilnych, na prywatnych posesjach lub przy meczetach. Magazyny z bronią otworzył w budynkach ONZ, które zostały pośpiesznie opuszczone przez międzynarodowych pracowników. „To element wojny partyzanckiej” – przekonuje Hamas. „To zbrodnia wojenna i celowe działania” – ripostuje Izrael, który zupełnie nie przejmuje się międzynarodową krytyką. Jedni oskarżają drugich o zbrodnie wojenne. Kto ma rację? Dla ofiar nie ma to kompletnie żadnego znaczenia.

Izrael ogłosił zwycięstwo, ale czy na pewno wygrał? To jedynie sukces taktyczny wśród bezmiarów strategicznej pustki. Izrael co jakiś czas odcina głowy hydrze, ale nie wie, jak pokonać potwora, którego sam stworzył swoją indolencją, butą, naiwnością i złą wolą. Nawet jeśli struktura Hamasu została poważnie uszkodzona, to jest jedynie kwestią czasu, aż ponownie się odrodzi. Między operacją „Płynny ołów” a „Filar obrony” minęły cztery lata, a od „Filaru obrony” do „Obronę brzegu” już niespełna dwa. Ile spokoju zdobył Izrael tym razem?

IZRAEL NIE CHCE ROZMAWIAĆ

W przeszłości Izraelczycy często nawoływali, aby po wejściu do Strefy Gazy pozostać w niej i całkowicie zlikwidować problem. Tak zrobił centroprawicowy premier Ehud Olmert, który w 2006 roku wszedł do południowego Libanu i przez ponad miesiąc walczył z szyickim Hezbollahem. Wycofał się dopiero, gdy zniszczył pół Bejrutu. Od tego momentu na północy panuje spokój. Rakiety nie spadają. Tym razem jednak izraelskie społeczeństwo, które w 91% poparło inwazję, z zadowoleniem przyjęło decyzję o jak najszybszym wycofaniu. Okupacji Strefy Gazy nikt nie chce i chyba wszyscy pogodzi-



li się z faktem, że Hamasu nie da się zniszczyć. Lepiej nawet nie próbować, bo co jeśli przypadkiem się uda? Lepszy bowiem wróg znany niż niezany.

Czy to oznacza, że wygrał Hamas? Żadnego z deklarowanych celów nie osiągnięto – blokada Strefy Gazy trwa w najlepszym razie. Ani lotnisko, ani port morski nie powstaną. Ale dla organizacji paramilitarnej samo przetrwanie oznacza zwycięstwo. Jak powiedział kiedyś Henry Kissinger, partyzantka wygrywa, jeśli nie przegrywa – regularna armia przegrywa, jeśli nie wygrywa. Z jednej strony trudno nie zauważyć, że ostatnia operacja ponownie wpełchnęła to ugrupowanie do Strefy Gazy, zamykając na jakiś czas plany wejścia do Zachodniego Brzegu Jordanu. Z drugiej jednak można powiedzieć, że wśród morza krwi i cierpienia Hamas się umocnił. Pewnie na całej operacji jeszcze zarobi. Pojawia się organizacje międzynarodowe, których pomoc znów zostanie rozkradzona. Po operacji „Filar obrony” Katar przekazał Hamasowi 400 mln dol. Ile dostanie on teraz? Coś na pewno, a przy pustych kasach każdy grosz się liczy.

Izrael wpadł w pułapkę Hamasu, który, kontynuując swoje ataki raketowe, całkowicie bezsensowne ze strategicznego punktu widzenia (praktycznie brak ofiar po stronie izraelskiej), odrzucał propozycje rozejmu i stawiał niemożliwe do spełnienia warunki. Hamas miał świadomość, że ani Izrael, ani Egipt żądań nie spełnią. Chciał jednak nie tylko pokazać swoją siłę, ale także ściągnąć na Strefę Gazy jak najwięcej bomb, a więc także i ofiar po stronie palestyńskiej, by w ten sposób stworzyć podatny grunt do umocnienia swojej pozycji. Gdy giną ludzie, nikt nie pyta o pensje. Ci, którzy przeżyją, ale stracili bliskich, raczej nie poprą Al-Fatahu, chcącego rozmawiać z Izraelem, lecz pójdą za tym, który obieca im krwawą zemstę na zniemawidzonych oprawcach. Każdy zabity w Strefie Gazy zwiększa poparcie dla Hamasu.

NADAL BEZ ZMIAN?

Zawieszenie broni i ostudzenie emocji było jedynie kwestią czasu, ale nie oznacza to rozwiązania konfliktu palestyńskiego. Z każdym takim kryzysem szanse na porozumienie maleją. Obie strony są coraz bardziej strauumatyzowane i głuche na cierpienia przeciwnika, koncentrując się na własnych ofiarach. Hamas jest radykalny i jako taki nieskory do kompromisu – z boskim planem wyzwolenia Palestyny dla islamu się nie negocjuje. Co więcej, Hamas negocjować nie może, bo karmi się konfliktem. Bez niego organizacja nie miałaby sensu. Na co komu bezrobotny ekspert budowania raket z rur kanalizacyjnych? Wojna to bowiem świetne miejsce do zarobkowania.

A Izrael? Nawoływania, by ustąpił, ripostuje odwołaniem do historii – gdy „jastrząb” Ariel Szaron wykonał gest dobrej woli i jednostronnie wycofał się ze Strefy Gazy, władzę przejął Ha-

Palestyńczycy na gruzach domów zniszczonych przez wojsko izraelskie w południowej Strefie Gazy. Sierpień 2014 roku.



mas, który od tego czasu przeprowadził trzy zbrojne operacje przeciwko Izraelowi i nieustannie stara się atakować. Jak w tej sytuacji można im zaufać?, pytają zniechęceni Izraelczycy, którzy w coraz większym stopniu uważają, że z Palestyńczykami trzeba rozmawiać językiem siły. Ci, którzy próbowali rozmów pokojowych, jak premier Icchak Rabin, zapłacili życiem. Na Bliskim Wschodzie nie ma miejsca na słabość.

Aż 70% Izraelczyków uważa, że najlepsze rozwiązanie obecnego konfliktu to dwa samodzielne państwa – Izrael i Palestyna. Jednocześnie 80% mieszkańców Izraela sądzi, że nie jest to możliwe. Niektórzy zwracają uwagę na powody psychologiczne: Palestyńczycy nienawidzą Izraelczyków i nigdy nie zaprzestaną ich atakować. Inni podają argumenty ideologiczne: dla wielu muzułmanów zniszczenie Izraela to sprawa święta, bo Palestyna to ziemia islamu. Dla pragmatyków w Izraelu najważniejsze jest bezpieczeństwo – boją się, że niepodległa Palestyna stanie się państwem Hamasu, gdzie zaraz znajdą się rakiety, a może i samoloty Iranu lub siły Hezbollahu. „Gdybyśmy kilka lat temu wycofali się ze wzgórz Golan, oddając je Syrii, to mielibyśmy teraz radykalnych islamistów tuż przy swoich wioskach”, przekonywał mnie jeden z izraelskich oficerów, którego wypowiedzi co chwilę przerywały złowrogie eksplozje w sąsiedniej Syrii. Może dlatego właśnie Izrael nie robi nic, by wesprzeć trudny proces powołania niepodległej Palestyny. „Nie mam partnera do rozmów o istnieniu dwóch państw”, lamentował niedawno Mahmud Abbas.

A co z Palestyńczykami? Źródła palestyńskie szacowały niedawno, że 25% z nich to tradycjonałisci, 25%

islamiści. Pozostałych zaliczono do nurtu świeckiego. Dwie pierwsze kategorie do tej pory popierały Hamas, bowiem Al-Fatah jest zbyt skorumpowany i nieudolny. Hamas, który karmi się nienawiścią i wrogością do Izraela, po tej operacji zyskał – badania opinii publicznej pokazują, że poparcie dla tej organizacji wzrosło. To fatalna informacja dla Palestyńczyków, bowiem Hamas na pewno z walki nie zrezygnuje. Organizacja Wyzwolenia Palestyny w końcu się poddała, uznając, że czas na rozmowy pokojowe. W ten sposób powstała Autonomia Palestyńska, załączek państwowości. Hamas nie osiągnął na razie niczego oprócz rozlewu krwi. To niemal pewne, że za jakiś czas uderzy ponownie. A palestyńska ludność? Ona kompletnie nikogo nie obchodzi i nigdy nie obchodziła – ani państw arabskich, ani Izraela, ani na pewno Hamasu. ■



Esencją konfliktu palestyńsko-izraelskiego jest pewna blokada psychiczna, niezdolność uznania, że obie strony muszą na jego zakończeniu skorzystać i obie muszą coś stracić.



Na Bliskim Wschodzie słabi giną

Z prof. Uzim Rabim o nieudanych próbach porozumienia i o tym, czy są szanse, że konflikt palestyńsko-izraelski kiedykolwiek się zakończy, rozmawia Robert Czulda.

Jakie były powody, dla których Hamas zdecydował się w lipcu na tak długotrwałą i zdecydowaną ofensywę rakiętową przeciwko Izraelowi?

Przed wybuchem ostatniego kryzysu Hamas miał bardzo poważne problemy natury politycznej i gospodarczej. Został odcięty od pieniędzy i wyizolowany politycznie. Potrzebował więc coś zrobić, aby odmienić reguły gry i poprawić swoją pozycję w konflikcie.

Celem Hamasu było zatem...

Po pierwsze, zdobyć pieniądze. Od kilku miesięcy ponad 40 tysięcy pracowników w Strefie Gazy nie otrzymywało pensji. Po drugie, Hamas chciał doprowadzić do chociażby częściowego otwarcia przejścia granicznego między Strefą Gazy a Egiptem w Rafah. Było to konieczne, aby nastąpił napływ dóbr konsumpcyjnych. Bez nich Hamas nie jest w stanie zapewnić nawet minimalnego poziomu życia mieszkańcom Stre-

fy Gazy. Po trzecie, Hamas w ten sposób chciał wymusić uwolnienie zatrzymanych przez Izrael sprawców porwania, następnie zamordowania trzech izraelskich nastolatków.

Ostatnie starcie Izraela z Hamasem nie jest pierwszym tego rodzaju. Widać wyraźnie, że z porozumienia pokojowego z Oslo z 1993 roku niewiele zostało. Dlaczego nie udało się doprowadzić do urzeczywistnienia „ducha z Oslo”?

Rozmowy w Oslo rozpoczęły się od tematów łatwych. Później mieliśmy przystąpić do negocjacji kwestii trudnych, które można nazwać sprawami egzystencjalnymi. Gdy podjęliśmy chociażby kwestię statusu Jerozolimy oraz ostatecznych granic, pojawiły się bardzo poważne różnice zdań. W tej sytuacji liderzy, szczególnie Jaser Arafat, stracili odwagę i nastąpił zwrot w negocjacjach. Doprowadziło to do wybuchu w 2000 roku drugiej intifady. Wówczas policja Autonomii Palestyńskiej wymierzyła w izraelskie wojsko broń, którą nieco wcześniej od

niego otrzymała. Cała historia zakończyła się katastrofą. Mieliśmy świadomość, że będą problemy, ale sądziliśmy, że uda nam się je przezwyciężyć przy stole negocjacyjnym.

Istotnym punktem spornym jest przebieg granic. Wielu sądzi, że najprostszym sposobem rozwiązania konfliktu jest powrót do granic sprzed wojny sześciodniowej w 1967 roku.

Ja również uważam, że koncepcja dwóch państw powinna opierać się na granicach z 1967 roku. Jednak nie mogę się postrzymać przed pytaniem: a jeśli cały ten konflikt nie jest tylko sporem terytorialnym, ale kulturowym i religijnym? Chodzi mi o to, że najpierw, ponad wszelką wątpliwość, musimy ustalić, jakie są jego źródła i upewnić się, że druga strona uznaje prawo do istnienia tej pierwszej. Jeżeli dominujący okaże się aspekt religijny, to wówczas nie będziemy mieli szansy na pozytywne rozstrzygnięcie.

W Izraelu są przedstawiciele skrajnie fundamentalnego judaizmu, którzy odrzucają porozumienie pokojowe z Palestyńczykami. Jak liczna jest to grupa?

To prawda, są ludzie, którzy chcą przerwać jakiegokolwiek próby dialogu. Jak są liczni? Nie musi być ich wielu – wystarczy wymienić ostatnią tragedię z porwanym Palestyńczykiem, który został następnie podpalony. Nawet niewielka grupa fanatyków może podgrzać cały konflikt, zaognić animozje. A to jest ich cel. Chcą, aby nie było żadnego procesu politycznego. Fanatycy karmią się tym konfliktem, nie chcą jego zakończenia, bo wówczas zostaliby bezrobotni. Możemy pieczołowicie budować środki wzajemnego zaufania, stawiać szkoły, rozmawiać, a potem wystarczy jeden fanatyk, aby wszystko to zniszczyć. To jest niewątpliwie istotny problem, ale co my możemy zrobić? Zarówno my, jak i Palestyńczycy, musimy sobie z nim jakoś radzić.

Od dawna rozpatruje się dwa scenariusze: albo jednego, wspólnego państwa, albo dwóch suwerennych. Jakie jest obecnie poparcie dla tych koncepcji w Izraelu?

Większość popiera rozwiązanie dwóch osobnych państw, ale jednocześnie większość uważa, że taka opcja nie jest możliwa do zrealizowania. Są też oczywiście zwolennicy jednego państwa – głównie wśród izraelskiej prawicy, jak również niektórych arabskich deputowanych w parlamencie izraelskim. Około 70% społeczeństwa popiera jednak dwa państwa. To najlepsza opcja. Tylko ona może bowiem zapewnić przyszłą pomyślność Izraela jako żydowskiego państwa demokratycznego. To dla nas ważne, bo nie mamy żadnego innego państwa. Czy nie zasługujemy na swoje własne państwo? Musimy je mieć, aby nasza straszliwa historia nie powróciła.

Pojawiają się głosy, że tak naprawdę Izrael nie chce suwerennej Palestyny...

Zapewne niektórzy nie chcą, ale w dłuższej perspektywie to błędne myślenie. Nieustanne kontrolowanie Palestyńczyków prowadzi jedynie do marnowania energii i pieniędzy. Skutkuje pogłębiającą się antagonizacją. Nie ma więc ucieczki przed dwoma państwami. Problem polega na

tym, że wiemy, jak sytuacja powinna wyglądać po zakończeniu konfliktu, ale niestety nie mamy pojęcia, jak do tego punktu końcowego dotrzeć.

Czy obie strony są w ogóle skłonne do rozmów i pojednania?

Gdy wycofaliśmy żydowskie osiedla ze Strefy Gazy, to zniszczyliśmy wszystkie domy. Dlaczego? Bo Palestyńczycy ich nie chcieli. To pokazuje, jak nieufne są obie strony, jak myślały ludzie. Esencją tego konfliktu jest pewna blokada psychiczna, brak elastyczności, niezdolność uznania, że koniec końców obie strony muszą na jego zakończeniu skorzystać i obie muszą z czegoś zrezygnować. Dopiero kiedy to zrozumiemy, będziemy mogli rozmawiać i osiągnąć faktyczny przełom.

Jak do tego doprowadzić?

Ludzie muszą się zmienić. Nie politycy, bo oni są tylko wytworem swych społeczeństw. Konieczna jest edukacja młodzieży. Jeżeli ktoś mówi, że jest przedstawicielem narodu wybranego, a inni są od niego gorsi, to niczego nie osiągniemy. To samo dotyczy się tych, którzy mówią, że to ich ziemia i nie akceptują jakiegokolwiek obecności innych grup.

Społeczeństwa zachodnie uderza dysproporcja ofiar – po stronie palestyńskiej giną setki, po izraelskiej najwyżej dziesiątki.

Mamy system „Żelazna kopała”. Czy mamy przeproszać, że potrafimy chronić swych własnych obywateli? Jesteśmy bardzo zaawansowanym technologicznie państwem. Gdybyśmy przyjęli metody działania naszych sąsiadów, to moglibyśmy zrównać Strefę Gazy z ziemią w dwa dni. Ale tego nie robimy i nie zrobimy. Izrael nie jest państwem nazistowskim – u nas nie rządzi ktoś taki jak Al-Asad, a nawet jak As-Sisi. Wiele osób, szczególnie na południu Izraela, frustruje łagodna reakcja naszego rządu. Ale jako państwo zachodnie nie możemy użyć pełni swojej siły. Z drugiej jednak strony ataki, jak te ostatnio, przypominają nam, że jesteśmy na Bliskim Wschodzie, gdzie słabi giną.

Jaka rysuje się przyszłość?

Rozwiązanie sytuacji zajmie jeszcze wiele czasu. Pierwszym krokiem jest rozstrzygnięcie wewnętrznego sporu między Fatahem a Hamasem. Jeśli palestyński rząd zostanie zdominowany przez Hamas, to Izrael nie będzie chciał rozmawiać. Jeśli jednak Mahmud Abbas odrzuci Hamas, to palestyńska ulica wystąpi przeciwko niemu. Aby powstała Palestyna, trzeba także spełnić wiele innych warunków. Zaangażować się muszą, także finansowo, mocarstwa. Konieczne będzie włączenie państw arabskich, w tym Jordani, Arabii Saudyjskiej i Kataru. Tylko wtedy, przy wspólnym wysiłku, będziemy mogli stworzyć sytuację, w której ludzie dostrzegą szansę na państwo dobrobytu. Konflikt będzie można zakończyć tylko wówczas, gdy doprowadzimy Palestyńczyków do sytuacji, w której będą mieli coś do stracenia. Efektem będzie niepodległa Palestyna – z korzyścią dla Palestyńczyków, ale także Izraela. ■

PROF. UZI RABI

Jest dyrektorem Centrum Studiów Bliskowschodnich im. gen. Mosze Dajana przy Uniwersytecie w Tel Awiwie-Jafie. Ekspert od bezpieczeństwa, ze szczególnym uwzględnieniem Bliskiego Wschodu, państw arabskich oraz Iranu. Jeden z głównych izraelskich komentatorów współczesnych wydarzeń politycznych w mediach krajowych i zagranicznych.

KWARTALNIK
BELLONA

95
LAT DO-
ŚWIADCZEŃ
W BUDOWA-
NIU BEZPIE-
CZEŃSTWA
NARODO-
WEGO

PERIODYK NAUKOWY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



USA

Brak strategii

KACPER
RĘKAWEK

Nasza strategia jest uzależniona od czegoś, co jeszcze nie istnieje, to znaczy od syryjskiej opozycji, która może zwalczać Państwo Islamskie (ISIL/ISIS) na terenie Syrii”. Tyle Josh Earnest, rzecznik prasowy Białego Domu, w odpowiedzi na pytania o działania USA przeciwko Państwu Islamskiemu. Jego wypowiedź mogłaby wystarczyć za komentarz do amerykańskiej strategii wobec zagrożenia ze strony dżihadystów, bo przecież w Syrii jest opozycja, która może walczyć z ISIS. Istnieje także reżim prezydenta Al-Asada, coraz lepiej odnajdujący się w roli „przedmurza” przeciwko dżihadystom. Niestety, nie ma żadnej amerykańskiej strategii. Jest tylko krótkoterminowy cel – osłabienie Państwa Islamskiego.

Brak strategii rekompensuje nadmiar taktyki, na którą składają się lobbiny w arabskich stolicach na rzecz przystąpienia do międzynarodowej koalicji przeciwko Państwu Islamskiemu oraz zwiększona presja na Turcję, by de facto interweniowała w Syrii dla osiągnięcia krótkoterminowego amerykańskiego celu. Owa taktyka pojawiła się dopiero, kiedy Państwo Islamskie zaczęło ścinać głowy amerykańskim i brytyjskim zakładnikom, co zmusiło decydentów do działania.

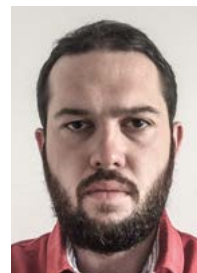
W efekcie koalicyjne samoloty atakują cele w Iraku i Syrii, ale zachodni przedstawiciele tej koalicji udają, że uczestniczą w zero-jedynkowej grze między siłami dobra („my”, nasi arabscy sojusznicy oraz Kurdowie, a także, podobno, nowy, inny i lepszy od poprzedniego rząd Iraku) a barbarzyńskim Państwem Islamskim. W tej grze nie ma miejsca dla prezydenta Al-Asada, akuszera ISIS, którego reżim wykorzystywał dżihadystów z czasów wojny z Iraku w walce z niedżihadystyczną opozycją w Syrii, brakuje także innych syryjskich rebeliantów i irackich sunnitów. Ci dwaj ostatni gracze są w tej chwili najlepszą kartą, jaką ma Zachód w walce z Państwem Islamskim. Pora nią zagrać i zbroić syryjskich rebeliantów, a irackim sunnitom zagwarantować autonomię w zamieszkanym przez nich regionach tego kraju. To lepsze niż brak strategii lub sojusz z prezydentem Al-Asadem. ■

DR KACPER RĘKAWEK JEST ANALITYKIEM
POLSKIEGO INSTYTUTU SPRAW
MIĘDZYNARODOWYCH, EKSPERTEM DO SPRAW
TERRORYZMU MIĘDZYNARODOWEGO.



IRAK I SYRIA

Bombami w ropę



PAWEŁ
GODLEWSKI

To nie przypadek, że „koalicja chętnych” pod wodzą Stanów Zjednoczonych bombarduje rafinerie oraz instalacje wydobywcze na złożach naftowych kontrolowanych przez Państwo Islamskie. Na zdobytych przez kalifata terenach znalazło się około 60% złóż syryjskich oraz kilka mniejszych na północy Iraku. Państwo Islamskie sprzedaje tę ropę na czarnym rynku, gdzie ceny wahają się od 20 (przez pośredników) do 60 dol. (bez pośredników) za baryłkę, co daje około 3 mln dol. dochodu dziennie (1 mln dol. ze złóż irackich i 2 mln dol. z syryjskich).

Ugrupowanie to angażuje się też w każdą działalność, która przynosi dochód, między innymi w wymuszenia, porwania dla okupu czy kradzieże. Po zajęciu irackiego Mosul Państwo Islamskie przejęło z tamtejszych banków niemal 0,5 mld dol. gotówki. Zastrzykiem finansowym okazało się też zagrabienie zabytków i artefaktów archeologicznych na terenie Syrii. Niektóre z nich pochodziły sprzed 8 tys. lat, a ich sprzedaż na czarnym rynku kolekcjonerskim miała przynieść około 36 mln dol. zysku. O przemyślanej strategii finansowej świadczą też nakładane na miejscową ludność podatki (ok. 2 dol. miesięcznie).

Stworzenie tak zdwyersyfikowanych i pokaźnych źródeł finansowania pomaga Państwu Islamskiemu skutecznie administrować zajętej terenami oraz utrzymywać armię. Wydaje się, że jedyną możliwością ograniczenia potencjału ekonomicznego są naloty na pozycje dżihadystów i infrastrukturę na terenie Iraku i Syrii. Im dłużej kalifat funkcjonuje na zajętych terenach, tym większe ma szanse na stworzenie struktur quasi-państwowych. Fizyczna likwidacja celów musi jednak zostać poparta międzynarodową współpracą i uszczelnieniem granic sąsiednich państw, do których jest szmuglowana ropa naftowa wydobywana na terenach zajętych przez Państwo Islamskie. Ważne będą również stosunki Bagdadu z Regionalnym Rządem Kurdystanu, bo nieporozumienia i brak zaufania są jedną z przyczyn destabilizacji na terenach północnego Iraku, kluczowych z perspektywy finansowej Państwa Islamskiego. ■

PAWEŁ GODLEWSKI JEST EKSPERTEM ZESPOŁU
ANALIZ FUNDACJI AMICUS EUROPAE.

**wojny
i pokoje**

| XX WIEK |

PIOTR BERNABIUK

SZKOLENIOWA AWANGARDA

Postanowili, że będą się uczyć chociażby
od samego diabła.



COMBAT 56
→

→ SZKOLENIOWA AWANGARDA

Ciemno jak w dupie, ponure koszary, a wejście do budynku kompanii oznakowano zdechłym szczurem wiszącym na kłance”. Tak zapamiętali chwilę przekroczenia progu formowanej w Bydgoszczy w 1967 roku 56 Kompanii Specjalnej pierwsi żołnierze, którzy przyjechali z Dziwnowa z 1 Samodzielnego Batalionu Szturmowego pociągami, by rozpocząć dzieło tworzenia nowej, niezwyklej jak na tamte czasy jednostki.

Z początkiem lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku polscy stratedzy coraz lepiej zdawali sobie sprawę, jak ważną rolę w wypadku konfliktu zbrojnego między siłami Wschodu i Zachodu będzie odgrywało rozpoznanie strategiczne i operacyjne. Nowe zagrożenie na polu walki stanowiły wówczas rakietę taktyczną wyposażoną w głowice jądrowe. Rozpoznanie rejonów koncentracji oraz stanowisk startowych, a w efekcie zniszczenie groźnej broni, zanim zdąży opuścić wyrzutnie, mogło mieć znaczący, jeśli nie decydujący wpływ na wynik konfliktu. Utworzono wówczas nowe, utajnione jednostki rozpoznania dalekiego zasięgu i dywersji: bataliony rozpoznania radioelektronicznego oraz 48, 56 i 62 Kompanię Rozpoznania Specjalnego.


KRYJÓWKA U MAMY

56 Kompania Specjalna znalazła siedzibę w Bydgoszczy, niemalże naprzeciwko sztabu dowództwa rozwijanego na czas „W” do rozmiarów armii Pomorskiego Okręgu Wojsko-


wego. Specyficzność jednostki przeznaczonej do działania w głębi ugrupowania potencjalnego przeciwnika, wykonywania zadań dywersyjnych i sabotażowych, wymagała intensywnego i wszechstronnego szkolenia w desantowaniu spadochronowym, taktyce specjalnej, łączności opartej na szybkiej telegrafii, szkolenia w działaniach saperskich i minerskich, w szybkim i precyzyjnym strzelaniu z różnych typów broni, a także w walce w kontakcie bezpośrednim. Potrzebni byli do tego odpowiedni ludzie, więc szkolenie fizyczne postawiono niemal na poziomie sportu wyczynowego. Żołnierze pokonywali marszem setki kilometrów i uczyli się najróżniejszych form walki, a ponadto uprawiali wspinaczkę wysokogórską i narciarstwo.

Wiedzę o obcych armiach opanowywali do perfekcji. Wystarczył nieistotny z pozoru element sprzętu lub fragment zdjęcia, by błyskawicznie rozszyfrowali rodzaj broni czy typ pojazdu. Wiele czasu poświęcano na poznawanie armii przeciwnika na północno-nadmorskim i jutlandzkim kierunku operacyjnym: Niemieckiej Republiki Federalnej, Danii, Belgii, Holandii. Komandosi mieli znać rozmieszczenie magazynów uzbrojenia, a także obiektów cywilnych o charakterze strategicznym, takich jak rurociągi paliw płynnych. Szczególnym zainteresowaniem komandosów cieszył się Kanał Kiloń-

COMBAT 56



Dla młodych ludzi, żołnierzy służby zasadniczej, takie ćwiczenia były wielką przygodą.



W nowatorskiej koncepcji użycia sił specjalnych kładziono silny akcent na szkolenie agenturalne.

ski, więc tak nazywano ośrodek przeprowy na poligonie drawskim, gdzie ćwiczyli. Po zmianie sojuszu został przemianowany na „Kanał Wołga – Don”.

Starzy komandosowie dopiero po latach mogli opowiadać o ćwiczeniu dywersji. Jedną z takich historii były przygotowania do „zniszczenia” stacji przesyłowej impulsu telefonii międzynarodowej. Ppor. Andrzej Kielkucki z sierż. Leszkiem Gębiakiem najpierw trenowali skoki z pociągu, następnie wyruszyli z Bydgoszczy przebrani za dywersantów, czyli w cywilnych ubraniach. Wyglądało to jak na filmie, bo por. Jerzy Kozłowski zaopatrzył kolegów w futerał na skrzypce do transportu broni długiej. Tyle że puściły w nim zamki i graty widowiskowo wysypały się na dworcu. Należy dodać, że przy okazji przebieranki uruchamiano przeciwko „niemieckim dywersantom” wszystkie służby, łącznie z Milicją Obywatelską (MO), Wojskową Służbą Wewnętrzną (WSW) i harcerzami.

Sierż. Gębiak bazę urządził wówczas w domu mieszkającej w pobliżu miejsca akcji mamy. Najpierw trzeba było tam jednak dojechać: „Zagapiłem się. Ciemno było, a ekspres leciał chwilami 130 km/h... i mineliśmy Kołodziejewo. Przed Mogilnem zerwaliśmy więc hamulec bezpieczeństwa i wyskoczyliśmy w szczyrim polu. Łał straszny, zimny deszcz, bo była już późna jesień. Przedzieraliśmy się przez jakieś buraki,

rowy melioracyjne, a wszędzie wokół widzieliśmy światełka ścigającej nas na motorach z »koszami« milicji. W końcu dobrnęliśmy do domu. Mama walczyła w powstaniu warszawskim, więc jak tylko zobaczyła nas z karabinami, od razu odsunęła dywan nogą, a pod nim wejście do piwnicy...”

NOWA GENERACJA

„Klan bydgoski” w pierwszych kilkunastu latach wykonał wielką robotę w formowaniu ducha i materii kompanii. W latach osiemdziesiątych, po przeniesieniu 56 Kompanii Specjalnej z Bydgoszczy do Szczecina, rozpoczęła się jednakże nowa era. Mimo straty znacznej części znakomitej kadry bydgoskiej, szybko odbudowano potencjał jednostki i rozpoczęto poszukiwanie innej formuły szkolenia. Na czele stanęła kadra nowej generacji, dowódca mjr Roman Jasiński i niezwykle twórczy kpt. Roman Żołnowski, wspierani ze sztabu okręgu przez mjr. Jana Kemparę.

W nowatorskiej, jak pokazują dzisiejsze konflikty, koncepcji użycia sił specjalnych kładziono silny akcent na szkolenie agenturalne. Odchodzono od typowych działań szturmowych na rzecz cichego zbierania informacji i realizacji zadań specjalnych bez mundurów, na głębokich tyłach przeciwnika. Grupom specjalnym nie wyznaczano już rejonów działania na terenie ówczesnej Republiki Federalnej Niemiec, Danii czy Holandii, ale we własnym kraju. Doktryna obronna przewidywała dotarcie potencjalnego przeciwnika być może aż do rubieży Wisły. Wówczas jednostki specjalne miały operować na jego zapleczu, wykorzystując znajomość terenu i znajdując oparcie w miejscowej ludności.



Szybkie i precyzyjne strzelanie z różnych typów broni to znak rozpoznawczy żołnierzy tej specyficznej jednostki.

Dziełem Jana Kempary i Romana Żołnowskiego była próba wyjścia ze szkoleniem z lasu i stworzenie programu, w którym sytuacje i przeciwnik będą jak najbardziej realne. W maju 1987 roku odbyły się pierwsze z serii ćwiczeń przygotowawczych, zwanych kaskadami. Niezwykłością operacji, obejmujących zasięgiem kilka północnych województw, było wchodzenie grup specjalnych do miast i miasteczek, wciąganie do współpracy miejscowej ludności, a z drugiej strony uruchamianie przeciwko „dywersantom” policji, obrony cywilnej, wopistów... A sytuacja polityczna była wówczas delikatna – w Gdyni wrzało, Solidarność zarządziła w stoczni strajk. Należało się obawiać, że każda akcja na obiekty przemysłowe może zostać odebrana jako prowokacja. Zachowując największą ostrożność, z pełną świadomością wchodziło w paszczę lwa.

POCZĄTKI „PROFESKI”

Z „kaskad” zachowały się reporterskie relacje umieszczone później w książce „Mjr Kups o 56. Kompanii Specjalnej”. Podczas pierwszej, w jednym z epizodów żołnierze z grupy por. Leszka Domachowskiego mieli za zadanie unieruchomienie „fabryki zbrojeniowej”. W tej grze wszystko było jak w rzeczywistości. Spokojnym krokiem roboczarzy pokonali ślepe tory, minęli stare lokomotywy, następnie, między rzeką a murem, doszli do wielkiej bramy kolejowej. Mimo wiszącej kłódki jej skrzydła odchyliły się na tyle, że zarówno drobny „Miara”, jak i potężniejszy „Molis” przecisnęli się do środka. Ostronicy przez budynki techniczne spokojnie uzbrajali ładunki, rozwijali magistrale, wybierając czule punkty w płataninie rur.

Niespodziewanie wyszła wprost na nich kobieta w mundurze straży przemysłowej. Zastygli, przez chwilę ważyły się losy akcji. Na szczęście wartownicza znikła tam, skąd przyszła. Czasu było coraz mniej. Musieli być gotowi w chwili, gdy padnie sygnał akcji. Wystrzał zabrzmiął ostro i donośnie. Odpowiedzieli serią wybuchów petard i odpaleniem czarnego dymu „deemki”. Wcześniej nakleili plansze: „Obiekt zniszczony”. Zadanie było wykonane, teraz należało zadbać o siebie.

„Molis” pobiegł, odciągnął skrzydło bramy jak uprzednio i utknął w kleszczach. Po chwili szarpaniny obejrzał się i zamarł w przerażeniu. Zza pobliskiego budynku wypadł i pędził ku niemu oszalały wilczur. Wyszarpnął się z powrotem i, uciekając przed kłami bestii, wskoczył na bramę. Tymczasem przerażony wybuchami pies ze skowytami uciekł. „Miara” mimo dramatyzmu sytuacji dostał spazmów śmiechu. Dla młodych ludzi, żołnierzy służby zasadniczej, takie ćwiczenia były wielką przygodą. Dla ich dowódców stanowiły kolejny krok w poszukiwaniu formuły szkolenia w zmieniającej się rzeczywistości.

Kolejnym etapem było utworzenie w 1990 roku w kompaniach specjalnych, także w 1 Batalionie Szturmowym w Lublińcu, zespołów specjalnych grup kadrowych. Zadaniem pierwszych komandosów zawodowców była organizacja ruchu partyzanckiego, akcji dywersyjnych i specjalnych na obszarze własnym, zajęтым przez przeciwnika.

Za utworzeniem załączku zawodowstwa niewiele poszło, bo brakowało profesjonalnych programów szkolenia, wyposażenia, pieniędzy... W nowej sytuacji nastąpiło odejście od strażniczej taktyki, w której efekcie nazywano komandosów „wojskami jednorazowego użytku”. Jednakże bazą nowoczesnego podejścia był głównie... ich zapal. Nowe, młode dowództwo jednostki, wspierane ze sztabu Pomorskiego Okręgu

Wojskowego przez mjr. Kemparę, postawiło na nowoczesność szkolenia prowadzonego metodą: „Uczyć się chociażby od samego diabła”.

Znali już wcześniej sposoby działania Czechosłowaków, Węgrów, Rosjan. Nawiązywali nie całkiem jeszcze legalne kontakty z ludźmi, którzy wówczas pojawili się w Polsce, na przykład z superochroniarzem, dyrektorem International Bodyguard Association Jimem Shorttem, z robiącym europejską karierę rosyjskim Niemcem Josifem Linderem. Zaprosili też na poligon między innymi mistrza świata w strzelaniu Andrzeja Sieledcowa, bo chcieli zobaczyć, jak można, strzelając ogniem pojedynczym, trafić za każdym razem bezbłędnie w cel. Gościli też Andrzeja Bryła, bo chcieli wygrać walkę w kontakcie, bez wdawania się w bójkę. Mjr Arkadiusz Kups z sentymentem wspomina tamte czasy: „Ściągaliśmy, co się dało, niedostępne jeszcze wówczas instrukcje i normy brytyjskie, amerykańskie, izraelskie... Nikt u nas nie strzelał wówczas zgodnie z naszymi instrukcjami, bo to były bzdury. Urządzaliśmy prowadzenie ognia po wysiłku, po biegach, po czołganiu. Ludzie zapomnieli, co to stanowisko strzeleckie i komendy otwarcia ognia. Wchodzili na obiekt i czyścili”.

W zajęciach strzeleckich razem z żołnierzami uczestniczyli również inspiratorzy niekonwencjonalnych metod szkolenia: dowódca jednostki kpt. Marek Demczuk i szkoleniowiec por. Arkadiusz Kups oraz, oczywiście, dowódca zespołu zawodowców por. Piotr Patalong. Ściągali opończę ze stara albo wywalali okno z UAZ-a czy ze śmigłowca i w pełnym pędzie grzali z peemów i kałachów. Po czym okazywało się nagle, że życie nie jest filmem i niewiele z takiej kowbojszczyzny wychodzi. Zaczynało się więc poszukiwanie nowych rozwiązań. Łamali konwencje i stare nawyki, wykorzystywali ergonomię broni i znajomość anatomii człowieka. I tak jesienią jednego roku efekty strzelania z podwieszanego granatnika Pallad były założone, a wiosną następnego doszli do 90% trafień. Przeciwpancerne „komary” bzykały dziesiątkami w stronę starego T-34, zamieniając wieżę czołgu w durszlak.

Komandosi nie zabierali na zajęcia poligonowe namiotów, bytowali w naturze, latem i zimą. Wkopywali się w ziemię, budowali bazy przejściowe. Do jedzenia wystarczyły eski albo półprodukty. Od rana odbywało się strzelanie, po południu zajęcia z taktyki, a o godzinie 22.00 zbiórka kadry.

DYWERSJA

W 1994 roku mówiono o planach rozwinięcia kompanii specjalnych w bataliony. Już niemalże przymierzano awanse i etaty. I nagle, jak grom z jasnego nieba, spadł na komandosów rozkaz o likwidacji jednostek. Nikt nie potrafił tej decyzji zrozumieć ani się z nią pogodzić. Budowany przez ponad ćwierć wieku potencjał został w jednej chwili zniweczony. Paradoksalnie, gdy kompania już nie istniała, zbierano jej żołnierzy rozrzuconych po innych jednostkach, tworząc z nich grupy specjalne i angażowano w ćwiczenia.

Ocalała garstka młodych, znakomych komandosów, zwerbowanych do jednostki wojskowej GROM. Inni? Różnie potoczyły się ich losy. Wspaniale rozwinęła się kariera Piotra Patalonga, który między innymi dowodził Jednostką Wojskową Komandosów, GROM-em, a obecnie jest inspektorem wojsk specjalnych. Z kolei mjr rez. Arkadiusz Kups po odejściu z wojska od 20 lat pielęgnuje dorobek kompanii w formule Combat 56 i selekcjach. ■



ANDRZEJ
FAŁARA

Generał Antiga

**TRENER POLSKICH
SIATKARZY STEPHANE
ANTIGA ZOSTAŁ W JEDNEJ
CHWILI AWANSOWANY
Z SZEREGOWCA
NA GENERAŁA**

Najpopularniejszego obecnie Francuza w Polsce, który doprowadził naszych siatkarzy do mistrzostwa świata, szanuję i podziwiam, ale nie bezgranicznie, bo znam prawdę na temat tego wielkiego sukcesu. Ma ona związek z moim znajomym Marianem P., z którym dzielnie oglądaliśmy całe mistrzostwa w telewizji Polsat. Marian w pewnym momencie odkrył, że kiedy wstaje z fotela, nasi od razu grają lepiej. Przetrwiał więc na stojąco wszystkie najważniejsze mecze – z Rosją, Niemcami i dwa z Brazylią – zapewniając Polakom najpierw awans do półfinału, potem do finału, a ostatecznie złoty medal.

Żarty żartami, ale wielbiciele Stephane'a Antiga, którzy z każdym zwycięstwem Polaków mnożyli się w postępie geometrycznym, mają problem, gdy muszą szczegółowo uzasadnić swoje uczucie. Kochają go, oczywiście, za całokształt. Za to, że nauczył się języka polskiego i jest sympatycznym facetem. Za to też, że scalił drużynę i namówił do występu Mariusza Wlazłego. Czy jednak wynalazł coś nowego, jakąś cudowną akcję, jakąś genialną strategię? Nie. ...Ale siatkówka to nie łyżwiarstwo figurowe, gdzie liczy się wrażenie artystyczne.

Przypadek Antiga jest ze wszech miar niewiarygodny. Francuz został w jednej chwili awansowany z szeregowca na generała. Takie szybkie kariery nie zdarzały się nawet w armii napoleońskiej. I oto ten nieopierzony dowódca wygrywa od razu wielką bitwę. Napoleon bez wątplenia zrobiłby go marszałkiem.

To, czego dokonał generał Antiga, jest wspaniałym dowodem na nieprzewidywalność sportu. Grupa bardzo dobrych siatkarzy, z których większość od lat tworzy reprezentację kraju, nie mogła się jakoś pozbierać w dużych turniejach. Igrzyska olimpijskie przed dwoma laty przegrała z kretesem. Tymczasem pod wodzą Antiga osiągnęła największy sukces w karierze.

Najbardziej zadziwiające jest jednak to, że w kraju, w którym jest tylu utalentowanych siatkarzy, nie znaleziono ani jednego szkoleniowca godnego prowadzenia narodowej drużyny. Wszak Wlazły urodził się na krańcu Wyżyny Wieluńskiej, a nie w departamencie Haut-de-Seine, tak jak trener reprezentacji. Ktoś go zatem musiał wychować, ktoś go ukształtował jako profesjonalnego siatkarza. Jasne, nie każdy szkoleniowiec pracujący z młodzieżą czy w klubie nadaje się na selekcjonera. Ale żeby na powierzchni 312 tys. km² nie było ani jednego człowieka, który spełniałby wysokie kryteria? Nie wierzę.

Stephane'a Antiga czekają teraz ciężkie czasy. Brak kilku wybitnych zawodników, którzy nie chcą już grać w reprezentacji, sprawi, że negocjacyjne zdolności sympatycznego Francuza zejdą na plan dalszy. Pierwszorzędnego znaczenia nabiorą umiejętności szkoleniowe i selekcyjne. Antiga musi stworzyć nową grupę, która będzie w stanie walczyć za dwa lata w Brazylii o medal olimpijski. Każdy inny wynik będzie dla mistrzów świata porażką. Przegranej nie wybaczą mu przede wszystkim ci, którzy dziś tak bardzo go kochają.

Jestem mimo wszystko optymistą i życzę generałowi Antidze kolejnych zwycięskich bitew. Obiecuję, że pogadam z Marianem P., aby wszystkie ważne mecze siatkarzy oglądał na stojąco. ■





ANNA DĄBROWSKA

Wojskowe społem

Szkola spółdzielcza w obrębie wychowania żołnierza jest środkiem doskonałym.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Przez uczestnictwo w spółdzielni żołnierz uczy się łączyć interes materialny, a więc zaspokajanie potrzeb życiowych, z wychowaniem w duchu wzajemnej pomocy, pracą społeczną i dobrowolnie spełnianym obowiązkiem”, stwierdzał w 1922 roku w „Polsce Zbrojnej” płk Henryk Inglander. Argumentował, że taka działalność kształci w prowadzeniu przedsięwzięć zbiorowych i rozbudza ducha obywatelskiego dzięki poczuciu wspólnoty z rzeczą spółdzielców.

Niedługo potem w wojskowej gazecie ten sam temat poruszył Kazimierz Małkiewicz. Podkreślał, że życie w spółdzielni uczy znajomości ludzi, oceny charakteru i wartości moralnej, a także szkoli zmysł gospodarczy.

KWIAT SPÓŁDZIELCZOŚCI

„W dalszym rozwoju budzi się w naszym surowym chłopaku wiejskim czy robotniku odzianym w mundur żołnierza potrzeba oświaty i kultury pod wpływem przykładu i zachę-

ty zrzeszonych towarzyszy broni o wyższym poziomie”, pisał Małkiewicz. Dodawał także, że żołnierz spółdzielca, gospodarząc, przeznosząc gromadzi jednocześnie zasoby do zaspokojenia tych potrzeb wyższych i ceni je sobie jako zdobycze osiągnięte własną zapobiegliwością.

„Tym bardziej cieszy, że spółdzielczość wojskowa w Polsce wybujała w ciągu kilku lat wolności jak kwiat samorodny wyrastający mimo skał i raf odmetu ekonomicznego”, uważał

PITAWAL

Fałszywy kapitan

Dzięki oszustwu szeregowy awansował na oficera.

Julian Baumgartner był człowiekiem ambitnym i miał w życiu jedno marzenie. Chciał służyć w polskiej armii, i to koniecznie na stanowisku oficera-

skim. Na razie jednak zakończył wielką wojnę jedynie jako były szeregowy armii austriackiej.

Problemem było też jego wykształcenie. Nauka nie szła mu najlepiej i w szkole ukończył tylko klasy podstawowe oraz jeden kurs seminarium nauczycielskiego. Nie wystarczyłoby to, żeby zostać oficerem w tworzącej się polskiej armii.

Zaradny szeregowy wpadł jednak na pomysł, jak rozwiązać swój problem. Z pomocą brata, drukarza, stworzył kilka fałszywych dokumentów, dzięki którym mogło mu się spełnić marzenie.

Pewnego kwietniowego dnia 1919 roku zjawił się w sztabie 31 Pułku Strzelców Konnych w Łodzi młody oficer. „Przedłożył on dowództwu pułku listę personalną, podając, iż posiada wykształcenie 8 klas gimnazjalnych z maturą oraz ukończoną rezerwową szkołą oficerską w Jagendorfie. Miał też podrobiony dokument urlopowy, stwierdzający jakoby był w austriackiej armii kadetem-aspirantem”, podawano w „Polsce Zbrojnej”.

Z powodu panującego w młodym państwie zamieszania nikt nie sprawdził tych informacji i, bazując tylko na

plk Inglander. Jak wyliczał, w Polsce istnieje już kilkaset spółdzielni wojskowych: spożywczych w pułkach i okręgach korpusowych, sklepów oficerskich, spółdzielni osadniczych, mieszkaniowych, inwalidzkich oraz zrzeszeń oficerów zdemobilizowanych.

Przykładem takiej działalności było między innymi powołanie banku przez Izbę Handlowo-Przemysłową Związku Oficerów Rezerwy. Jego zadaniem miało być zbieranie oszczędności oficerskich, przyjmowanie kapitałów osób prywatnych i prawnych, finansowanie przedsiębiorstw powoływanych przez Izbę i udzielanie członkom krótkoterminowych pożyczek.

Ponadto, jak donosił dziennikarz gazety, w ostatnim Kongresie Spółdzielni Spożywców w Warszawie wzięło udział 120 delegatów, reprezentujących 80 spółdzielni wojskowych. „Zajmują oni wśród reprezentowanych tu organizacji drugie miejsce co do ilości stowarzyszeń oraz czwarte co do ilości delegatów”. W samej stolicy powstały wojskowe stowarzyszenia spółdzielcze, spółdzielnia oficerów sztabu generalnego, kooperatywa dowództwa miasta, kooperatywa Oddziału V Sztabu Generalnego LWP, kooperatywa sądu oraz centralnego urzędu gospodarczego.

SOLIDARNOŚĆ I GOSPODARNOŚĆ

„Wszystkie one staną się szkołą spółdzielczą, której wychowankowie hartem i czystością ducha będą celowali we wielkiej szkole wychowania żołnierskiego. To oni, powrócivszy po spełnieniu powinności wojskowej do życia cywilnego, stanowią tam będą zaczą-

dotadni”, uważał plk Stanisław Pawlicki. Jak dodawał, nad tą rozrastającą się siecią czuwa Centralna Spółdzielnia Wojskowa Ministerstwa Spraw Wojskowych. „Uznając doniosłość tych instytucji, unormowano ich organizację tak, że nie tamując samorządu kooperatyw, reguluje się ich funkcje w ramach służbowych i prawnych”.

Rok później spółdzielcy wojskowi zjechali się na walne zgromadzenie Centralnej Spółdzielni Wojskowej na Zamku Królewskim. „Będzie to przegląd sił zmobilizowanych na froncie spółdzielczym od chwili powstania armii polskiej”, pisano w „Polsce Zbrojnej”. Jak wyliczał dziennikarz, po dwuletnim okresie przygotowawczym do tego przeglądu stają 254 spółdzielnie wojskowe, które reprezentują 89 634 członków.

Jednocześnie gazeta apelowała o spełnienie kilku postulatów dotyczących spółdzielczości. Uważano, że wychowanie spółdzielcze należy uwzględnić w programach kursów i szkół wojskowych, Wojskowego Instytutu Wydawniczego i Towarzystwa Wiedzy Obronnej. „Dowódcy wszystkich stopni powinni się zaznajomić z istotą kooperacji i odnośnym ustawodawstwem oraz rozkazodawstwem”. Ponadto życie pozasłużbowe żołnierza, skupiające się w świetlicach, gospodach, kasynach oficerskich, warsztatach pracy, teatrach i bibliotekach, oprócz należy na zasadach spółdzielczych, zdążając do współpracy tych instytucji. „Albowiem solidarność, wzajemna pomoc, gospodarność, uczciwość i sprawiedliwość, te podwaliny spółdzielczości, to podpora duchowe dobrego żołnierza”.

przedstawionych papierach, Baumgartner otrzymał w wojsku nominację na podporucznika.

Szeregowy nie był głupi i wiedział, że jego oszustwo się wyda, jeśli przełożeni zauważą braki w wojskowym wykształceniu. W kolejnych miesiącach studiował więc nocami podręczniki dla oficerów i dowódców, zapisywał się też i uczęszczał na wszystkie możliwe do datkowe kursy.

Dzięki jego pilności i determinacji nikt nie tylko nie odkrył oszustwa, ale oficer zasłużył nawet na pochwałę i kolejne awanse, aż odszedł do stop-

nia kapitana. Wszystko układałoby się po jego myśli, gdyby nie zagraiczna wizyta.

W 1922 roku do jednostki przybył z Austrii jego dawny dowódca mjr Franc Beckmann i, niestety, obaj panowie spotkali się w kantine pułku. Jakież było zdumienie majora, kiedy odkrył, że niedawny szeregowy stał się już kapitanem. Zapytał o niego w dowództwie i mistyfikacja się wydała.

Podczas wytoczonego 33-letniemu kapitanowi procesu sprawę rozpatrywał Wojskowy Sąd Okręgowy w Łodzi



P O L S K A Z B R O J N A
1 3 P A Z D Z I E R N I K A
1 9 3 0 R O K U

KAPITAN WŁADYSŁAW MANIEC:

Oficer powinien pełnić swą służbę z dala od wszelkich trosk materialnych, aby mógł oddać się wyłącznie zadaniu swego szaczonego zawodu. Trudne to jednak, gdy setki oficerskich rodzin mieszkają w fatalnych, wręcz okropnych warunkach, jak proletariusze w jednym pokoju z kuchnią, a często i bez kuchni. Ciasnota miejsca walczy tam z brakiem choćby prymitywnych urządzeń higienicznych, dzieci gnieźdzą się razem w jednym pokoju z rodzicami, a spracowany po służbie oficer nie ma gdzie w pokoju spocząć.

Ogłoszenia retro:

Trykotażę Trykotażę
Garconki Poloovery Kamizelki
Polska sklep detaliczny sznabel fabryki trykotaży
O. OSZEROWSKI
CHMIELNA Nr. 14 1717 TELEFON 259-09

Wykwintne FUTRA
poleca JOACHIMOWICZ i S^{MA}
WARSZAWA, ULICA NIECAŁA 26 10. TELEFON 181-17
1711 OSTATNIE MODELE
Dogodne warunki dla P.P. WOJSKOWYCH

pod przewodnictwem mjr. Krzysztofa Gralewskiego. Na rozprawie Baumgartner przyznał się do sfałszowania dokumentów oraz niepełnego wykształcenia, licząc na obniżenie kary. „Jego zeznanie potwierdziło pismo austriackiego ministerstwa spraw wojskowych, do którego nasze władze w tej sprawie się odniosły”.

Sąd skazał oskarżonego na rok więzienia, co fałszywego kapitana zbytnio nie zmartwiło. Prawdziwym ciosem była dla niego dopiero druga część wyroku – degradacja do stopnia szeregowego i wydalenie z wojska.

TADEUSZ WRÓBEL

LATAJĄCY JEŻOZWIERZ

Cesarska Marynarka Wojenna Japonii dysponowała podczas II wojny światowej najsilniej uzbrojoną latającą łodzią **Kawanishi H8K**.

Przed II wojną światową sieć lotnisk była bardzo rzadka, a w niektórych zakątkach świata nie było ich wcale. Dlatego w owym czasie bardzo popularne stały się samoloty, które mogły wylądować na wodzie, a później z niej wystartować.

WYMAGANIA CESARSKIEJ FLOTY

Takimi maszynami interesowały się zarówno cywilne linie lotnicze, jak i marynarka wojenna. Mniejsze, wodnosamoloty pływakowe i latające łodzie, wykorzystywano między innymi jako pokładowe samoloty rozpoznawcze dla pancerników i krążowników. Maszyny kilkusilnikowe, operujące z baz na wybrzeżach, wykonywały natomiast długie loty pa-

trolowe. W Japonii w okresie międzywojennym w konstruowaniu latających łodzi i wodnosamolotów pływakowych specjalizowała się firma lotnicza Kawanishi Aircraft Company. W połowie lat trzydziestych XX wieku na podstawie wymagań Cesarskiej Marynarki Wojennej zaprojektowano w niej czterosilnikową latającą łódź dalekiego zasięgu H6K, która weszła do służby w styczniu 1938 roku. Jednak kilka miesięcy później dowództwo floty zleciło opracowanie nowej konstrukcji. Japońscy wojskowi chcieli, aby ów samolot był szybszy o 30% od H6K i miał od niej większy o 50% zasięg. Prędkość maksymalna powinna wynosić co najmniej 444 km/h, a przelotowa 333 km/h. Nowa latająca łódź miała być częściowo opancerzona i silniej uzbrojona niż H6K. Wy-



magania cesarskiej floty wiązały się z planami przyszłych działań wojennych na Pacyfiku.

Konstruktorzy z Kawanishi Aircraft Company rozpoczęli prace projektowe nad nową łodzią latającą w sierpniu 1938 roku. Ich efektem była smukła maszyna o dużej rozpiętości skrzydeł. Jednak inżynierowie japońscy musieli popracować jeszcze nad kadłubem, bo testy wykazały, że może się on odkształcić podczas wodowania i zacznie nabierać wody. Poprawek wymagało też usterzenie samolotu. Prototyp H8K wzbił się w powietrze w styczniu 1941 roku. Później zbudowano dodatkowe egzemplarze przedprodukcyjne.

Samoloty te wyposażono w dwa różne typy silników. W pierwszym prototypie zamontowano 14-cylindrowy gwiazdzisty, chłodzony powietrzem Mitsubishi Mk4A Kasei 11 o mocy startowej 1530 KM i 1410 KM na wysokości 2000 m, a w innych również 14-cylindrowy Mitsubishi Mk4B Kasei 12, ale o mocy 1480 KM na wysokości 2 tys. m. Konstruktorzy płatowca zaprojektowali osiem małych zbiorników paliwa w skrzydłach i sześć większych samouszczelniających w kadłubie, których całkowita pojemność wynosiła 17 040 l. W wypadku zbiorników w kadłubie paliwo z uszkodzonych można było przepompować do całych.

Wybuch wojny na Pacyfiku przyspieszył prace nad łodzią latającą. Po zaakceptowaniu przez lotnictwo cesarskiej floty wersji z silnikami Mitsubishi Mk4B Kasei 12 ruszyła produkcja pierwszej wersji, oznaczonej jako H8K1. Weszła ona do służby 5 lutego 1942 roku. Jednak firma Kawanishi kontynuowała prace nad H8K. Na podstawie doświadczeń z użycia operacyjnego pierwszej wersji latającej łodzi postanowiono wyposażyć ją w nowe silniki Mitsubishi Mk4Q Kasei 22 o mocy startowej 1850 KM i 1680 KM na wysokości 2100 m. Poprawiono także tylną wieżyczkę z 20-milimetrowym działkiem oraz dodano jeszcze trzy działka, w przedniej wieżyczce i na stanowiskach po bokach kadłuba. Z czasem samolot oznaczony jako H8K2 doposażono w radar Mark VI model I. Ta wersja była najliczniej produkowana.

Powstała także maszyna transportowa – H8K2-L Seiku (Spokojne Niebo), która mogła zabrać do 64 pasażerów. Jed-

nak miała ona słabsze uzbrojenie – 20-milimetrowe działko strzelające do przodu i wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 13 mm, osłaniający tył. Na maszynę transportową przebudowano też prototyp H8K1 (nowe oznaczenie H8K1-L), która mogła przewozić do 41 osób.

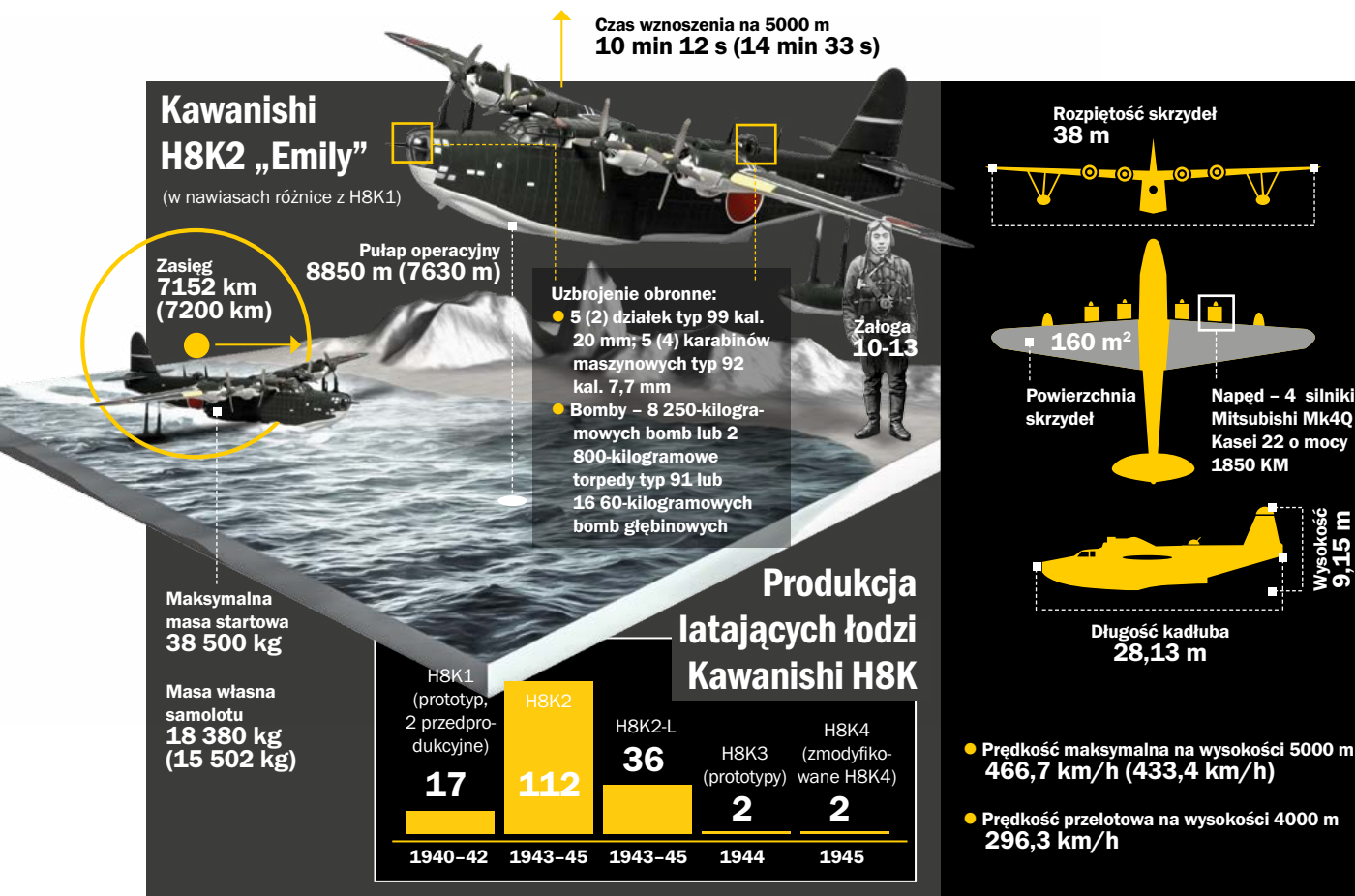
Przygotowano też dwa prototypy H8K3, eksperymentalnej wersji ze składanymi pływakami i chowaną w kadłubie wieżyczką grzbietową. Wypukłe osłony bocznych stanowisk strzeleckich zastąpiono w niej przesuwanymi klapami. Zmiany w konstrukcji zmniejszające opór powietrza miały zwiększyć prędkość samolotu, spowodowały jednak wzrost jego masy. H8K3 pierwszy próbny lot wykonał 13 lutego 1943 roku. Potem maszyny te wyposażono w nowe silniki Mitsubishi Mk4T Kasei 25b o mocy startowej 1825 KM. Nadano im oznaczenie H8K4. W planach była wersja transportowa – H8K4-L. Projekt upadł jednak, bo w marcu 1945 roku utracono wszystkie H8K4. Japończycy nie zrealizowali też zamiaru skonstruowania na bazie latającej łodzi Kawanishi ciężkiego bombowca, wstępnie oznaczonego G9K.

DALEKIE RAJDY

W niecały miesiąc po wejściu do służby łodzie latające Kawanishi H8K1 przeprowadziły swą pierwszą i zarazem najbardziej spektakularną misję bojową. W nocy z 4 na 5 marca 1942 roku zaatakowały amerykańską bazę morską Pearl Harbor na hawajskiej wyspie O'ahu. Nalot był odwetem za amerykański rajd na Wyspy Marshalla na początku lutego 1942 roku. Japońskie dowództwo planowało, że w „Operacji K” weźmie udział pięć latających łodzi. Ostatecznie z atoli Jaluit i Wotje w archipelagu Wysp Marshalla wystartowały tylko dwie K8H1 – Y-71 i Y-72 z Grupy Lotniczej (Kokutai). Samoloty miały międzylądowanie na French Frigate Shoals, grupie małych wysepek na północny zachód do Hawajów. Tam spotkały się z dwoma japońskimi okrętami podwodnymi I-15 i I-19, od których uzupełniły paliwo. Po zrzuconiu bomb powróciły do swych baz na Wyspach Marshalla.

Atak nie przyniósł większych efektów, połowa bomb spadła do oceanu, ale był to najdłuższy podczas wojny rajd bom-





bowy przeprowadzony bez osłony myśliwskiej. Japończycy planowali powtórzyć atak na Pearl Harbor 30 maja 1942 roku. Musieli jednak zrezygnować, gdy przybyłe na miejsce okręty podwodne I-12, I-121 i I-122 odkryły, że rejon French Frigate Shoals jest pod obserwacją US Navy.

Wyspa Wotje w atolu Wotje i Jabwot w atolu Jaluit były w 1942 roku jednymi z kilku baz japońskich wodnosamolotów na Wyspach Marshalla. Inne to Ebeye w atolu Kwajalein, Engebi w atolu Enewetak oraz Djarrit w atolu Majuro. Japońskie łodzie wykorzystywały też atole Bokak, Mili i Rongelap. Stamtąd we wrześniu 1942 roku zaatakowały amerykańskie instalacje wojskowe w atolu Funafuti w archipelagu Tuvalu i atol Kanton w grupie wysp Feniks.

Oprócz ataków bombowych Japończycy wykorzystywali ciężkie łodzie latające, którym alianci nadali kryptonim „Emily”, do misji patrolowych i rozpoznawczych, a także do zwalczania okrętów podwodnych. Aliancy piloci traktowali H8K z respektem, ze względu na ich silne uzbrojenie, i nazywali latającymi jeżozwierzami. Najgroźniejsza była wersja H8K2, która miała pięć działek 20-milimetrowych oraz cztery lub pięć karabinów maszynowych. Czyniło ją to najsilniej uzbrojoną łodzią latającą podczas II wojny światowej. Po wyposażeniu w radar „Emily” stała się bardzo groźnym przeciwnikiem dla amerykańskich okrętów podwodnych.

OSTATNI ADMIRAŁ

Samoloty H8K ze względu na dużą prędkość i zasięg były używane często przez wyższych dowódców japońskich sił zbrojnych. Jeden z takich lotów zakończył się tragicznie dla

pasażerów, wśród których był dowódca rozwiązanej 10 marca 1945 roku 4 Południowej Floty Ekspedycyjnej, wiceadmirał Seigo Yamagata. Mianowany na podsekretarza ds. Cesarzkiej Marynarki Wojennej oficer wyleciał 14 marca z wyspy Ambon do Tokio, gdzie miał się spotkać z cesarzem Hirohito. Lot odbywał się etapami. H8K2 lądowała po drodze w Singapurze, Hongkongu, na okupowanej przez japońską armię chińskiej wyspie Hajnan, a potem w mieście Kanton. Na Hajnanie doszło do uszkodzenia kadłuba samolotu, który postanowiono naprawić na Formozie (dzisiejszy Tajwan). Jednak po starcie z Kantonu do załogi i pasażerów dotarła informacja, że wyspa jest bombardowana przez aliantów. Samolot obrał więc kurs na portowe miasto Zhenhai. W czasie lotu H8K2 został zaatakowany przez bombowiec patrolowy PB4Y-1. Zginął jeden z japońskich oficerów.

Uszkodzona łódź latająca wylądowała 17 marca 1943 roku w rejonie miasta Haimen, które kontrolowała armia chińska. Według Weiai Xu, autora artykułu „The last admiral”, zamieszczonego na portalu Ohmynews.com, piloci się pomylili. Oba miasta – Haimen i Zhenhai – mają podobne położenie, u ujścia dużych rzek do morza. Oprócz tego w obu na północnym brzegu stały starożytne baszty.

Wodnosamolot utknął w przybrzeżnym błocie. Doszło do walki z Chińczykami, podczas której „Emily” z wiceadmirałem na pokładzie eksplodowała. Według informacji podawanych przez Japończyków miał on wcześniej popełnić harakiri, by uniknąć hańby, jaką byłoby wzięcie go do niewoli. Yamagata był ostatnim wysokim japońskim dowódcą, który zginął w Chinach przed zakończeniem II wojny światowej. ■



WŁODZIMIERZ
KALETA

Egzaminy z ukladanki

PRZED WAŻNYMI
EGZAMINAMI
KIEROWNIK GRUPY
PRZYNOSIŁ OFICEROM
LISTĘ PYTAŃ



Krygowanie się i pokutne bicie w piersi przez oficera, który miał ambicję skończyć Akademię Obrony Narodowej z jak najlepszą notą i zrobił wszystko, by to osiągnąć, wygląda na trochę naciągane”. Do takiego wniosku doszedł pułkownik A.C. po przeczytaniu „Opowieści z rezerwą”, w której oficer zwierzył się, że będąc na studiach w Akademii Obrony Narodowej, poprosił brata o zastępstwo na egzaminie z pływania i przez całą służbę źle się czuł na samo wspomnienie tego incydentu.

„To było i najpewniej jest w armii dosyć powszechne, że dobrzy i ambitni oficerowie w sytuacjach dla nich szczególnych, mogących mieć wpływ na ich kariery, podejmują działania, które w potocznym myśleniu mogą być oceniane jako cwaniactwo czy nawet postępowanie nieetyczne. Nie wszyscy potrafią się do tego przyznać”, twierdzi A.C. i na dowód opowiada swoją historię.

Już jako podchorąży ściągał na egzaminie z matematyki. Uczył się w szkole oficerskiej wkrótce po zmianie statusu uczelni wojskowych na wyższe. Jednym z przedmiotów na studiach była matematyka. Na egzaminie podchorąży z niewielkiego miasteczka, z trójką z tego przedmiotu na maturze, miał rozwiązywać całki. Wiedział o tym tyle co nic. Opracował z kolegami system ściągania i zdał ten egzamin. Już nigdy później nie miał z całkami do czynienia.

Do Akademii Obrony Narodowej pułkownika A.C. skierowano na początku lat dziewięćdziesiątych. Na uczelni wszystkim bardzo zależało na wynikach. Słuchaczom, marzącym o karierze dowódczej, a także wykładowcom, ocenianym za wyniki ich kształcenia. To dlatego przed ważnymi egzaminami kierownik grupy przynosił oficerom listę pytań.

Dobre przygotowanie się do odpowiedzi wymagało długiego zakuwania. Aby ułatwić sobie życie i mieć więcej czasu na leniuchowanie, słuchacze wymyślili system, który miał im ulżyć w nauce. Dzielili się pytaniami i każdy przygotował się do odpowiedzi tylko na jedno z nich, to, które wybrał lub wylosował. Podczas egzaminu trzeba było jedynie wyciągnąć karteczkę ze swoim pytaniem i piątka murowana. Jak jednak znaleźć to „swoje” pośród kilkudziesięciu kartek rozłożonych na stole? Z reguły wykładowcy rozkładali je zgodnie z numeracją. Dlatego zawsze na początek wysyłano „testera”, który brał skrajną kartkę z lewej lub prawej strony i mówił głośno numer pytania. W zależności od tego, czy była to jedynka, czy na przykład trzydziestka, następni egzaminowani wiedzieli już, gdzie jest ta z ich pytaniem.

System działał tak sprawnie, że grupa, w której był pułkownik A.C., miała najwyższą średnią z wszystkich studiujących na roku, ponad 4,8. Wierzyli, że to z ich grupy będzie prymus studiów i wielu innych wyróżnionych oficerów. Egzamin z taktyki, który zdawali pod koniec pierwszego roku, plany te mocno pokrzyżował. Jak zwykle, każdy ze słuchaczy wyuczył się odpowiedzi na jedno pytanie. Tymczasem, kiedy do stołu zbliżał się tester kolejności kartek z pytaniami, do sali wszedł szef wydziału. Zanim usiadł w gronie egzaminatorów, wcześniej pomieszał kartki leżące na stole. Dlaczego? Nigdy się nie dowiedzieli. Ten egzamin zdali wyjątkowo słabo, zaledwie na trójkę.

Mimo to, z tego wyjątkowo ekonomicznego sposobu przygotowania do egzaminów nie zrezygnowali i bardzo często im się to opłacało. A.C. skończył akademię z bardzo dobrą lokatą. Piastował później wysokie stanowiska dowódcze, brał udział w wielu misjach naszych żołnierzy za granicą. Był odznaczany i wyróżniany za wzorową służbę. ■

PODPULKOWNIK W STANIE SPOCZYNKU
WŁODZIMIERZ KALETA SŁUŻYŁ
W 7 ŁUŻYCKIEJ DYWIZJI DESANTOWEJ.

| BLISKO WOJSKA |

AGNIESZKA DRAŻKIEWICZ

MOJE WYZWANIE

GROM Challenge – bieg dla miłośników ekstremalnych imprez. „Nie dam rady!”, pomyślałam na początku. Dałam. Teraz GROM Challenge to mój bieg.



ALPHA
MARCH TEX



ARMY
POLSKA

MK EUROPEAN
REPLICATOR

RED CROSSFIT

JAROSŁAW RYBAK

→ MOJE WYZWANIE

Woda, bagna, las i wytyczony na dystansie 24 kilometrów system przeszkód terenowych. Do tego strzelanie z ostrej amunicji w stanie silnego zmęczenia i stresu. A na koniec wisienka na torcie – tor przeszkód, taki sam, na jakim ćwiczą komandosi z jednostek specjalnych”. Taki wpis na Facebooku przeczytałam kilka dni przed 13 września, datą rozpoczęcia tego ekstremalnego biegu. Pomyślałam sobie: „Może popełniam błąd. Może nie powinnam się zgłaszać do czegoś takiego?!”. Ale po kilku chwilach otrzeźwienie: „Zwariowałam dziewczyno? Dam radę – najwyżej się doczołgam”. I pobiegłam...

INSPIRACJE

Pierwsze dni lipca – jak co roku – zaczynam tygodniowym urlopem. Szkoła zakończona, syn wyprawiony na wakacje, więc można zająć się sobą. Plany dwa: trzy dni w Ciechanowie na obozie z technik podnoszenia ciężarów i jeden dzień z komandosami na poligonie w Czerwonym Borze [o tych ćwiczeniach ratowniczych dla dziennikarzy więcej w tekście Anny Dąbrowskiej „Krew na poligonie”, PZ nr 8/2014]. To tu kiedyś szkolili się żołnierze z elitarniej jednostki specjalnej GROM.

Lipcowe spotkanie weterani jednostki poświęcili na uświadomienie nam, dziennikarzom, jak wygląda medycyna pola walki i jak się udziela pomocy rannym w czasie działań wojennych. Ciekawe doświadczenie – dziś już wiem na przykład, jak założyć stażę uciskową lub jak kto woli – krępilec. Byli żołnierze GROM-u w trakcie pokazów zafundowali dziennikarzom także trochę adrenaliny. Było gaszenie pożaru w stroju strażaka, wspinaczka na specjalną ścianę, która imituje budynek, a potem skok z okna. Był też tor przeszkód, w którym się zakochałam.

I tu mała dygresja. Od ponad roku intensywnie ćwiczę crossfit. To zajęcia sportowe, które przysły do nas zza oceanu. Wymagające treningi – każdy inny, każdy dobrany tak, żeby ćwiczyć wszystkie partie ciała. Akcesoria skromne: sztangi, gumy, ciężarki i skrzynie, no i wszechobecne drążki do podciągania. A tor przeszkód w Czerwonym Borze przypomina właśnie trochę ćwiczenia crossfitowe. Przeszłam w lipcu te opony, drabinki, tunele, równoważnie i zasieki bez większych problemów. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że tor pokonam raz jeszcze dwa miesiące później.

Urlop ma to do siebie, że szybko się kończy. Przez wir zajęć po powrocie do pracy zupełnie zapomniałam o poligonie między Zambrowem a Łomżą. Przypadki podobno chodzą po ludziach, więc w połowie lipca już byłam zapisana do startu w GROM Challenge. I mój trener crossfitu też!

Kilkudziesięciometrowe podejścia pod strome ściany piaskowni i takie same zejścia cieszyły się dużym zainteresowaniem fotografów obsługujących GROM CHALLENGE.



GROM CHALLENGE to jedyny bieg w Polsce, w którym jedną z konkurencji jest strzelanie z broni palnej. Jak przysłało na imprezę wzorowaną na pierwszych selekcjach do GROM-u, prowadzą ją instruktorzy, którzy do jednostki trafili na początku jej istnienia. Broń też nie jest przypadkowa – to MP-5, pistolety maszynowe, które wtedy wykorzystywano w GROM-ie.

JAROSŁAW RYBAK (3)

PRZYGOTOWANIA

Jak się przygotować do biegu, który wzorowano na Selekcji? Jak biegać na co dzień, żeby potem wytrzymać ponad 20 km w terenie, w długich spodniach (niesportowych) i butach typu wojskowego? Te pytania zadawałam sobie mniej więcej do końca lipca. Chodziłam pilnie na treningi crossfi-



Na mecie każdy dostawał pamiątkowy medal.

towe, pobiegłam kilka razy, ale zaledwie 5–10 km. Intensywnie planowałam ćwiczyć od 1 sierpnia, lecz kontuzja pleców skutecznie wyeliminowała mnie ze wszystkiego – od crossfitu po biegi. Uratował mnie rehabilitant, ale zabronił chodzić na zajęcia. Zgodził się jedynie na bieganie. „I jak ja zbuduję siłę, kondycję i wytrzymałość?”, gorączkowo wówczas myślałam. A była już połowa sierpnia.

Podsumowanie moich przygotowań do GROM Challenge? Jazda na rowerze, siedem godzin na kajaku i dwa tygodnie biegów w terenie: najpierw Kaszuby, potem Bolimowski Park Krajobrazowy. W drodze do Czerwonego

Boru cały czas się zastanawiałam: „Czy to wystarczy? Czy dam radę?”.

13 WRZEŚNIA

Pobudka o czwartej rano. Plecak spakowany. Mój kompan z teamu na siedzeniu pasażera. Ruszamy do Czerwonego Boru. Daruję sobie opis tego, co się działo na miejscu przed startem, bo to zwykła rutyna: rejestracja, badanie lekarskie, objaśnianie przez organizatorów trasy i zadań, jakie trzeba podczas biegu wykonać.

Zawsze przed startem mam największą treść. 13 września było tak samo: ściśnięty żołądek, przyspieszony puls, szybsze bicie serca. No bo prawie 300 zawodników i tylko kilka kobiet. Większość z nich jest skupiona, nie widzę oznak stresu. „Czemu to zawsze musi mnie dopadać?”, pytam Tomka (trener i moja druga połówka z drużyny). „Daj spokój, będzie dobrze, damy radę i pobiegniemy”, mówi spokojnie mój kompan. I zanim padło słowo „start”, jestem spokojna. A potem to już jako poleciało...

Tuż po starcie pierwsze zadanie: przeciąganie ciężkich opon. „No i jak mam je ciągnąć, skoro ja mała, a Tomek wysoki?”, zastanawiam się. Wiadomo przecież, że ciężar się wtedy źle rozkłada. Ale trudno, ciągniemy. Pierwsza zadyszka, pierwsza myśl, że te zawody to był błąd. I kolejne kojące słowa trenera: „Aguś, zwolnij, wyrównaj oddech i ogień”. To działa na treningach i podziało na biegu!

Kolejne zadanie i pierwszy sukces. To ja zakładałam stażę (krepulec) i od razu udaje mi się zatrzymać puls u Tomka. Hura, szkolenie z lipca nie poszło na marne. Bieg przez piaszczyste wydmy też idzie całkiem nieźle. Układanie puzzli, lina i wiązanie węzła ratunkowego również. Strzela Tomek, a po bagnach brniemy razem – co chwila ostrzegamy się, że na dnie leży konar albo jest głęboko. Parę razy grzęznę po pachy w błocie, dwa razy upadam, raz uderzam o gałąź na dnie tej czarnej, mazistej brei. Ale to nic – w końcu „wyzwanie” to jedno z moich ulubionych słów. Tyle że moje trampy dziwnie się skurczyły w tej czarnej wodzie. Bardzo mnie boli duży palec u nogi. „Jak tu biec dalej?!”, ta myśl nie daje mi spokoju. A jednak się da... Biegniemy.

WISIENKA NA TORCIE

Ponad 20 km za mną. Widać już metę. Ale to by było zbyt proste, gdyby – po przebiegnięciu bramy – tę metę można było przeciąć. Trasa skręca ostro w prawo i trzeba jeszcze pokonać duży staw, a potem mój ukochany (choć teraz to uczucie jakby trochę przygasło) tor przeszkód. Wodę lubię, a tor – z niewielką pomocą Tomka na końcu – zaliczyłam.

Znajomi kilka dni po imprezie pytali, jak się czułam na koniec i czy miło było dostać pamiątkowy medal. Szczerze? Nie pamiętam dokładnie. Jedyne o czym marzyłam, to zdjąć te przekłete buciory!... I usiąść. O zmyciu z siebie kurzu, błota i smrodu bagna pomyślałam dopiero dużo później.

Tak, tak... za rok biegnę znowu. Tydzień po udziale w GROM Challenge przestały boleć palce i stopy. Wróciłam do treningów crossfitowych. I chyba mam teraz nawet lepsze wyniki. Jestem komandosem? Sprawdź za rok! ■

AGNIESZKA DRAŹKIEWICZ
JEST DZIENNIKARKĄ POLSKIEGO RADIA,
REPORTERKĄ W INFORMACYJNEJ AGENCJI RADIOWEJ.

Bolesławiec, pierwsza sobota września, koszary 23 Śląskiego Pułku Artylerii, w których jeszcze przed 20 laty stacjonowała 62 Kompania Specjalna. Przed południem, wyznaczającym rozpoczęcie zlotu żołnierzy i sympatyków sławnej jednostki, półtorej setki zawodników staje na starcie I Crossu Commando o statuetkę Brunatnego Misia.

Młodość i dojrzałość, historia i współczesność, wszystko tu się miesza, przenika i uzupełnia. Ośmiokilometrowa trasa biegu terenowego nawiązuje do rozgrywanej niegdyś przez komandosów „Normy taktycznej numer 13”, dziesięciokilometrowego crossu pokonywanego w umundurowaniu i z bronią. Wówczas, jeśli ostatni żołnierz z ośmioosobowej grupy specjalnej nie zmieścił się w limicie godziny, zespół musiał zaliczać

Kopacz, a także płk Sławomir Drumowicz, któremu towarzyszy córka Dominika. Pierwszy metę osiąga Michał Wendland, ale nie tylko on jest zwycięzcą. Wiatrowskiego, który przybiegł daleko za czołówką, witają szczególnie gorące brawa, gdyż trasę pokonał w mundurze, z bronią i pełnym żołnierskim wyposażeniem, a ostatnie kilometry również... w masce przeciwgazowej.

Krzysztof należy do młodszego pokolenia żołnierzy 62 KS – przed ćwierć wiekiem był komandosem w służbie zasadniczej. Od momentu wyjścia do cywila cały czas uprawia sporty ekstremalne, pokonuje maratony, pływa na długich dystansach. W tym roku ukończył maraton pływacki przez Balaton – pokonał kraulem w ciągu ośmiu godzin 17 km w mundurze. W przyszłym chce opłynąć Zatokę Gdańską, również w mun-

PIOTR BERNABIUK

Służę u Żdana

Żołnierze 62 Kompanii Specjalnej postanowili, że swojej jednostki nigdy tak naprawdę nie dadzą rozwiązać.



Podczas deflady najstarszą grupę komandosów prowadzi chor. Władysław Jandeczko, pierwszy szef 62 Kompanii Specjalnej.

St. sierż. Jan Kusek, kiedyś podoficer kompanii, a dziś szef Stowarzyszenia Spadochroniarzy „Trawers” i Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej.

„Normę taktyczną numer 14” na dystansie 25 km. A statuetka Brunatnego Misia jest formą uczczenia niedźwiedzia Wojtka, który na szlaku bojowym towarzyszył żołnierzom II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa.

Wśród startującej młodzieży są również panowie w średnim wieku, a nawet „starszaki”. Żołnierze 62 Kompanii Specjalnej nie tylko tworzą honorową asystę, lecz także uczestniczą w biegu, by przypomnieć sobie stare, dobre czasy. Startują między innymi st. kpr. Krzysztof Wiatrowski, chor. Mieczysław

durze, ale tym razem będzie miał ręce i nogi spięte kajdankami: „Kultywuję dobre tradycje jednostki, cieszę się, gdy na starcie spotykam takich ludzi, jak pułkownicy Sławomir Drumowicz czy Robert Szczeszek. Gdy służyłem w kompanii, byli młodymi oficerami. Razem ganiailiśmy po lasach. Teraz są »szuchami« w wojskach specjalnych, a nadal startują w zawodach militarnych”.

Uroczystość rozpoczyna się dokładnie w południe i trwa długo, bo jest okazją do uhonorowania przyjaciół i sojuszników.

Jest również czas na takie przemówienia: „Ciesz się to, że czerwony берет ciągle coś znaczy, że obok nas pojawiła się młodzież chętna do szkolenia i kultywowania tradycji Commando. Jeżeli choć w jakimś stopniu stanowimy dla nich inspirację, to możemy sobie powiedzieć, że warto było ponosić trudy służby w tej szczególnej formacji. Kiedyś, przed laty, nasi żołnierze działali skrycie i w osamotnieniu. By odnosić sukcesy, musieli, mówiąc trochę żartobliwie, niedoskonałości sprzętu nadrobić odwagą. Dzisiaj funkcjonują w gronie niezliczonych przyjaciół i sympatyków, a ich sukcesy są możliwe dzięki wsparciu dowództwa i kadry 23 Śląskiego Pułku Artylerii, 10 Brygady Kawalerii Pancernej, Wojskowej Komendy Uzupełnień w Bolesławcu i Centralnego Ośrodka Szkoleń Specjalistycznych Straży Granicznej w Lubaniu”. Lista przyjaciół i sojuszników jest imponująca...

HISTORYCZNE ZWIERCIADŁO

Niezwykłą atmosferę spotkaniu nadają młodzi ludzie w mundurach, z uzbrojeniem i rynsztunkiem z czasów, gdy 62 Kompanią Specjalną dowodził mjr Andrzej Żdan. Członkowie Grupy Rekonstrukcji Historycznej „Commando 62” ze Świdnicy, prowadzonej przez Marcina Matejkę, sami siebie nazywają wprawdzie niedzielnym wojskiem, ale w swoich działaniach wzorują się na komandosach. Czują też klimat tamtych czasów, bo kiedyś, jeszcze jako członkowie Związku Strzeleckiego „Strzelec”, uczestniczyli w szkoleniach organizowanych przez żołnierzy 56 i 62 Kompanii Specjalnej.

czas towarzyszyła nam fascynacja 1 Samodzielną Kompanią Commando, dowodzoną przez kpt. Władysława Smrokowskiego. Nasz syn nie mógł zatem dostać innego imienia”.

Z MŁODYM POKOLENIEM

Duszą spotkania i motorem wydarzeń na bolesławieckim zlocie jest st. chor. Bogdan Fiałkowski, wiceprezes Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy 62 Kompanii Specjalnej Commando. Za czasów mjr. Andrzeja Żdana przez dziewięć lat dowodził grupą specjalną, a dziś trudno byłoby powiedzieć, że jest w rezerwie. Nadal dba o dobrą sławę swej jednostki i nieustannie służy siłom zbrojnym: „Kiedyś szkoliliśmy się w dalekim rozpoznaniu i dywersji, a dziś pracujemy z młodzieżą”. W kwietniu i maju 2014 roku na ośmiu obozach organizowanych przez komandosów posmakowało wojskowego życia pół tysiąca młodych ludzi z całej Polski, głównie ze szkół o profilu wojskowym.

Pięciodniowy program obejmował pokonywanie wojskowego toru przeszkód OSF, musztre, regulaminy, strzelanie z różnego rodzaju broni, marszbieg z przeszkodami, wspinaczkę na skałkach pod Bolesławcem, prowadzoną przez instruktorów 10 Brygady Kawalerii Pancernej i Straży Granicznej, spływy Bobrem lub Kwisą. Zdaniem Fiałkowskiego, najważniejsze w tych spotkaniach było wskazanie młodzieży drogi do służby wojskowej.

Według długofalowego planu komandosi pracują z 16 szkołami o profilu wojskowym. Wspierają ich partnerzy, z którymi podpisali umowy, między innymi 11 Dywizja Kawalerii Pancernej i jej jednostki, Żandarmeria Wojskowa czy Straż Graniczna.



Pplk Andrzej Żdan nie przypomina sobie, żeby któryś z żołnierzy kompanii skarżył się na ciężką służbę.

I Cross Commando o Statuetkę Brunatnego Misia rusza na trasę sławnej „normy taktycznej numer 13”.

Z kolei Grupa Rekonstrukcji Historycznej 1 Samodzielnej Kompanii Commando przy Klubie Żołnierzy Rezerwy Ligi Obrony Kraju w Swarzędzu w historię sięga znacznie głębiej. Przemysław Kapturski, niejako podwójnie mundurowy, bo służbowo policjant, a prywatnie szef zespołu, przyjechał na zlot jeepem willisem w towarzystwie żony Magdaleny i syna Władysława: „Zaczynaliśmy, gdy w Polsce nikt jeszcze nie słyszał o rekonstrukcji historycznej. Wychowaliśmy się między innymi na »Żołnierzu Polskim«, na surwiwalu militarnym. Cały

Przedsięwzięcie jest mnóstwo, trudno wyliczyć wszystkie: rozgrywają mistrzostwa klas o profilu wojskowym i Narodowych Sił Rezerwowych, manewry Polskiego Czerwonego Krzyża, imprezy dla Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Miśkach poza Granicami Kraju. Na poligonie żagańskim prowadzili centralny zlot klas o profilu wojskowym. Co z tej pracy wynika? Fiałkowski twierdzi, że efekty są wymierne: „W 2013 roku po zawodach NSR-u 15 żołnierzy znalazło etaty w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej, 23 Pułku Artylerii, 5 Pułku Artylerii →

STOWARZYSZENIE BYŁYCH ŻOŁNIERZY 62 KOMPANII SPECJALNEJ COMMANDO

Przed 20 laty, akurat gdy w 56 i 62 Kompanii Specjalnej budowano załóżki zawodowstwa, tworzone nowe programy szkolenia, wzorując się na najnowocześniejszych formacjach specjalnych świata, przyszedł zupełnie niezrozumiały, budzący sprzeciw i oburzenie rozkaz likwidacji tych elitarnych jednostek. W obronie 62 Kompanii Specjalnej Commando wystąpili weterani 1 Samodzielnej Kompanii Commando. Bohaterowie spod Monte Cassino pisali protesty do ministra obrony narodowej, zapowiadali nawet marsz na Belweder. Chcieli ochronić jednostkę, która całkiem niedawno przejęła ich imię, symbolikę i tradycje. Nic nie pomogło, wydawało się, że bezpowrotnie przechodzi do historii.

Tak też się stało, ale jedynie formalnie, gdyż każdego roku w Bolesławcu, w pierwszą sobotę września, w samo południe, pod pomnikiem upamiętniającym poległych żołnierzy 1 Samodzielnej Kompanii Commando i zmarłych żołnierzy 62 Kompanii Specjalnej Commando, stawiają się żołnierze i sympatycy elitarniej jednostki komandosów. Dowódca ppłk Andrzej Żdan odbiera meldunek, zebrani podczas uroczystego apelu oddają cześć poległym żołnierzom i zmarłym kolegom, a następnie defilują rocznikami przed swym dowódcą.

Bolesławięccy komandosi są nadal w służbie – od lat konsekwentnie organizują szkolenia i obozy przygotowujące młodzież do wstąpienia w szeregi armii. Ppłk Andrzej Żdan, dowódca, który stworzył legendę jednostki, a obecnie prezes Stowarzyszenia Byłych Żołnierzy 62 Kompanii Specjalnej Commando, mówi z satysfakcją i właściwą sobie przekorą: „Powiedzieliśmy sobie, że kompanii nigdy nie damy rozwiązać”.

w Sulechowie. Nie chodzi jednak o statystyki, lecz wychowywanie młodego pokolenia do służby wojskowej”.

OBIEG ZAMKNIĘTY

Współorganizatorem spotkania, a także partnerem w kontynuowaniu dzieła 62 Kompanii Specjalnej jest kolejny żołnierz mjr. Żdana, st. sierż. Jan Kusek, szef Stowarzyszenia Spadochroniarzy „Trawers” i Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej w Złotoryi. Jan Kusek w bazie lotniczej Baryt ma na jej potrzeby między innymi dwie strzelnice, lądowisko, trzy samoloty, sześć samochodów pancernych, 100 karabinów. Organizuje obozy – spadochronowy, nurkowy, górski – w których uczestniczy młodzież z całej Polski, ale, jak zastrzega: „Tylko ci, którzy bardzo chcą, bo wybieramy uczestników według następujących kryteriów: motywacja, sprawność fizyczna, odpowiedzialność. Nowy człowiek musi być również zaakceptowany przez resztę towarzystwa. Prowadzimy szkolenie ratownicze i wojskowe, więc śmieją się z nas, że w dni parzyste uczymy ratować, a w nieparzyste zabijać”.

Jednostka jest w Krajowym Systemie Ratowniczo-Gaśniczym (KSRG) jako formacja ochotnicza i pełni całodobowe służby (zawsze trzech ratowników i pilot na dyżurze). Działają w sile plutonu, trzy sekcje – ratownictwa specjalnego, ratownictwa medycznego i sekcje poszukiwań lotniczych. Są używani do różnego rodzaju zdarzeń. Najwięcej działają jako pogotowie ratunkowe, w systemie ratownictwa medycznego.

Jan Kusek, podobnie jak to było w kompanii, stawia na atrakcyjność i elitarność: „Członek zespołu za nic nie płaci, dostaje wszystko – od butów po beret, ale musi się wykazać. Podstawą dobrej zabawy jest marsz na 100 km w czasie jednej doby, bez jedzenia i picia, z wojskowym obciążeniem. Jeden z dziesięciu adeptów ma szansę na pełne szkolenie – zostaje pletwonur-

kiem, skoczkiem, ratownikiem. Musi biegać i strzelać, a jeszcze do tego być porządnym facetem”. Jego wychowankowie idą do szkół wojskowych, do policji i innych służb mundurowych. Ma też „swoich” ludzi w GROM-ie, w jednostce w Lublińcu, w Agacie. Ale na tym nie koniec: „Kilku chłopaków, którzy poszli od nas do doborowych jednostek, zakończyło służbę. Wrócili, i jako instruktorzy odrabiają to, co w nich zainwestowaliśmy. W pewien sposób powstał obieg zamknięty”.

WYMAGAJĄCY DOWÓDCA

Ppłk Andrzej Żdan dowodził jednostką 12 lat, czyli najdłużej ze wszystkich dowódców. Był znakomitym sportowcem, twardym żołnierzem i dowódcą wymagającym najwięcej od samego siebie. Nic więc dziwnego, że do dziś jest to postać owiana legendą. Podczas bolesławieckiego spotkania mówi o tym jakby z lekkim zdziwieniem: „Z tą legendą to jest przesada. Ludzie byli dobrzy... i są nadal. Widać to przecież. Na zlot przyjechało wielu chłopców, którzy w tym wszystkim brali udział. Praca z nimi to była przyjemność”. A co do twardych metod szkolenia... „Lubiłem wysiłek fizyczny, sport, myślałem, że im się też podoba. Nigdy przecież się nie skarżyli”.

Jan Kusek na temat twardego szkolenia u mjr. Żdana mówi wprost: „Przeklinaliśmy go, nienawidziliśmy, a teraz Kochamy. Zaszczycem było służyć w tej kompanii, dawać sobie radę. U nas był inny rodzaj ludzi, bardzo twardych, byliśmy szkoleni w sposób naruszający wszelkie zasady humanitaryzmu. Wynawialiśmy zasadę – nie ma zadania nie do wykonania”.

Bogdan Fiałkowski dopowiada: „Nasz dowódca pozostał twardym żołnierzem. Wprawdzie mieszka daleko od Bolesławca, koło Lubaczowa, w swoich rodzinnych stronach, ale cały czas rękę trzyma na pulsie wydarzeń. Mogę więc powiedzieć, że nadal służy u Żdana. ■



GRUPA LOTOS

Morski bombowiec

Z Bałtyku wydobyto amerykański samolot z czasów II wojny.

Na wrak natrafili wiosną zeszłego roku pracownicy Instytutu Morskiego w Gdańsku. W trakcie prac pomiarowych około 4 km od Rozewia znaleźli na głębokości 14 m rozbity samolot **Douglas A-20**. W akcji podniesienia wraku wzięły udział Narodowe Muzeum Morskie w Gdańsku, marynarka wojenna oraz firma Lotos Petrobaltic. Maszyna jest w bardzo dobrym stanie, brakuje jej tylko przedniego stanowiska strzelca i części ogonowej. We wnętrzu znaleziono urządzenie pokładowe, słuchawki pilota i radio. Douglas A-20 to zabytek unikatowy. Choć wyprodukowano bli-

sko 7,5 tys. takich samolotów, do dziś zachowało się jedynie kilkanaście, a w Polsce nie było dotąd żadnego. Na początku II wojny Douglas A-20 był podstawowym lekkim bombowcem armii USA. Od 1942 roku wykorzystywało go także lotnictwo sowietkie, gdzie trafiał w ramach programu „Lend-Lease”. Znalaziona w Bałtyku maszyna należała właśnie do armii ZSRR. Najpewniej samolot wodował na skutek awarii, po czym zatonął. Zabytek trafi do krakowskiego Muzeum Lotnictwa Polskiego, gdzie po konserwacji zostanie zaprezentowany zwiedzającym. ŁZ

Wojenne ślady

Muzeum Wojska Polskiego ogłosiło konkurs dla miłośników historii.

Jeśli znasz miejsca, w których rozgrywały się zmagania I wojny światowej, opisz je w formie reportażu i wyślij do Muzeum Wojska Polskiego na konkurs „Śladami Wielkiej Wojny”. Ogłoszony przez tę placówkę konkurs z okazji przypadającej w tym roku 100. rocznicy wybuchu I wojny jest okazją do przypomnienia miejsc związanych z wydarzeniami z tamtych czasów na ziemiach polskich. Reportaże w formie zdjęć, filmów, prac plastycznych czy literackich można nadsyłać do 31 sierpnia 2015 roku, a rozstrzygnięcie konkursu zaplanowano na 30 września przyszłego roku. Najciekawsze prace zostaną opublikowane na stronie muzeum, a ich autorzy otrzymają nagrody. AD

Krzyżackim tropem

Grunwald, Lidzbark Warmiński, Frombork, Malbork, Golub-Dobrzyń i Toruń odwiedzili pomocnicy dowódców do spraw podoficerów oraz mężowie zaufania z Dowództwa Garnizonu Warszawa i podległych jednostek. Podróż była okazją do przypomnienia wydarzeń z czasów konfliktu polsko-krzyżackiego, poznania architektury fortyfikacji, zamków i gotyckich kościołów. Ostatnim akcentem kilkudniowej wycieczki stała się wizyta w Muzeum Artylerii w Toruniu. AD

II wojna na planszy

Stań na czele polskich żołnierzy walczących z III Rzeszą.

Pokierowanie polskimi siłami zbrojnymi na obczyźnie oraz konspiracją w kraju, reprezentowanymi między innymi przez Antoniego Chruściela,

Augusta Fieldorfa, Stanisława Maczka, Jana Piwnika czy Elżbietę Zawacką, to zadanie osób uczestniczących w nowej grze strategicznej wydawnictwa Fabryka Gier Historycznych. Planszowa gra „First to Fight” Adama Kwapińskiego i Michała Sieńko opowiada o losach polskich żołnierzy walczących na wszystkich frontach II woj-



ny – od członków Armii Krajowej, przez żołnierzy gen. Władysława Andersa, po lotników w Wielkiej Brytanii. Gracze wcielają się w członków Sztabu Naczelnego Wodza i zarządzają polskimi jednostkami w walce przeciwko III Rzeszy. Gra pozwala nie tylko na dobrą zabawę, ale też przypomnienie sobie mniej znanych osób i epizodów z II wojny. AD



POD NASZYM PATRONATEM

POD NASZYM PATRONATEM

Wystawa i album „Polski Afganistan”

Misja ISAF w Afganistanie dobiega końca. Żołnierze wracają do domów, wojsko do koszarowego życia. „Nie ma nic dobrego w wojnie. Z wyjątkiem jej końca” – stwierdził niegdyś Abraham Lincoln. Trudno nie przyznać mu racji, choćby z prostej przyczyny. „Nikt z naszych bliskich już nie zginie, nikt nie zostanie ranny; ostatni dzień obecności polskich żołnierzy w tym kraju będzie dla mnie okazją do świętowania” – napisała na blogu „zAfganistanu.pl” matka jednego z wojskowych.

Zostaną wspomnienia, także w postaci zdjęć. W prywatnych żołnierskich archiwach są ich setki tysięcy, jeśli nie miliony. My, razem, mamy ich ponad 20 tys.

W latach 2004–2013 osiem razy odwiedziliśmy stacjonujących w Afganistanie Polaków. Najbardziej interesowała nas codzienna służba szeregowych żołnierzy z oddziałów bojowych. To z nimi dzieliliśmy nudę wyczekiwania, euforię akcji, strach przed śmiercią i żalobę po utracie kolegów. Staraliśmy się wszystko utrwalić na zdjęciach. Na potrzeby albumu i towarzyszącej mu wystawy musieliśmy wybrać niewiele ponad sto fotografii. Niewdzięczne zadanie, także dlatego, że pragnąc ukazać grozę wojny, nie chcieliśmy jednocześnie epatować dosłownością. W naszych zasobach są zdjęcia powstałe tuż po wybuchach min pułapek, przedstawiające martwe bądź potwornie okaleczone osoby, ale nie będziemy ich eksponować. Ofiary nie były postaciami z filmów czy gier – to prawdziwi ludzie, zasługujący na szacunek.

Nie bez powodu nadaliśmy projektowi tytuł „Polski Afganistan”. Na naszych zdjęciach widać surowe piękno tego kraju. Bohaterami są jednak żołnierze, przedstawieni tak, by odbiorca uzyskał jak najpełniejszy obraz polskiego zaangażowania w afgański konflikt. ■

MARCIN OGDOWSKI,
MARCIN WÓJCİK

Wernisaż otwierający wystawę i premiera albumu odbędą się 27 listopada w krakowskiej galerii Pauza. Patronat honorowy nad wystawą objęli wicepremier, minister obrony narodowej oraz Stowarzyszenie Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju.

Powietrzne zdjęcia

Znamy zwycięzców V Festiwalu Filmów Lotniczych.

Film Krzysztofa Włostowskiego „Podniebni malarze”, o Zespole Akrobacyjnym „Biało-Czerwone Iskry”, zdobył Grand Prix V Międzynarodowego Festiwalu Filmów Lotniczych „Fly Film Festival”. Podczas prezentacji w Warszawie widzowie obejrzeli kilkanaście filmów z całego świata, wybranych przez organizatorów spośród około 300 zgłoszonych. Nagrody za najlepsze zdjęcia lotnicze oraz najlepszą produkcję amatorską otrzymał Sebastian Kawa za etudy filmowe z lotów szybowcowych nad Himalajami. Za najlepszy obraz fabularny uznano przygodowy „Lot Feniksa” Johna

Moora. Prezentuje on losy załogi samolotu dostawczego, która rozbiła się na pustyni Gobi. Najlepszym dokumentem okazał się „Sięgać po gwiazdy” Grzegorza Kasperka i Pawła Paterka, opowiadający o Adamie Przekopie, który w ośrodku NASA pracuje nad nowymi technologiami, służącymi budowie pojazdów kosmicznych. „Celem naszego festiwalu jest integracja pasjonatów awiacji, a także filmowców, którzy swoją twórczość poświęcili tematyce lotniczej”, tłumaczy Amanda Rutkowska z komitetu organizacyjnego. „Polska Zbrojna” była patronatem medialnym imprezy. A D ■

Pani generał z brązu

Elżbieta Zawacka „Zo”, emisariuszka rządu polskiego w Londynie i jedyna kobieta wśród cichociemnych, wielokrotnie podczas II wojny przekraczała granice, przenosząc tajne meldunki. Pracowała też w Szefostwie Wojskowej Służby Kobiet Komendy Głównej Armii Krajowej. Po wojnie

założyła Fundację Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej i Wojskowej Służby Kobiet w Toruniu, badając dzieje Armii Krajowej i rolę kobiet w konspiracji. W 2006 roku Elżbieta Zawacka została drugą po Marii Wittek, szefowej Wojskowej Służby Kobiet AK, kobietą generałem w polskiej armii. Teraz pomnik pani generał stanął na toruńskim Starym Mieście przed siedzibą jej fundacji. Autorem brązowej rzeźby jest toruński artysta Tadeusz Porębski. A D ■

Spadochroniarskie rocznice

Związek Polskich Spadochroniarzy (ZPS), najstarsze i najliczniejsze stowarzyszenie miłośników spadochroniarstwa w naszym kraju, obchodzi w tym roku podwójną rocznicę: **25-lecie utworzenia organizacji** oraz 15-lecie przystąpienia do Związku Europejskich Spadochroniarzy (UEP).

Wśród 4 tys. członków ZPS, zrzeszonych w około 20 oddziałach, są zarówno kombatancki i weterani polskich jednostek spadochronowych, jak i współcześni żołnierze 6 Brygady Powietrznodesantowej, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej czy jednostek specjalnych. W szeregach nie brakuje również utytułowanych mistrzów sportu spadochronowego, jak chociażby Józefa Łuszczki, czy kpt. Moniki Sadowy-Naumieni.

Jak informował obszernie w swym wystąpieniu podczas centralnych ob-

chodów rocznicy w Jabłonnej prezes ZPS gen. dyw. w st. spocz. Jan Kempa, związek organizuje wiele imprez mających na celu popularyzację spadochroniarstwa, jest też łącznikiem między tradycją a współczesnością. Stawia również na bliską współpracę z wojskiem poprzez popularyzację służby w elitarnych jednostkach, w szczególności w wojskach powietrznodesantowych

Święto Spadochroniarzy przypada 23 września – w dniu powołania w 1941 roku w Szkocji przez naczelnego dowódcę Sił Zbrojnych RP I Samodzielnej Brygady Spadochronowej. ■



Cywile patrzą na wojnę

Losom zwykłych Polaków podczas kampanii wrześniowej poświęcono wystawę czasową przygotowaną przez Muzeum II Wojny Światowej. Prezentowana w Muzeum Narodowym w Szczecinie ekspozycja „A więc wojna...! Losy ludności cywilnej w 1939 roku” przedstawia też dzieje ludności do końca 1939 roku, czyli w pierwszym okresie okupacji. Dzięki około stu eksponatom i dokumentom oraz niepublikowanym zdjęciom ukazano tragedię cywilów ginących podczas ostrzału, bombardowań oraz ich exodus przed wkraczającymi do Polski obcymi wojskami. Wystawa opowiada również o działalności w tych dniach polskich służb, między innymi medycznych, straży pożarnej i policji. Ekspozycję będzie można oglądać do 11 stycznia 2015 roku. A D ■

POD NASZYM PATRONATEM

Wojskowy Instytut Medyczny
zaprasza na konferencję

„Damage Control Surgery”

21–22 listopada 2014 roku

Międzynarodowa konferencja „Damage Control Surgery – od pola walki do centrum urazowego” odbywa się w ramach obchodów 50-lecia Centralnego Szpitala Klinicznego Ministerstwa Obrony Narodowej. Spotkanie będzie debatą nad najważniejszymi problemami, dylematami i wyzwaniem, przed którymi stoją osoby tworzące system opieki nad chorym po urazie. Połączy ona najnowsze doniesienia naukowe z doświadczeniami praktyków, nabytymi bezpośrednio w szpitalach w Polsce, Iraku i Afganistanie. Pokaże również punkty widzenia osób odpowiedzialnych za budowę, funkcjonowanie i finansowanie elementów systemu.

Podczas konferencji odbędą się wykłady zaproszonych ekspertów z kraju i zagranicy, dyskusje okrągłego stołu i prezentacje plakatowe. Omówione zostaną następujące tematy:

- ✦ damage control w zaopatrywaniu obrażeń okolic ciała i układów;
- ✦ postępowanie w oparzeniach;
- ✦ wstrząs krwotoczny i postępy w transfuzjologii klinicznej;
- ✦ anestezja i intensywna terapia w ciężkich obrażeniach ciała;
- ✦ doświadczenia i postępy medycyny wojskowej;
- ✦ zespół urazowy, algorytm diagnostyczno-terapeutyczny, rejestr chorych po urazach;
- ✦ przedszpitalne działania ratunkowe w obrażeniach ciała;
- ✦ organizacja systemu opieki nad chorym po urazie – doświadczenia polskie i międzynarodowe;
- ✦ pielęgniarstwo ratunkowe w opiece nad chorym po urazie.

Honorowy patronat nad konferencją objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej
Bronisław Komorowski.

„Polska Zbrojna” objęła konferencję patronatem medialnym.

Prawie jak komandosi

Ppor. Daniel Bartoszek zwyciężył w Memoriale I Dowódcy JW GROM. W sportowych zawodach o profilu militarnym, których celem było uczczenie pamięci gen. Sławomira Petelickiego, oficer pokonał 50 innych pasjonatów sił specjalnych z całego kraju. Zawodnicy musieli zmierzyć się z torem przeszkód, biegiem przełajowym, pływaniem w pełnym umundurowaniu, skokiem do wody z zawiązanymi oczami oraz strzelaniem bojowym. Najlepszą drużyną okazała się reprezentacja Wojskowej Akademii Technicznej. Imprezę w Warszawie zorganizowali byli żołnierze GROM-u skupieni w Grupie Reagowania AntyKryzysowego (GRAK). A D ■



ANNA DĄBROWSKA

Gwiazdy i pepesza

To jeden z bardziej tajemniczych wojskowych cmentarzy w Polsce.

W latach trzydziestych XX wieku, kiedy tereny dzisiejszego województwa zachodniopomorskiego stanowiły część III Rzeszy, koło niewielkiej wsi Linde rozpoczęto budowę wojskowego kompleksu. Niemieckie władze wykupiły okoliczne tereny i po wysiedleniu stamtąd mieszkańców przeznaczyły je na ogromny, liczący 18 tys. ha poligon. Do 1938 roku powstało też militarne miasteczko, w którym ulokowano koszary oraz Szkołę Artylerii Wehrmachtu. Cały kompleks, nazwany Gross Born, otworzył oficjalnie 19 sierpnia 1938 roku Adolf Hitler.

PRAWIE JAK AFRYKA

Rok później w garnizonie sformowano pancerny XIX Korpus pod dowództwem gen. Heinza Guderiana, który na tutej-

szym poligonie przygotowywał się do napaści na Polskę. Przed świtem 1 września 1939 roku siły te ruszyły na nasz kraj. W latach wojny w Gross Born, podobnie jak na Pustyni Błędowskiej, ćwiczył niemiecki korpus ekspedycyjny feldmarszałka Erwina Rommla przed wyruszeniem do Afryki.

Niedaleko należącego do wojskowego kompleksu miasteczka Westwalenhof (dziś Kłomino) jesienią 1939 roku Niemcy założyli obóz przejściowy dla jeńców. Wkrótce potem przekształcono go w obóz dla szeregowych, a od czerwca 1940 roku – dla oficerów. W oflagu II D przetrzymywano jeńców francuskich i polskich. Po upadku powstania warszawskiego trafiło tutaj wielu oficerów Armii Krajowej.

Na początku 1945 roku dowództwo Wehrmachtu sformowało w garnizonie dwie dywizje złożone ze słuchaczy i wykładowców tutejszej szkoły artylerii. Ich zadaniem była obro-

na przebiegających w pobliżu umocnień Wału Pomorskiego przed nacierającą Armią Czerwoną. Walki o przełamanie linii obrony trwały od początku lutego do pierwszej dekady marca. Samo militarne miasteczko zostało zajęte bez większych walk i dzięki temu przetrwało prawie bez zniszczeń.

MAŁA ROSJA

Wykorzystało to dowództwo Armii Czerwonej i po wojnie ulokowało w poniemieckim kompleksie, nazwanym Borne Sulinowo, bazę 6 Witebsko-Nowogrodzkiej Gwardyjskiej Dywizji Zmechanizowanej, należącej do Północnej Grupy Wojsk, stacjonujących w Polsce. Cały teren garnizonu wraz z poligonem wyłączono z polskiej administracji. Zamknięty wojskowy kompleks podlegał jurysdykcji ZSRR, był pilnie strzeżony i tak tajny, że nazwy miejscowości nie umieszczano na mapach.

Stacjonujące tu siły tworzyły jeden z największych garnizonów radzieckich wojsk w naszym kraju. Były w Bornem Sulinowie między innymi jednostki zmechanizowane, rakietowe, pułki czołgów i artylerii, mieścił się tu też ogromny skład paliwa. Nie wiadomo, ilu dokładnie żołnierzy ulokowano w całym kompleksie. Kiedy w październiku 1992 roku Rosjanie opuszczali nasz kraj, szacowano, że z Bornego wyjechało około 15 tys. żołnierzy.

Zostały po nich opuszczone bloki, składy paliw, budynki koszarowe, garaże oraz tajemniczy cmentarz, założony po wojnie w lesie przy drodze wiodącej z Bornego do Szczecinka. Rosjanie nie zdecydowali się wykorzystać do pochówków istniejącej już wojennej nekropolii, powstałej w czasie II wojny koło pobliskiej wsi Krągi. Spoczęły tam prochy żołnierzy Armii Czerwonej poległych w walkach o Wał Pomorski.

Zmarłych chowano na powojennym cmentarzu radzieckim od jego założenia w 1945 roku, aż do wycofania się z naszego kraju Armii Czerwonej w 1992 roku. Spoczywają tutaj niżsi rangą wojskowi, członkowie ich rodzin oraz cywile pracujący w bazie Borne i pobliskim radzieckim garnizonie w Szczecinku. Część z nich zmarła z powodu chorób, inni zginęli w wypadkach podczas ćwiczeń i służby.

Ciała oficerów, zgodnie z radziecką tradycją, transportowano do kraju i tam chowano. Były jednak wyjątki od tej reguły, czego dowodzi grób 26-letniego por. Aleksandra Kopasowa. Większość mogił pochodzi z lat 1945–1967. Po 1970 roku, jak wynika z napisów, chowano tutaj głównie dzieci. Od tego czasu wzniesiono 23 małe nagrobki.

POMNIK SZEREGOWEGO

Co ciekawe, aż 146 z 344 mogił w Bornem jest opatrzonych napisem „nieizwiestnyj”, czyli nieznanymi. Także w aktach cmentarnych nie ma żadnej wzmianki o danych pogrzebanych tam osób ani o dacie ich śmierci. Według badaczy i historyków są to zapewne groby dezertów, których w armii radzieckiej pozbawiano za karę nie tylko życia, ale też nazwiska, a wszelkie informacje o uciekinierach usuwano z ewidencji jednostki.

Część nagrobków ozdobiono radziecką gwiazdą, inne pomalowano czerwona farbą. Największe wrażenie robi jednak

stojący niedaleko wejścia kolorowy pomnik z monstrealną ręką, trzymającą w triumfalnym zwycięskim geście wzniesioną do góry pepeszę, czyli radziecki pistolet maszynowy z czasów II wojny. To grób 20-latką, szer. Iwana Paddubnego, który zginął w 1946 roku.

Nie wiadomo dokładnie, jakie były okoliczności śmierci żołnierza. Mieszkańcy twierdzą, że należał do bandy, która po wojnie rabowała okoliczne gospodarstwa polskich osadników. Rosjanie traktowali te ziemie jak tereny okupowane, a cywilną własność uważali za wojenny łup. Któregoś dnia grupa czerwonoarmistów miała się wyprawić do wsi Krągi, gdzie ograbiła z dobytku mieszkańców. Żołnierze urządzili też strzelaninę, w której ranili i zabili kilkanaście osób.

Zdesperowani Polacy wezwali ponoć na pomoc ukrywających się w pobliskich lasach partyzantów. Między Rosjanami i Polakami wywiązała się bitwa, w której zginął Poddubnyj. Zgodnie z inną wersją polskimi oddziałami walczącymi wówczas z radzieckimi siłami byli żołnierze naszej jednostki stacjonującej w Szczecinku.

Z pewnością jednak według radzieckiej propagandy szeregowiec poległ w walkach z polskimi bandytami, kryjącymi się w okolicznych lasach. Dla uczczenia jego bohaterstwa Rosjanie postawili mu na skwerze w samym centrum miasta pomnik z pepeszą. Miał on symbolizować radziecką siłę i ostrzegać wrogów przed podnoszeniem ręki na ZSRR. Opuszczając Borne, żołnierze zabrali część swoich pomników, pepeszę jednak zostawili. Polacy w 1994 roku przenieśli monument na cmentarz i postawili go koło grobu szeregowego.

WÓDKA I PLUSZAKI

Wycofywanie wojsk radzieckich z Bornego Sulinowa rozpoczęło się 8 kwietnia 1991 roku, a ostatni transport żołnierzy z brygady raketowej wyjechał z tutejszej stacji 21 października 1992 roku. W połowie następnego roku polskie władze uroczyście otworzyły miasto, do którego zaczęli napływać nowi mieszkańcy.

W tym czasie opuszczony leśny cmentarz został zapomniany i zaczął popadać w ruinę. Zajęto się nim dopiero w 2007 roku, kiedy opiekę nad poradziecką nekropolią przejęły władze miasta. Przeprowadzono tu wówczas generalny remont, oczyszczono nagrobki i ścieżki, postawiono nowe ogrodzenie.

W tym samym czasie cmentarz został powiększony. Zgodnie z porozumieniem miasta z Radą Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przeniesiono tutaj ekshumowane szczątki sowieckich żołnierzy pochowanych wcześniej na likwidowanych cmentarzach w Kołobrzegu i Białogardzie. Od tego momentu nekropolia otrzymała nazwę Cmentarz Żołnierzy Północnej Grupy Wojsk Federacji Rosyjskiej i Ich Rodzin.

Dzisiaj zadbane i uporządkowane leśne cmentarz, leżący niespełna pół kilometra od zabudowań miasta, stał się jedną z atrakcji miasta. Odwiedzają go nie tylko turyści, lecz także mieszkańcy oraz rodziny pochowanych tu osób. Ci ostatni zostawiają na grobach znicze i kwiaty, a także, rosyjskim zwyczajem, szklanki wódki dla mężczyzn i pluszowe zabawki na mogiłach dzieci. ■

**PRAWIE POŁOWA
Z 344 MOGIŁ
W BORNEM
JEST
OPATRZONYCH
NAPISEM
„NIEIZWIESTNYJ”,
CZYLI
NIEZNANY**

POŻEGNANIA

Panu ppłk. Dariuszowi Godlewskiemu,
szefowi Wydziału Koordynacyjnego
Inspektoratu Rodzajów Wojsk,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Teściowej

składają inspektor, kadra i pracownicy
Inspektoratu Rodzajów Wojsk
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu płk. dypl. pil.
Ireneuszowi Nowakowi,
dowódcy 32 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Łasku,
wyrazy najgłębszego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają kadra dowódcza, żołnierze zawodowi
oraz pracownicy wojska
32 Bazy Lotnictwa Taktycznego.

Wyrazy serdecznego współczucia
ppłk. Zygmuntowi Janiakowi
z powodu śmierci

Żony Danuty

składają kadra i pracownicy
Komendy Garnizonu Wrocław.

Panu Jackowi Zalewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca oraz koleżanki i koledzy
z Dowództwa 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Wyrazy szczerego i głębokiego współczucia

Rodzinie oraz Najbliższym

z powodu śmierci

mjr. Marcina Żandarskiego

składają pracownik wojska oraz żołnierze z Placówki
Żandarmerii Wojskowej w Morągu.

Głębokim smutkiem napeliła nas wiadomość
o śmierci naszego długoletniego pracownika

Pana Jerzego Prosowicza.

Żonie i Najbliższym

słowa otuchy i wyrazy szczerego współczucia
składają komendant, żołnierze i pracownicy
109 Szpitala Wojskowego z Przychodnią SP ZOZ
w Szczecinie.

Naszemu Koledze

Łukaszowi Pałce

wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
z powodu śmierci

Mamy

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy
21 Batalionu Logistycznego.

Panu płk. rez.
Mirośławowi Pstrokońskiemu

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i żalu po śmierci

Brata

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Pułku Inżynieryjnego w Szczecinie.

Panu kpt. Markowi Pernalowi

wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Taty

składają dowódca oraz koleżanki i koledzy
z Dowództwa 9 Brygady Wsparcia Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu gen. dyw. Jarosławowi Mice

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego żalu z powodu śmierci

Teścia

składają przyjaciele – Zawiszacy
z 15 Giżyckiej Brygady Zmechanizowanej.

POŻEGNANIA

Kapral Magdalenie Bartosz

wyrazy głębokiego żalu i szczerę kondolencje
z powodu śmierci

Siostry

składają dowództwo, żołnierze i pracownicy wojska
Pułku Ochrony w Warszawie.

Naszej koleżance

Agnieszce Pudlak

z głębi serca płynące wyrazy żalu
i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają
dowódca, żołnierze oraz pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu gen. dyw. Jarosławowi Mice

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerę współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej.

Panu chor. Michałowi Cioskowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i szczerę żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają kierownictwo, kadra i pracownicy wojska
Szefostwa Służby Hydrometeorologicznej SZRP.

Panu gen. dyw. Jarosławowi Mice

oraz Jego Najbliższym

wyrazy szczerę współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają podoficerowie
20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej.

Z największym smutkiem i głębokim żalem przyjąłem
wiadomość o śmierci mojego serdecznego przyjaciela

chorążego Grzegorza Wyrwała,

żołnierza Jednostki Wojskowej Komandosów
w Lublińcu.

W imieniu własnym i mojej rodziny
składam wyrazy najgłębszego współczucia

Rodzinie Zmarłego.

Straciliśmy człowieka, dla którego słowa „Honor
i Ojczyzna” nie były pustym sloganem.

Mjr rez. Tomasz Burzyński wraz z rodziną

Wyrazy głębokiego żalu i szczerę współczucia

Panu ppłk. Piotrowi Michalakowi

oraz Jego Rodzinie

z powodu śmierci

Ojca

składają koledzy i koleżanki z Oddziału Wsparcia
Dowodzenia Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy szczerę współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Ojca

szefowi Oddziału Realizacji Budżetu i Analiz
Departamentu Budżetowego

ppłk. Dariuszowi Milczarkowi

i Jego Rodzinie

składają szef wraz z kadrami i pracownikami
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Panu ppłk. Zygmuntowi Janiakowi

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają kadra i pracownicy wojska
WSZW we Wrocławiu i KG Wrocław.

POŻEGNANIA

Naszemu Drogiemu Koledze
st. chor. szt. Krzysztofowi Kusalowi

oraz Jego Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Ojca

składają kierownictwo, kadra zawodowa i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych.

Wyrazy głębokiego współczucia

Panu kapitanowi Markowi Gwóźdź

w związku ze śmiercią

Mamy

składają szef oraz koleżanki i koledzy
z Wydziału Wychowawczego Dowództwa
16 Dywizji Zmechanizowanej.

Panu gen. bryg. Tomaszowi Drewniakowi

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy szczerego oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Zarządu Wojsk Radiotechnicznych
Inspektoratu Sił Powietrznych DGRSZ.

Panu chorążemu marynarki
Michałowi Rzeszotowi,

podoficerowi specjalście Wydziału Zobrazowania
i Nadzoru Przestrzeni Morskiej,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Mamy

składa dowódca Centrum Operacji Morskich
– Komponentu Morskiego
wraz z podległą kadram i pracownikami wojska.

Panu płk. Dariuszowi Milczarkowi

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Pani mł. chor.

Joannie Matyjaszyk-Szpot

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Babci

składają koledzy i koleżanki
z 1 Wojskowego Szpitala Polowego w Bydgoszczy.

Panu płk. Janowi Bartnickiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

w trudnych chwilach słowa wsparcia
oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerą kondolencję z powodu śmierci

Matki

składają kadra i pracownicy wojska
Zarządu Planowania Operacyjnego – P3
Sztabu Generalnego WP.

Panu majorowi Leszkowi Matysiakowi

oraz Jego Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

Panu majorowi Tomaszowi Brożynie

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy Biura
Koordynacyjnego Sztabu Generalnego WP.

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość o odejściu
naszej koleżanki

Aldony Jabłonowskiej,

wieloletniej pracownicy Inspektoratu Wojskowej
Służby Zdrowia.

Wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia

Mężowi oraz całej Rodzinie

składają szef, żołnierze zawodowi i pracownicy
Inspektoratu Wojskowej Służby Zdrowia.

POŻEGNANIA

Panu pułkownikowi rezerwy
Stanisławowi Wojtkiewiczowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy
Centrum Operacyjnego Ministra Obrony Narodowej.

Naszemu Koledze
Arturowi Wróblowi

i całej Rodzinie
wyrazy serdecznego współczucia
oraz słowa wsparcia w trudnych chwilach
po stracie

Taty

składają kierownictwo oraz koleżanki i koledzy
z Departamentu Prasowo-Informacyjnego MON.

Panu ppłk. Pawłowi Nowakowskiemu,

sędziemu Wojskowego Sądu Okręgowego
w Poznaniu,
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają sędziowie i pracownicy
Wojskowego Sądu Okręgowego w Poznaniu.

Panu mjr. Stanisławowi Szymczukowi

oraz Jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia
i szczerego żalu
z powodu śmierci

Teścia

składają szef, żołnierze i pracownik
Oddziału Gotowości Bojowej i Mobilizacyjnej
Dowództwa Generalnego RSZ.

Panu majorowi
Ireneuszowi Koseckiemu

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, kadra i pracownicy
Szefostwa Służby Uzbrojenia i Elektroniki
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Panu kapitanowi
Maciejowi Łysakowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Brata

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych
im. Hetmana Polnego Koronnego
Stefana Czarnieckiego.

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność”.
Emily Dickinson

Naszemu Drogiemu Koledze

ppłk. Marianowi Paczosowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym
słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerę kondolencje z powodu śmierci

Ojca

składają koleżanki i koledzy
z Zarządu Łączności i Informatyki – J6
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu starszemu chorążemu marynarki
Bogdanowi Oleskiemu,

podoficerowi specjalście Wydziału Zobrazowania
i Nadzoru Przestrzeni Morskiej,
wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składa dowódca Centrum Operacji Morskich
– Komponentu Morskiego
wraz z kadrą i pracownikami wojska.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 22 684 52 13,
22 684 52 30, 22 684 02 27; CA MON 845 213, 845 230, 840 227

NIE FILMUJ, BO CIĘ ZABIJĘ

Z Jerzym Ernstem o najwyższej cenie filmowania wojny rozmawia Andrzej Fąfara.

KRZYSZTOF WOJCIEWSKI

Jeździł Pan w miejsca konfliktów z własnej i nieprzymuszonej woli?

Nikt mnie nie wysyłał na siłę. Przyszedł kiedyś do mnie Waldek Milewicz [znany dziennikarz telewizyjny, autor relacji z krajów ogarniętych wojnami] i powiedział, że potrzebuje operatora do swoich wypraw. Waldek pracował wcześniej z kilkoma operatorami, ale postanowił coś zmienić. Zgodziłem się bez zastanowienia.

Więcej płacili?

Trochę więcej, a ściślej mówiąc, podwójną dniówkę plus dieta w wysokości 40 dolarów. Ale to nie miało dla mnie szczególnego znaczenia. Po prostu zadanie było ciekawe.

I niebezpieczne.

O tym w ogóle nie myślałem. Podchodziłem do tego tak: jedziemy, robimy materiał, wracamy. Nic złego nie może się wydarzyć. Tak samo traktował to Waldek i reszta ekipy.

Zaklinaliście rzeczywistość...

Można tak powiedzieć. Początkowo tych groźnych sytuacji nie było wiele. W porównaniu z tą, która potem wydarzyła się w Iraku, nie było o czym mówić. Debiutowałem przy Milewiczu w Czeczenii w 2003 roku. Przygarnęła nas ekipa niosąca pomoc humanitarną. Konieczny był taki kamuflaż, bo Rosjanie nie wpuszczali dziennikarzy i operatorów. Wziąłem małą kamerkę, którą schowałem do metalowego pudełka służącego do sterylizacji strzykawek. W pewnym momencie Rosjanie dostali cynk, że jesteśmy z polskiej telewizji i że poruszamy się gazikiem. Próbowali nas namierzyć, ale my tak szybko zmienialiśmy miejsca pobytu, że nie mieli szans. Kasety z nakręconym przez nas materiałem przesyłowały przez granicę zaprzyjaźnione Czeczenki.

Milewicz był zadowolony z pańskiej pracy?

Chyba tak, skoro wkrótce zabrał mnie ze sobą do Afganistanu. Jeździliśmy śladami Osamy bin Ladena. Byliśmy w pobliżu jaskiń Tora Bora, w których ukrywał się przywódca Al-Kaidy i jego najbliżsi współpracownicy. Nic groźnego wokół nas się nie działo. Tylko raz, kiedy filmowałem z góry grupę ludzi na koniach, zrobiło się niebezpiecznie. Któryś z jeźdźców zobaczył przez lornetkę, że mam kamerę. Kilku ruszyło galopem w naszą stronę, strzelając w powietrze na postrach. Byli w odległości około dwóch kilometrów. Uciekaliśmy po afgańskich wertepach z prędkością grożącą rozpadem samochodu.

Zdażył Pan poznać kraj, mieszkańców, zwyczaje?

Tylko trochę. Pamiętam, że nogi łóżek w hotelu, gdzie spaaliśmy, stały w słoikach z wodą. To chroniło przed insektami. Potworne wrażenie zrobiła na mnie bieda Afgańczyków, którzy mieszkali w małych lepiankach razem z owcami i psami. To były skutki nieustającej wojny toczącej się w tym kraju.

Podejmując współpracę z Milewiczem, musiał Pan być gotowy w każdej chwili do wyjazdu.

Walizka stała cały czas w domu spakowana. Decyzje o wyjazdach były rzeczywiście podejmowane błyskawicznie. Kiedy

w kolejce podmiejskiej w Madrycie nastąpił wybuch, w którym zginęło mnóstwo ludzi [11 marca 2004 roku], my już kilka godzin później byliśmy na miejscu. Podobnie było z Haiti, gdzie w marcu 2004 roku doszło do zamieszek. Natychmiast wsiedliśmy w samolot i wylądowaliśmy w Palm Beach na Florydzie. Problem był z dostaniem się stamtąd do Port-au-Prince. Pamiętam, że zgłosili się do nas Czesi i zaproponowali kurs swoim samolotem. Chcieli 25 tysięcy dolarów. Do spółki z 20 dziennikarzami z różnych krajów, którzy tak jak my czekali na lotnisku, dobiliśmy targu z nimi i poleciliśmy.

Zamieszki w Haiti, z tego co pamiętam, polegały głównie na walkach ulicznych.

Któregoś dnia filmowałem z balkonu to, co się działo na ulicy. Wtedy po raz pierwszy do mnie strzelano. Grupa ludzi demolowała wystawę sklepową, kino i stację benzynową. Któryś z nich zobaczył mnie z kamerą. Podbiegł w moją stronę i krzyknął: przestań mnie filmować, bo cię sk... zabiję. Był w odległości 30 metrów. Schowałem się za filarki balkonu i usłyszałem świst kul. Puścił w moją stronę serię z karabinu maszynowego.

Był Pan jakoś zabezpieczony? Miał pan kamizelkę kuloodporną albo hełm?

Hełm przeszkadza operatorowi w pracy. Mając go na głowie, nie da się patrzeć w wizjer kamery. Kamizelki kuloodpornych nie wzięliśmy, bo wydawało się nam, że nie będą potrzebne.

A w Iraku mieliście kamizelki?

Mieliśmy, ale o szczegółach powiem później. Do Iraku pojechaliśmy na początku maja 2004 roku, czyli w rocznicę zakończenia wojny [II wojny w rejonie Zatoki Perskiej]. Wydawało się nam, że nie ma jakiegogoś wielkiego zagrożenia. Nie było już działań wojennych, czego tu się bać. Z drugiej jednak strony wiedzieliśmy, że tak bezpiecznie do końca tam nie jest. Ja na przykład nie powiedziałem rodzinie, że jadę do Bagdadu. Mówiłem, że do Iranu. To była zresztą częściowo prawda, gdyż najpierw wylądowaliśmy w Teheranie, a dopiero stamtąd poleciliśmy do Bagdadu. Nie chciałem denerwować bliskich tym Irakiem, zwłaszcza że moja mama leżała akurat w szpitalu. Mieli o to do mnie żal.

Trudno im się dziwić. Kilka dni później otrzymali wiadomość, że jest Pan ciężko ranny...

Nie miałem na to wpływu, chciałem jak najlepiej. Wie pan, jest takie banalne stwierdzenie, używane często przez ludzi opisujących jakieś nieszczęście: nic nie zapowiadało późniejszej tragedii. Tak też było w naszym wypadku. Nie było żadnych znaków, żadnych przeczuć. Chociaż w samym Bagdadzie wyczuwało się napięcie. To było tuż po tym, jak świat obiegły zdjęcia Irakijczyków trzymanych na smyczy przez amerykańską panią sierżant. Cały świat arabski był wściekły na Amerykanów, a prawdę powiedziawszy, na wszystkich białych. Chcieliśmy pospacerować po mieście, ale Amerykanie nam odradzili. Zostaliśmy więc w hotelu, a następnego dnia wynajęliśmy samochód z kierowcą, żeby dostać się z Bagdadu do Nadżafu.



Jak się wynajmuje samochód z kierowcą w Iraku?

Jacek Czarnecki z radia RMF polecił tego człowieka Waldkowi Milewiczowi. Ten kierowca woził już wcześniej Polaków. Pamiętam, że miał na imię Atir. Wsiadliśmy więc do daewoo prince'a i ruszyliśmy w drogę. Ja, z kamerą, obok kierowcy, z tyłu, za kierowcą, montażysta dźwięku i obrazu Mounir Bouamrane, nazywany przez nas Mundim [syn Algierczyka i Polki], a za mną Waldek. Okazało się, że nie możemy jechać nową autostradą, bo jest zablokowana przez kolumnę wojsk amerykańskich. „To pojedziemy starą” – powiedział kierowca. I znaleźliśmy się na szosie, którą można by porównać do naszej „gierkówki” z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku [droga szybkiego ruchu Warszawa – Katowice, wybudowana w czasach, gdy I sekretarzem KC PZPR był Edward Gierek]. Dwie dwupasmowe jezdnie w obu kierunkach, a między nimi pas czerwonej, suchej ziemi. Ten pas z kolei był oddzielony od jezdni wysokimi krawężnikami. Chodziło o to, żeby kierowcy nie stwarzali zagrożenia i nie zawracali tam, gdzie im wygodniej.

Po co jechaliście do Nadzafu?

Waldek był z kimś umówiony. Mówił, że będziemy mieli dobry materiał.

Jedziecie więc iracką „gierkówką”...

Ruch w obie strony był spory. Skoro nową autostradę zablokowali Amerykanie, to wszyscy korzystali ze starej. Po drodze zatrzymaliśmy się w małej miejscowości, żeby kupić coś do picia. Kierowca zostawił nas w wozie i po jakimś czasie wrócił z wodą. Ten epizod daje mi dziś pewność, że kierowca nas nie zdradził. Gdyby tak było, to zastrzeliliby nas, kiedy siedzieliśmy sami w samochodzie. Wróciliśmy na trasę i po mniej więcej pół godzinie jazdy nastąpił atak na nasz samochód. Usłyszałem terkot strzałów, które zniszczyły deskę rozdzielczą. Strzelali do nas z tyłu. Nie wiedziałem wtedy, że siedzący za mną Waldek został trafiony trzykrotnie w plecy i już nie żyje. Mundi dostał w prawy biceps. Strasznie go to bolało, głośno krzyczał.

Zapytam jeszcze raz o kamizelki kuloodporne.

Ja miałem kamizelkę pod bawełnianą koszulką. Mundi i Waldek zostawili swoje w bagażniku.

Może kamizelka uratowałaby Milewiczowi życie?

Nie sądzę. To były lekkie kamizelki, powiedziałbym, że nożoodporne, a jeden z bandytów używał strzelby gładkolufowej, takiej, jakie mają na filmach policjanci amerykańscy.

Skąd Pan wie?

Bo widziałem napastników przez chwilę podczas drugiego ataku na nasz samochód.

To były dwa ataki?

Były trzy. Po pierwszym ataku, podczas którego zginął Waldek, przerażony Atir położył głowę na moich kolanach, jedną ręką trzymając kierownicę. Nie widział, co się dzieje na drodze. Nasz samochód, który w momencie ataku jechał lewym pasem, znalazł się na prawym.

Jak szybko jechaliście?

Początkowo 90–100 kilometrów na godzinę. Potem, jak zjechaliśmy na prawy pas, oczywiście wolniej. I wtedy napastnicy zrównali się z nami i zaatakowali ponownie. W tym momencie ich zobaczyłem. Jechali pick-upem. Z tyłu, na tak zwanej pace, stali dwaj z bronią i strzelali do nas. Widziałem też faceta z bronią obok kierowcy. Trwało to sekundy. Dodali gazu i wyprzedzili nas, a my znaleźliśmy się znowu na lewym pasie, uderzyliśmy w ten wysoki krawężnik i wylądowaliśmy na czerwonej ziemi rozdzielającej obie jezdnie. Potem okazało się, że przebili nam opony. Kierowca wyszedł na zewnątrz. Mundi też. Stał przy samochodzie i zaczął coś krzyczeć po arabsku. Ja powiedziałem tylko: „Waldek, uciekamy”. Ale nie mogłem otworzyć swoich drzwi, więc próbowałem wyczołgać się od strony kierowcy. Wtedy nastąpił trzeci atak. Pick-up niespodziewanie nadjechał z przeciwnej strony. Widocznie bandyci znaleźli gdzieś miejsce do zawrócenia. Mundiego trafili śmiertelnie w głowę. Ja dostałem w prawe przedramię, którym zastrącałem głowę. Przypadkowi ludzie wyciągnęli mnie z samochodu. Miałem włączoną kamerę i mimo poważnej rany filmowałem. Krzyczałem, żeby ratowali Waldka i Mundiego.

Kierowcy nic się nie stało?

Nic. To on zatrzymał jakiś samochód i kazał właścicielowi zawieźć mnie do szpitala. Pamiętam tego faceta jak dziś. Był przeraźliwie chudy, zarośnięty i przestraszony. Wjechaliśmy do pierwszego miasta po drodze i ten chudy Irakijczyk co chwila pytał, gdzie jest szpital. W końcu jakoś trafiliśmy, a tam chcieli mi amputować rękę, tak fatalnie to wyglądało. Zażądałem, żeby mnie zawieźli do bazy USA w tym mieście, ale okazało się, że Amerykanie mają tam tylko ambulatorium. Ostatecznie przetransportowali mnie helikopterem do szpitala w Bagdadzie. Wylądowałem na stole operacyjnym i Amerykanie uratowali mi tę rękę. Dopiero po operacji dowiedziałem się, że Waldek nie żyje.

Wrócił Pan od razu do kraju?

Najpierw mieli mnie zawieźć do Ramstein [do amerykańskiej bazy lotniczej w Europie]. Odlatywałem z Bagdadu z problemami. Przez cztery dni Amerykanie powtarzali mi: „Przykro nam, George, nie ma cię na liście”. W końcu ktoś dał mi telefon i zadzwoniłem do redakcji „Wiadomości”. Jolanta Pieńkowska, która miała dobre kontakty w ambasadzie USA, spowodowała, że znalazłem się wreszcie na tej liście.

Jak długo trwała rehabilitacja?

Ponad dwa lata. Okazała się na tyle skuteczna, że wróciłem do pracy. Znowu jestem w „Wiadomościach” w TVP, obsługuję sejm i różne ważne wydarzenia.

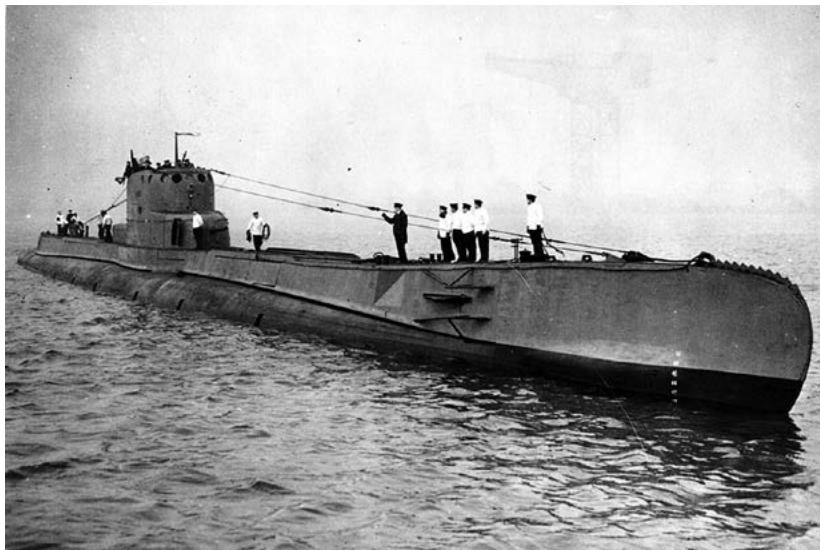
Wraca do Pana iracka tragedia?

To wspomnienie będzie ze mną już zawsze. Miałem więcej szczęścia niż Waldek i Mundi. Myślę często, że Waldek uratował mi życie. Gdyby nie siedział za mną, to te trzy kule zabiłyby mnie. ■

WIZYTÓWKA

JERZY ERNST

Jest operatorem telewizyjnym, współpracował z Waldemarem Milewiczem przy tworzeniu dziesięciu ostatnich odcinków cyklu „Dziwny jest ten świat”. Był poważnie ranny w rękę podczas ataku (Irak, 2004), w którym zginęli Waldemar Milewicz i montażysta Mounir Bouamrane.



Portrety wojenne

Opowieści drugowojenne

Cykl przedstawia wloty i upadki Coraz dziedzictwo kilku ważnych postaci II wojny światowej, między innymi kierowcy bojowego, żołnierza Oddziału Szturmowego „Parasol”, Bro-

niśława Brunona Hellwiga, dowódcy ORP „Orzeł” Jana Grudzińskiego oraz ministra spraw zagranicznych Józefa Becka. ■

12, 19, 26 listopada, godz. 23.55

TVP
HISTORIA

Poświęcając życie prawdzie

Specjaliści badający sprawę mordu w Katyniu

Dokument o Międzynarodowej Komisji Lekarskiej, powołanej przez Niemców do zbadania mordu w Katyniu. W jej skład weszło 12 lekarzy, specjalistów i ekspertów medycyny sądowej, którzy pochodzili z krajów zależnych od III Rzeszy. W kwietniu 1943 roku przeprowadzali sekcje zwłok zamordowanych w Katyniu polskich oficerów. Wszyscy złożyli podpisy pod dokumentem obwiniającym o dokonanie tej zbrodni ZSRR. Po wojnie, mimo gróźb,

szykan i oskarżeń o kolaborację z nazistami, większość członków komisji nie wyparła się swoich oświadczeń. Tylko dwóch, prof. František Hajek z Czech i prof. Marko Markow z Bułgarii pod groźbą kary śmierci zostało zmuszonych przez władze komunistyczne do odwołania podpisów. W wypadku pozostałych decyzja, którą podjęli, dramatycznie wpłynęła na losy ich rodzin. ■

22 listopada, godz. 21.35

TVP
HISTORIA

Koło historii. Wojenne przypadki płk. Mentla

Opowieść o losach prawie 100-letniego Emila Mentla, podchorążego Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, oficera 8 Pułku Ułanów i 1 Pułku Szwoleżerów. Po klęsce wrześniowej oficer przedostał się na Węgry,

a stamtąd do Syrii, gdzie powstawały polskie oddziały. Wraz z Pułkiem Ułanów Karpackich bronił Tobruku. Walczył pod Monte Cassino, Ankoną, Pesaro i Bolonią. ■

1 listopada, godz. 21.00

Brazylijska czerwień

Z gatunku płaszcza i szpady

Osadzona w XVI-wiecznych realiach opowieść o francuskiej ekspedycji na brazylijską wyspę położoną w zatoce Guanabara, niedaleko Rio de Janeiro. Francuzi usiłują założyć tam kolonię oraz nawrócić Indian na chrześcijaństwo. Szybko jednak dochodzi wśród nich do waśni i sporów na tle religijnym: między katolikami a kalwinistami. ■

18 i 25 listopada, godz. 22.40

TVP
HISTORIA

Prawo i pięść

Klasyka polskiego kina



Andrzej Kenig, były więzień obozu koncentracyjnego, po zakończeniu II wojny światowej zgłasza się na ochotnika do pracy u pełnomocnika rządu. Zostaje wysłany wraz z pięcioma innymi mężczyznami do pobliskiego uzdrowiska, by zabezpieczyć poniemieckie mienie i uruchomić sanatorium. Okazuje się jednak, że jego towarzysze są zorganizowaną bandą szabrowników. ■

2 listopada, godz. 21.00

TVP
HISTORIA

Historia Kowalskich

Tragedia Bronisławy i Adama Kowalskich, którzy za udzielenie pomocy żydowskim sąsiadom zapłacili najwyższą cenę: zginęli wraz z pięciorgiem swoich małych dzieci. 6 grudnia 1942 roku zostali zamordowani w opustoszałym majątku Ciepeliów. Esesmani za ukrywanie Żydów spalili także 27 innych Polaków. Sprawa mordu sprzed lat do niedawna była przemilczana. ■

17 listopada, godz. 23.35



ZAMKI

Śląska warownia

Malowniczo położony zamek kryje tajemnice hitlerowskiego skarbu.

Jest wiosna 1945 roku. Niemcy zaciekle bronią Wrocławia, zamienionego na rozkaz Adolfa Hitlera w miasto twierdzą. Wywożą też z niego najcenniejsze skarby, aby ukryć je przed Armią Czerwoną. Jednej nocy wojskowa ciężarówka, zapakowana dwoma ciężkimi skrzyniami, odjeżdża w kierunku odległego o około 100 km zamku Kynsburg. Na miejscu żołnierze wnoszą ładunek do tunelu wykopanego pod dziedzińcem. Potem wlot do niego zostaje zawalony i zamaskowany.

Takie informacje o hitlerowskim skarbie przysłał w latach dziewięćdziesiątych XX wieku do jednej z wrocławskich gazet Leonard von Schreck, podając się za niemieckiego sapersa, który uczestniczył w ukrywaniu skrzyń i zaminował do nich dostęp. Kierując się jego wskazówkami, do zamku, nazwa-

nego dziś Grodno, wyruszały już kilkakrotnie ekipy poszukiwaczy.

Jedną z nich prowadził Bogusław Wołoszański w swoim telewizyjnym programie „Skarby III Rzeszy”. Specjaliści przebadali georadarem teren zamkowego dziedzińca i murów wkoło niego. Znaleziono rumowisko, które może być zawalonym tunelem, a w piwnicy ślad po zasypianym wejściu. Na tym jednak poszukiwania się na razie zakończyły.

Opowieść o ukrytych skarbach wykorzystano Centrum Kultury i Turystyki w Walimiu, które jest gospodarzem zamku, podczas przygotowywania filmu promocyjnego o historii tej budowli. Zaczyna się ona kilka wieków wcześniej, prawdopodobnie na przełomie XIII i XIV stulecia. Wówczas na gorze Choina, wysoko ponad doliną

Bystrzycy, książę świdnicko-jaworski Bolko I wznosił kamienną twierdzą. Pod koniec XIV wieku zamek wraz z całym księstwem stał się własnością królów czeskich, a w następnych latach był siedzibą śląskich rycerzy, trudniących się często rozbojem.

W połowie XVI wieku rządy w zamku objął Maciej z Łagowa, który przebudował go w stylu renesansowym. Wzmocnił też fortyfikacje, wznosząc dodatkowy mur zewnętrzny z bastionami obronnymi i rozbudował zaplecze gospodarcze. Pół wieku później, w czasie wojny trzydziestoletniej, Szwedzi częściowo zniszczyli i splądrowali warownię, a w 1689 roku od uderzenia pioruna spłonęła wieża zamkowa. Forteca zaczęła popadać w ruinę i w końcu została całkowicie opuszczona.

Na początku XIX wieku dobra rozparcelowano, a zamek kupili okoliczni chłopcy, którzy chcieli rozebrać go na materiał budowlany. **Zabytek uratował miłośnik historii z Wrocławia, prof. Jan Gustaw Busching.** W 1824 roku wykupił budowlę i rozpoczął prace konserwacyjne oraz rekonstrukcyjne. Kontynuowali je kolejni właściciele warowni Fryderyk Burghaus oraz Maksymilian

➔ Vademecum

Do Zagórza Śląskiego, leżącego 12 km od Wałbrzycha, dojedziemy autobusem lub busem z Wałbrzycha albo ze Świdnicy. Przystanek i parking znajdują się w miasteczku, skąd 15 minut trzeba iść do leżącego na górze zamku. Warownia jest otwarta od maja do września, w tygodniu od 9.00 do 18.00, a w weekendy do 19.00, w pozostałym okresie od 9.00 do 17.00, w soboty i niedziele zaś do 18.00. Wstęp kosztuje 10 zł. W muzeum obejrzymy wystawę sztuki obliczeniowej, malarstwa i broni, zwiedzimy też komnatę tortur i zachwycimy się widokami z wysokiej wieży. Ponadto w maju na zamku jest organizowany jarmark średniowieczny z pokazami dawnych tańców, turniejem rycerskim i stoiskami kupców, a w sierpniu Festiwal Filmów Amatorskich „Biała Dama”. Do dyspozycji gości jest restauracja. Zanocować można w Zagórze, w gospodarstwach agroturystycznych.

Zeidlitz, którzy udostępnił turystom muzeum na zamku i restaurację. Po II wojnie ograbiona z całego wyposażenia forteca objął opieką wałbrzyski oddział PTTK. W 1965 roku otwarto tu muzeum regionalne, a od pięciu lat zarządzającą obiektu jest gmina Walim.

Ruiny warowni przyciągają dziś malowniczym położeniem, opowieścią o hitlerowskim skarbie oraz legendą o kasztelance Małgorzacie, której szkielet przykuty do murów można oglądać w jednej z komnat. Różne są wersje tej opowieści. Według jednej z nich kasztelan Grodna postanowił wydać swoją piękną córkę za bogatego starca, ona jednak odmówiła, bo zakochała się w młodym giermku. Za karę ojciec kazał zamurować ją żywcem, a ukochanego zrzucić ze skały.

Podobno legendę tę wymyślił prof. Busching, aby ściągnąć do zamku turystów, a pierwszy pokazywany przez niego szkielet należał do listonosza zmarłego w położonym opodal miasteczku Zagórze. Kości z kolei, które teraz można oglądać na zamku, muzeum miało otrzymać od antropologów lub lekarzy z Wrocławia w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. ■

KSIĄŻKI

W sieci zła

Miasteczko, w którym mieli spełnić swoje marzenia, okazało się tylko początkiem dramatu.

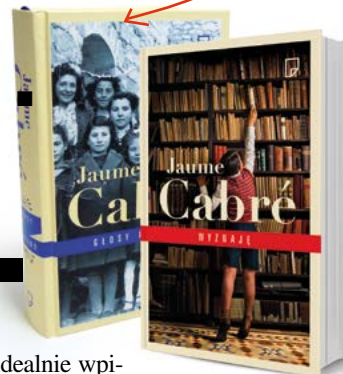
Choć to powieść „Wyznaję”, wydana w 2013 roku, powszechnie jest uznawana za bestsellerową w twórczości katalońskiego pisarza Jaume Cabré, jak sam autor przyznał, nie byłoby jej, gdyby nie „Głosy Pamano”. Akcja tej książki rozgrywa się na przestrzeni aż półwiecza, ale tłem jest wojna domowa w Hiszpanii i okres tuż po niej, wydarzenia, z których ten kraj nigdy się nie rozliczył.

Oto Tina, nauczycielka, zbiera materiały do swojej książki i równocześnie jest jedną z osób przygotowujących album fotograficzny o historii szkoły. Przez przypadek trafia na pudełko z listami napisanymi przed pięćdziesięcioma laty, w czasach dyktatury i dotkliwych represji. Powoli poznaje historię Rosy i jej męża Oriola Fontellesa, którzy przybyli do Toreny, niewielkiego miasteczka w Pirenejach, gdzie wkrótce ma się urodzić ich wymarzone dziecko. Oboje wiążą z tym miejscem wielkie nadzieje. Tymczasem rzeczywistość okazuje się całkiem inna... I tak Cabré prowadzi czytelnika przez lata terroru, okres po śmierci Franco, aż do współczesności. Nie jest to jednak opowieść chronologiczna. Autor miesza czas

i przestrzeń, ale mimo takich zabiegów narracyjnych, wymagających od czytelnika ogromnej uwagi. I nie można przejść nad nią obojętnie. Jest w tej historii wszystko: dramatyczne lata terroru, wielkie pieniądze, „miłość poruszająca słońce i gwiazdy”, zdrada, nienawiść, intrygi, cierpienie itd.

Autor podjął wiele trudnych, także dla polskiego czytelnika, tematów. Między innymi odniósł się do postawy Kościoła w czasach dyktatury gen. Franco. Pojawia się tu nawet postać Jana Pawła II. „Głosy Pamano” są gęste od wątków, postaci i zaskakujących zwrotów akcji. Nie ma tu bohaterów jednoznacznych. Każdy jest wplątany w jakąś sieć, z której nie umie się wyrwać. Choć Cabré pisze o wojnie domowej w Hiszpanii i jej konsekwencjach, to problemy, które poruszył, są bardzo uniwersalne. Tej książki nie odkłada się bez refleksji.

RENATA GROMSKA



Jaume Cabré, „Głosy Pamano”, „Wyznaję”, Marginesy

Spowiedź

Zdarza się, że pisarze niezbyt pochwlebnie wyrażają się o kolegach po piórze. I tak na przykład Paulo Coelho skrytykował powieść uważaną za rewolucyjną w literaturze: „Jedną z książek, które spowodowały wielką krzywdę, była powieść Jamesa Joyce’a, która jest czystym stylem. Nie ma w niej nic. Rozebrana (ze stylistycznej formy), »Ulises« to durna książka”. Ciekawe, czy to samo by powiedział o „Wyznaję” Jaume Cabré. A ten pisarz, podobnie jak Joyce, bawi się formą. Specyficzny sposób prowadzenia narracji, pozorne niezręczności stylistyczne, dziwne wprowadzenia cytatów czy brak znaków interpunkcyj-

nych jednak idealnie wpisują się w treść powieści, która rozgrywa się na kilku płaszczyznach czasowych. I o ile na początku powieści autor dość wyraźnie daje znać czytelnikowi, że przenosi go o jakieś 50, 100 czy 500 lat, o tyle później robi takie „wycieczki” w obrębie jednego zdania. I czyni to genialnie! Trudno oderwać się od tej lektury, szczególnie że ta rozgrywająca się na przestrzeni wieków w Hiszpanii niezwykła opowieść pełna jest skrajnych emocji, gdzie mamy i wielką miłość, i oszustwa, i morderstwa. A cała ta historia osnuta jest wokół wielkiej urody skrzypiec o głębokim, niskim brzmieniu. ■

ANETA WIŚNIEWSKA



JERZY
EISLER

Wielka ucieczka

Pisałem na tych łamach kilka miesięcy temu, że u progu lat sześćdziesiątych XX wieku „Działa Navarony” zapoczątkowały serię niezwykle popularnych tak zwanych westernów wojennych, których akcję umiejscawiano w czasie II wojny światowej. Jednym z pierwszych tego rodzaju filmów była zrealizowana w 1963 roku „Wielka ucieczka”. Jej reżyser John Sturges chciał powtórzyć sukces trzy lata młodszego, klasycznego westernu „Siedmiu wspaniałych”, dlatego do współpracy zaprosił jego autorów. Równie znakomitą muzykę ponownie napisał Elmer Bernstein, a ponadto w „Wielkiej ucieczce” pojawiło się trzech „wspaniałych”: Charles Bronson, James Coburn i Steve McQueen. Oprócz nich wystąpili między innymi zmarły niedawno wielki aktor i reżyser filmowy Richard Attenborough, a także James Garner oraz Donald Pleasence.

Chociaż z początkowej sceny filmu można się dowiedzieć, że opowiada on historię prawdziwą, to w rzeczywistości zmian wprowadzono tak wiele („bohaterowie, czas i miejsce”), że trudno się z tym stwierdzeniem zgodzić. Oto bowiem akcja na ekranie dzieje się latem 1943 roku, podczas gdy prawdziwa ucieczka miała miejsce 24 marca 1944 roku, gdy ziemię jeszcze pokrywał śnieg. Niemieckie miasteczko znajdujące się w pobliżu obozu w „Wielkiej ucieczce” nazwano Neustadt. Tymczasem naprawdę Niemcy zbudowali specjalny Stalag Luft III, przeznaczony dla alianckich jeńców, którzy podejmowali już wcześniej próby ucieczek z innych obozów, w sąsiedztwie miasta Sagan, czyli dzisiejszego Żagania. Gdyby więc film stanowił wierną rekonstrukcję wydarzeń, trudno byłoby wytłumaczyć widzom, dlaczego grany przez McQueena kpt. Virgil Hilts ucieka motocyklem do oddalonej o 900 km Szwajcarii, a australijski lotnik, którego zagrał Coburn, dotarł rowerem i pociągiem nawet do Francji, skąd członkowie Résistance pomogli mu przedostać się przez Pireneje do neutralnej Hiszpanii. Nawiasem mówiąc, zarówno cała brawurowa sekwencja motocyklowa, w której McQueen miał okazję zademonstrować swoje nieprzeciętne umiejętności jazdy, jak i wątek z uprowadzeniem małego niemieckiego samolotu, w rzeczywistości nie miały miejsca.

Faktem jest natomiast, że zgromadzeni pod Żaganiem alianccy jeńcy wojenni przygotowali gigantyczną ucieczkę z obozu, w której pierwotnie miało wziąć udział 250 ludzi. Ostatecznie jednak udało się uciec „zaledwie” 76, przy czym Niemcy w ciągu następujących dni wyłapali zdecydowaną większość z nich. 50 zostało rozstrzelanych (im właśnie twórca dedykował swój film). „Wielka ucieczka” jest przy tym kolejnym anglosaskim filmem, w którym w sposób zdecydowanie odmienny ukazano oficerów SS i gestapowców oraz oficerów Luftwaffe. W odróżnieniu od tych pierwszych komendant obozu płk von Luger został pokazany jako człowiek, który jest zdecydowany przestrzegać międzynarodowych konwencji wojskowych, określających sposób traktowania jeńców wojennych. Chciałoby się powiedzieć, że twórcy wykreowali go na oficera starej daty, a nie ideowego narodowego socjalistę. Mimo tych wszystkich uproszczeń i przeinaczeń „Wielką ucieczkę” po ponad półwieczu nadal ogląda się z zainteresowaniem, oczywiście pod warunkiem, że nie traktuje się wszystkiego, co widzimy na ekranie, zbyt poważnie.

Z POCZĄTKOWEJ SCENY FILMU
MOŻNA SIĘ DOWIEDZIEĆ,
ŻE OPOWIADA ON HISTORIĘ
PRAWDZIwą, TYMCZASEM
WPROWADZONO **WIELE ZMIAN**



PROFESOR JERZY EISLER JEST
HISTORYKIEM, DYREKTOREM ODDZIAŁU IPN
W WARSZAWIE I KIEROWNIKIEM ZAKŁADU
BADAŃ NAD DZIEJAMI POLSKI PO 1945 ROKU
W INSTYTUCIE HISTORII PAN.



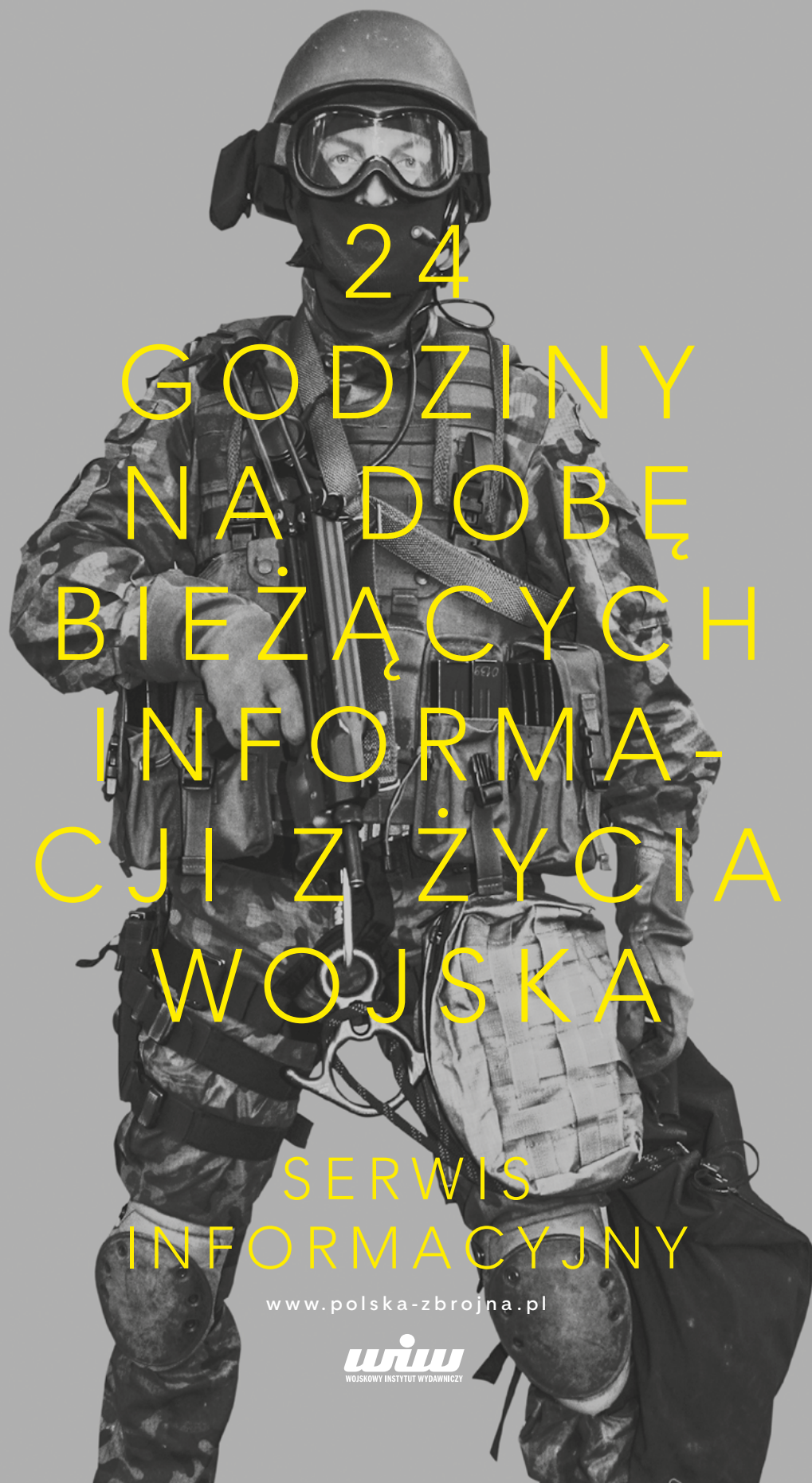
**PRZEGLĄD
FILMÓW,
FOTOGRAFII
I PLASTYKI
WOJSKA POLSKIEGO**

OPFA 2014

**Klub 1. Warszawskiej
Brygady Pancерnej
WARSZAWA-WESOŁA
24-27 LISTOPADA**



POLSKA-ZBROJNA.PL



24

GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

NUMBER 10 FROM 1954